

Susan Vaught

Szaleństwo



WAI

Susan Vaught

SZALEŃSTWO

Przełożył Bartłomiej Ulatowski



Tytuł oryginału: *Insanity*

Copyright © 2014 by Susan Vaught

All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Bartłomiej Ulatowski, MMXVI

Wydanie I

Warszawa XXVI

Przekład: Bartłomiej Ulatowski

Redakcja: Małgorzata Kuśnierz

Korekta: Magdalena Adamska, Małgorzata Lach

Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki © 2014 by Sarah Ann Loreth/Arcangel Images

Projekt okładki: Regina Flath i Amanda Bartlett

Projekt logo imprintu: Julia Karwan-Jastrzębska

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3205-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo

Spis treści

Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Motto

Prolog

Część pierwsza. Przekłęci

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7

Część druga. Głód

Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20

Część trzecia. Krzyk na końcu korytarza

Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Część czwarta. Lęk](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

*Mojemu kochanemu Frankowi,
zawsze i na wieki najlepszej papudze świata.*

*Wierzę, że ptaki trafiają do nieba,
a ty fruwasz teraz razem z aniołami.*

*What hills, what hills, my own true love,
What hills so dark and low?
That is the hills of hell, my love,
Where you and I must go!*

*Ach, cóż to za wzgórze, miły, tam
tak czernią się złowrogo?
To wzgórze piekieł, luba ma,
tam nasza wiedzie droga!*

Kochanka demona,
ballada ludowa nieznanego autora, wersja zarejestrowana w okręgu Harlan
w stanie Kentucky

Prolog

Levi

Z tym psem było coś nie tak.

Natknąłem się na niego zaraz za progiem sklepu – takie niepozorne byle co. Zatrzymałbym się, żeby go podrapać, ale musiałem wrócić, zanim Imogena zacznie się niepokoić.

„Nie wychodź dziś z domu, chłopcze. Śmierć chodzi na dwóch nogach”.

Ale ja musiałem wyjść, bo chciało mi się kabanosów, fistaszków i coli, a teraz to psisko lazło za mną do domu. To był beagle, miał obwisłe uszy i ogon, którym nie merdał. Jego małe oczy były zbyt czarne, a może to jego zęby były zbyt białe? Trudno powiedzieć.

Ścisnąłem mocniej torbę z zakupami i przyśpieszyłem, skręcając przed frontem Szpitala Psychiatrycznego imienia Abrahama Lincolna. Mój oddech przemieniał się w parę. Był listopad i Never w Kentucky przenikał już zimowy chłód. Po mojej lewej stronie, ponad drzewami czarna sylweta dzwonnicy starego psychiatryka zasłaniała gwiazdy. Było ciemno, ale księżyc świecił jasno, a ja znałem drogę na pamięć.

Za moimi plecami pies warknął ostrzegawczo.

„Nie oglądaj się za siebie, może właśnie coś cię dogania”.

Powiedział to ktoś sławny, nie Imogena. Chyba jakiś sportowiec, nie mogłem sobie przypomnieć który. Coś błysnęło w oddali, wysoko pomiędzy czarnymi koronami sosen i dębów, i zaraz zgasło.

Latarka?

Spojrzałem w stronę szpitala. Dreszcz podniósł mi włosy na karku, a ten kretyński pies zawarczał znowu.

Dzwonnica. Czy światło padało z samej góry, spod szczytu? Zwolniłem kroku, choć wiedziałem, że nie powinienem, i znów przeszył mnie zimny dreszcz.

Nic dobrego nigdy nie przychodziło ze szczytu tej wieży ani z żadnego z *rozzredzeń* w tym szpitalu. Imogena dbała o to miejsce najlepiej, jak potrafiła, ale czasem...

– No, dosyć już tego dobrego, Levi – powiedziałem do siebie, naśladowując

głos babci.

Pokręciłem głową, żeby wytrząsnąć z niej głupie myśli, i ruszyłem do domu.

Coś na szczycie tej wieży obracało się w ślad za mną. Obserwowało mnie. Świdrowało wzrokiem moje plecy, tak jak ten pies.

– Ogarnij się – mruknąłem; pies zawarczał, a wtedy ruszyłem naprzód tak szybko, że praktycznie biegłem.

Echo moich kroków niesło się po parku. Wszystko ucichło, z wyjątkiem psa. Bydłę dyszało stanowczo za głośno.

Światło błysnęło mi w twarz, a ja potknąłem się i zatoczyłem, trzepocząc powiekami, aby odzyskać wzrok. Zatrzymałem się. Drogę zastąpił mi pies z wytrzeszczonymi oczami, otwartym pyskiem i jęzorem wywieszonym do samej ziemi. W kolejnym rozbłysku dziwnego żółtego światła cień zwierzęcia wspiął się na drzewa za nim.

Cień był ogromny i miał kształt wilka.

Miał też czerwone oczy.

„Nie wychodź dziś z domu, chłopcze. Śmierć chodzi na dwóch nogach”.

– Całe szczęście, że ty masz *cztery* – powiedziałem do upiornego kundla, ledwie słysząc własny głos przez szum krwi w uszach.

Gdzieś blisko zaszeleściły liście.

Obróciłem się gwałtownie w stronę, z której dobiegał dźwięk, spodziewając się... właściwie czego? Prawdziwego wilka? Jakiegoś obłąkanego dziwaka z latarką? W Lincolnie nie było już morderców ani innych groźnych przestępców. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Wpatrywałem się w las, wyteżając wzrok, aż plamy zatańczyły mi przed oczami. Nic. Same drzewa. I jeszcze ta stara kamienna wieża trzymająca wartę nad Never. Pojedyncze żółte światełko zamigotało wysoko pod szczytem, jakby ktoś machał staroświecką latarnią.

– Nie jestem szalony – sapnąłem, wydmuchując kolejną chmurkę pary. Ostatnio często to sobie powtarzałem.

Gałązka trzasnęła po mojej prawej stronie i znów podskoczyłem.

– Wszystko dobrze – zapewniłem sam siebie, patrząc na mgiełkę rozwiewającą się tuż przed moim nosem. Noc pachniała mokrymi liśćmi i cmentarną ziemią. – To tylko ten pies.

Beagle stał w świetle dziwnej latarni umieszczonej na szczycie dzwonnicy. Merdał ogonem, ale nie było w tym nic przyjaznego. Jego cień wciąż miał czerwone oczy. Cień nie machał ogonem.

Zacząłem odsuwać się od psa.

Ruszył na mnie, szedł krok za krokiem, z podwiniętymi wargami odsłaniającymi żółte kły, wielkie jak moje palce. Wilczy cień zafalował, przemykając po drzewach, ogromny, czarny, zjeżony; kątem oka widziałem wieżę spoglądającą z góry niczym mroczny cień. Mój oddech stał się krótki, krew zatętniła szybciej.

Pies rozwarł paszczę i zawył tak donośnie, że aż zadzwoniło mi w uszach. Stopy splątały mi się jedna z drugą i upadłem plecami na coś ciepłego i masywnego.

Człowiek?

– Hej, uważaj, jak chodzisz – odezwał się głęboki głos, od którego po grzbiecie przebiegła mi kolejna fala dreszczy.

Silne ręce uchroniły mnie przed fiknięciem kozła i postawiły z powrotem na nogach.

– Ten pies... – zacząłem mówić, ale przerwałem, ponieważ w moich żyłach płynęła krew Imogeny, która uczyła mnie jej używać, wychowując mnie po śmierci moich rodziców, i ludzie nie zawsze widzieli to, co widziałem ja. Gdybym spytał mężczyznę o jego cień, pomyślałby, że jestem uciekinierem ze szpitala. Ale co on w ogóle tutaj robił? Ludzie na ogół trzymali się z dala od tych ścieżek.

– Przepraszam – powiedziałem. – Tylko wracam do domu.

Mężczyzna puścił mnie, a następnie się roześmiał.

Nie spodobał mi się ten śmiech.

Facet był wysoki i prawie łyсы, ale umięśniony jak szybkobiegacz. Jego ciemnej skóry nie szpeciła żadna skaza, miał na sobie spodnie od garnituru i elegancką koszulę z krawatem, brakowało mu tylko marynarki. Kościelne ciuchy. Wyglądał na kaznodzieję.

– Jesteś jednym z nich – powiedział. – Wielka szkoda. Ale lepiej teraz, zanim dorośniesz i zaczniesz sprawiać poważne kłopoty.

Beagle zawarczał i mężczyzna zwrócił swoje czarne oczy na psa. Zaczął coś mamrotać. Nie słyszałem słów, ale w każdym z nich czułem moc. Warkot przeszedł w skamlenie, zwierzak podwinął ogon pod siebie i po chwili zniknął między drzewami jak duch.

Zimna prawda osiadła mi na skórze, aż zadzwoniłem zębami.

Ten pies nie warczał na mnie. Warczał na kaznodzieję. Gdzieś w oddali przetoczył się grzmot, a światło na wieży błysnęło jeszcze raz i zgasło.

Czy wariaci z Lincolna nadal biegali z wrzaskiem po korytarzach podczas burzy? Widziałem to kiedyś w reportażu w wiadomościach. Sto lat temu tak właśnie się działo. Imogena mi to powiedziała, a moja babcia zawsze mówiła

prawdę.

„Uciekaj” – wyszeptał jej głos w mojej głowie, ale było już za późno.

Mężczyzna wykonał ruch w tej samej chwili co ja, łapiąc mnie i pociągając w tył. Moja torba pofrunęła łukiem, rozsiewając dookoła fistaszki i kiełbaski, a ja runąłem na ubity żwir ścieżki. Kość w łokciu pękła mi z trzaskiem i prawą rękę przeszył mi rwący impuls. Bolało tak bardzo, że zamroczyło mnie i zakreśliło mi się w głowie. Wyrznąłem twarzą o kamyki, łamiąc sobie ząb.

Myśli splątały mi się w supeł i krzyknąłem, ale nie usłyszałem niczego, ponieważ moja krtań nie wydała głosu. Podpierając się sprawną ręką, spróbowałem dźwignąć się z ziemi, ale kaznodzieja cisnął mi w twarz garścią cuchnącego proszku.

Zaniósłem się kaszlem.

Parzyło. Nie mogłem oddychać.

Czy ten kaznodzieja odmawiał modlitwę? Bredził coś o przebaczeniu, powinności i zbawianiu dusz. Facet był pieprznięty.

„Jest dobrze. Wciąż oddycham. Ciągle żyję”.

Zamrugąłem powiekami i spojrzałem na mężczyznę, w którego wielkich dłoniach pojawiły się sztylety.

„Ciągle żyję” – powtórzyłem w myśli.

A potem już nie żyłem.

CZĘŚĆ PIERWSZA

PRZEKLEĆCI

Forest

Jej twarz przypominała rzeźbę z czarnego marmuru z pieczołowicie wykutymi zmarszczkami, marsem na czole i smutnymi oczami, które zawsze patrzyły daleko, jakby widziały rzeczy, jakich nie byłabym w stanie pojąć.

Jej ręce – te były z kolei korzeniami cyprysu, czarnymi i zgrubiałymi. I szorstkimi, kiedy ich dotykałam.

Nigdy nie wypuszczała z ręki tego zdjęcia.

Fotografia była starsza ode mnie, ona zaś mówiła do niej jak do żywej osoby, pochylając się nad nią nisko, aby nikt inny nie mógł jej usłyszeć. Odbitka była zalaminowana, a przed kąpielą wkładałam ją dodatkowo do foliowej torebki, ponieważ jeśli tylko ktoś spróbowałby odebrać pani Sally Greenway jej fotografię, zaczęłaby ciskać w niego wszystkim, co stało na oddziale. Jakoś nigdy nie przyjrzałam się temu zdjęciu; byłam zbyt zajęta, aby zwracać na nie uwagę.

No czyż to nie było głupie? Głupie i złe. To zdjęcie było najważniejszą rzeczą na świecie dla osiemdziesięciosiedmioletniej kobiety, którą ubierałam i karmiłam niemal każdego dnia. Powinnam była choć na nie zerknąć.

Kiedy wreszcie to zrobiłam, omal nie postradałam zmysłów.

Rozdział 1

– Ostrożnie, Forest! – Leslie Hyatt trzepnęła mnie w dłoń tak mocno, że omal nie wypuściłam grzebienia, który próbowałam uwolnić z upartych białych włosów pani Sally.

Ciemne oczy Leslie zwięzły się w szparki, podwajając liczbę zmarszczek na jej czole. Kiedy uniosła rękę, aby wycelować we mnie oskarżycielsko palec, jej zbyt duży czarny fartuch rozłożył się niczym wachlarz, upodabniając ją do ogromnego nietoperza.

– A gdyby to była *twoja* babcia, dziewczyno? Chciałabyś, żeby targała ją za włosy jakaś durna pannica, co to nie umie zapleść warkocza, nie ściągając biednej kobiecie skalpu?

Okrzyknęła Sally, która siedziała na swoim wózku, nie poruszając się i nie wydając żadnych dźwięków, trzymając w dłoni czarno-białą fotografię mężczyzny, którego nie widziała od czasów swojej młodości.

– Dawaj to. – Leslie wyjęła mi grzebień z ręki. – Mówiłam ci, że to się robi tak.

Zaczęła poruszać grzebieniem, jego zęby delikatnie oddzielały coraz to węższe i węższe pasma włosów. Zostawały dokładnie tam, gdzie chciała.

Obróciłam bransoletkę z jarzębinowego drzewa na moim prawym nadgarstku, gładząc palcami znajomą rzeźbioną powierzchnię i gładkie żelazne ćwieki.

– Przepraszam. – Zdobyłam się na uśmiech mimo pięknej dłoni.

Lubiłam Leslie. Pomagała mi, odkąd przyszedłam do pracy na drugiej zmianie w Szpitalu Psychiatrycznym imienia Lincolna.

To było sześć miesięcy temu – dwa dni po moich osiemnastych urodzinach, kiedy opuściłam rodzinę zastępczą, musiałam zdać zaoczną maturę i znaleźć sobie jakieś mieszkanie. Jeśli akurat nie rwałałam włosów z głowy, pracowałam w Lincolnie jako popychadło najniższego szczebla – dziewczyna od kąpania, szorowania basenów i zmieniania pościeli. Obcinałam zagrzybione paznokcie, zmieniałam przepocone ubrania i cuchnące pieluchy, ścieliłam łóżka, karmiłam pacjentów, znosiłam opluwanie, kąsanie, kopniaki i wyzwiska, a wszystko po to, aby zapewnić względną czystość i komfort dziewiętnastorgu starszaków na zapomnianym przez Boga i ludzi oddziale w suterenie równie zapomnianego stanowego szpitala psychiatrycznego. Dopóki przynosiło mi to pensyjke, ubezpieczenie i możliwość dorobienia nadgodzinami, robiłam

wszystko z uśmiechem na ustach, i to szczerym. Z każdym dolarem, który udało mi się odłożyć, zamiast wydać na czynsz i jedzenie, byłam o dolara bliżej wstąpienia do college'u i wyrwania się z Never w stanie Kentucky.

Gdy Leslie rozczesywała włosy Sally, za murami szpitala zbudowanymi z wapienia o cedrowym kolorze dał się słyszeć grzmot. Zrazu cichy i odległy, łoskot narastał, narastał i *narastał*, aż zakratowane okna zadygotały w ramach, a świetlówki pod stropem zamigotały nerwowo. Pacjenci znajdujący się w holu oddziału geriatrycznego Lincolna zaczęli mamrotać albo pojękiwać, wierząc się w swoich wózkach. Kilkoro potoczyło się w stronę swoich sal.

– Wszystko jest w porządku! – zawołała Leslie, przerywając czesanie. – To tylko chłopcy z technicznego. Zasypują te stare tunele pod budynkiem administracji.

Jej dźwięczny pielęgniariski głos potoczył się po posadzce niczym przyjazny grom niosący ludziom uśmiech i spokojny sen. Leslie miała około sześćdziesięciu lat. Pracę w Lincolnie rozpoczęła jako dwudziestotrzylatka. Niektórych pacjentów знаła przez większą część swojego życia, czasem także ich. Teraz na dźwięk jej głosu starcy zatrzymywali swoje wózki albo przynajmniej przestawali podnosić wrzawę i robić przerażone miny.

Budynek zatrzęsł się znowu i tym razem światła zgasły na dobre. Kilka sekund ciemności, które upłynęły, zanim włączył się zapasowy generator, spędziłam na bezdechu. Tu, na dole, nie mieliśmy prawdziwych okien, tylko kilka rzędów wąskich szyb umieszczonych tak wysoko, że dotykały sufitu. No i był październik, więc robiło się ciemno, jak tylko skończyliśmy podawać obiad.

Kiedy Leslie złapała mnie za ramię, podskoczyłam.

– Musisz być spokojna – powiedziała głosem łagodnym, ale podbitym stałą. – Są bezbronni i nie wiedzą, co się dzieje. Te młoty pneumatyczne i wybuchy, w końcu jakiś biedak dostanie przez to zawału. – Zdecydowanym ruchem wręczyła mi grzebień. – A skoro tak się denerwujesz, naprawdę chcesz zostać na swojego pierwszego dubla dzisiaj? Tak blisko Święta Zmarłych?

Dlaczego serce łomotało mi tak mocno? Chciałam odpowiedzieć, ale bałam się, że z mojego gardła ściśniętego myślą o spędzeniu nocy w szpitalu wydobędzie się tylko skrzek. Skinęłam więc głową.

– No dobra. – Leslie wzruszyła ramionami. – Nikt lepiej od ciebie nie zaopiekuje się moimi skrzatami tu, na dole, ale nie wiem, czy nadajesz się na nocną zmianę. Kiedy zaczną bić dzwony, a ty wylecisz do ciemnego holu, robiąc w gacie, zanim dobiegniesz do łazienki, pamiętaj, że cię ostrzegałam.

– Nie ma żadnych dzwonów. – Wróciłam do czesania Sally, uważając, aby

nie zaplatać bransoletki w jej włosy. – Mówili nam na szkoleniu. Dom pod wieżą nie odezwał się od trzydziestu lat.

Pani Sally zaczęła rozmawiać z fotografią, szepcząc do niej i chichocząc cicho. Nadstawiłam ucha i kilka razy wyłowiłam słowo „dzwony”.

– Taa, trzydzieści lat. Tak właśnie *mówią*. – Leslie puściła do mnie oczko i ruszyła do pacjentki, którą czesała, zanim przyszła pomóc mi przy Sally.

– Dzwony... – szepnęła znów pani Sally, wpatrując się w odbitkę.

Kiedy w 1802 roku zbudowano szpital Lincolna, rezydencja ordynatora otrzymała wieżę zegarową z trzema wielkimi dzwonami na szczycie. Dzwoniły na pobudkę, posiłki i gaszenie świateł, pięć razy dziennie, punktualne jak wskazówki na cyferblacie, który zdobił mur z tego dziwacznie zabarwionego wapienia. Gdyby dzwony odezwały się o jakiegokolwiek innej porze, mieszkańcy Never mieli czym prędzej zatrzasać okiennice, zaryglować drzwi domów i ruszyć na pomoc w poszukiwaniach zbiegłego pacjenta. W tamtych czasach w szpitalu mieszkały cztery tysiące chorych, niektórzy od urodzenia aż po dzień śmierci. Dziś mieliśmy pod opieką może ze trzysta osób, przeważnie ludzi zbyt niedołężnych i schorowanych, aby mogli trafić do innego ośrodka w Never albo jednym z okolicznych miasteczek w południowym Kentucky. Dom pod wieżą zamknięto około roku 1980, ponieważ utrzymywanie go w dobrym stanie kosztowało zbyt dużo pieniędzy. Dziś szpital wykorzystywał budynek do przechowywania akt i rejestrów.

– Nie wychodź w nocy – powiedziała pani Sally do swojego zdjęcia, kiedy podziwiałam pierwszy splot warkocza, który nareszcie udało mi się porządnie zacząć. – Jeśli zadzwonią dzwony, *nie wychodź w nocy*.

Moje palce znieruchomiały.

Nie przesłyszałam się?

Pani Sally mówiła zdaniami, ale przeważnie był to bełkot przerywany imionami i pojedynczymi słowami.

– Nie wychodź w nocy – powiedziała jeszcze raz i pokiwała głową, jakby komuś przytakiwała.

Puściłam włosy i obeszłam jej wózek, aby przykleknąć przed nią i spojrzeć w tę marmurową, porytą zmarszczkami twarz. Oczy staruszki były utkwione w fotografii, usta poruszały się bezdźwięcznie.

Kolejny wybuch huknął w oddali i przetoczył się grzmiotem przez stary szpital jak nadciągająca burza.

– Mam nadzieję, że wiedzą, co robią – powiedziała Leslie na tyle głośno, aby jej słowa dotarły do mnie przez szerokość korytarza. – Te tunele straszyły tam od lat – dodała i nawet nie zaczerpnąwszy tchu, płynnie przeszła do: – Nic

się nie dzieje, ludziska! Wszystko jest dobrze. Nawet jeśli zwałą sobie tę starą wieżę na łby, nam tutaj nic nie grozi.

– Nie wychodź w nocy – szepnęła do mnie pani Sally, wysuwając sękatą dłoń w stronę mojej bransoletki.

Dotknęła drewna i gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Potem spojrzała na mnie – *naprawdę* spojrzała. Mętny nalot obłądu nagle zniknął z jej oczu.

Ciarki przebiegły mi po karku i ramionach. Opadła mi szczeka. Czułam, że powinnam coś odpowiedzieć, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Pani Sally podsunęła mi fotografię, jakby chciała, abym ją wzięła.

Nie ma mowy. Nie-ma-mo-wy!

Pomachała mi zdjęciem przed nosem.

– On chce z tobą porozmawiać – wyszeptała.

Przysięgam, nie byłam w stanie ruszyć choćby palcem.

Wiedziałam, że pani Sally jest chora, że słyszy głosy i rozmawiała z tym zdjęciem na długo, zanim przyszłam na świat. Słyszałam historie o jej małżeństwie, o dzieciach i o tym, jak po urodzeniu ostatniego z nich zgubiła piątą klepkę i zaczęła biegać nago po ulicach, wykrzykując coś o strzygoniach i tamtej stronie, słuchając głosów, których nikt poza nią nie słyszał. Nie miałam pojęcia, jak wówczas nazywano jej chorobę, ale obecna diagnoza brzmiała nowocześnie i oficjalnie: zaburzenie schizoafektywne typu dwubiegunowego. Żaden lek jej nie pomógł i już nigdy nie wróciła do domu. Jej mąż odwiedzał ją codziennie aż do pewnego dnia w 1952 roku, kiedy po prostu przestał się pojawiać.

Pani Sally była przemiała, ale bardzo chorą osobą, która nie była w stanie walczyć ze swoją wiarą w takie rzeczy jak gadające fotografie. Moim zadaniem było pozostawanie w realnym świecie i pomaganie jej. Wiedziałam, że powinnam być dla niej miła i starać się ją ukoić, a nie celowo zdenerwować ignorowaniem jej wspaniałego daru – zdjęcia, które właśnie podsuwała mi pod nos. Ale ja nie chciałam na nie patrzeć! Naprawdę bardzo, bardzo nie chciałam.

– Forest – głos Leslie brzmiał spokojnie, ale była w nim twardość. – Ona oddaje ci kawałek własnego serca. Śmiało, weź to, a potem oddaj jej, kiedy tego zechce.

– Dzwony – szepnęła pani Sally, pochylając się do przodu, abym tylko ja mogła ją usłyszeć. Tym razem omal nie dźgnęła mnie rogiem zdjęcia w oko.

Ręką, w którą nie była wczepiona starcza dłoń, sięgnęłam po fotografię. To było zwyczajne stare zdjęcie. „Co się ze mną dzieje?” – pomyślałam. Czasem zachowywałam się jak ostatnia kretyńska.

Spojrzałam na fotografię. Postać mężczyzny była tak wyświecona od dotykania jej, że nie byłam w stanie dostrzec rysów twarzy. Ubrany był w kapelusz i chyba ogrodniczki. Głowę miał zwróconą w stronę szopy stojącej przy niewielkim łanie kukurydzy.

Zmrużyłam oczy. Zdjęcie wydało mi się ciut wyraźniejsze. Tak, to na pewno były ogrodniczki. Mężczyzna miał włosy przystrzyżone tuż przy skórze i duże uszy. Nawet fajny. Ogrodniczki były ciemnoniebieskie i wyglądały na nowe, a rękawy jego koszuli lśniły czystością, jak gdyby wystroił się przed wizytą u pani Sally. Szopa przypominała raczej małą drewnianą chatkę. Kukurydza była zdrowa, dorodna. Czułam jej zapach połączony z brudną ziemistą nutą. Była też woń nowego dżinsu – świeżej bawełny, wciąż sztywnej, aż swędzi od niej skóra...

„Czy wiesz, kim jesteś?”. Głos w mojej głowie nawet mnie nie przestraszył, bo spodziewałam się, że będzie mówił właśnie takim tonem: głębokim i lekko rozbawionym. „Czy wiesz, co potrafisz?”.

Mężczyzna na zdjęciu odwrócił głowę, aby na mnie spojrzeć.

Świat zadygotał.

Krzesła zaklekotały pod ścianami oddziału, światła zabrzęczały elektrycznie i zgasły z suchym trzaskiem. Odrzuciłam zdjęcie, jakby zrobiono je z błękitnego ognia, a pani Sally puściła moją bransoletkę i zaczęła głośno lamentować.

– Dzwony! – zawodziła. – Dzwony!

Szpitalne dzwony biły na całego.

Racjonalna część mojego umysłu przekonywała mnie, że to wstrząs od eksplozji, którą techniczni wywołali w tunelach, rozkołysał serca dzwonów, tak jak zachybotał krzesłami w oddziałowym holu. Moja wewnętrzna idiotka twierdziła jednak, że zdjęcie właśnie do mnie przemówiło, a potem spojrzało na mnie i sprawiło, że zaczęły bić dzwony.

– No chyba jaja sobie robicie... – wymamrotała Leslie.

Dźwięk jej trampek, popiskujących nerwowo, gdy biegła uspokając przestraszonych pacjentów, był jedyną rzeczą, która powstrzymywała mnie od wybuchnięcia wrzaskiem głośniejszym niż wycie pani Sally. Przypadłam do podłogi, panicznie macając rękami wokół siebie, aż natrafiłam na fotografię. Chwycałam ją i wcisnęłam staruszce w dłoń.

– Proszę. Tu jest. Już wszystko dobrze.

Chryste, to miał być kojący ton?

– Już dobrze, pani Sally.

Staruszka wciąż krzyczała. Puls łomotał mi w gardle tak mocno, że aż

bolało.

– Pani Sally?

Delikatnie ścisnęłam jej dłoń, zamykając kruche palce na odbitce.

– Ja też słyszę te dzwony – powiedziałam do niej. – Ale one rozkołysały się z powodu tych wybuchów.

– Nie wychodź w nocy! – wrzasnęła.

Zapasowy generator zadudnił basem i znów zapaliły się światła. Pani Sally wpatrywała się we mnie, ale jej oczy znów powlekał biały film pomieszania. Wysunęła dłonie z mojego uścisku, zerknęła na zdjęcie, a potem uśmiechnęła się i uciekła spojrzeniem w dal, tak jak to zawsze robiła.

Zanim zdążyłam zareagować albo chociaż spróbować zrozumieć, co właśnie się wydarzyło, z gabinetu na dalekim końcu holu wypadła pielęgniarzka. W pomarańczowym fartuchu Arleen wyglądała jak wściekła dynia, a ja ledwie powstrzymałam się od jęknięcia na widok burzy jej jasnych włosów. Nie należała do moich ulubionych osób – zawsze głośno mówiła, nigdy nie zwracała uwagi na pacjentów...

– Leslie! – krzyknęła, najwyraźniej wielce czymś wzburzona. – Leslie!

Usłyszałam zirytowane „co?” dobiegające z sali pacjentów po mojej lewej stronie. Arleen podskakiwała na palcach jak podekscytowany przedszkolak.

– Znaleźli zwłoki w tunelach!

Podniosłam się powoli, nie wierząc w to, co słyszę. Arleen trajkotała o policji stanowej jadącej do nas najszybciej, jak się tylko da, oraz o kościach. Całej stercie kości.

Leslie wysunęła głowę na korytarz. Jej zwykle niewzruszenie spokojną twarz wykrzywił grymas irytacji.

– Co ty pleciesz, kobieto? Mamy tu niezły bałagan, a ty...

– Trup! – wybuchła Arleen, podkreślając swój okrzyk kłaśnięciem w dłonie.

– W podziemiach szpitala psychiatrycznego Lincolna jest niezwywy człowiek!

Rozdział 2

O pierwszej w nocy wyrwałam się na pierwszą przerwę mojej podwójnej zmiany. Leslie już dawno poszła do domu i byłam zupełnie sama, kiedy przemierzałam długi korytarz łączący geriatrię ze stołówką. W szpitalnej suterenie panowała cisza, a jedyne oświetlenie stanowił pojedynczy rząd nocnych lamp ewakuacyjnych jarzących się nisko nad podłogą.

Niebieskie światła kogutów wpadały przez okienka pod stropem i wycinały hołubce na ścianach. Wyglądało na to, że policja stanu Kentucky spędzi w szpitalu całą noc. Arleen, która pracowała na długiej zmianie, powiedziała mi, że odgrodzono taśmą budynek administracji i piwnicę z kośćmi.

Kości.

Nie miałam zamiaru tam iść. Jeszcze nigdy nie uzmysławiałam sobie z taką wyrazistością, że psychiatryk Lincolna położony jest osiem kilometrów od jakiegokolwiek cywilizacji, że stoi pośrodku dwustu czterdziestu hektarów należącego do stanu pustkowia, otoczony wielkim kamiennym murem. Pacjenci wyczuwali naszą nerwowość i wiedzieli, że błyskające niebieskie światła nie mogą oznaczać niczego dobrego. Musiałyśmy, wspinając się na krzesła, pozasłaniać okna oddziału prześcieradłami, żeby wreszcie przestali szlochać lub pokrzykiwać i położyli się do łóżek.

Moje buty stukały zbyt głośno o kamienną posadzkę, a mój oddech zdawał się nieść echem wzdłuż ścian. W miejscach, gdzie nie mieszkali pacjenci, korytarze nie były ogrzewane, dlatego za każdym wydechem pole widzenia przesłaniała mi biała mgiełka. Energicznie potarłam ramiona dłońmi. W świetle policyjnych kogutów wyglądałam na przemian na żywą i martwą, żywą i martwą.

Fotografia. Pani Sally mówiąca pełnymi zdaniem. Bijące dzwony domu pod wieżą. *Fotografia.* Co ja tak naprawdę widziałam? Potarłam ramiona mocniej, starając się nie zwracać uwagi na upiorne niebieskie błyski. Nie byłam jakąś... nie lubiłam słowa „wariatka”, bo odkąd podjęłam pracę w Lincolnie, kojarzyło mi się z brakiem szacunku. Nie byłam chora psychicznie. Przynajmniej tak mi się wydawało. Dobrze, czasem robiłam się trochę nerwowa, ale starałam się zdrowo odżywiać, płacić czynsz i oszczędzać na college. Miałam prawo być nerwowa.

– Forest...

Szept rozległ się za mną.

Aż potknęłam się z wrażenia. Odzyskawszy równowagę, odwróciłam się gwałtownie.

Korytarz za mną był całkowicie pusty. Tylko zamknięte drzwi gabinetów, niebieskie światła głaszczące ciemne ściany, a na bardzo, bardzo odległym końcu holu magazyn odzieży, gdzie trzymaliśmy ubrania dla pacjentów. Tamte drzwi także były zamknięte na klucz, jak każdej nocy od końca jednej dziennej zmiany aż do początku następnej.

Kiedy na nie patrzyłam, zdawały się na przemian odsuwać i przybliżać, jakby korytarz oddychał.

Ból żgnął mnie w pierś, dokładnie w miejscu, w którym kołatało mi serce.

„To się nie dzieje naprawdę!”.

Wciągnęłam z sykiem powietrze i wypuściłam je. Wokół twarzy zawirowała mi para. W nozdrza wdarł się zapach... sosny? Może to jakiś środek czyszczący. Ale zapach wydawał się zbyt świeży i nie tak ostry jak chemia, której sprzątacze używali do odkażania łazienek.

– To pewnie nic takiego – powiedziałam głośno i omal nie wrzasnęłam na dźwięk własnego głosu.

Drzwi na końcu korytarza nie poruszały się – dokładnie tak, jak powinny się zachowywać drzwi.

Niepotrzebnie sama siebie straszylam. Odwróciłam się znowu i ruszyłam szybkim krokiem w stronę stołówki. Staralam się nie myśleć o tamtych drzwiach ani nie wyobrażać sobie, że coś bezgłośnie podąża w ślad za mną, maskując odgłos swoich kroków moimi, sunąc coraz szybciej i szybciej...

Uderzyłam w drzwi stołówki otwartymi dłońmi, otwierając je w biegu i wpadając do środka. Nie pozwoliłam nawet na to, aby zamknęły się same, tylko zatrzasnęłam je szybko i przytrzymałam plecami. Przez chwilę rozważałam także pomysł użycia moich kluczy do zamknięcia zamka.

Nic nie naparło na drzwi.

Oczywiście, że nie.

Wcale nie usłyszałam szeptu na korytarzu, a zdjęcie pani Sally *nie* spojrzało na mnie i na pewno do mnie nie przemawiało.

Zatem dlaczego się tak trzęsłam?

Bo było mi zimno.

Pora nakarmić drobniakami prastary automat z napojami, pokrzepić się gorącą czekoladą i zrobić sobie przerwę na jedzenie. Tylko że nie byłam w stanie puścić tych cholernych drzwi.

Chryste Panie! A gdyby tu byli jacyś ludzie i zobaczyli, że zachowuję się jak idiotka?

Odwróciłam się w lewo i przesunęłam wzrokiem wzdłuż długiego, pogrążonego w półmroku pomieszczenia. Po prawej stronie ciągnął się szereg stolików poprzetykanych dwustronnymi ławami, wraz z nimi przymocowanych do ścian i podłogi, aby niczego nie dało się przewrócić, unieść ani rzucić. Z lewej strony stały automaty. Sala była pusta, więc nikt na mnie nie patrzył, dzięki Bogu.

Mijały sekundy. Zmusiłam się do zaczerpnięcia powietrza, a potem, powoli, oderwałam plecy od drzwi stołówki. Niełatwo było zebrać się do odejścia bez próby zastawienia ich czymś ciężkim, ale i tak nie mogłam tego zrobić – nawet śmietniki były przykręcone do podłogi.

Ruszyłam powoli, po cichu, nasłuchując nieznanymi odgłosów po każdym kolejnym kroku. Nie słyszałam niczego poza własnym sercem, które waliło z mocą perkusisty kapeli thrashowej. Maszyna z gorącymi napojami stała na końcu rzędu automatów, a kiedy dotarłam do pierwszego, jego lampki zamigotały, mechanizm ożył z wizgiem przekładni, a ja omal nie umarłam na miejscu.

– Szlag! – Walnęłam czołem w podświetlony plastikowy obrazek z logo napoju gazowanego, a mój ruch obudził sąsiedni dystrybutor, a potem następny w szeregu. – Szlag, szlag!

Grzmotnęłam w maszynę jeszcze raz, choć dobrze wiedziałam, że urządzenia te „śpią” jak zahibernowany komputer, dopóki nie wyczują, że ktoś jest w pobliżu. Dopiero w obecności ludzi budzą się do życia, brzęcząc silniczkami i rozjarzając się obrazkami oszronionych butelek albo kusząco poskręcanych chipsów. Energooszczędne, wysokowydajne, przyjazne dla środowiska – niech je szlag trafi. Kto postawił coś takiego w psychiatryku?!

Wszystko, co mogłam teraz zrobić, to kupić sobie czekoladę, usiąść przy stoliku i wypić ją. Gorący płyn parzył mi usta, lecz było to przyjemne. Ścisnęłam wiotki kubek, omal nie miażdżąc go w dłoniach, delektując się wsiąkającym mi w palce ciepłem. Żelazne ćwieki w mojej jarzębinowej bransoletce zdawały się chłonać gorąco, delikatnie drażniąc mi skórę na nadgarstku, dopóki znów nie zaczęłam myśleć trzeźwo. Jarzębinę, jak się dowiedziałam, uważano za magiczne drewno, chroniące przed złem wszelakim, od zabłądzenia po porwanie przez złe boginki. Jarzębinowe drzewa rosły głównie w Wielkiej Brytanii i Europie. Kiedyś mój nauczyciel biologii z liceum rozpoznał, z czego jest zrobiona moja bransoletka, i spytał mnie, skąd ją mam. Nie miałam pojęcia. Wiedziałam tylko tyle, że to jedyna pamiątka po moich prawdziwych rodzicach, kimkolwiek byli. Poprawiała mi samopoczucie.

Za jakieś pół godziny miałam znów wyjść na ten długi ciemny korytarz,

gdzie zdecydowanie, absolutnie i z całą pewnością *nie* słyszałam, jak ktoś szepcze moje imię i *nie* widziałam oddychających drzwi. Zamknęłam oczy i z westchnieniem potarłam palcami grzbiet nosa.

Ot, i moje szczęście – trafić na pierwszą nocną zmianę akurat tuż po tym, jak techniczni znaleźli w piwnicy kupę kości. Na szkoleniu powiedziano nam, że tunele wydrążono podczas wojny secesyjnej, żeby pacjenci i personel mogli poruszać się po terenie szpitala nie obawiając się kul żołnierzy toczących boje na pobliskich polach. Te kości mogły tam leżeć od stu pięćdziesięciu lat.

Albo od kilku miesięcy.

Czy po tunelach pod Lincolnem wałęsał się morderca?

Woń świeżo ściętej sosny rozeszła się po stołówce, a w oddali rozgęgały się dzikie gęsi.

Wytrzeszczyłam oczy.

Gęsi?

Przecież był środek nocy, a zresztą sezon wędrówek już dawno się skończył.

Geng-ga-ga, geng, geng...

Poderwałam się tak szybko, że przewróciłam kubek, rozchlapując resztki czekolady na blacie stolika.

Psy zawyły nagle i tak głośno, że musiały być tuż za mną. Cofnęłam się, zatrzymując na stoliku i rozglądając w panice, ale nie zobaczyłam niczego oprócz automatów, wciąż brzęczących i rozmigotanych.

Policja sprowadziła psy. Tak. To na pewno to. Prawda?

Krew zaszumiała mi w uszach, ale nie dość głośno, aby zagłuszyć psy i ptaki. I dzwony. Słyszałam też dzwony.

„Nie wychodź w nocy!” – krzyczał mój umysł głosem pani Sally.

– Decker! – krzyknął jakiś facet na korytarzu za drzwiami stołówki.

Usłyszałam każdą sylabę i każdą głoskę w głębi mojej głowy, w zaciśniętych zębach, w paznokciach u stóp. Doszedł do mnie nawet ich zapach.

Pachniały sosną.

Poczułam mrowienie na skórze, a włosy musiały stanąć mi dęba, jakby uderzył w nie piorun.

Rozległ się krzyk innego człowieka – ten przypominał raczej wrzask przerażenia.

Na czoło i kark wystąpił mi pot.

„Pacjent” – zdołałam pomyśleć. – „Pacjent ma kłopoty”.

Psy szczekały. Gęsi gęgały. Dzwony domu pod wieżą biły na alarm, światła zamigotały i zgasyły, w tunelach były kości, a ja rzuciłam się przez smolistą

ciemność do drzwi stołówki niczym tancerka z sennego koszmaru, potykając się i słaniając, nie bardzo wiedząc, co właściwie zamierzam zrobić. Otworzyłam drzwi, pociągając za klamkę tak mocno, że omal nie upadłam, po czym dałam susa przez próg akurat na czas, aby zobaczyć eksplozję srebrzystego rozbłysku, który ogarnął całą przestrzeń, przemieniając wapienne ściany w wypolerowane powierzchnie obsypane gwiazdnym pyłem. Wszystko wyglądało połyskliwe, świeżo, nierealnie.

Jakiś mężczyzna przebiegł tuż obok mnie. Dżinsy, ciemna skóra. Krzyczał. Nie był to nikt, kogo znałam z oddziałów.

Biegły za nim psy, ujadając, jakby ścigały lisa, a ponad nimi przemykały cienie gęsi, ślizgając się wzdłuż sufitu tam, gdzie powinny świecić lampy.

Za psami...

A to *kto*?!

Kiedy ruszył w moją stronę, dłonie same zacisnęły mi się w pięści. Otworzyłam usta do krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Miał z metr osiemdziesiąt wzrostu, może więcej. Szczupły. Czarne dżinsy, czarna koszula, czarny płaszcz wlokący się po podłodze. Włosy też miał czarne i dłuższe od moich. Ogromne skrzydłokształtne cienie wcinały się, zataczając łuki, w pustkę za jego plecami.

Jarzył się. Był jednocześnie światłem i ciemnością, a pod prawym okiem miał łzy – niesamowicie czerwone i straszne. Czułam w głębi duszy, że nie wymalowano ich farbą. To był jakiś krwawy tatuaż.

Psy złapały ściganego mężczyznę w pułapkę przy drzwiach magazynu odzieży, a świetlistomroczny facet minął mnie, jakbym nie istniała.

– Już czas, Decker – powiedział do człowieka kulącego się ze strachu przed psami.

– Nie! – krzyknął mężczyzna nazwany Deckerem, a mnie przyszło do głowy, że musi być pacjentem, nawet jeżeli nie mogłam go sobie przypomnieć.

Dygotałam tak silnie, że nie mogłam myśleć. Nie mogłam nawet chodzić.

Świetlistomroczny wszedł między psy i przecisnął się do Deckera. Złapał go jedną ręką, a drugą gwałtownie otworzył drzwi magazynu.

– Zostaw mnie! – zawył Decker.

Szarpał się, próbując wyrwać z uścisku świetlistomrocznego, a ja spróbowałam otrząsnąć się z tego letargu, bo my tutaj, w Lincolnie, nie wazyliśmy się nawet tknąć pacjenta w celach innych niż związane z opieką i pielęgnacją. Kimkolwiek był ten palant w płaszczu i ze sforą psów, nie mogłam pozwolić, aby krzywdził jakiegoś bezbronного chorego biedaka.

– Stać! – krzyknęłam, odrywając się chwiejnie od drzwi stołówki. – Ty,

z tymi psami, zostaw go!

Świetlistomroczny był już w magazynie i wciągał Deckera za sobą. Psy znikwały w środku jeden po drugim razem z cieniami gęsi, a dzwony wciąż były i były.

– Hej! Ty w płaszczu. Do ciebie mówię!

Przyśpieszyłam kroku i dopadłam drzwi magazynu, akurat kiedy wierzgające stopy Deckera wśliznęły się za próg.

Skoczyłam naprzód i chwyciłam faceta za kostki. Spodziewałam się wciągnięcia do środka i rozerwania tysiącem psich zębisk, ale Decker zatrzymał się, jakby uderzył w lity mur.

Z wnętrza magazynu dobiegł mnie rumor upadającego ciała i odgłosy zaskoczenia – psie, gęsie, ale też ludzkie. Nawet nie próbowałam się nad tym zastanawiać. Trzymając nogi Deckera w kurczowym uścisku, z wysiłkiem dźwignęłam się na kolana, a potem odchyliłam do tyłu i wykorzystując ciężar własnego ciała, zaczęłam wyciągać go na korytarz. Wyłonił się, już nie walcząc, z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami, wyraźnie wstrząśnięty.

Świetlistomroczny wysunął się za nim, wciąż trzymając Deckera pod rękę, dopóki nie zobaczył mnie. Wtedy puścił.

Miałam za sobą wiele godzin szkoleń z rozdzielania bijących się pacjentów i zaryzykowałam puszczenie nóg Deckera na krótką chwilę, której potrzebowałam, aby nagłym ruchem wcisnąć się za jego tułów i ramiona i rozdzielić sobą dwóch mężczyzn. Obaj podnieśli się z podłogi, a ja wyprostowałam się razem z nimi i okraczyłam próg magazynu. Rozpostartą lewą dłoń oparłam na piersi Deckera, a prawą wyciągnęłam w stronę świetlistomrocznego.

Świat zawirował, aż zatrzepotałam powiekami, a głowa opadła mi na ramię, jakby ktoś mnie uderzył. Przynajmniej dzwony umilkły. Lampy zamigotały i zalały korytarz światłem. Psy i gęsi zniknęły, a ściany nie wydawały się już gwiazdnym pyłem. Świetlistomroczny wyglądał jak uciekinier z castingu do filmu o wampirach i choć faktycznie był ubrany w czarne dżinsy i czarną koszulę z długimi rękawami, to skrzydeł jednak nie miał.

Rany, ależ był wkurzony!

Ruszył naprzód, z impetem taranując piersią moją wyciągniętą rękę. Elektryczny impuls targnął moim ramieniem, a świetlistomroczny odbił się do tyłu jak wystrzelony z procy. Tęczowe rozbłyski zamigotały mi w polu widzenia i skrzywiłam się odruchowo, kiedy w nozdrza wdarł mi się ostry

zapach kulek na mole i starych zakurzonych ciuchów. Pomieszczenie wydało mi się zimne i dziwne, i... w ogóle jakieś nie takie, i wcale nie rozluźniło atmosfery, kiedy świetlistomroczny zawarczał jak jeden z jego psów. Rozstawiłam nogi szerzej, szykując się do odparcia kolejnego ataku, ale on odsunął się chwiejnie, jakbym poraziła go elektrycznym poganiaczem bydła.

– Nie wypuść go z tego pokoju – wyszeptał Decker. – Błagam!

Szum własnego oddechu wciąż wypełniał mi uszy, ale wszystko robiło się coraz łatwiejsze. Jeden wkurzony facet, jeden przerażony, ale żadnych psów, gęsi, żadnego świecącego gówna. Rzeczy zaczęły nabierać sensu i wiedziałam już, co mam robić.

– Panie Decker, z którego jest pan oddziału?

Decker wytrzeszczył na mnie oczy i szeroko otworzył usta. Miał ciemne kręcone włosy, przystrzyżone krótko, nieskazitelnie gładką skórę i przystojną twarz, ale jego oczy były rozszerzone strachem, jak u wielu psychotycznych pacjentów, z którymi miałam okazję pracować. Na moje oko miał około trzydziestki, może ciut więcej. Jego dżinsy i biała koszula lepiły się od brudu. Kto go wypuścił po ciszy nocnej – i dlaczego, do cholery, nikt biedaka nie wykapał i nie dał mu czystych ciuchów?

Nie odpowiedział na moje pytanie o oddział. Może nie wiedział.

No i jeszcze facet w magazynie odzieży – też musiałam ustalić, skąd się wziął. Spojrzałam w jego stronę.

– Jak się nazywasz?

Był młodszy od Deckera, pewnie niewiele starszy ode mnie, a do tego niesamowicie przystojny. Nie wyglądał na psychotyka, ale przyciskał rękę do tego miejsca na piersi, które zetknęło się z moją dłonią, i krzywił się niby w wielkim bólu.

– Levi – stęknął.

Zabrzmiało to tak, jakby moje pytanie wyrwało mu odpowiedź jak wędkarz rybę z wody. Południowy akcent. Ale zupełnie nie wyglądał na gospodarskiego syna z Never.

Zamrugnął powiekami, zaskoczony, jak gdyby wcale nie miał zamiaru mi odpowiadać, a potem zmrużył oczy i zaczął mi się przyglądać. Zdawał się katalogować wszystkie szczegóły mojej postaci, od kręconych włosów po rozdygotane ręce i jarzębinową bransoletkę.

Byłam dość doświadczona w traktowaniu pacjentów z szacunkiem i w lot rozpoznawałam strach, nawet jeśli ktoś próbował ukryć go za maską gniewu.

– Zwykle pracuję na geriatric, głównie na drugiej zmianie. To dlatego możecie mnie nie znać. Daję wam słowo, że dobrze się wami zajmę.

– Och, nie wątpię – wycedził Levi, wpatrując się w moją twarz z intensywnością, od której ciarki przebiegły mi po plecach.

– Odprowadzę was do waszych oddziałów, dobrze? – powiedziałam, zwracając się do obu nieznajomych. – Jest późno, a dziś naprawdę sporo się tu dzieje. Powinniście się zdrzemnąć. Na górze, tam gdzie bezpiecznie.

Żaden z mężczyzn się nie odezwał.

Wypuściłam powietrze, które bezwiednie wstrzymywałam w piersi.

– No, ruszcie się – powiedziałam. – Chodźmy. Już.

Zaryzykowałam opuszczenie rąk, a wtedy Levi odwrócił się, postąpił kilka kroków w głąb pomieszczenia i zniknął.

Tak po prostu. Puf! – i już go nie było.

A Decker wybuchnął płaczem.

Kiedy odwróciłam się w jego stronę, padł na kolana, jakby korzył się przede mną.

– Hej, no już... Już dobrze.

Wypchnęłam z głowy obraz znikającego Leviego i pochyliłam się nad Deckerem, kładąc dłoń na jego ramieniu. Za dużo tej dziwności. Za dużo odrealnienia.

Byłam w pracy. Musiałam wypełniać swoje obowiązki. Musiałam zaopiekować się płaczącym pacjentem – to najpierw, a potem... Nie było mowy, żeby ten Levi tak po prostu rozpułynał się w powietrzu. Musiał być gdzieś w tamtym pomieszczeniu.

– Panie Decker, proszę podejść ze mną do centralki. Zaraz ustalimy, gdzie pan powinien być.

Mężczyzna wbijał wzrok w podłogę, jakby bał się na mnie spojrzeć.

– Panie Decker...

– Czy ty wiesz, czym on jest? – Decker podniósł głowę tak gwałtownie, że omal nie przewróciłam się na plecy; zachowałam jednak zimną krew, przynajmniej dopóki nie spytał: – Czy wiesz, czym ty jesteś?

Pytanie trafiło mnie jak pięścią w podbródek i cofnęłam się, wpatrując w niego, patrząc na nieskazitelną skórę i potężną budowę, i jego nagle czyste ubrania. Już nie zwykłe dżinsy, ale ogrodniczki. Wyprasowane, może nawet nowe. Jego koszula była świeżutka.

Wyglądał znajomo. Wyglądał jak...

„Nie!”

– Czy wiesz, co potrafisz? – wyszeptał, świdrując mnie wzrokiem.

Te oczy. Widziałam je już tego wieczoru, patrzyły na mnie ze zdjęcia, które trzymałam w dłoni.

Rozmawiałam z mężczyzną z fotografii Sally.

Rozdział 3

– Godzina. – Arleen kręciła głową, udając zasmuconą, podczas gdy wypisywała mi naganę za spóźniony powrót z przerwy na posiłek. – Cała godzina, Forest!

Oczy piekły mnie od łez i wciąż dyszałam ciężko, zasapana od opętańczego biegu z magazynu odzieży aż na oddział geriatrici. Nie miałam pojęcia, że się spóźniłam. Chciałam tylko uciec od... od tego, co się właśnie zdarzyło, cokolwiek to było; chciałam wrócić do realnego świata.

Ale nie znalazłam poczucia rzeczywistości. Tylko jeszcze większy obłęd.

Byłam pewna, że nie mogłam się spóźnić ani o pięć minut, ani o minutę! Powinnam była wrócić przed czasem, ale Arleen i zegar zgodnie twierdzili, że od końca mojej przerwy upłynęła cała godzina. Pracowałam, odkąd skończyłam piętnaście lat – najpierw dorywczo, tu i tam, potem w fast foodzie, później rozkładałam towar w supermarkecie, aż wreszcie wylądowałam tutaj – i jeszcze nigdy, przenigdy nie dostałam nagany. Nie mogłam pojąć, co się właściwie dzieje.

Arleen siedziała odwrócona do mnie plecami, garbiąc się nad blankietem kary dyscyplinarnej, ale Decker Greenway patrzył mi prosto w oczy, stojąc w swojej czystej koszuli i ogrodniczkach, pachnąc wodą po goleniu i szczerząc zęby w przyjaznym uśmiechu.

Arleen go nie widziała.

– Tracisz czas z powodu rozrzedzenia rzeczywistości – wyjaśnił usłużnie. – Tak na nie mówią Levi i jego babka. Cały Lincoln to nic tylko jedno wielkie rozrzedzenie, takie cienkie miejsce w rzeczywistości, przez które prześwituje druga strona. A są w szpitalu także miejsca, gdzie rzeczywistość jest jeszcze bardziej rozcieńczona przez cały ten smutek, jaki tu hula. Nie ma rady, w rozrzedzeniach czas musi wariować.

Arleen mówiła o młodości, nieodpowiedzialności i dojrzałości. Decker Greenway mówił o szaleństwie.

Uświadomiłam sobie, że drży mi szczęka i zacisnęłam zęby. Nie chciałam wypuścić łez spod powiek, ale i tak uciekły. Szybko otarłam je dłonią.

– To było niechcący – powiedziałam do Arleen i mojej halucynacji. – Ja... Ja musiałam chyba zasnąć. To już się nie powtórzy.

– Gdybyś wciąż była na okresie próbnym, wyleciałabyś za to na zbitą twarz. – Arleen odwróciła się do mnie i pomachała żółtym blankietem. – Ale

nawet jako etatowa pracownica... Pamiętaj: druga nieusprawiedliwiona nieobecność i kończymy współpracę.

Uśmiechnęła się – samymi ustami, bez serca.

Nie odpowiedziałam, bo i co miałam powiedzieć? Przerwa kończyła się o drugiej. Teraz był kwadrans po trzeciej. Kiedy minęła ta godzina? Nie mogłam stracić aż tyle czasu.

– To dlatego, że podeszłaś za blisko rozrzedzenia – upierał się Decker. – Ty naprawdę nie wiesz, czym jesteś, prawda?

Wbiłam wzrok w Arleen. Może gdybym na niego nie patrzyła, nie zwracała uwagi na dziwactwa, to one po prostu by znikły.

Arleen wydała kilka dezaprobujących, głośnych chrząknięć, a ja poczułam, jak rumieniec rozpala mi policzki, kiedy wsunęła żółty druczek do przegródki na ścianie, skąd przełożona pielęgniarek miała wyciągnąć go następnego dnia, aby obciąć mi godzinówkę z wypłaty i wpisać upomnienie do akt.

– Jakaś rozkojarzona dziś jesteś – stwierdziła Arleen, po czym zmieniła ton na ociekający mdlącą słodyczą. – Duple są ciężkie, wiem. Sama przepracowałam ich z milion.

– Mogę już wrócić do holu?

Głos mi drżał, tak jak całe moje ciało, co tylko wzmagало moją irytację. Nie należałam do tych wycofanych, totalnie poranionych przez dom dziecka ludzi, ale raczej stroniłam od związków, nawet przyjacielskich, i nauczyłam się zachowywać emocje dla siebie. Niemożność ich ukrycia napępiała mnie lękiem i wywoływała silną potrzebę samotności.

Arleen odprawiła mnie machnięciem dyniowopomarańczowych paznokci, a ja odeszłam od biurka w pośpiechu, niemal biegiem, pozostawiając ją i Deckera za sobą. Kiedy dotarłam do stolika, przy którym przesiadywało się na nocnej zmianie, pilnując wejść do pokoi pacjentów, Decker jakimś cudem już tam był, dwoje drzwi dalej, stał na progu, wpatrując się w panią Sally.

Usiadłam przy stoliku, udając, że go nie widzę, wdzięczna, że jestem jedyną osobą, której przydzielono hol.

Po kilku chwilach odezwał się:

– Powinnaś porozmawiać z Imogeną w archiwum. W domu z dzwonnica. Wiesz, gdzie to jest, prawda?

Rzuciłam okiem na jeden i drugi koniec korytarza, a upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie ma, przeniosłam wzrok na Deckera i wyszeptałam:

– Czymkolwiek jesteś, odejdz stąd.

Decker uniósł brwi. Oczy rozbłysły mu światłem – dosłownie – a jego

przyjaźnie uśmiechniętą twarz nagle zasnuł mrok, który kojarzył mi się z moimi przybranymi braćmi, entuzjastami rozniecania pożarów i nakłuwania kociąt szpilkami. Włosy na moich rękach stanęły dęba od nagłego impulsu energii, jaki przemknął przez korytarz.

Jego głos odbił się echem, kiedy wyciągnął palec w stronę śpiącej pani Sally i oznajmił:

– Nie odejdę bez niej!

Dźwięk wbił mi się w czaszkę bolesnymi szpilami, a w salach pacjenci zaczęli niespokojnie pojękiwać przez sen.

– Przestań! – Zerwałam się i przyskoczyłam do niego, nagle bardziej wkurzona niż przestraszona. – Po cholere ich straszysz?

Arleen wytknęła głowę ze swojego gabinetu na samym końcu holu.

– Wszystko w porządku, Forest?

– W porządku – odburknęłam nieco zbyt szorstko, nawet jak na mój własny gust.

Dla Arleen musiało to wyglądać, jakbym zaglądała do pani Sally, czyli najzupełniej normalnie – taką miałam nadzieję. Patrzyła na mnie przez chwilę, po czym bez słowa wróciła do siebie, pewnie po to, żeby bez końca aktualizować swój status na Facebooku.

– Ja... przebac mi. – Decker przygaś, porzucając pozę demonicznego egzorcyisty. – Chodzi o to... Ja po prostu myślałem, że już po mnie. Gdybyś nie posłała tego strzygonia do diabła, byłbym już tam, po drugiej stronie. – Zwiesił głowę. – Pewnikiem już zapominałbym o mojej Sally. Nie mogę na to pozwolić.

„Strzygoń? Druga strona?”. Mój puls przyśpieszał. Zaraziłam się szaleństwem pani Sally.

– Nikogo donikąd nie posyłałam – odpowiedziałam swojej halucynacji, ale Decker tylko się roześmiał.

– Dzielna z ciebie dziewczyna. Dzięki za to, co zrobiłaś. Obyś tylko nie ściągnęła tym na siebie świata cierpienia.

Gdy stałam tak otepiała, że nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć ani o co spytać, Decker mówił dalej.

– Dni mojej Sally są policzone. To dlatego zaryzykowałam i zszedłem do tuneli, żeby ją zobaczyć, ale dziś znaleźli moje kości, więc strzygoń wie, że tu jestem. Wróci po mnie.

Decker musiał widzieć, że jestem skołowana i że wciąż nie mogę się pozbierać na tyle, aby zrozumieć w pełni, co mówił, bo westchnął ciężko.

– Gdyby strzygoń posłał mnie na tamtą stronę bez niej, mógłbym zacząć

zapominać, Forest. A ja nie mogę zapomnieć o mojej Sally. Ukrywałem się przez cały ten czas, bo ja i Sally musimy być razem albo nie będzie nas wcale.

Wewnątrz ciemnego pokoju pani Sally zaczęła śpiewać – prawdziwą piosenkę z prawdziwymi słowami.

– *Zniż lot, niebieski rydwanie...*

Jej starczy głos był piskliwy i drżący, ale w każdą nutę trafiała czysto i bezbłędnie.

– *Przybądź, by zabrać mnie stąqąqąqd...*

Od tej muzyki mrowiło mnie w kościach i przysięgam, że miała ona zapach lilii, albo nie – innego kwiatu, którego nigdy w życiu nie wąchałam, fioletowego, połyskującego, jednakowo urokliwego dla oczu, nosa i opuszków palców.

– *Zni-iz lo-ot, niebieski rydwaaniee...*

Ściany i posadzka wokół mnie nabrały płynnej ruchliwości i po drugiej stronie mętnej cieczy zaczęłam dostrzegać kształty. Duże kształty. Mroczne kształty. Próbowaly przedrzeć się przez cienisty odmęt.

– Jezu... – Odskoczyłam od ściany i dałam susa na krzesło, kiedy coś długiego, co wyglądało na zimne, prześliznęło mi się pod stopami, omal nie przebijając półprzezrzystych płytek posadzki.

– Lepiej już przestań – wymamrotał Decker, a Sally zaniosła się chichotem.

Słowa jej pieśni zaczęły zamieniać się w bełkot, a ściany straciły przezrzystość. Nie było już potworów, a liliowa woń rozwiała się w normalniejszym szpitalnym zapachu wybielacza i kamienia przyprawionym świeżą nutką wody toaletowej.

– Krew Madoca dała Sally dar pokazywania ludziom niewidzialnych rzeczy – wyjaśnił Decker. – Potrafi wyśpiewać każdą rzeczywistość, jaka jej się zamarzy, ale jej moc zwróciła się przeciwko niej i rozsadziła jej umysł. Nie potrafiłem utrzymać jej z dala od ulic, więc prawo odebrało mi ją i zamknęło tutaj.

„Madoc?”. Wciąż stałam na krześle, patrząc to na Deckera, to na Sally, która odwróciła się na bok w łóżku i szczelniej opatulila kołdrą.

Co to mogło znaczyć?

„Madoc”. Odepchnęłam od siebie tę myśl i skupiłam na fakcie, że pani Sally nie urodziła się ze swoją przypadłością. Zachorowała, bo miała jakąś nadnaturalną zdolność i nie potrafiła okiełznać własnej mocy?

Nie wierzyłam w nadnaturalne zdolności ani magię. Ani w duchy. Ani w to, że mogłabym kiedykolwiek zwariować. Ale oto stałam tu i rozmawiałam z... *czymś*... co najwyraźniej nie było rzeczywiste.

– Tamtej nocy szedłem, żeby ją zabrać. – Decker nagle spochmurniał i odwrócił wzrok ode mnie. – Halloween tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego. Nie mogłem już dłużej znieść tej rozłąki, więc postanowiłem przyprowadzić nas oboje na Wszystkich Świętych. Krew dała mi dar zlewania się z tłem. Mogłem sprawić, że wyglądałem jak rzeczy, które mnie otaczały, tak że ludzie niemający w sobie Madoca nie mogli mnie dostrzec.

– Co znaczy „Madoc”? – spytałam.

Decker nie odpowiedział.

Poruszyłam się na krześle, myśląc o zejściu z niego, ale co jeśli pani Sally znów zacznie wyśpiewywać podłogowe potwory? Prawdopodobnie bezpieczniej było pozostać tam, gdzie stałam.

Decker posłał przez drzwi smutne spojrzenie pani Sally i oparł się o framugę.

– Część głównego tunelu zawaliła się, a mnie przysypał gruz.

Spojrzał na koniuszki swoich palców, które z każdą sekundą robiły się coraz bardziej strzępiaste i pokrwawione. Wstrzymałam oddech, bo nagle zobaczyłam go, jak przekrada się przez budynek administracji jako część ściany, część podłogi, fragment jakiegoś regału, by w końcu dotrzeć do windy i zjechać nią na sam dół, na poziom poniżej piwnic. Ujrzałam, jak wkracza do głównego tunelu, kierując się w stronę jej oddziału, gotowy prześliznąć się jakimś szybem i porwać Sally do... cokolwiek było tam, po drugiej stronie. A potem usłyszałam rumor, huk, zobaczyłam kaskady ziemi i kamienie.

Na pewno starał się odkopać.

To musiało być straszne.

Żołądek ścisnął mi się na widok jego dłoni, makabrycznych kikutów, którymi stały się jego palce.

– Tak mi przykro – wyszeptałam.

Wzruszył ramionami.

– Była tego warta.

Palce zaczęły powoli odrastać, ale Decker marszczył brwi, a jego oczy błyskały tymi kolorowymi światłami, które oznaczały, że mógł znów wystraszyć mi pacjentów – nie wspominając o mnie.

– Kiedy umarłem, na początku nie było żadnego strzygonia, który by mnie ścigał. Nie wiem, dlaczego Imogena pozwala mu się tu kręcić, oprócz tego, że jest z nią spokrewniony. Przyjęła go, kiedy jego bliscy zginęli w wypadku samochodowym.

Pomyślałam o dzwonach, migoczących światłach i policji stanowej.

– Twoje kości odkryto dzisiaj, po wybuchu. Ten, hmm, strzygoń wie, że tu

jesteś właśnie z tego powodu?

Decker skinął głową.

– Musiał pójść do kości i wyczuć mnie.

Wspomnienie faceta w czarnych dżinsach zamigotało mi w pamięci. Ta posępna twarz. Te upiorne krwawe łyzy wytatuowane na jego twarzy. Taki mroczny. Tak niewiarygodnie przystojny. Tak bezduszny, zimny. Kim naprawdę był Levi? *Czym* był?

Strzygoń. Tak, tak, słyszałam już kiedyś to słowo. Jakiś upiór czy demon, jednym słowem samo zło. Ale Levi nie wyglądał mi na upiora.

– Forest, z kim ty rozmawiasz? – spytała Arleen.

Po brzmieniu jej głosu poznałam, że znów wyszła z gabinetu, ale zignorowałam ją. Już nie wydawała mi się ważna.

– Dopadnie mnie, zanim Sally umrze. – Decker spojrzał na mnie oczami przepęnlionymi ciemnością, która przywodziła mi na myśl jaskinie i doły w ziemi. – Przyjdzie i po ciebie, zobaczysz, nawet tutaj, nawet w tym świecie. Strzygoń może wejść wszędzie. Gdziekolwiek się skryjesz, nie znajdziesz przed nim schronienia.

– Forest!

Głos Arleen wydał mi się głośniejszy i bardziej stanowczy, ale jeszcze mniej godny zainteresowania niż poprzednio. Serce waliło mi i krwawiło jednocześnie. Było mi żal Deckera i pani Sally. Nie wiedziałam, co robić.

Decker zwiesił głowę. Patrzyłam, jak nadzieja wypływa z niego powoli, zabierając ze sobą kolory i materię, aż przemienił się w niewyraźną, zatartą sylwetkę, jaką widziałam na fotografii pani Sally.

– Zaczekaj! – Wyprostowałam się, stojąc na krześle. – Nie chcę się ukrywać. Chcę zrozumieć.

– Musisz być ostrożna – wymamrotał. – Jesteś moją jedyną nadzieją. *Naszą* jedyną nadzieją.

I wtedy roztopił się w nicość, pozostawiając po sobie tylko ledwie uchwytną woń wody po goleniu.

Twarde palce zacisnęły się wokół mojego nadgarstka, aż krzyknęłam.

– Co ty wyprawiasz z tym krzesłem?

Arleen potrząsnęła moją ręką, obrzucając mnie złym spojrzeniem. Miała zbyt grubo nałożoną kredkę na powieki.

– Ja, ekhm...

No tak. Co jej miałam powiedzieć? W milczeniu zlażłam z krzesła, gorączkowo zastanawiając się nad wiarygodnym usprawiedliwieniem.

– Wydawało mi się, że zobaczyłam mysz... Ale chyba jednak nie. –

Wzruszyłam ramionami.

Arleen zmarszczyła brwi, a następnie spojrzała na zegarek.

Czas znów musiał przyśpieszyć. Moja zmiana dobiegała końca. Uświadomiłam sobie, że nie odwróciłam ani jednego pacjenta, aby zapobiec odleżynom, nie zmieniłam żadnej pieluchy, nie zamiotłam sali, nie zrobiłam niczego, co powinnam była zrobić, odkąd wróciłam na oddział.

Żołądek zaciążył mi jak ołowiana kula.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli pójdziesz już do domu – powiedziała Arleen, porażając mnie tym swoim ostrożnym złym uśmiechem, a jednocześnie wyławiając z kieszeni kolejny blankiet nagany. – I nie spóźnij się na swoją następną zmianę. Jeżeli nadal chcesz tu pracować.

Rozdział 4

Madog ab Owain Gwynedd.

Znany też jako Madoc.

– Mam cię – szepnęłam.

Siedziałam przed monitorem komputera w bibliotece publicznej w Never, wpatrując się w miniaturę olejnego malowidła. Obraz przedstawiał walijskiego księcia schodzącego na amerykański brzeg. Poprawiłam rękawy mojej wymiętej niebieskiej bluzy, starając się nie zwracać uwagi na bijący od niej zapach oddziału geriatrycznego. Moje dzinsy lepiły się nieprzyjemnie po dwudziestu czterech godzinach na tyłku i zdecydowanie potrzebowałam kąpieli, ale nie miałam na nią czasu.

To znaczy, czas miałam, tylko nie wiedziałam, jak dużo mi go jeszcze pozostało.

Wikipedia poinformowała mnie, że Madoc wyruszył w morze, uchodząc przed bratobójczymi walkami w kraju, i wylądował w Ameryce w 1170 roku, trzysta lat przed tym, nim dopłynął tam Kolumb. W herbie miał krwistoczerwonego gryfa na złotym polu. Wpatrywałam się tępo w lwie łapy i szkarłatne skrzydła, a moje coraz cięższe powieki znów próbowały opaść. Wzdrygnęłam się, otrząsając z senności. W drodze ze szpitala wstąpiłam do sklepu z tandetą i kupiłam tani zegarek, który od razu założyłam na lewy nadgarstek. Zwykle nie zawracałam sobie głowy czasomierzami, bo zawsze stawały tuż po założeniu. Ten nie był wyjątkiem. Wskazówki zamarły koło ósmej rano, ale zegar biblioteczny powiedział mi, że w rzeczywistości jest wpół do jedenastej w Halloween. Za cztery godziny zaczynała się moja następna zmiana, przy założeniu, że Arleen nie próbowała zrazić do mnie kadr i jeszcze mnie nie wylali. Nie zostałam w pracy, żeby się tego dowiedzieć. Od samej tej myśli robiło mi się niedobrze.

Wciąż zerkałam na zegar na ścianie i ekranie komputera, przerażona, że czas znów może przeciec mi przez palce. Musiałam skończyć guglowanie i załatwić sobie więcej kawy, jeżeli chciałam mieć choćby cień nadziei na przetrwanie popołudnia w szpitalu w jakiej takiej przytomności. Niemrawo kliknęłam jeszcze kilka odnośników. Niektóre artykuły mówiły o tym, że podróż Madoca była tylko legendą, za którą nie stały żadne dowody. Inne skwapliwie wyliczały fakty mające świadczyć o tym, że Madoc i jego rycerze przybyli do przyszłych Stanów Zjednoczonych i osiedlili się w pobliżu

dzisiejszego Louisville, tuż nad granicą Indiany, w miejscu zwanym Czarcim Grzbietem. Znalazłam sporo dyskusji o plemionach jasnowłosych Indian mówiących po walijsku, którzy mieli pozostawić po sobie fortyfikacje opisywane przez późniejszych odkrywców.

Czarci Grzbiet. To było godzinę drogi stąd. Spojrzałam na zegar raz i drugi dla pewności, że czas znów nie pędzi jak wariat.

W roku 1799 w pobliżu Czarciego Grzbietu znaleziono sześć szkieletów zakutych w mosiężne pancerze. Podczas wykopalisk w okolicy Columbus w stanie Indiana natrafiono na ponaddwupółmetrowy szkielet pochowany z walijską biżuterią. Potem, pod koniec XIX wieku, na wolnej działce po należącej do Kentucky stronie granicy ktoś wykopał hełm z brązu i tarczę. Innym razem, pod Clarksville w Indianie, znaleziono pod ziemią całe pokłady ludzkich kości, jakby jakaś potworna bitwa starła z powierzchni ziemi całą społeczność. Wielkie powodzie po wylewach rzeki Ohio na początku XX wieku bezpowrotnie zatarały wszystkie te ślady, ale potem, w 1925 roku, w Walkerton w Indianie, grupa archeologów odkryła kolejną grupę olbrzymich szkieletów w ciężkich miedzianych zbrojach. Szkielety i zbroje zniknęły bez śladu niedługo potem, ale niektórzy badacze przysięgali, że napierśniki zdołał madocowy gryf.

Nawet jeśli wszystko, co wydarzyło się w Lincolnie, było tylko wytworem mojej chorej wyobraźni, to sprawa z Madokiem wydawała się raczej realna. Co to miało wspólnego ze mną, nie miałam pojęcia. Byłam przekonana, że jedno z moich rodziców miało hiszpańskie korzenie, skoro nadano mi imię Forastera, które skrócono potem i przerobiono na Forest, abym miała trochę łatwiej w szkole. Mój pierwszy opiekun społeczny powiedział mi, że „forastera” to biała hiszpańska winorośl rosnąca na Wyspach Kanaryjskich. Jedna z moich przybranych sióstr twierdziła, że oznacza to, iż wyrosnę na wielką żółtą pijaczkę.

O pochodzeniu drugiego rodzica nie wiedziałam nic. Byłam przeciętnego wzrostu, przeciętnej postury, o rodzinie blond olbrzymów nie mogło być mowy przy moich ciemnych kręconych włosach i śniadobrazowej skórze.

Złęklam się nagle i spojrzałam na zegar. Minęła za kwadrans jedenasta. Z trudem zmusiłam się do odwrócenia wzroku – tak bardzo się bałam, że czas znów przyśpieszy, kiedy tylko przestanę zwracać na niego uwagę.

Ale jedna część legendy o Madocu nie do końca mi pasowała. Dawno temu, w średniowieczu, wyżywienie było do bani i ludzie nie osiągali takich rozmiarów. Europejczycy byli przeważnie mali i chudzi, chyba że byli bogaci, wtedy byli mali i grubi. Ziewnęłam i wymamrotałam:

– No więc o co biega z tymi trzymetrowymi szkieletami?

– Oni byli inni – powiedział głos, który dobiegł do mnie z sąsiedniego stanowiska komputerowego.

Podskoczyłam i spojrzałam w lewo, wciągając w nozdrza zapach sosnowych igieł.

– Mieli w sobie moc. – Levi zwrócił na mnie wzrok, ukazując krwawy tatuaż, wyrazisty i szokujący jak czerwony gryf na herbie Madoca. Palcem wskazał artykuł o wysokich szkieletach. – Imogena mówi, że być może to był magiczny lud uciekający od osadników panoszących się po Europie.

Palce zwinęły mi się w pięści i zamarłam w bezruchu, nawet nie oddychając. Gdzieś w oddali rozległo się wycie psów. Ujadanie – to słowo bardziej pasowało. Taki odgłos wydawały z siebie psy, kiedy ściagały ofiarę.

Na przykład... mnie?

„Gdziekolwiek się skryjesz, nie znajdziesz przed nim schronienia”.

Czarne oczy Leviego płonęły, a moim ciałem szarpnął skurcz, jakby ktoś sparzył mi skórę.

– Nie jesteś martwa, a jednak widzisz mnie, nawet kiedy tego nie chcę – powiedział Levi. – Ale jak?

Chłopak (duch, halucynacja? – nieważne) był wytracony z równowagi.

Psy ujadły coraz głośniejsze. Bliżej. Wyobraziłam sobie tuziny bestii gnających w stronę biblioteki, szczerzących kły, żądnych mojej krwi.

– Może jesteś bliska śmierci. – Levi był tak arogancki, że miałam ochotę walnąć go w szczękę. – Tak, to musi być to.

Jak miałam na to odpowiedzieć? Poza tym w bibliotece byli ludzie. Gdybym się odezwała, nie ujrzeliby siedzącego obok mnie morderczego księcia ciemności. Zobaczyliby mnie gadającą z pustym krzesłem.

Levi ściągnął brwi.

– Myślisz, że możesz być potomkinią Madoca? Kim są twoi rodzice? Jak się nazywałeś?

Omiotłam bibliotekę nerwowym spojrzeniem. Nikt z obecnych osób najwyraźniej nie słyszał psów. Serce mi zamarło i spojrzałam na zegar – dochodziła jedenasta. Czas był w porządku. I ja byłam w porządku, oprócz tego, że jakiś szajbus groził mi śmiercią. Miałam sucho w ustach, a od zawrotów głowy zrobiło mi się słabo.

Usta Leviego rozciągnęły się w złowieszczym uśmiechu.

– Możesz milczeć, twoja wola, ale kiedy umrzesz, zabiorę cię na drugą stronę, bez względu na to, czy będziesz chciała iść, czy nie.

Wściekle crescendo psiego wycia sięgnęło szczytu. Zacisnęłam zęby – lada

chwila zaczął wyskakiwać ze ścian biblioteki. Kątem oka złapałam mignięcie cienia na suficie i krzyki gęsi dołączyły do ujadania psów, zagłuszając cały wszechświat. Wszystkie instynkty krzyczały we mnie, abym uciekała, ale byłam przecież w bibliotece. Co on niby chciał zrobić? Pozwolić swoim psom rozszarpać mnie przed tymi wszystkimi ludźmi?

Serce biło mi tak mocno, że każde uderzenie wywoływało ból w mojej piersi, ale strach był tylko strachem. Potrafiłam przebić go myślą, a kiedy to robiłam, zwykle zaczynał mnie wkurzać. Gniew był o wiele bezpieczniejszy od trwania w przerażeniu. Otworzyłam się przed nim, pozwoliłam, aby rozgrzał mnie od środka i przepędził precz dygot. Rozejrzałam się szybko i upewniłam, że większość ludzi jest na tyle daleko od stołów, że nie usłyszy, co mówię, spojrzałam na Leviego i powiedziałam cicho:

– Nie zdążyłam jeszcze poszukać pod „druga strona” ani „strzygoń”, ani „potwory, które ganiają ze stadem psów i gęsi”, ale mam to wszystko na liście.

Jego uśmiech przygasł, usta rozchyliły się w wyrazie lekkiego zaskoczenia. Cienie gęsi przemykały jak szalone po ścianach i suficie, ale już nie krzyczały. Starłam się omijać je wzrokiem. Horda psów przebiegła wokół biblioteki, jakby tuż za jej ścianami, i zaczęła oddalać się, wciąż rozszczekana, ale coraz cichsza i cichsza, aż wreszcie hałas umilkł i nareszcie mogłam zebrać myśli.

Levi świdrował mnie wzrokiem spod ściągniętych brwi.

– Ty naprawdę nie masz o niczym pojęcia, prawda?

W tonie jego głosu wyczułam zdumienie. Usłyszałam też groźbę. Zmieniałam domy i szkoły wystarczająco często, aby wiedzieć, że ignorowanie własnego położenia często prowadzi wprost do kłopotów. Wstałam akurat w chwili, kiedy wyciągnął swoje długie palce w stronę zepsutego zegarka na moim nadgarstku. Kiedy dotknął skóry, elektryczny impuls dosłownie wstrząsnął moimi szczękami. Levi jęknął z bólu i szybko cofnął rękę. Ledwie zdążyłam dostrzec czerwone oparzenia na opuszkach jego palców.

– Nie dotykaj mnie – powiedziałam o wiele głośniejszym głosem, niż chciałam.

Przy głównym biurku, kilka rzędów dalej, bibliotekarz uniósł głowę i posłał mi karcące spojrzenie.

Levi także zmierzył mnie złym wzrokiem, a wtedy komputer przede mną wydał z siebie elektroniczny pisk. Ekran zalał się błękitem, wyświetlił komunikat o jakimś błędzie, a potem maszyna wyłączyła się z niepokojącym wizgiem. Dźwięk poderwał bibliotekarza na nogi. Mały człowieczek przypadł do komputera, odpychając mnie, zaklikał nerwowo guzikiem włącznika, po czym przeniósł swoją uwagę na mnie.

– Co zrobiłaś...? Mówiłaś, że jak się nazywasz?

Miałam już torbę na ramieniu. Na mnie już czas.

– Podpisałaś warunki użytkowania – zawołał za mną bibliotekarz, kiedy dopadłam drzwi. – Mamy twój adres, wiesz?!

Wypadłam prosto w słońce i kojące jesienne powietrze. Ruszyłam prosto przed siebie, byle dalej od biblioteki i Leviego. Technicy z biblioteki mogli sobie zajrzeć w logi programowe, sprzętowe czy cokolwiek. Nie uszkodziłam tego komputera. Zorientują się. Tymczasem ja miałam na głowie poważniejsze problemy.

Z biblioteki do szpitala było jakieś półtora kilometra. Mogłam spokojnie dojść w dwadzieścia minut. Zerknęłam na mój zegarek, ale ten był równie martwy jak poprzednio. Zegar w witrynie małego sklepu spożywczego wskazywał południe.

Szlag!

Całe to kynologiczno-ornitologiczne zamieszanie w bibliotece kosztowało mnie godzinę.

Ale nie spóźniłam się do pracy. *Jeszcze* nie, w każdym razie. Musiałam pójść do szpitala i zobaczyć się z tą Imogeną, o której tyle gadały moje halucynacje. Może ona pomogłaby mi znaleźć w tym choć szczyptę sensu.

Nie doszłam nawet do następnej przecznicy, kiedy uderzyła mnie woń sosen tak ostra, że łzawiły od niej oczy. Szatan pojawił się chwilę później, wyłaniając z wirującego kurzu i liści przy krzaku ostrokrzewu i zrównując swój krok z moim na chodniku prowadzącym w stronę szpitala Lincolna.

Nie patrząc w jego stronę, warknęłam:

– Odejdź!

– Przestraszyłem cię – odrzekł, tym razem tonem pozbawionym sarkazmu i złośliwości. – Przepraszam, nie chciałem. To znaczy, chciałem, ale nie powinienem był... Przepraszam. Mogę pomóc ci to wszystko ogarnąć, wiesz? Proszę, pozwól mi...

– Zostaw. Mnie. W spokoju.

Rozpaczliwie rozglądałam się za jakimś zegarem. Pojawienie się ducha mogło znowu wypaczyć mój czas. Miałabym kompletnie przechłapanie.

Levi milczał przez kilka kroków, a potem powiedział niemal proszącym tonem:

– Przynajmniej powiedz, jak się nazywasz.

Uuu... Diabeł chciał poznać moje imię. Czy w filmach nie dawało mu to władzy nad ofiarą? Ale to nie był film, a z nazwiska trudno było robić tajemnicę, zwłaszcza że mógł po prostu odczekać parę godzin i zmaterializować się na oddziale, kiedy będę miała przypięty identyfikator.

– Forest – odburknęłam. – Czy teraz zostawisz mnie w spokoju?

– Musisz pójść ze mną i zobaczyć się z...

– Z Imogeną w domu pod wieżą. Tak, już to słyszałam. Właśnie tam idę.

Levi umilkł, ale nie zniknął. Jego okryte czernią barki i ramiona zdawały się emanować nową energią, otulającą mnie niczym kojący koc. Tym razem nie poczułam dreszczy. To dziwne wrażenie grzało mnie i jednocześnie rzeźwiło chłodem, pomagając w zebraniu myśli. Było niemal... opiekuńcze.

– Przestań – powiedziałam. – Cokolwiek właśnie robisz. Nie potrzebuje twojej pomocy. Nawet nie chcę, żebyś tu był, jasne?

Nie odezwał się. Wrażenie ciepło-zimna nie znikło. Szedł krok w krok za mną aż do Lincolna, aż do wielkich drewnianych frontowych drzwi wieżowego domu.

Stałam przed wejściem, zdyszana, i czułam się okropnie dziwnie. Mieszkałam w Never przez całe życie, a przynajmniej odkąd pamiętałam. Znałam tę dzwonnice bardzo dobrze, była częścią pejzażu mojego dzieciństwa, ale jeszcze nigdy nie znalazłam się tak blisko niej. Wieża należała do tej części szpitala, gdzie wszystko było tajne, i raczej nie oprowadzano po niej wycieczek. Choć sama pracowałam w Lincolnie, nigdy wcześniej nie byłam w domu pod wieżą. Personel opiekuńczy nie miał po co wyciągać kart albo przeglądać starych rejestrów. Pierwszy raz widziałam te czarne drewniane drzwi z tak bliska i pierwszy raz oglądałam kołatkę z połyskującego mosiądzu. Miała kształt gryfa z bujną falistą grzywą i pierzastymi skrzydłami. Podeszłam bliżej, żeby się jej przyjrzeć, ale zaraz cofnęłam głowę, przerażona myślą, że bestia spojrzy na mnie jak mężczyzna z fotografii pani Sally.

Nie czekając, aż rzeczywistość znów fiknie kozła, nacisnęłam wielką mosiężną klamkę i pchnęłam drzwi, wkraczając do imponującego holu o posadzce z białego marmuru z pieczęcią stanową Kentucky wyłożoną mozaiką na środku. Ściany były z czerwonego wapienia, jak te na podziemnym oddziale, gdzie pracowałam, ale tutaj obwieszono je portretami – prawdopodobnie byłych dyrektorów, czy też kuratorów, jak ich dawniej nazywano. Od głównego holu odchodziły trzy wejścia, w dwóch z nich zobaczyłam schody. Zegar nad jednym z wejść wskazywał wpół do pierwszej. Miałam jeszcze dwie godziny do rozpoczęcia zmiany – przy założeniu, że czas znowu nie oszaleje.

Levi musiał wśliznąć się za mną niepostrzeżenie i teraz zwrócił moją uwagę delikatnym chrząknięciem. Wyciągnął palec w górę.

– Trzecie piętro.

Spojrzałam w stronę, w którą wskazywał, i aż wstrzymałam oddech.

Budynek nie miał sufitu.

Hol otwierał się na pustą przestrzeń wznoszącą się prawie pod dach wieży, gdzie warstwa desek pomalowana w niebo i chmury zasłaniała mi widok na dzwony. Miałam wrażenie, że zaglądam pod strzelistą iglicę. Widziałam balkony wychodzące ponad hol ze wszystkich stron; gdzieniegdzie pojawiali się na nich przechodzący ludzie. Perspektywa wydawała się nieco sztuczna, jakby wieża sięgała miejsca położonego w innym układzie odniesienia. Czułam, że niemal mogę je zobaczyć, jeśli tylko wyteżę umysł, tak jak mruży się oczy, wpatrując w majaczące w oddali kształty...

Zachwiałam się, wyczerpana, zachwycona, skołowana – wszystko naraz.

Levi skoczył mi na ratunek, ale powstrzymał się, zanim zdążył mnie dotknąć. Odzyskałam równowagę bez jego pomocy. Sosnowy zapach, który ciągnął się za nim wszędzie, przybrał na intensywności, jego oczy zaś nagle rozbliły... troską?

Byłam zmęczona. Pewnie wyobrażałam sobie Bóg wie co.

– To najstarszy budynek w Lincolnie – powiedział Levi, miętosząc słowa tym swoim miękkim południowym akcentem. – A park jest jeszcze starszy. Stare miejsca potrafią namieszać w głowie.

– Ta wieża nie jest zwyczajna – wymamrotałam, zerkając na fałszywe niebo i szybko odwracając wzrok w obawie, że zwymiotuję. – Prowadzi do miejsc, do których nie powinna prowadzić.

Levi zmarszczył brwi, a następnie przeniósł wzrok ze mnie na malowane chmury.

– Ty to *widzisz*? Imogena widzi rozrzedzenia, ale ja nie. Tylko wyczuwam je, kiedy jestem blisko. Naprawdę je widzisz? Serio?

No pięknie. Teraz umiałam coś, czego nawet sam diabeł nie potrafił.

Niedobrze.

Ignorując go, ruszyłam w stronę najbliższych schodów z zamiarem wejścia na trzecie piętro i nadzieją, że jakaś magiczna bariera nie pozwoli księciu ciemności pójść tam za mną.

Oczywiście nie mogłam liczyć na taki fart.

Sprawdzałam godzinę na każdym półpiętrze, a potem jeszcze raz, kiedy weszłam na trzecie, z Levim sunącym w ślad za mną jak wierne gotyckie szczenie.

Tabliczki na ścianach wskazywały drogę do różnych części szpitalnego archiwum. Odruchowo wybrałam strzałkę z napisem Dział Główny i tak długo szłam zakrzywiającym się korytarzem, aż dotarłam do drzwi z plaketką Dyrektor Działu Dokumentacji Medycznej.

Ciężkie drewniane skrzydło uchyliło się bez oporu. Wkroczyłam do pokoju pełnego półek z książkami i puściłam drzwi, pozwalając zamknąć się im na wchodzącym za mną Levim. Kątem oka dostrzegłam, jak wyciąga rękę, aby je złapać. Zatrzymały się pod jego dotykiem, co sprawiło, że zamarłam w osłupieniu. Moje serce uderzyło raz... drugi...

Drzwi... zatrzymały się... kiedy je złapał.

Zakreśliło mi się w głowie.

Ołów wlał mi się w kolana, grawitacja pociągnęła mnie w dół za ramiona i głowę. Zgięłam się, wdychając zapach sosny, starych książek i zbutwiałego drewna.

„On jest materialny”.

„On naprawdę istnieje”.

Do tamtej chwili sądziłam, że Levi jest jak Decker Greenway – czymś w rodzaju zjawy, ducha, halucynacji.

„Strzygoń”.

Grzmotnęłam kolanami o drewnianą podłogę i zaczęłam upadać do przodu, na twarz, ale czyjeś silne dłonie pochwyciły mnie za ramiona. Poczułam skurcz w dotykających mnie palcach; usłyszałam, jak Levi wciąga z sykiem powietrze, a potem poczułam swąd spalenizny. Skóra?

Dobry Boże.

Ułożył mnie na podłodze i dopiero wówczas odjął ręce. Palcami rozsiewał w powietrzu smużki dymu. Jego srebrzystoblada twarz wydawała się półprzeźroczysta. Skrzywił się, ale nie wydał żadnego dźwięku.

– Debil – mruknęłam.

Umysł wypełniały mi wizje tuzinów półek uginających się pod ciężarem wielkich brązowych tomów. Moje słowa brzmiały kanciasto, bo język i usta nie bardzo chciały się poruszać.

– Po co mnie łapiesz, skoro wiesz, że to cię zrani?

– Upadałaś. – Ból nadawał jego głosowi głębszy tembr. – Nie chciałem, żeby coś ci się stało.

– Szczujesz ludzi widmowymi psami i gęsiami-zjawami. Przerażasz ich na śmierć. Czemu się nagle przejmujesz, że uderzę się w głowę?

– Moja praca nie jest taka prosta, Forest.

– Ganiecie za przerażonymi ludźmi po korytarzach starego szpitala dla psychicznie chorych to *praca*?

Zasłoniłam się sarkazmem, ale moja dusza krzyczała: *zwrócił się do mnie po imieniu!* Choć byłam otumaniona po nieprzespanej nocy i tylu wstrząsających wydarzeniach, to zdanie sprawiło, że przeszedł mnie dreszcz – i to nie tego

nieprzyjemnego rodzaju.

– Każdy musi pracować, co nie? – powiedział Levi. – Mam wobec swojej babci dług, którego nie da się spłacić, więc tak, właśnie tym się zajmuję.

Usiadłam i znalazłam się tuż obok niego, moje biodro prawie dotykało zewnętrznej strony jego kolana. Był tak blisko, że czułam bijące od niego ciepło, a jego ciemne oczy wydały mi się niemożliwie duże. Czerwone łyzy tatuazu pochłonęły całą moją uwagę, tak piękne i barwne, że zastanawiałam się, jak mogłam kiedykolwiek uważać, iż są upiorne.

W porównaniu z nim wydałam się sobie wstrętna. Brudna, nieświeża i szara. Ze wstydu zarumieniły mi się policzki, a on uniósł dłoń i zatrzymał opuszki palców o grubość włosa od mojego policzka.

– Forest – szepnął. – Piękne imię.

Gdzieś jakby daleko za nami otworzyły się drzwi. Chwilę później do pokoju weszła kobieta rozmawiająca z dwoma starszymi mężczyznami. Faceci natychmiast zamilkli i obrzucili mnie badawczymi spojrzeniami, najwyraźniej nie dostrzegając Leviego.

– Nic ci nie jest? – spytał jeden z nich.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Tak... Przepraszam. Potknęłam się. Wolałam nie wstawać za szybko.

Przeniosłam wzrok na kobietę. Była ładna, ale nie potrafiłam przypisać jej żadnego wieku. W jednej chwili wydawała się wysoką opaloną blondynką w okolicach czterdziestki, w następnej była drobna, pomarszczona i stara. Ale tak przenikliwych oczu nie widziałam jeszcze nigdy w życiu. Mrugnęłam.

Znowu wysoka blondynka. Ubrana w granatowy kostium. Nosiła się jak ktoś, kto dużo wie, ktoś nawykły do wydawania poleceń. Budziła szacunek, który widoczny był w sposobie, w jaki mężczyźni pytali ją spojrzeniami, co ze mną zrobić.

– Wygląda na całą i zdrową – orzekła kobieta, śpiewnie przeciągając głoski.
– Ja się nią zajmę.

Głos miała miły, ale w każdym słowie słyszałam stal. Ledwie musnąwszy mnie spojrzeniem, zagoniła mężczyzn z powrotem do drzwi swojego gabinetu, wypuściła ich na korytarz, po czym zamknęła drzwi na zasuwkę, aby nikt nie mógł wejść do środka – albo wyjść na zewnątrz.

Podniosłam się chwiejnie, wciąż osłabiona i skołowana. Levi stanął obok mnie tak blisko, że jego czarna koszula otarła się o rękaw mojej bluzy.

Kiedy kobieta odwróciła się, aby spojrzeć na mnie, rozjarzyła się i zaczęła kurczyć. Kostium przemienił się w staroświecką sukienkę z fartuchem – podobne nosiły pionierki Dzikiego Zachodu. Włosy kobiety zafalowały i splotły

się same w gruby biały warkocz. Jej oczy... Jej oczy! Były tak szare, jasne i głębokie, że ledwie mogłam na nią patrzeć. Jakaś dziwna moc załśniła migotliwie i podniosła się wokół niej niczym mgła na górskim zboczu.

Poczułam tę moc.

Poczułam ją, tę kobietę, głęboko w kościach.

Próbowała rozerwać mnie od środka!

Kolana niemal ugięły się pode mną, kiedy nateżyłam się mentalnie, stawiając opór. Bransoletka na moim nadgarstku zaczęła drżeć i trzeszczeć. Chciałam krzyknąć, ale przez gardło przeszło mi tylko skrzekliwe rżenie. Cofnęłam się, a Levi skoczył przed moją wyciągniętą rękę, aby stanąć między mną a... czymkolwiek była ta staruszka.

Zupełnie jakby przerwał obwód elektryczny – atakująca mnie moc po prostu znikła. Mgła rozstała się wokół niego i kłębami zawróciła w stronę kobiety.

– Levi – powiedziała głosem, który przywodził na myśl głębokie jaskinie i lochy. – Odsuń się od niej. Natychmiast.

Rozdział 5

– Nie – odpowiedział Levi tonem, od którego rozboleły mnie zęby.

Sosnowy zapach ruszył na wojnę z wonią mchu i rzek, i bardzo starego drewna. Levi rozpościarał ramiona, osłaniał mnie, za co byłam mu wdzięczna i jednocześnie na niego zła.

– Ma na imię Forest, babciu. Zostaw ją w spokoju. Ona nie ma żadnych złych zamiarów i myślę... myślę, że ona może być taka jak ty. Przez cały ten czas, odkąd ci pomagam, nikt oprócz niej nie był w stanie mnie zobaczyć. Nie kiedy przywdziewam urok.

Chciałam zapytać Leviego, co to znaczy, ale staruszka wciąż przeszywała mnie wzrokiem. Wyglądała krucho, ale przerażająco, i czułam, że dygoczą mi trzewia, nawet kiedy jej mglista energia zaczęła wsiąkać z powrotem w jej skórę.

– Nie igraj z tym, nad czym nie możesz panować – ostrzegła Leviego. – Próbujesz ugryźć więcej, niż jesteś w stanie przełknąć.

Levi nie odpowiedział, ale ramiona powoli opadły mu do boków.

Krew pulsowała mi w skroniach, oczy łzawiły od mocy wciąż kłębiącej się wokół starej kobiety. Moja uwaga raz po raz kierowała się ku zegarowi nad drzwiami gabinetu, odnotowując upływ każdej chwili. Przerażała mnie myśl, że cała ta dziwność może kraść mi minuty i godziny, że się spóźnię i wyleją mnie z pracy, że stracę mieszkanie i wszystko. College. Mój bilet do świata. Droga ucieczki z Never. Moja przyszłość. Na co ja w ogóle liczyłam, przyłaząc tutaj? To nie miało nic wspólnego z realnym światem. To nie miało nic wspólnego z normalnością.

– Czy Forest to twoje prawdziwe imię? – spytała kobieta.

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Levi odchrząknął.

– Lepiej odpowiedz, Forest. Babcia niezbyt dobrze znosi czekanie.

Wściekłość, która bulgotała mi w żyłach, nagle wykipiała w głowie.

– Chcesz zabić człowieka w moim szpitalu, potem grozisz, że zabijesz mnie. Przychodzę tu po odpowiedzi, a ona na dzień dobry też próbuje mnie zabić?! – wykrzyknęłam, a potem zwróciłam się do obojga: – Z drogi! Mam dość tego wszystkiego.

Levi wyglądał na zaskoczonego.

Wyciągnęłam rękę w jego stronę. Uskoczył przede mną, a ja ruszyłam naprzód z zamiarem sprawdzenia, czy mogę sparzyć dotykiem także Imogenę.

Nie ruszyła się spod drzwi ani na centymetr. Zbliżałam się do niej, a ona patrzyła na mnie oczami, w których nie było strachu – raczej rozbawienie. Mój umysł chłodno przypominał mi, że Imogena posiada tę upiorną moc rozrywania ludzi od środka. Zwolniłam i zatrzymałam się o krok lub dwa przed nią. Była niższa ode mnie i patrząc z góry na jej drobną postać, poczułam się jak bandzior.

Uniosła ręce nad głową, sięgając do półki przy drzwiach, i zdjęła z niej wielkie brązowe tomisko, identyczne jak te, które w szeregach tłoczyły się na regałach pod ścianami. Było to coś w rodzaju obszernego rejestru z rokiem mojego urodzenia wypisanym czarnymi cyframi na grzbiecie. Otworzyła go mniej więcej na środku i zmierzyła mnie swoim szarym spojrzeniem.

– Przedstaw się, dziecko, abym mogła ujrzeć, skąd przybywasz.

Obróciłam się powoli, żeby spojrzeć na Leviego, który stał z założonymi na piersi rękami i miną tyleż napiętą, co nieodgadnioną. Widziałam, że czeka na moją odpowiedź.

Zerknęłam na zegar.

Dziesięć minut do początku mojej zmiany. Szlag! Jak to się stało? Jak czas może tak po prostu *uciekać*?

– Forest Anderson – powiedziałam, odwracając się do Imogeny w nadziei, że jeśli będę współpracować, szybciej zejdzie mi z drogi. – Ale „Anderson” raczej w niczym wam nie pomoże. To nazwisko po rodzinie zastępczej. Ktokolwiek mnie porzucił, po prostu nabazgrał moje imię czarnym flamastrem na przedzie koszulki. Zadowolona? A teraz proszę mnie przepuścić.

– Forest...

Trzymając otwartą księgę w jednej ręce, Imogena wsunęła drugą do kieszeni i wyszperała stamtąd długopis. Przyłożyła jego koniuszek do papieru, ale nie zaczęła pisać. Nie odsunęła się też od drzwi.

– Nie brzmi prawdziwie. Czy to twoje drugie imię? Może przezwisko?

– Oryginalnie było Forastera – powiedziałam szybko, czując, jak moje zniecierpliwienie podnosi się o dwa stopnie z każdym tyknięciem zegara nad głową kobiety. – Zamerykanizowaliśmy je, żeby było mi łatwiej dostosować się w szkole.

Imogena odjęła długopis od księgi i spojrzała na mnie. Jej oczy rozszerzyły się, a wąskie wargi rozchyliły w grymasie, który mógł uchodzić za uśmiech.

– Forastera. A niech mnie.

Zerknęłam na Leviego, a on spojrzał na mnie, zaskoczony nawet bardziej ode mnie.

– Macie już nazwisko – powiedziałam ostro, skręcając obok Imogeny

w nadziei, że ustąpi. – Możecie poszukać mnie w necie, sprawdzić, czy co tam sobie chcecie. Ja muszę wracać do pracy.

– Forest. – Levi postąpił krok naprzód. – Proszę, zostań. Musimy porozmawiać.

– Nie. – Głos drżał mi ze zdenerwowania. Spojrzałam na zegar: miałam osiem minut na dotarcie na geriatric. – Nie mam na to wszystko czasu.

Uniosłam dłonie i poruszyłam palcami ostrzegawczo.

– Puśćcie mnie albo liczcie się z ciężkimi poparzeniami.

Uwaga Imogeny skupiła się na mojej bransoletce.

– To drewno jest z tamtej strony, a ćwieki to czyste żelazo. Rosła razem z tobą?

Pytanie zbiło mnie z pantafelów. Zawsze uważałam za trochę dziwne, że bransoletka nigdy nie stała się dla mnie za mała, ale uwielbiałam to w niej. Po prostu nigdy nikomu o tym nie wspominałam – nie chciałam, żeby ktoś pomyślał, że jestem stuknięta. Moja lewa dłoń sama zamknęła się na gładkim drewnie, pieszcząc żelazne główki ćwieków, co prawdopodobnie zdradziło, jak wiele znaczy dla mnie ten przedmiot.

– To wszystko, co mam od moich prawdziwych rodziców – mruknęłam, mówiąc o wiele więcej, niż chciałam powiedzieć, i czując ciężar uczuć, jakimi bezwiednie nasączyłam każde słowo.

Miałam bransoletkę, która nie była zwyczajną biżuterią. Wiedziałam to od bardzo dawna, ale nigdy nie przyznałam się do tego przed sobą. Tym bardziej nie miałam ochoty przyznawać się do tego przed tą kobietą.

– Czy wiesz, co oznacza twoje imię? – spytała Imogena z południowym zaśpiewem, głosem, z którego stopniowo zniknęła poprzednia oschłość.

Nie byłam w stanie na nią spojrzeć. Nie odrywałam wzroku od zegara. Siedem minut na dotarcie na oddział.

– To odmiana białej winorośli hodowanej na Wyspach Kanaryjskich. Pewnego dnia stanę się wielkim żółtym opojem.

Nie roześmiała się.

– Forastera oznacza cudzoziemca. – Przy jej akcencie zabrzmiało to jak „cuzzieemca”. – Obcego. Ktokolwiek wydał cię na świat, dziecińko, nie nadał ci imienia. Zostałaś naznaczona.

– Naznaczona jako kto?

Sześć minut do rozpoczęcia zmiany.

Imogena wykrzywiła usta w nieco przerażającym uśmiechu.

– Jako węzowa jucha, jak ja. – Zadarła głowę i mgła wokół niej znów zaczęła gęstnieć. – Nie widziałam innej od ponad stu pięćdziesięciu lat.

Stu pięćdziesięciu lat? Okej, dobra, wszystko jasne. Wężowa jucha. W języku starych południowców oznaczało to kompletnego świra, przekłętego, pechowca, czy jakoś tak. A ta wariatka sądziła chyba, że żyje od setek lat.

– Ja wychodzę. – Głos miałam cichy i drżący. – W taki czy inny sposób.

– Zdejmij no na chwilę tę bransoletkę – powiedziała Imogena. – Chciałabym zdjąć miarę.

– Nie – powiedział twardo Levi.

– Co to za ton, chłopcze? – warknęła staruszka.

Puls łomotał mi w uszach. Zacisnęłam dłoń na bransoletce, gotowa ruszać na wojnę.

– Nie dotykaj jej bransoletki – powiedział Levi. – I nie dotykaj jej.

Imogena spojrzała na niego wyraźnie zdumiona jego postawą. Levi zdawał się emanować własną mocą, a otaczająca go mgła była czarniejsza od najciemniejszej nocy, jaką kiedykolwiek widziałam.

– Ludzie, *czym* wy jesteście? – wyszeptalam, ale żadne z nich nie zwróciło na mnie uwagi.

Przez kilka długich sekund mierzyli się wzrokiem, a ja spostrzegłam, że starcza twarz Imogeny ma rysy Leviego. No tak, przecież nazywał ją babcią. Tyle że teraz wyglądała o wiele starzej, jak prababka, może nawet praprababka. Czułam, że pojedynek woli z Levim w jakiś sposób wyczerpuje jej siły i zasmuca ją. Niemal odbiera chęć do życia.

Musiałam zwalczyć w sobie nagłą chętkę wyciągnięcia rąk i objęcia staruszki dla ulżenia w bólu, który wyczuwałam w jej zgrubiałych stawach. Jej drżące zaciśnięte wargi i surowa mina za bardzo przypominały mi pacjentów, o których troszczyłam się na oddziale, i choć nie potraktowała mnie uprzejmie, nie chciałam, aby cierpiała.

Zdawało mi się, że minęła cała wieczność, nim wreszcie skinęła głową i napięcie pomiędzy nią a wnukiem zaczęło słabnąć.

– Imogena jest szeptuchą – powiedział Levi, przenosząc wzrok ze swojej babci na mnie. – To znaczy, że ma pewien dar uzdrawiania żywych, widzi ludzi mających w sobie Madoca i może przeprowadzać dusze na tamtą stronę, jeśli mają kłopoty z samodzielnym przejściem. Odkąd zostałem... no więc kiedyś przytrafiło mi się coś złego i od tamtej pory pomagam jej.

– To ta twoja robota, tak? – spytałam głosem skwierczącym od sarkazmu. – Straszanie biednych duchów na śmierć psami i ptakami, aż puszcza im nerwy i zaczną przed tobą wiać?

– Zdenerwowałam Forest – powiedział Levi do babci prawie przeprasającym tonem. – Potrzebuje trochę czasu, zanim przywyknie do

porządku rzeczy, to wszystko.

Imogena potarła dłońmi skronie, jakby była zmęczona i bolała ją głowa.

– Zdaje się, że to nie jest zły pomysł.

Levi wypuścił powietrze z płuc.

– No dobrze... Forest musi wracać do pracy.

Imogena bez słowa odsunęła się na bok. Nawet na mnie nie spojrzała.

Nie zatrzymałam się, żeby ją zrugać, podziękować Leviemu ani żeby walnąć go w nos.

Po prostu wybiegłam.

Rozdział 6

– Od rana jest cała w skowronkach – powiedziała do mnie Leslie, gdy stałyśmy na progu pokoju pani Sally. – Gada do siebie, uśmiecha się i śpiewa, kiedy nie śpi, ale oddycha z trudem i strasznie skacze jej ciśnienie.

Leslie miała na sobie halloweenowy fartuch, czarny w białe uśmiechnięte duszki. Kapatki też miała białe, a włosy zaplotła w tuziny cienkich warkoczyków, z których każdy zakończyła spinką w kształcie zadowolonego upiorka. Już samo to, że widziałam ją przed sobą, że stałam obok niej, sprawiało, iż czułam się normalniej.

Weszła do pokoju i uniosła kołdrę, odsłaniając spuchnięte stopy pani Sally.

– Cała ta opuchlizna... – Pokręciła głową. – To jeden ze zwiastunów. Dotknij jej.

Położyłam palce na stopach staruszki i poczułam chłód.

– Decker – wymamrotała pani Sally, kiedy zabrałam dłoń.

Uśmiechnęła się, a potem zamknęła powieki na swoich nieobecnych oczach i zdawało się, że natychmiast znowu zasnęła. Wciągała i wypuszczała powietrze ze świstem, jakby chrapała, ale charkot w jej oddechu brzmiał głębiej.

Brzmiał źle.

Bawiąc się rękawem mojej brudnej niebieskiej bluzy, rozmyślałam o tym, jak krucho pani Sally wygląda w tym łóżku. Jej skóra przybrała popielaty odcień, a dłonie podrygiwały, jak gdyby we śnie ciężko nad czymś pracowała. Zdjęcie wysliznęło się jej z palców, ale złapałam je, zanim upadło na podłogę, i włożyłam pomiędzy jej rękę a materac.

– Jest chora? – spytałam Leslie, wychodząc na korytarz.

Leslie prychnęła.

– Tak pewnie stwierdzi ta idiotka. – Gestem wskazała salę pielęgniarstwa.

Arleen miała dyżur tamtej nocy i siedziała u siebie za zamkniętymi drzwiami. Nie odezwała się do mnie ani słowem, ale w mojej przegródce znalazłam dwa żółte świstki oraz ostrzeżenie, że następny będzie różowy – wymówienie.

– Arleen nie będzie się chciało wypełniać papierków na dodatkową opiekę – powiedziała Leslie. – Będzie próbowała wyrzucić Sally do zwykłego szpitala, gdzie będą dźgać moje biedactwo igłami i wpychać jej rury do gardła, próbując powstrzymać to, czego powstrzymać nie sposób. Widziałam to tutaj

milion razy. Moim zdaniem to zbrodnia.

Jeszcze raz zerknęłam do pokoju pani Sally.

– Ale co jej dolega?

– Kochanie, *nic* jej nie dolega. – Leslie ujęła moją prawą dłoń i poklepała ją, jakby chciała złagodzić smutek tego, co chciała mi powiedzieć. – Ona odchodzi. Nie da nikomu wejść sobie w drogę. Odejdzie do rana, zapewne spokojnie, we śnie, w tym miejscu, które było jej domem od dawniejszych czasów, niż sama pamięta.

Puściła moje palce i przyjrzała mi się, mrużąc swoje przyjazne oczy.

– A ty... Sama nie wyglądasz dużo lepiej. No już, leć do łazienki i umyj sobie twarz.

Zanim zdążyłam się ruszyć, uniosła dłonie i przesunęła kciukami pod moimi oczami, rzucając mi spojrzenie pełne tak dojmującej troski, że zebrało mi się na płacz.

– Straszne wory ci się porobiły. Nie śpisz?

– J-ja...

Och, jak okropnie chciało mi się płakać. Miałam ochotę rzucić się w babcine ramiona Leslie, pozwolić utulić się i ukoić, opowiedzieć jej o tych wszystkich szalonych, niemożliwych rzeczach, które widziałam w ciągu minionego dnia.

– Poprzedniej nocy nie spałam w ogóle – powiedziałam, z wielkim trudem powstrzymując drżenie podbródka. – Podwójna zmiana. A potem, ehmm... nie. Rano też nie miałam okazji się zdrzemnąć.

– Nie śpisz, nie zmieniasz ciuchów, nie dbasz o siebie. Tak to się zwykle zaczyna. Choroba, jak u tych biedaków. – Leslie uszczypnęła mnie pieszczotliwie w policzek. – Lepiej uważaj, słyszysz?

Kiwnęłam głową.

A potem poszłam do łazienki i umyłam twarz, jak kazała.

A potem poszłam do pracy.

Zmieniałam prześcieradła i opróżniałam baseny. Ścieliłam łóżka, kąpałam pacjentów, obcinałam paznokcie. Myłam, czesałam i zaplatałam włosy, i z każdą minutą, która upłynęła tak, jak powinna, świat wydawał się spokojniejszy i bardziej realny. Tego było mi trzeba. Było mi to wręcz niezbędne. Nawet nie skorzystałam z przerwy, bo dopóki nie opuszczałam oddziału, nie istniało niebezpieczeństwo, że nie wrócę na czas. Po wykonaniu każdego zadania zaglądałam do pani Sally i szeptałam jej do ucha, że Decker jest blisko i że na nią czeka, i że ją kocha. Zdawało mi się, że przynosi jej to trochę ukojenia, kiedy budziła się i zaczynała niepokoić.

Jeszcze zanim rozpoczęła się ostatnia godzina mojej zmiany, na oddziale zjawiała się nasza internistka. Była starsza od Leslie i przypominała ją z wyglądu w wystarczającym stopniu, aby być jej ciotką albo starszą siostrą. Rozmawiały ze sobą przyciszonymi głosami, co pewien czas zerkając na drzwi sali pielęgniarskiej dla pewności, że wciąż są zamknięte. Lekarka oderwała formularz zlecenia od podkładki do pisania, przez chwilę skrobała po nim długopisem, po czym wyszła, a Leslie zaniósła zlecenie pielęgniarkom.

– Sally poczuje się po tym lepiej – powiedziała do mnie, mijając drzwi pani Sally i wymachując papierem. – Arleen się wścieknie, jak nic, bo w dodatku doktorka nie klepnęła przeniesienia do medycznego. Dobrze jej tak.

Uświadomiłam sobie, że Arleen wpadnie prosto na mnie, kiedy przyjdzie wypełniać nowe zalecenia lekarki, więc czym prędzej wymknęłam się z pokoju pani Sally, żeby zajrzeć do pacjenta, który spał w sali najbliższej drzwi wejściowych. Kiedy naciągałam mu kołdrę na ramiona, aby nie zmarzł, usłyszałam stłumione, ale niedające się z niczym pomylić wycie.

Wszystkie włosy na moim karku i rękach jednocześnie podniosły się. Żołądek skręcił mi się w supeł.

Levi.

Levi znów grasował po korytarzach Lincolna. Znów polował.

Ale nie polował na mnie.

Nie wiedziałam, skąd bierze się moja pewność, ale nie miałam żadnych wątpliwości, że psy nie zmierzają w moją stronę. Ale jeśli Levi nie przyszedł po mnie, to kto...

„Dni mojej Sally są policzone – słowa Deckera Greenwaya, wypowiedziane poprzedniej nocy, przebiegły mi przez głowę – to dlatego zaryzykowałem i zszedłem do tuneli”.

– Strzygoń wie, że tu jestem – wymamrotałam na głos, imitując południowy akcent Deckera, i pacnęłam się dłonią w czoło.

Pani Sally umierała. Umierała właśnie w tej chwili, a Decker zamierzał tu przyjść, wyjść na spotkanie jej duszy.

Levi tego nie rozumiał. Wykonywał tę swoją „pracę”, pomagając swojej babci, szeptusze czy jak ją tam zwali, przeganiając Deckera na tamtą stronę i pozostawiając panią Sally całkiem samą, bez nikogo, kto by na nią czekał.

– Nie, nie, nie! – Wybiegłam z sali pacjenta, skręcając do wyjścia z oddziału.

– Forest? – Dogonił mnie zaniepokojony głos Leslie, ale zamiast zatrzymać się, krzyknęłam tylko, że muszę kupić sobie coś do picia i iść do toalety.

To nie mogło się zdarzyć. To byłaby tragedia. Nie mogłam na to pozwolić –

nie przed uczynieniem wszystkiego, co w mojej mocy, aby Levi dostrzegł wyższe pobudki Deckera Greenwaya.

Wbiegłam po schodach na parter i pognałam długim, długąśnym korytarzem, który prowadził do budynku ze stołówką i magazynem odzieży. Szachownica płytek zdawała się ciągnąć przede mną w nieskończoność. Przyśpieszyłam, ale miałam wrażenie, że wcale się nie poruszam, za to korytarz coraz bardziej się wydłuża. Powietrze stało się gęste i ciężkie.

Pachniało sosną.

Decker zaczął krzyczeć.

– Levi! – wrzasnęłam. – Przestań! Nic nie rozumiesz!

Uniosłam prawą rękę i biegłam dalej, rozcinając powietrze przed sobą jarzębinową bransoletką. Korytarz wokół mnie zadrżał i zamigotał. Mięśnie piekły mnie od wysiłku, jaki wkładałam w pokonywanie oporu powietrza, mimo to wciąż pchałam mocniej, polując na łowcę, tropiąc psy gończe. Bransoleta przypalała mi skórę każdym żelaznym ćwiekiem niczym miniaturowym pogrzebaczem, znacząc mnie żarem.

Wciąż pchałam i biegłam, biegłam i pchałam. Miałam wrażenie, że to sam szpital próbuje nie dopuścić mnie do Leviego, ale poruszałam się naprzód. Korytarz znów zamigotał i nagle powietrzna bariera ustąpiła z miękkim mlaśnięciem, a ja wyrznęłam w podwójne drzwi stojące mi na drodze do magazynu odzieży. Ból wystrzelił mi wzdłuż rąk, by eksplodować w łokciach i ramionach, ale po prostu wypchnęłam go z umysłu.

Kiedy nareszcie wpadłam do holu, skrzące się srebrem ściany, podłoga i sufit skreśliły mi zmysły w węzełki. Potoki ptasich cieni wirowały wkoło po rozmigotanych powierzchniach, skrzecząc i gęgając, i trzepocząc niewyraźnymi w pędzie skrzydłami. Psy przypadły do moich nóg, kłapiąc i ujadając, a ja przepędzałam je kopniakami i parłam naprzód, słaniając się i wykrzykując imię Leviego, aż rozboleło mnie w boku tak bardzo, że nie mogłam już dłużej krzyczeć. Zobaczyłam go stojącego przed otwartymi drzwiami magazynu odzieży, promieniującego ciemną mgłą i trzymającego Deckera Greenwaya za głowę. Ciągnął go w stronę czegoś, co wyglądało jak czarna dziura wydartą w żywej tkance realnego świata.

– Levi, czekaj! – wrzasnęłam, a psy dopadły mnie znowu, warcząc i gryząc, i szarpiąc mnie za kostki.

Powaliły mnie jak kalekiego jelenia i grzmotnęłam na twardą, posrebrzoną gwiazdnym pyłem posadzkę, a głowa odbiła mi się od niej z głuchym stuknięciem. Ujrzałam błyskające światła. A potem były już tylko kły, sierść i płonące czerwienią ślepie.

Tłukłam rozjuszony bestie, okładając jarzębinową bransoletą zuchwy, uszy i szponiaste łapy. Sierść stanęła w ogniu. Niektóre psy skamlały. Krew ciekła mi po nadgarstkach, ramionach, po policzkach, po nogach, ale nie ustawałam w walce. Miałam wrażenie, że psy są trzy razy większe, niż kiedy widziałam je ostatnio. Wydierały ze mnie życie kawałek po kawałku. Ktoś znowu krzyknął. Tym razem to byłam ja.

Nagle klapanie paszcz ustało i największy pies, jakiego w życiu widziałam, stanął wprost nade mną. Wielka czarna głowa pochyliła się powoli, aż musiałam spojrzeć w czerwone rozżarzone ślepia. Wielkie zębiska zgrzytnęły i gęsta ślina pociekła mi na twarz.

Poczułam, że dygocę.

Bestia szykowała się do wyrwania mi tchawicy.

– Zostaw! – ryknął Levi. – Kain! Zostaw! Już!

Czarny potwór jeszcze raz kląpnął paszczą nad moją twarzą, po czym odskoczył, warcząc i przesuwając wokół czujnym wzrokiem.

W następnej chwili poczułam, że unoszę się i oddalam od psa olbrzyma i reszty ujadających bestii. Elektryczny impuls przeszył mnie, kiedy Levi przycisnął mnie do piersi i wyniósł ze swojej gończej sfory, tuląc mnie do siebie tym mocniej, im straszniejszy targał nim ból, aż jego ubranie zajęło się ogniem, a skóra zaczęła skwierczeć.

– Już dobrze – powiedział cicho, śpiewnie. – Już po wszystkim. Nie musisz już się bać.

Z każdym jego słowem mój ból słabł, ale on musiał cierpieć katusze.

– Postaw mnie – wybełkotałam z trudem, ledwie słyszalnym głosem. – Sprawiam ci ból. Postaw mnie!

– Przepraszam cię, Forest – wyszeptał, opuszczając mnie na podłogę przy skrzęcej się ścianie, abym mogła oprzeć się o nią plecami. – Tak bardzo mi przykro.

Rozległo się ciche gęganie i klucz gęsi przemknął po ścianach niczym wielka rozpedzona litera V. Levi usiadł obok mnie, oddał kawałek swojej czarnej koszuli i wycierał mi krew z policzków, aż materiał zaczął go parzyć.

– Spokojnie... – powtarzał i od czas do czasu przymykał oczy.

Czarna mgła spływała z jego ramion i palców, a mój ból odpływał – ukąszenie po ukąszeniu, centymetr po centymetrze. Levi mnie uzdrawiał.

Przez materiał na piersi przeświecała mu poparzona skóra, osmalona, pokryta pęcherzami. Żałowałam, że nie odprawia tych uzdrawiających czarów na sobie. Gdybym mogła mu pomóc, zrobiłabym to.

Kilkanaście metrów od nas psy Leviego krążyły wokół Deckera Greenwaya,

który kulił się przy zamkniętych drzwiach magazynu odzieży. Przybyłam w samą porę. Złapałam Leviego za przedramiona, ale natychmiast zabrałam rękę, kiedy szarpnął się z bólu, jaki sprawił mu mój dotyk.

– Nie zabieraj go jeszcze – powiedziałam szybko, a mój głos zabrzmiał jak szelest w nagle cichym holu. – Jeszcze nie. Możesz chyba poczekać parę minut. Jego Sally już nadchodzi.

Na przystojnym obliczu Leviego troska ustąpiła miejsca smutkowi. Wytatuowana pod jego okiem krwawa łza wyglądała przerażająco realistycznie.

– Właśnie za to omal nie dałaś się zabić?

– Oni muszą być razem – odrzekłam głosem, który nabierał mocy, w miarę jak topniał ciężar w mojej piersi i ustępował ból tysiąca psich ukąszeń.

Chciałam objąć Leviego, złożyć głowę na jego ramieniu i błagać o litość dla pani Sally i Deckera. Ale byłam dla niego trucizną. Mój dotyk przynosił mu wyłącznie oparzenia i cierpienie.

– To nieistotne – powiedział do mnie głosem ciężkim od smutku, który widziałam na jego twarzy. – Kiedy przejdą na tamtą stronę, zapomną albo nie. To, czy będą razem, nie będzie miało żadnego znaczenia.

Wytrzymałam jego spojrzenie.

– Dla nich będzie miało.

Mijały sekundy. Jeszcze więcej sekund.

– Udziel mu azylu – powiedziałam wreszcie, myśląc o ironii sytuacji, w której prosiłam o to akurat w takim miejscu jak Lincoln. – Nie zmuszaj go do przejścia, dopóki Sally go nie znajdzie.

Levi zamknął i otworzył oczy.

– Czy to naprawdę tak wiele dla ciebie znaczy?

– Naprawdę.

– Dość, abyś zawarła ze mną pakt?

– Nie rób tego! – krzyknął Decker spod drzwi. – Nie układaj się z diabłem, dziewczyno!

Psy zaczęły warczeć, obnażając zębiska, i Decker zamilkł. Ciemne oczy Leviego pochwyciły mój wzrok. Był tak blisko mnie, że trudno mi było to znieść.

– Nie skrzywdzę cię. Czy potrafisz mi zaufać?

Pomyślałam o tym, a potem powoli wypuściłam powietrze z płuc.

– Tak.

– A zatem oto moja propozycja. Decker zostaje i czeka, a potem pomagam mu przejść na drugą stronę wraz z Sally. Możesz patrzeć, aby mieć pewność, że

dotrzymałem słowa. – Levi przerwał na chwilę i przeszył mnie wzrokiem tak naładowanym energią, że odruchowo chciałam się przed nim zasłonić. Czy potrafił hipnotyzować ludzi i kraść im wolę?

Czy miało to dla mnie znaczenie?

– W zamian za to ty spędzisz trochę czasu z Imogeną – podjął Levi. – Nauczysz się czegoś i być może dowiemy się, jaki rodzaj mocy posiadasz. Bo jakąś posiadasz na pewno.

Raz jeszcze zastanowiłam się nad jego słowami. Takie warunki zawsze mają jakiś ukryty punkt, nieprawdaż? Sidła zastawione na idiotę, który zgodził się zawrzeć układ, przekonany, że wie, co robi.

Ja nie miałam pojęcia, co robię, i nie zamierzałam udawać, że jest inaczej. Pomimo tego nie wydawało mi się, aby Levi prosił o zbyt wiele.

– Myślisz, że potrafiłabym robić to, co robi Imogena? – spytałam. – Myślisz, że jestem taka jak ona?

Levi skinął głową.

– Ktoś wiedział o tym i starał się cię ukryć. Musiał mieć powody. Czy życzył ci dobrze, czy źle, o tym musimy się dopiero przekonać.

– Zgoda – powiedziałam – ale pod jednym warunkiem.

Levi uniósł brwi. Najwyraźniej nie przywykł do tego, że ktoś się z nim targuje, ale jeśli miałam oddać mu choćby część mojej woli albo wolności, to na moich własnych zasadach.

– Zrób coś z tymi psami i ptactwem – zażądałam. – Pozbądź się ich. Nie chcę, żeby dusza pani Sally odchodziła półprzytomna z przerażenia.

– Forest...

Uciszyłam go gestem.

– Zrobimy to po mojemu albo wcale. Możesz ich przeprowadzić bez całego tego cyrku. – Machnęłam ręką na gwiazdny pył wokół nas. – Zero dramatyizmu, jasne?

Levi się zawahał. Zauważyłam, że coś go trapi. Moje bezpieczeństwo? Jego własne? Wreszcie, po kilku sekundach, pokiwał powoli głową i powiedział cicho:

– Okej.

– No to umowa stoi. Musimy przypieczętować ją własną krwią, czy coś?

Uniósł głowę tak, że jego twarz znalazła się kilka centymetrów powyżej mojej. W oczach błysnęło mu rozbawienie.

– Nie – odpowiedział. – Każdy, kto złamie dane mi przyrzeczenie, tak jak stoi obraca się w pył.

Żartował.

Na pewno żartował?

Prawda?

– Coś ty zrobiła, Forest? – W głosie Deckera pobrzmiwała desperacja i smutek. – Nie trzeba było...

Umilkł, odwracając się w stronę drzwi korytarza prowadzącego na oddział geriatryczny. Postąpił krok naprzód, nie bacząc na warczące psy.

Serce zabiło mi mocniej, łzy napłynęły do oczu, zniekształcając świat wokół mnie. Tylko jedno mogło przykuć uwagę Deckera w taki sposób i było to smutne i jednocześnie wspaniałe, cudowne, choć otoczone okropnością. Podniosłam się z podłogi, nie wiedząc, czy chce mi się płakać, czy krzyczeć z radości.

Ostatecznie wygrały łzy, w ślad za którymi przybyły strach i dreszcze, a potem kilka chwil twardej wewnętrznej rozmowy o tym, że jestem dorosła i muszę wziąć się w garść.

Levi stanął przede mną i wyciągnął przed siebie ręce, a wtedy psy, gęsi i gwiazdny pył zniknęły. Hol przybrał normalny, kamiennie-terakotowy wygląd z nocnymi lampami rzucającymi na ściany żółtawe plamy.

– Po twojemu – powiedział Levi, nie patrząc na mnie.

Wysoko nad Szpitalem Psychiatrycznym imienia Lincolna odezwały się dzwony wieży domu pod wieżą.

Sally Greenway szukała swojego męża.

Rozdział 7

Nie przybiegła w pośpiechu.

Nie nadeszła też powoli.

Sally Greenway szła wzdłuż holu do magazynu odzieży jak kobieta, która postanowiła umrzeć w Halloween – jak kobieta, która doskonale wie, dokąd się udaje.

Jej twarz – twarz, która składała się z czarnego marmuru i zmarszczek – wyglądała młodo, gładko, miękko. Sally była ubrana w żółtą sukienkę z krótkimi rękawami i szła bosą, hebanowe włosy spływały jej długą naturalną kaskadą na ramiona. Mogła żyć w latach dwudziestych, trzydziestych albo sześćdziesiątych. Była beczasowa. Była wolna i szła prosto w stronę Deckera.

Decker się rozpląkał. Rozłożył szeroko ramiona i Sally padła mu w objęcia, zagarniając go ku sobie i tuląc, aż dotykała go każdą cząstką siebie.

– Przepraszam – powiedziała, ale on odrzekł, że jest niemądra i że ją kocha, i że to on przeprasza za to, że dał się zabić, próbując wyciągnąć ją z Lincolna.

A potem śmiali się wśród bicia dzwonów, a ja tak bardzo pragnęłam, żeby już nigdy nie musieli się rozstawać.

Moje palce powędrowały do bransoletki. Bezwiednie przycisnęłam drewno z żelazem do skóry. Ktokolwiek dał mi tę rzecz, czy mnie kochał? Czy dał mi to, aby zapewnić mi bezpieczeństwo?

Czy kiedykolwiek będę znaczyć dla kogoś tyle, ile Sally znaczyła dla Deckera?

Levi trzymał mnie jakieś pięć, sześć metrów od pary. Za każdym razem, kiedy pochylałam się, aby ruszyć w ich stronę, unosił dłoń, zatrzymując mnie.

Przyciszonym głosem powiedział:

– Nie są zwykłymi marami, jeśli cię to ciekawi. To raczej widma. Być może martwce...

– Że co?

Levi zacisnął usta w prostą kreskę, patrząc na Sally i Deckera.

– Księgi Imogeny na wieży. Wpisuje tam wszystko, na co natyka się w Lincolnie, sortuje według jakiegoś własnego systemu. Mówi, że zwykła mara to tylko smutny strzęp duszy, który pobłądził w drodze na tamtą stronę. Ale są i silniejsze duchy. Tych dwoje miało w żyłach kroplę krwi Madoca, więc są co najmniej widmami. Mogą wyrządzić ci krzywdę.

Nie odpowiedziałam. Nie wiedziałam nawet, od czego zacząć wypytywanie.

– Nie mogą przejść samodzielnie – ciągnął Levi. – Muszę im pomóc.

Potrząsnęłam głową.

– Zostaw ich w spokoju. Polowanie na ludzi jak na dzikie zwierzęta to żadna pomoc.

Uśmiech Leviego wydał mi się skwaszony i smutny.

– Wykorzystuję rzeczy, których boi się każda dusza, to wszystko. Pozostawianie takich mocy na wolności po tej stronie jest zbyt niebezpieczne.

Chciałam się mu sprzeciwić, ale rozmyśliłam się. Co ja wiedziałam o duchach? Zupełnie nic. Zero. A on jak dotąd dotrzymywał swojej części umowy. Sally i Decker byli razem i mieli przynajmniej szansę na pamiętanie siebie nawzajem po przejściu na tamtą stronę.

– Pozwól im trzymać się za ręce, dobrze? Niech dotykają siebie nawzajem.

Nie wiem dlaczego, ale wydało mi się to ważne.

Levi wzruszył ramionami.

– Jeżeli ci na tym zależy.

Powoli podszedł do pary duchów.

Oderwali się od siebie i odwrócili twarzami do niego. Nagle uderzył od nich wściekły podmuch żaru, który targnął moimi włosami jak burza piaskowa i przyćmił światła w holu. Skóra zapiekła mnie na całym ciele i gorączkowo zamrugałam oczami, próbując pozbyć się uczucia pyłu pod powiekami.

Leviego spowiła czarna mgła. Po chwili rozpostarł ramiona i zaczął mówić. Wydało mi się, że dzwony zabiły głośniejsze.

– Strzygoniu – powiedział Decker. – Zabieraj nas, skoro musisz. Nie będę już z tobą walczył.

– Nie jestem strzygoniem – warknął Levi.

– No to czym ty jesteś – wyszeptała Sally, a ja wzdrygnęłam się, słysząc strach w jej głosie – że nawet śmierć cię nie chciała?

Levi wzruszył ramionami.

– Chyba można mnie nazwać przeklętym, jak moją babcię.

Przeklęty.

Co to mogło znaczyć?

Kolejna fala energii uderzyła we mnie, rzucając na ścianę i przytrzymując przy niej. Widziałam, co się dzieje, ale nie mogłam poruszyć się ani odezwać.

Drzwi magazynu otworzyły się za Deckerem i Sally i ujrzałam za nimi nieskończoną wirującą czarną otchłań. Zakreśliło mi się w głowie tak gwałtownie, że byłabym upadła, gdyby podmuch nie przyciskał mnie do muru.

Wpatrując się w rozpędzoną masę nicości, w którą stronę Levi prowadził Sally i Deckera, ujrzałam niewyraźne kształty. Drzewa i wzgórza, duże, obłe

jak prastare góry.

Levi ściszył głos jeszcze bardziej; miałam wrażenie, że śpiewa. Cokolwiek trzymało mnie przy ścianie, nagle ustąpiło i nogi poniosły mnie naprzód. Jedyne, co widziałam, to piękno ciemności. Głosy rozbrzmiały w niej pieśnią – tęskną, łagodną, boleśnie zachwycającą – i po prostu musiałam podejść bliżej. Musiałam zobaczyć pieśniarzy.

Nie przerywając śpiewu, Levi doprowadził Sally i Deckera na krawędź ciemności, która przy brzegach stawała się mglista i wypełzała kłębiastymi ogonami na korytarz. Czarny opar popłynął ku moim stopom, a kiedy ich dotknął, usłyszałam śpiewaków wyraźniej.

Dobrze. Było tak, jak powinno być. Musiałam iść dalej.

Levi połączył dłonie Deckera i Sally.

– Robię to dla Forest – powiedział i lekko pchnął ich w mroczną wyrwę.

Ruszył za nimi, z dłońmi na ich ramionach.

Ja podążyłam za nim.

Gwiazdny pył mieszał się z północą i nicością. Obsydianowa mgła chłodziła mi twarz, głosy pieśniarzy wypełniały umysł. Jak ktokolwiek mógł słyszeć to i nie odpowiedzieć? Chciałam śpiewać wraz z nimi, śmiać się i płakać, zapomnieć wszystko, co kiedykolwiek wiedziałam. Chciałam tańczyć, dopóki nie opuści mnie siła, aby postawić następny krok.

Czerń stała się światłem, a światło zamieniło się w czerń. Owionął mnie zapach sosny i miodu, i zimnej wody potoku omywającego szare gładkie kamienie. Usłyszałam światło dnia i księżyc; poczułam woń jutra i tchnienie wczorajszego dnia na karku. Mojej bransoletce urosły kolce, które wkłuły się głęboko w nadgarstek, sprawiając mi ból, który miał smak słonecznego blasku. Nic rozpuściło się we wszystko i ruszyłam przez łąkę porośniętą błękitno-zieloną trawą łaskoczącą mnie w opuszki palców, z których krew kapiała na miękką brązową ziemię.

Decker i Sally biegli przede mną, śmiejąc się i trzymając za ręce, aż rozplynęli się wśród żalobnych witek pobliskich wierzb. Wypełniało mnie poczucie wszechogarniającego życia – życia, śmierci i wszystkiego pomiędzy nimi. Otaczało mnie tak wiele piękna i tak wiele mroku. Trawa, kamienie, drzewa – wszystko zdawało się mieć świadomość mojego istnienia.

Wszystko zdawało się sięgać po mnie.

– Forest! – głos Leviego wśliznął się pomiędzy dźwięki pieśni w świeżym, ciepłym powietrzu.

Zobaczyłam, że stoi przede mną. Tutaj był wyższy. I niewiarygodnie przystojny.

Na łądkach poczułam dotyk źdźbeł trawy – tuliły się do mnie, owijając wokół nóg. Opadające z gałęzi liście dryfowały ku mnie, by spłynąć z gracją na moje policzki. Z miejsca, w którym stałam, wyrastały pnącza, głaszcząc moją skórę i napęliając mnie swoją radością. Ptaki i wiewiórki podchodziły bliżej, wpatrując się we mnie czarnymi oczkami. Przyszły też jelenie i wilki, i rzeczy, których nie rozpoznawałam.

– Forest – powtórzył Levi.

Ten świat zdawał się mnie poznawać. Czekał na mnie. Czy ja czekałam na niego? Czuałam się tak intensywnie żywa i tak całkowicie spokojna. Zupełnie nie obchodziła mnie ciemność na obrzeżach pola widzenia.

Zarzuciłam Leviemu ramiona na szyję i przyciągnęłam go do siebie, delektując się jego ciepłem i przerażającą mocą ogarniającą każdy centymetr mojej skóry. Jakże cudownie pachniał! Nie sprawiał mi bólu, a ja nie sprawiałam bólu jemu – nie tu, w tym doskonałym miejscu, w tej doskonałej chwili.

Nadciągała burza. Sunęła ku mnie z dalekich granic mojej świadomości. Czuałam ją, wiedziałam o niej i nie obchodziła mnie. Była śmiercią, a ja byłam życiem. Nie pozwoliłabym, aby nas dotknęła.

Levi tulił mnie jak kruchy skarb, wiążąc mnie ze sobą i wyzwalaając na zawsze, aż przełamał uścisk i złamał mi serce, zbliżając usta do mojego ucha, aby powiedzieć do mnie głosem jak odległy grzmot:

– Nie wolno ci tutaj być. To niebezpieczne.

Odepchnął mnie od siebie, od nadciągającej nawałnicy, a ja runęłam w tył.

Runęłam w ciemność.

Spadałam całą wieczność.

Aż wylądowałam samotnie w ciemnym kamiennym holu, krwawiąc z tuzina nakłuć na nadgarstku i słuchając własnego szlochu.

Dzwony wciąż biły.

Pochlipując, Leslie zdjęła mi bransoletkę i zabrała się do bandażowania nadgarstka.

To było dla niej zbyt wiele: stracić panią Sally i mnie tego samego wieczoru. Sama mi to powiedziała – dwa albo trzy razy – i zdawała się głuchnąć, kiedy odpowiadałam, że jest mi przykro. Wciąż popatrywała na różowy świstek leżący obok mnie na ławce i kręcąc głową, powtarzała, że to nie jest w porządku. Duszki na końcach jej warkoczyków uśmiechały się do mnie, a ja starałam się omijać je wzrokiem. Granica pomiędzy tym, co rzeczywiste a nierzeczywiste, jeszcze nie była dla mnie wyraźna.

Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek będzie.

Przez otwarte drzwi pokoju pielęgniarzkiego zobaczyłam, jak przez hol toczy się łóżko na kółkach ze swoim żalnym ładunkiem, bieląc się prześcieradłem mocno naciągniętym i założonym pod głowę i stopy pani Sally.

– Dzwony były od chwili, kiedy umarła, aż do tego momentu, w którym cię znalazłam – powiedziała Leslie. – Bile dwie godziny. Gdzieś ty polazła, dziewczyno? I gdzie się podziejesz teraz, bez pracy, bez pieniędzy?

– Nie wiem – przyznałam cicho i otarłam łzy z policzków.

Czy naprawdę śniłam o łące śpiewaków i kochanków i o przystojnym facecie o najczarniejszych oczach, jakie kiedykolwiek widziałam?

Z jakiegoś powodu nie potrafiłam osadzić wspomnień w miejscu. Wciąż się zmieniały. W jednej chwili pojawienie się Leviego i spotkanie Deckera Greenwaya z Sally wydawało mi się pewne, wyraziste i realne, w następnej szczegóły zacierały się, a wszystko przemieniało w czarną mgłę i przejmujące pieśni.

– Coś ci się przytrafiło, biedactwo – powiedziała Leslie. – Widzę to.

Przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała w czoło.

– Chodź, zabiorę cię do domu. Pobędę z tobą, dopóki nie dojdiesz do siebie.

Serce zabiło mi mocniej na tę propozycję, ale rany pod bransoletką zaswędziały mnie nagle, a żelazne ćwieki zaczęły parzyć.

Towarzystwo Leslie nie było dobre – nie wiedziałam, czy dla mnie, czy dla niej, ale bransoletka dawała mi wyraźny znak, więc uściskałam moją opiekunkę, odmówiłam, a ona się rozplakała.

Moja ostatnia noc w Lincolnie wydała mi się najgorszą, a jednocześnie najlepszą chwilą w życiu.

Oddałam Leslie identyfikator wraz z kluczami, po czym wyszłam z oddziału geriatrycznego, nie czekając na ochronę, tak jak powinnam była zrobić. Nie przemieszczałam się jednak w normalny sposób. Byłam... trochę przesunięta w lewo. W pewnym sensie. Zsunęłam się na pobocze tego, co powinno być i co zawsze było, ocierając o świat tuż pod tym i obok tego, w którym wyrosłam i który znałam.

Zamek otworzył się, kiedy dotknęłam drzwi. Nie zauważył tego nikt oprócz mnie. I nikt nawet nie zerknął w moją stronę, kiedy przeszłam przez park do domu pod wieżą, przycisnęłam dłoń do kołatki w kształcie gryfa, wkroczyłam do środka i zaczęłam wspinać się po schodach w stronę malowanego nieba. Gdybym szła odpowiednio długo – wiedziałam o tym – przekroczyłabym granicę rzeczywistości, ale nie chciałam tego, ponieważ Levi powiedział mi, że

po tamtej stronie nie będę bezpieczna. Już jedna wizyta tam odmieniła mnie w sposób, którego nie pojmowałam. Dlatego zatrzymałam się przy dzwonach i usiadłam, aby patrzeć z góry na Never w stanie Kentucky, aż noc się zużyła i dotyk słońca powlekł ciepłem moje policzki.

Czas mijał, ale mijał poza mną. Nie miałam już w nim udziału. Nie wiedziałam, jak to się stało ani dlaczego, ale było dla mnie oczywiste, że znalazłam się poza jego nurtem, wciąż jako człowiek, wciąż będąc sobą, ale bardziej... świadoma. Nie potrafiłam ubrać tego w słowa, ale wiedziałam, że przejście na tamtą stronę obudziło coś drzemiącego głęboko w moim wnętrzu, jakiś rodzaj mocy. Nie potrafiłabym opisać tego stanu dokładnie, ale gdybym musiała zrobić to w jednym zdaniu, powiedziałabym, że istnieję poza wszystkim, o czym kiedykolwiek wiedziałam.

Mogło minąć dziesięć godzin, dziesięć miesięcy albo dziesięć lat, zanim zesłam z wieży i wyszłam do parku. Na zewnątrz zmieniło się niewiele. Wróciłam na geriatrię, ciesząc się widokiem wiosennych kwiatów i pączkujących drzew. Wewnątrz budynku zauważyłam świeżą farbę i zupełnie inne lampy. Tabliczkę na drzwiach magazynu odzieży zastąpiła biała, wyglądająca na całkiem nową, z napisem: rzeczy osobiste pacjentów. Drzwi nie miały już dziurek od klucza, za to każdych strzegła mała skrzyneczka świecąca czerwonym oczkiem czytnika skanującego kody kreskowe na identyfikatorach. Światła gasły, kiedy ich dotykałam, a drzwi otwierały się posłusznie. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, gdy zmierzałam do miejsca, w którym powinnam się znaleźć.

Leslie Hyatt umieszczono w salce, w której żyła i umarła Sally Greenway. Byłam ciekawa, czy sama o to poprosiła. Wydawała się teraz osobiście drobna, z włosami grubszymi i bielszymi, niż kiedykolwiek były włosy pani Sally. Delikatnie umyłam Leslie i wybrałam jej szlafrok w kolorze wiosennej purpury. Potem zmieniłam jej pościel i wysprzątałam pokój tak, że lśnił czystością. Później tego samego dnia, kiedy przytrzymałam jej słomkę, przez którą sączyła koktajl czekoladowy, pomieszanie na chwilę ustąpiło z jej wzroku, a wtedy Leslie podniosła na mnie oczy, ujęła za rękę i wyszeptwała:

– Zawsze wiedziałam, że jeszcze cię zobaczę. Jesteś jedną z tych starych dusz, dziewczyno. Wiem, że tak jest.

Uściskałam ją, pocałowałam w policzek, a potem zajmowałam się nią, dopóki nie przestała mnie potrzebować.

Większość tych, którzy umierają, nie zwleka. To bardzo dobrze.

Przyszedł do mnie dzień po śmierci Leslie, a może rok później – czas nic już

nie znaczył, a przynajmniej ja uważałam, że nic nie znaczy.

Znów siedziałam na szczycie dzwonnicy, przyglądając się zrywowi jesiennych kolorów stopniowo ogarniającemu Never.

Levi usiadł obok mnie, bacząc, by mnie nie dotknąć, ale tak blisko, że jego dzinsy ocierały się o moje z każdym jego oddechem. Był olśniewająco przystojny, a ja chciałam dać mu w twarz i całować go jednocześnie, ale w tamtej chwili zupełnie mi to nie przeszkadzało. Cieszyłam się, że go widzę.

I byłam gotowa.

– Przynajmniej wiemy na pewno, że jesteś jak Imogena i ja – powiedział. – Inaczej nie mogłabyś przejść na tamtą stronę i wrócić.

– Zatem jestem... przeklęta? – mruknęłam.

Levi prychnął.

– Na to by wyglądało. Jesteś jedną z nas.

„Jedną z nas”. A to dopiero. Nigdy dotąd nie należałam do żadnej grupy. A teraz oficjalnie byłam... czym? Szeptuchą?

Hurra?

– Co to znaczy? – spytałam go. – Przekleci? Co takiego zrobiliśmy, że nie można nam wybaczyć?

Levi wzruszył ramionami.

– Nic. Za to nasi prapraprzodkowie... ci to dopiero musieli być upierdliwi. Imogena mówi, że dopóki dobry Pan nie postanowi odpuścić nam i nie pozwoli zestarzeć się i umrzeć jak normalnym ludziom, musimy pracować, aby odkupić ich winy.

– Dobrze wiedzieć.

Nie było to coś, o czym chciałoby mi się myśleć. Zerknęłam z ukosa na Leviego, podziwiając sposób, w jaki światło całowało łązy wytatuowane na jego policzku.

– Jeśli zdejmę bransoletkę, będę mogła cię dotknąć, nie sprawiając ci bólu?

– Prawdopodobnie, ale nie rób tego.

Dłoń drgnęła mu, jakby chciał położyć palce na moim kolanie. Chciałam, aby to zrobił, ale wiedziałam, że nie może.

– Może ci się kiedyś przydać, a ja wolałbym, żebyś była zabezpieczona, niż żebyś potem miała żałować.

– Kiedy będę mogła wrócić na tamtą stronę?

Roześmiał się.

– Kiedyś.

Odchyliłam się do tyłu, opierając głowę o jeden z wielkich dzwonów.

– Rany, kiedy *kiedyś* w końcu przyjdzie, nie dam mu chwili wytchnienia.

Levi znów się roześmiał. Słuchanie tego śmiechu sprawiało mi przyjemność.

– Imogena czeka – powiedział. – Udzieli ci kilku lekcji o krwi Madoca, marach, zmorach, widmach, strzygach, upiorach i takich tam. Większą część życia poświęciła na sporządzanie opisów każdego ducha, jakiego spotkała w Lincolnie, i zamierza nauczyć cię wszystkiego, czy tego chcesz, czy nie.

– O, radości – mruknęłam. – Nie mogę się doczekać. Wciąż zamierzam dostać się do college’u, wiesz?

– Mnie to nie przeszkadza. – Levi wstał. – Lubię inteligentne dziewczyny.

Widziałam, że odruchowo chciał podać mi rękę, ale powstrzymał się.

Podniosłam się sama i stanęłam z ustami niebezpiecznie blisko jednej z jego jaskrawoczerwonych łez na policzku.

– Widziałeś Deckera i Sally, odkąd przekroczyli granicę? – wyszeptałam.

Zawahał się, ale trwało to krócej niż uderzenie serca.

– Tak. Widziałem.

Wyszczrzyłam zęby w triumfalnym uśmiechu.

– Są razem?

– Są razem.

– Szczęśliwi?

– Tak.

– Czekam...

Levi przewrócił oczami. Potem odchrząknął i oznajmił:

– Ty miałaś rację, ja się myliłem.

– Widzisz? Nie jestem tu jedyną osobą, która może się czegoś nauczyć.

– A króliki nie są jedyną rzeczą, jaką mogę karmić swoje psy.

Zamachałam mu palcami pod nosem.

– Uuu, tak się boję. Powiedz, czemu zgrywasz takiego złego demona?

Uśmiechnął się krzywo.

– Może jestem zły.

– Nie kupuję tego. – Patrzyłam mu prosto w oczy i to Levi pierwszy odwrócił wzrok.

– Imogena to sama światłość, ale ja... – Wzruszył ramionami. – Przez długi czas byłem smutny i rozgniewany. Chyba po prostu ciemność jest tym, co rozumiem najlepiej. Używam jej do wypełniania swoich obowiązków w Lincolnie.

– Można rozumieć ciemność, samemu nie będąc mrocznym, Levi.

Nie uwierzył mi. Widziałam to w jego oczach. I miał dość tej rozmowy, co mogłam zrozumieć. Postanowiłam dać mu spokój. Na razie.

Levi prześliznął się koło mnie, zanurkował pod dzwonami i zszedł z wieży,

powracając do rzeczywistego świata przez malowane niebo.

Nim ruszyłam za nim do szpitala, położyłam dłoń na jednym z dzwonów i mocno pchnęłam.

CZĘŚĆ DRUGA

GŁÓD

Dariusz

Rozdział 8

Babcia Betty nie urodziła się niewidoma, ale była niewidoma, kiedy zmarła w Szpitalu Psychiatrycznym imienia Lincolna. Niewidoma i kompletnie obłąkana.

Zapewniam, że nie bez powodu.

– Dariusz – wymamrotała za swojego łóżka na oddziale geriatrycznym.

Pochyliłem się nad nią, aby mogła zacisnąć dłoń na wisiorku, który podarowała mi, kiedy byłem mały. Był to skamieniały drewniany kolec dorównujący długością mojemu palcowi wskazującemu, cały czarny i ukształtowany jak ząb rekina.

Słońce wdzierало się do sali przez malutkie lufciki na górze kamiennych ścian, rozsiewając światło i ogrzewając wszystko oprócz babci. Jej ciało tak zawzięcie broniło się przed ciepłem, że w żaden sposób nie potrafiła się rozgrzać. Ująłem ją za rękę, a ona szarpnęła drugą – tą, w której trzymała wisiorek – przyciągając mnie do siebie, aż moja twarz znalazła się kilka centymetrów nad tymi poblížnionymi białymi plamami, na miejscu których dawniej znajdowały się jej oczy.

– Tak mi przykro... – wyszeptała. – Tylko ja je powstrzymywałam, ale teraz muszę już odejść.

Głos jej drżał, ale ogień, który strawił jej twarz, wysuszył też łzy. Nie potrafiła już płakać.

Nikt oprócz niej nie wiedział, w jaki sposób została poparzona w dniu, w którym zginął mój dziadek, ale wiadomo było, że doszło do jakiejś eksplozji. Płomienie, które spopielili Effa Leera, przypaliły także babcię. Zdaniem mamy to, że przeżyła, zakrawało na cud. Jeśli chodzi o dziadka, to nikt po nim nie płakał.

Kłopoty z psychiką babci zaczęły się po pożarze. Najpierw miewała okresy, w których nawiedzały ją koszmary, a wtedy krzyczała i próbowała uciekać z domu, ale mama i tata nie chcieli oddać jej do zakładu. Szczęście, że Panu Bogu podobało się obdarzyć mnie masą i siłą. W wieku osiemnastu lat mierzyłem metr dziewięćdziesiąt pięć centymetrów i ważyłem sto trzynaście kilo, więc radziłem sobie z babcią aż do czasu, kiedy rozchorowała się bardziej, zaczęła zapominać i biła mnie, kiedy próbowałem ją chronić.

– Nie odchodź jeszcze – powiedziałem, a strach przed jej utratą aż bolał mnie w piersi. – Zaczekaj na mamę. Poszła na lunch.

To było głupie. Śmierci nie obchodziło, jak bardzo kocham swoją babcię ani to, że nauczyła mnie śpiewać, golić się i przyszywać guziki do koszul, choć miałem ogromne paluchy. Nie obchodziło jej, że babcia walczyła z rakiem i demencją całe trzy lata dłużej, niż przepowiadali jej lekarze. Śmierć pachniała jak grzyb zarastający ciemne zakamarki i brzmiała jak chrobot w oddechu babci.

– Co ja zaczęłam, ty musisz skończyć – powiedziała babcia tak cicho, że z trudem zrozumiałem słowa.

Nie miały dla mnie żadnego sensu, ale babcia nie powiedziała nic sensownego od dwóch tygodni. Zbyt dużo morfiny. Potrzebowała jej, żeby nie wyć z bólu.

Nie doczekawszy odpowiedzi, zaczęła się denerwować. A może był to strach?

– Dariuszu Hyatt, czy ty mnie słuchasz?

– Tak, babciu. – Ścisnąłem lekko jej palce, pozwalając, aby przyciągnęła mnie jeszcze bliżej za drewniany wisior.

Nasze nosy niemal się zetknęły. Jej oddech pachniał dojrzałymi truskawkami, prawdopodobnie dzięki lodom, którymi nakarmiłem ją wcześniej. Była tak blisko, że widziałem ją nieostro. Przez kilka sekund wydawała mi się znów młoda. I znów miała oczy. Patrzyła nimi prosto w moje.

Na myśl o wpatrującej się we mnie niewidomej babci dziwnie zakołatało mi serce.

– Ty zawsze widzisz prawdę – powiedziała, a życie wypływało z niej coraz szybciej. – Patrz uważnie.

Ze świstem wciągnęła jeszcze jeden haust powietrza. Starcza ręka drgnęła, przyciskając mój gorący policzek do zimnej skóry, a potem jej bezruch stał się stanowczo za bardzo nieruchomy.

I wtedy babcia powiedziała coś jeszcze.

Przysięgam, że tak było.

Jej martwe usta poruszyły się, a martwy głos wyświszczał jej ostatnie słowa prosto w moje ucho.

– Tym razem będzie *głodne*.

Rozdział 9

– Nie do wiary, że wzięłaś tę robotę – fuknęła gniewnie mama, po czym zatrzymała swój wózek w drzwiach mojej sypialni. Gdybym chciał wyjść, musiałbym wspiąć się po niej. – Obie twoje babcie *umarły* w tym szpitalu.

– Obie moje babcie były stare i obie postradały zmysły. – Naciągnąłem na tors żółtą koszulkę z napisem Lincoln ochrona, rozmiar XXXXL, wersja dodatkowo wydłużona, z krótkim rękawem, ponieważ był czerwiec i Never w stanie Kentucky przypominało rozpaloną patelnię. – To nie szpital je uśmiercił.

– Nie byłabym taka pewna – wymamrotała mama. – Śmierć traktuje tę dziurę jak jakiś plac zabaw.

Ciemna skóra wokół jej oczu napięła się, usta nabrały powietrza, szykując się do wystrzelenia kolejnej salwy argumentów. Nie czekając na nie, przypuściłem kontratak:

– Od przyszłego semestru będę bulił pięćset dolców czesnego za szkołę. Muszę mieć coś lepszego od przewracania burgerów.

Wydeła wargi, aż jej usta wydały się trzy razy większe niż w rzeczywistości.

– Gdybyś miał normalną rentę po tacie, starczałoby ci na szkołę.

Porwałem czarną baseballówkę dołączoną do mojego nowego uniformu, pochyliłem się nad mamą i pocałowałem ją w czoło. Nie było sensu zaczynać kolejnej rozmowy na ten temat. To były stare rany i nic, co mógłbym naprawić. Tata był wykonawcą cywilnym na armijnym kontrakcie i zginął w Afganistanie, kiedy miałem sześć lat. Cywile nie dostawali takich odszkodowań jak żołnierze, więc jego firma zapłaciła nam dość, żeby starczyło na pogrzeb, a potem zostawiła samym sobie. Mama uczyła w podstawówce w Never, dopóki dwa lata temu cukrzyca nie zabrała jej stóp. Ja dostałem parę drobnych stypendiów, kiedy w zeszłym miesiącu skończyłem ogólniak, ale potrzebowałem więcej – na książki, żeby odłożyć na semestr wiosenny i trochę odciążyć mamę w płaceniu rachunków.

– Wypuścisz mnie? – starałem się wyglądać na spokojnego, żeby mama przestała się martwić. – Wolałbym się nie spóźnić pierwszego dnia po przeszkoleniu.

Potrząsnęła głową z dezaprobatą.

– Wyglądasz jak wielki stary trzmiel w tym żółtym i czarnym. Żaden syn Leli Hyatt nie wyjdzie z tego domu przebrany za robactwo.

Obecność babci Betty zdawała się szeptać w naszym starym domu, przenikając drewniane podłogi, sącząc się z białych malowanych ścian i owijając się wokół mnie w bezcielesnym uścisku. Mój uśmiech drgnął od przyływu tęsknoty, ale zignorowałem ból. Od pogrzebu minęły dwa tygodnie. Najwyższy czas się pozbierać. Tyle że z wiekiem mama coraz bardziej przypominała babcię Betty – w mowie i w zachowaniu też. Miałem wielką nadzieję, że mama nigdy... no wiecie, nie zeświruje jak babcia.

– Przesuń się albo sam cię przestawię – powiedziałem do niej. – Wiem, że dasz mi w twarz, kiedy to zrobię.

Mama wydała z siebie głębokie westchnienie, a potem przetoczyła się na bok, robiąc mi przejście do drzwi.

– Siłą cię przecież nie zatrzymam – zrzędziła. – Nie byłam w stanie cię udźwignąć, od kiedy skończyłeś dwa lata.

Spojrzałem na zegarek na mojej szafce nocnej: druga zmiana zaczynała się za pół godziny. Do Lincolna miałem dziesięć minut jazdy, ale po drodze musiałem zabrać Jessiego, a chciałem jeszcze zostawić sobie parę minut na kawę.

Nie udało mi się minąć wózka mamy, bo złapała mnie za rękę, a kiedy spojrzałem w jej ciemne oczy, te zaszklily się od łez i usłyszałem pytanie:

– Co mama ci powiedziała, zanim umarła, Daruś? Powiedz mi jeszcze raz.

Kolec na mojej piersi wydał mi się dość gorący, by przepalić mi się przez skórę i zapuścić ogniste korzenie w moim sercu.

Będzie głodne.

Słowa kołatały mi się w głowie, wypowiedziane martwym, chrapliwym głosem babci. Próbowwały wydrzeć mi się z ust, ale nie zamierzałem im na to pozwolić. Znów delikatnie ścisnąłem mamę za palce i powtórzyłem to samo kłamstwo, którym zasłaniałem się, od kiedy spytała mnie po raz pierwszy.

– Babcia kazała ci powiedzieć, że bardzo cię kocha.

Rozdział 10

– Jesteś pewny, że chcesz pracować w wariatkowie? – Jessie Sullivan wyciągnął się na fotelu mojego starego forda pickupa, który dziarsko połykał drogę łączącą Starbucksa z Lincolnem. – Bo wiesz, w twojej rodzinie miałeś chyba parę czubów, nie? Nie chcę nic mówić...

– Weź się zamknij. – Posłałem mu spojrzenie nasączone udawanym gniewem.

Niestety miał rację, i moja mama także. Obie moje babcie zmarły w Lincolnie, a wśród dalszych krewnych też było parę osób, które raz po raz trafiały na wesołą farmę na kilkumiesięczną kurację. A jeśli chodzi o dziadka, to powinno się go zamknąć w więziennej piwnicy i karmić przez dziurę. Albo lepiej: posadzić na krześle elektrycznym. Wstrzyknąć truciznę. Coś w tym guście.

Czy każdy z historią szaleństwa w rodzinie musi bać się, że prędzej czy później jemu też odbije palma?

Bawiąc się swoją rudą kitą, Jessie wyszczerzył zęby w kpiarskim uśmiechu.

– Przynajmniej trafiła ci się łatwa fucha. Łaźnienie w kółko, świecenie latarką, wypinanie klaty, udawanie, że się pilnuje porządku i tak dalej. Ja utknąłem na opiece bezpośredniej. Będę chodził po oddziałach i pilnował, żeby ludzie jedli, nie wyskakiwali z ciuchów i w ogóle zachowywali się jak trzeba.

– Jak ci się nie podoba, zabieraj swój smutny zad z powrotem do Maca i zarabiaj o dwa dolce na godzinę mniej niż ja.

Jessie się roześmiał. Potrzebował kasy bardziej niż ja, bo nie miał żadnego stypendium i nie odłożył dość gotówki, żeby zapłacić za swój pierwszy semestr nauki.

Mój telefon rozśpiewał się, zagłuszając Króla Pyskaczy. Miałem słuchawkę w uchu, więc stuknąłem ją i zagałem:

– Hej, mała.

– Nudno tu, Dari. – Głos Triny Martinez zabrzmiał jak muzyka w moim uchu, bezceremonialnie wyrzucając mi z głowy Jessiego, szalone babcie i pieniądze. – Kiedy przyjedziesz mnie odwiedzić?

Patrzyłem na drogę, ale przed oczami miałem tylko jej olśniewające obłóci opięte spłóviałym dżinsem i jasnoniebieską koszulką Uniwersytetu Kentucky. W tamtej chwili była już na uczelni, w Lexington, bo zaczęła w letnim semestrze biologię na pełnym stypendium. Bo była taka dobra w nauce

i w ogóle we wszystkim, co robiła. Uwielbiałem jej bystrość. I jej niesforne kręcone włosy, i wielkie czarne oczy, i ten słodki, słodki uśmiech. Była moją dziewczyną od naszego pierwszego licealnego tańca.

– Może w niedzielę – odpowiedziałem. – Jeśli uzbieram na wachę.

Radosny dźwięk, jaki wydała, wprowadził moje serce w wesoły łomot i wiedziałem, że zdobędę pieniądze na benzynę, choćbym miał wydłubywać drobniaki spomiędzy poduszek kanapy. Trina była jedyną osobą, dla której byłem gotów rozwalić swój budżet. Wyjechała przed czterema tygodniami i tęskniłem za nią zbyt mocno, abym mógł to opisać. Zaczęła opowiadać mi o zajęciach, o planowanym wypadzie z koleżankami na hamburgery i o tym, jak wszyscy tam lubią pić o wiele bardziej niż ona.

– Nie przegap skrętu – powiedział Jessie, a ja i tak omal go nie przegapiłem.

Z wielką niechęcią powiedziałem Trinie, że muszę kończyć, wyłączyłem słuchawkę i wyłuskałem ją z za ucha, wprowadzając forda w szpitalną bramę. Patrzyłem w bok, obserwując wymalowane na asfalcie linie, specjalnie nie zwracając uwagi na dom pod wieżą. Dzwonnica Lincolna górowała nad całym miastem i nie lubiłem na nią patrzeć. Kiedy byłem mały, zawsze wydawała mi się jakaś dziwna, jakby jej szczyt był nieco rozmazany, a może źle ukształtowany, czy coś. Przez całe życie słyszałem, że kiedy biją dzwony szpitala, wariaci wychodzą na ulice. Gdyby dzwony odezwały się w nocy, należało nie wychodzić z domu i zamknąć drzwi na klucz.

– Czy twoja babcia Betty nie powtarzała zawsze, że zdarzyło się tu zbyt wiele morderstw i zbyt wiele tragedii, żeby człowiek mógł nie zwariować? – spytał Jessie.

Wzruszyłem ramionami i zająłem wolne miejsce parkingowe.

– Babcia Betty, o czym tak lubisz mi przypominać, sama była wariatką.

– No to pojechałeś, stary.

– A ty za dużo gadasz.

Przestał mówić i zaczął droczyć się ze mną, wydając z siebie różne odmiany obłąkanego chichotu.

Ignorując go, ruszyłem do tylnego wejścia, gdzie mieliśmy się zarejestrować. Podczas tygodniowego szkolenia wstępne powstrzymywanie się od myślenia o upiornościach szło mi całkiem nieźle, ale dzięki Jessiemu mrok na nowo rozpanoszył się w moim umyśle. Oto byłem w Lincolnie, skąd nie mogłem odejść przez następnych osiem godzin. Kolec na mojej piersi znów zaczął grzać mi skórę, aż szarpnąłem za rzemyk i sięgnąłem za koszulkę, aby zmienić jego położenie. Działo się tak, odkąd umarła babcia – zmieniła

temperaturę według własnego widzimisię. Albo niektóre wisiorki mogły być nawiedzone, albo zaczynałem mieć dziwaczne imaginacje. Prawdopodobnie nie powinienem był przyjmować posady w szpitalu dla psychicznie chorych.

„Albo Lincoln, albo college dopiero za rok”.

Musiałem o tym pamiętać.

Ale z tym miejscem *naprawdę* było coś nie tak. Psychiatryk był jakiś taki... ciernisty.

– Pewnego dnia, Dari, ty też ześwirujesz. Wiesz o tym, co nie? – Jessie zaniósł się kolejną odmianą szalonego chichotu.

– Nie przed tobą, durniu.

Puściłem kolec, przeszedłem przez próg i zatrzasnąłem drzwi za sobą, zanim Jessie zdążył je złapać.

– Widzisz?! – wrzasnąłem przez szybę, uśmiechając się szyderczo. – Już gadasz do siebie.

Odwróciłem się i pogałem naprzód, żeby utrzymać się przed nim w drodze do zegara, a kiedy wypadłem na długi bezokienny hol działu ochrony i zatrzasnąłem przed Jessiem kolejne drzwi, przyszła moja kolej na wybuchnięcie szyderczym rechotem. Biedak fukał i mamrotał przekleństwa, aż w końcu wetknął klucz do zamka, tuż po tym, jak przeciągnąłem identyfikator przez czytnik zegara, rejestrując swoje istnienie.

Większość drzwi było zamkniętych, a jedna z dużych lamp pod sufitem nie świeciła, przez co odcinek holu pod nią był ciemniejszy od reszty. Miejsce wydawało się opustoszałe, dopóki Jessie nie wtarabanił się do środka, wciąż przeklinając mnie za przyblokowanie go na zewnątrz. Przeciągnął kartę przez czytnik w samą porę, aby się nie spóźnić, po czym oznajmił:

– Dobra, zmywam się stąd. Dziś mam, zdaje się, trzecie piętro.

Pożegnałem go jednopalcowym salutem.

– Miłego zmieniania pieluch.

– Wal się, Dari. – Jessie uśmiechnął się, a potem przepchnął przez wyjście ewakuacyjne i pogał do windy.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem i w półmrocznym holu znowu zrobiło się cicho. Potrząsnąłem głową, patrząc za Jessiem, po czym odwróciłem się, żeby sprawdzić własny przydział. Kiedy spojrzałem na suchościeralną tablicę przy zegarze, wyklejone taśmą linie zdawały się delikatnie skrzyć w słabym świetle.

Zmarszczyłem brwi. Na serio nie miałem czasu na ten szajs. Dlaczego mój mózg musiał mi to robić? Dziwne rzeczy przydarzały mi się bez przerwy od małego. Babcia nazywała to dostrzeganiem prawdy, ale ja z czasem doszedłem do wniosku, że to rodzinna szajba zaczyna wpływać na wierzch, żeby

zaprosić mnie do klubu świrusów. Otrząsnąłem się z ciarek, położyłem palec na tablicy i odszukałem swoje nazwisko.

„Dariusz Hyatt”.

A obok jedno słowo.

„Tunel”.

Litery zamigotały, moje trzewia zatańczyły oberka i na krótką chwilę wszystko rozmazało się jak dzwonnica za każdym razem, kiedy patrzyłem na jej szczyt.

Czyjaś dłoń złapała mnie za ramię i omal nie wrzasnąłem.

– Dałem ci coś łatwego na pierwszy dzień – powiedział kapitan James swoim donośnym głosem musztrującego sierżanta.

Serce biło mi z podwójną szybkością, kiedy odwracałem się, aby na niego spojrzeć. Jego twarz wyglądała dziwnie. Zbyt ostro. Jak skóra naciągnięta na czaszkę, napięta do granicy wytrzymałości. Szcherzył się do mnie, co mi nie pomagało, ale mimo wszystko zmusiłem się do odpowiedzenia uśmiechem.

Polubiłem tego gościa na rozmowie kwalifikacyjnej i wydawał się fajny przez całe szkolenie. Dlaczego teraz wyglądał tak złowrogo?

Nie, nie wyglądał.

Teraz znów był dawnym sobą – starszawym facetem w czarnej czapce i żółtej koszulce. Z mnóstwem piegów, jak Jessie, i plamami wątrobowymi na nosie.

Jeden oddech. Drugi oddech. Nie przestawałem się uśmiechać. Przekonywałem siebie, że dam sobie radę. Nie traciłem zmysłów jak babcia.

– Chodźmy. – Kapitan James wskazał kciukiem drzwi. – Pokażę ci drogę.

„Na to bym nie liczyła” – zadrwiła samotna myśl głosem mamy, a także babci, sarkastycznym i zdenerwowanym.

Przez jedno tyknięcie zegara kapitan James znowu wyglądał jak czaszka obciążona skórą.

Ale i tak za nim poszedłem.

Rozdział 11

– Dostęp do tuneli miał każdy budynek, dopóki nie zaczęliśmy zamykać przejść – wyjaśniał kapitan James, prowadząc mnie długim i krętym chodnikiem do świetlicy. – Główne wejście jest w kotłowni, a odnogi rozchodzą się jak królicze nory pod całym terenem. Zasklepienie ich jest jak rozpracowywanie labiryntu. Ta dziura otwarła się, kiedy wysadzaliśmy tunel tuż obok niej. Jest za wielka, żeby ją szybko załatać, więc stawiamy tu ludzi na warcie, żeby jakiemuś pacjentowi nie stała się krzywda.

Zabębniłem palcami o krótkofalówkę przypiętą do mojego paska i siląc się na nonszalancki ton, spytałem:

– A dużo pacjentów kręci się za świetlicą?

– Nie powinni wychodzić z sali gier bez kogoś z personelu, ale różnie bywa.

Kapitan sadził długie kroki. Facet miał swoje lata, ale był emerytowanym wojskowym, wyższym ode mnie, i poruszał się tak zwawo, że zaczynałem się pocić. Od bramy wjazdowej do celu naszej wędrówki były jakieś trzy kilometry.

Skręciliśmy na wysadzaną drzewami aleję. W oddali, po prawej stronie majaczyła wielka waląca się stodoła. Z tego, co pamiętałem, dawniej była pomalowana na biało, ale teraz poczerniała farba łuszczyła się na deskach, a część dachu przegniła i zawaliła się. Po mojej lewej stronie stał wyglądający na nowszy kamienny budynek z napisem świetlica wymalowanym wielkimi literami na drzwiach.

Kapitan James skręcił za róg kamiennego budynku, łuskając białą łysiną przez siateczkę swojej czapki. Za świetlicą wyszliśmy na płaską przestrzeń o rozmiarach parkingu pod supermarketem, ciągnącą się w stronę ściany gęstego lasu. Były tam boisko do koszykówki, dwa boiska do siatkówki i piaskownica z kołkiem. Wszędzie walały się karykaturalnie duże plastikowe podkowy – czerwone i niebieskie, i żółte, i zielone, leżące wśród kamieni, odłamków cegieł, okruchów zaprawy, przysypane ziemią.

Kapitan zatrzymał się i gestem wskazał budynek.

– Ot, i cały bałagan.

Spojrzałem i wzdrygnąłem się na widok wyrwy w prawym boku świetlicy. Była wielka i okrągła, z bielejącymi w środku stertami gipsu i gruzu w miejscu zawalonych ścian. Tam gdzie powinna być podłoga, ziała mroczna jama i byłem pewien, że ziemia schodzi w tym miejscu w dół, prowadząc prosto do

owego króliczego labiryntu, o którym wspominał kapitan.

Nic dziwnego, że ktoś musiał tego pilnować. Ta dziura mogłaby połączyć maszerującą orkiestrę dętą. Okolony wyszczerbionym murem, z czarną pustką w głębi, otwór wyglądał jak paszcza.

Radio przy moim pasku pisnęło, a głos babci Betty wysyczał:

– Głodne!

Moje serce szarpnęło się mocno i boleśnie. Wzrok powędrował do kapitana Jamesa, ale ten nie dał po sobie poznać, że słyszał to samo co ja. Skinął tylko na faceta w uniformie ochrony siedzącego na składanym krzeselku nieopodal paszczy – dziury – przy stoliku z małą czerwoną lodówką turystyczną i powiedział:

– To twoje stanowisko. W chłodziarce jest parę butelek wody.

Facet przy stoliku wstał i pomachał do nas.

Kapitan odmachął i facet oddalił się w stronę głównych zabudowań szpitala, pozostawiając krzesło – puste, odwrócone wyczekując w moją stronę.

– Daj znać przez radio, jak będziesz chciał się odlać – powiedział kapitan James. – Około siedemnastej podeślę ci zmiennika, to skoczysz sobie na obiad.

Nie mogłem przełknąć śliny, a tym bardziej wykrztusić choćby słowa, więc tylko pokiwałem głową. Mój wzrok znów pobiegł w stronę dziury w ścianie, dłoń obróciła gałkę krótkofalówki, aby ściszyć trzaski i głosy gawędzących przez radio ochroniarzy. Dzień był gorętszy, niż powinien być. Pot spływał mi z czoła i palił oczy, aż zaczęły łzawić.

– Znałem go, wiesz? – Głos kapitana brzmiał beznamiętnie i upłynęła długa sekunda, zanim dotarło do mnie znaczenie jego słów.

– Go... – powtórzyłem mimo woli.

Zdętwiały mi usta. Nie mogłem patrzeć na kapitana. Nie mogłem *nie* patrzeć na dziurę. Wiedziałem, o kim mówi, i byłem prawie pewien, że nie chciałem usłyszeć reszty tego, co miał mi do powiedzenia.

– Byłem wtedy chłopcem.

Przerwał. Odchrząknął.

– Przyjeżdżał swoją lodziarką na moje osiedle.

Kolejna pauza. Nerwowy krótki śmiech.

– Nigdy nie zapomnę tej melodyjki, wiesz? Dziecięca piosenka. Właśnie tak łapał swoje ofiary. No wiesz... dzieciaki, które mordował.

Nie poruszyłem się. Nie drgnął mi żaden mięsień. Dziura przed moimi zastygłymi oczami promieniowała swoją ciemnością, a krótkofalówka trzeszczała głosami, których nie mogłem zrozumieć.

Kapitan klepnął mnie dłonią w ramię, aż podskoczyłem. Mimo wszystko nie spojrzałem na niego.

– Przepraszam – powiedział. – Musiało być ci ciężko, no wiesz, dorastać w cieniu tego łajdaka.

Ponieważ wciąż nie odpowiadałem – nie mogłem odpowiedzieć – dodał: – Na twoim miejscu, synu, nie przejmowałbym się tak. Nie jesteś taki jak on.

A potem kapitan James odszedł, zostawiając mnie tam stojącego jak wielki przygłup, niepewnego, czy powinienem na to gwizdać, olewać to, czy wiać do domu.

Minęło pięć długich minut, zanim mój mózg pozbierał się na tyle, aby móc zaprowadzić mnie do bielejącego w słońcu stolika i posadzić na krześle. Składany mebelek zatrzeszczał, jakby miał rozlecieć się pod ciężarem mojego wielkiego tyłka, ale wytrzymał, a ja znów zamarłem w bezruchu, zapatrzony w czarną jamę.

Minęła minuta.

Może ta praca to faktycznie słaby pomysł.

Kolec na mojej piersi łapał promienie popołudniowego słońca i palił mi skórę pod żółtą koszulką.

Minęła kolejna minuta.

Od potu zrobiło mi się wilgotno pod czapką.

Może ta praca to naprawdę fatalny pomysł.

Trzecia minuta, potem czwarta, potem piąta...

I wtedy rozległa się muzyka, cicha i odległa, gdzieś głęboko w czarnej paszczy z kamiennymi zębami.

„Pach! Nie ma szczurka” – Nuty rozbrzmiewały jedna po drugiej nieśpiesznie i z metalicznym pobrzękiem, jakby płynęły z wielkiej katarynki albo megafonu staroświeckiej furgonetki sprzedawcy lodów.

Rozdział 12

– Nie mam zamiaru o tym dyskutować. – Mama rzuciła mi gniewne spojrzenie spod przymrużonych powiek, ściskając podłokietniki swojego wózka. Wyglądała na wymęczoną w swoim szlafroku, z czarno-siwymi włosami sterczącymi w różne strony. – Zwłaszcza o drugiej w nocy.

– Mamo...

Odwróciła ode mnie głowę i wbiła wzrok w ścianę sypialni.

– Nic z tego, Dariuszu Hyatt. Ten człowiek nie żyje. Zostawmy ten temat w spokoju.

Usiadłem w fotelu naprzeciwko łóżka i przypomniałem sobie, co kapitan James powiedział o dorastaniu w cieniu Effa Leera. Dawniej dokuczano mi trochę z powodu dziadka potwora, ale zaczepki ustały niemal zupełnie, kiedy w wieku trzynastu lat przekroczyłem metr osiemdziesiąt wzrostu. Przez co musiała przechodzić mama? W szkole? W kościele? W okolicy? Wolałem o tym nie myśleć.

– Przepraszam. Wiem, że jest późno. – Przez kilka sekund w skupieniu oglądałem swoje knykcie, po czym podniosłem wzrok na mamę i spróbowałem jeszcze raz. – Chciałem dowiedzieć się czegoś sam, ale w necie prawie niczego nie ma, a w bibliotece, w archiwum gazet, brakuje akurat tych roczników.

Spojrzenie mamy przesunęło się na jej kolana, a mnie uniosły się powieki. Jasne. Już wiedziałem, w jaki sposób zniknęły gazety.

Kiedy znów na mnie spojrzała, ogarnęło mnie poczucie winy. Musiałem powiedzieć jej prawdę, jeżeli chciałem, aby odpłaciła mi tym samym.

– Słuchaj, ja... czasem słyszę dziwne rzeczy. Czasem nawet je widzę. Szczerze mówiąc, jest mi coraz trudniej nie zwracać na nie uwagi.

Mama nie wypowiedziała ani jednego słowa, ale oczy jej rozbłysły, jakby rozświetlone mieszanką strachu i szaleństwa. Niemal słyszałem, co sobie myśli. „Głosy. Halucynacje. Nic z tego, Dariuszu Hyatt”.

– Dziś w Lincoln słyszałem muzykę. Jak z samochodu-lodziarki. Grało Pach! Nie ma szcurka.

Mama szarpnęła się tak gwałtownie, że jej wózek zatrzęsł się z grzechotem. Zakryła twarz dłonią.

Byłem zły na siebie. Słowem nie wspominałem o tunelu ani o tym, jak trzymałem wartę za świetlicą, pocąc się i słuchając upiornej melodyjki przez długie godziny, aż zjawił się mój zmiennik, a ja wróciłem na blok ochrony,

biegnąc prawie przez całą drogę. Nie powiedziałem jej, że przez cały ten czas, kiedy grała muzyka, ja po prostu siedziałem jak tchórz, gotów napaskudzić w spodnie, ale wciąż niegotowy na utratę pracy ani nie dość głupi, żeby pójść na poszukiwanie źródła tych dźwięków.

– Ja już nie wiem, mamu, czy to coś z moją głową, czy jak. No wiesz... jak problemy babci Betty. To jakby rzeczy z przeszłości; rzeczy, które dzieją się pod terażniejszością.

Mama widywała takie rzeczy. Uczyła w szkole i chodziła do kościoła, i próbowała wymodlić się z tego, ale wiedziałem, że to wciąż jej się zdarza. Czasem przyłapywałem ją na wpatrywaniu się w te same przedmioty, które przykuły także moją uwagę, albo nasłuchiowaniu ciszy, dokładnie tak jak ja.

Nie odejmowała dłoni od twarzy. Patrząc przez palce, wymamrotała:

– Eff Leer zginął, kiedy sama byłam jeszcze dzieckiem, chłopcze. A duchów nie ma.

– Powiedziałaś mi, że policja nie znalazła jego zwłok. Tylko babcię, całą poparzoną, kiedy szła wzdłuż drogi.

Cokolwiek wydarzyło się tamtej nocy, babcię zamknięto potem w Lincolnie na jakieś dwa lata. Nie mieli wtedy oddziału oparzeń i babci omal nie zabiła gangrena. Tyle wiedziałem od mamy. Dlaczego nie chciała powiedzieć nic więcej?

– Skąd pewność, że on zginął?

Mama wzdrygnęła się.

– Nie żyje. Możesz mi wierzyć.

Pochyliłem się ku niej.

– Ale skąd to wiesz?

Nawet nie próbowała na mnie spojrzeć. Wydało mi się, że do pokoju nagle wtargnął chłód. Ciarki przebiegły mi po grzbiecie, a kiedy wypuściłem z płuc powietrze, zobaczyłem parę. A potem obok wózka uformowała się szepcząca chmura. Nie miała konkretnego kształtu, ledwie ruchomy zarys, ale wiedziałem, czym jest.

– Mamu – szepnąłem ze wzrokiem utkwionym w unoszącej się obok niej zjawie.

Powinienem być przerażony, ale czułem raczej zadziwienie. A może też zadowolenie? Nie, stanowczo coś było ze mną nie tak!

Mama zachowywała się, jakby nie widziała chmury obok siebie, ale byłem pewny, że drży. Jej dłoń spłynęła z powrotem na kolano.

– Twoja babcia miała pełną kieszeń zębów. I niosła siekiere.

– Co? – bąknąłem.

Skóra cierpła mi od zimna, mój mózg także.

– Miałam nie tylko siekierę – wyszeptała chmura w kształcie babci Betty głosem jak śnieg padający na dalekie wzgórze.

– Nie tylko siekierę – powtórzyłem, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

– Co zaczęłam, ty musisz skończyć – oznajmiła chmura i wyczułem w tych słowach rozczarowanie, jakby było jej smutno, że wciąż nie zająłem się tą sprawą. – Ono jest bardzo głodne, Dariuszu.

Wargi mamy drżały; w kąciку jej oka zaszklila się łza.

– Miała siekierę. I niosła... Niosła też część jego głowy.

Chmura westchnęła, zakłębila się i w rozbłysku tysiąca iskierek rozwiała, pozostawiając pustkę. Czy ja to naprawdę widziałem? Czy duch mojej babci Betty naprawdę zjawił się tu przede mną? Mówił do mnie?

I co to znaczy, że niosła część jego głowy?

Znowu skupiłem uwagę na mamie, w pokoju zrobiło się cieplej.

– To były inne czasy – mówiła mama. Ramiona obwisły jej tak nisko, że trudno było ją usłyszeć. – Wszyscy wiedzieli, kim był mój ojciec... Co zrobił. Nikt nie chciał, aby twoja babcia cierpiała za ocalenie wszystkich tych dzieci, których nie zdążył zabić. Twoja druga babcia, matka twojego ojca, Leslie, pracowała już wtedy w Lincolnie i pomogła nam, policji i sędziemu rozwiązać tę sprawę.

Wymagało to użycia całej mojej siły, ale utrzymałem nieruchomą twarz i skinąłem głową, kiedy mama spojrzała na mnie. Potem nawet wstałem, uściskałem ją, podziękowałem i pomogłem wrócić do łóżka.

– Mam album – chlipnęła, kiedy opatulałem ją kołdrą. W świetle lampki nocnej zobaczyłem, że płacze. – Jest w dolnej szufladzie mojej komody. Wiedziałam, że pewnego dnia mnie zapytasz, ale nie chciałam bez potrzeby wystawiać cię na wszystkie te okropieństwa.

Kiedy skończyłem zajmować się mamą, otworzyłem szufladę, starając się omijać wzrokiem bieliznę, przesunąłem zawartość na bok i wydobyłem spod niej spory album podobny do tych, w których ludzie trzymają pamiątkowe fotografie. Potem podszedłem do miejsca, gdzie leżała mama, pocałowałem ją w czubek głowy, zaciągnąłem hamulce w jej wózku i zgasilem lampkę.

Wróciłem do siebie, żeby poczytać o potworze.

Mama wkleiła do albumu artykuły z gazet sprzed pięćdziesięciu dwóch lat, kiedy to wszystko się wydarzyło. Było tam też kilka dokumentów policyjnych i fotografie pięciu chłopców, których zdaniem policji zamordował Eff Leer. Wszyscy mieli po sześć lat. Według raportu policyjnego Eff wyrwał im kilka

zębów mlecznych, tych ostrych na górze – kłów. Babcia miała je w kieszeni płaszcza, kiedy znaleźli ją z siekierą i makabrycznym dowodem na to, że Eff Leer nie będzie już zabijał.

Krzyczała i bełkotała coś bez sensu o złych drzewach. Twarz miała poparzoną do tego stopnia, że musieli prosić mamę, aby potwierdziła, że to ona. Przeniesiono ją do Lincolna szybko i po cichu. Informacja o śmierci mojego dziadka trafiła na pierwsze strony gazet.

Mordercę dzieci spotyka sprawiedliwy koniec w płomieniach

Widziałem już kiedyś kilka jego zdjęć, ale nigdy tak dobrych jak te. Był wysoki, jak ja, ale chudy. Miał długi nos i szpiczasty podbródek zakończony kępką brody. Przypominał mi szykownie wystrojonego Pinokia – czarnego, złożonego z drewnianych części i sterczących zawiasów. Ale moją uwagę przykuły jego oczy, szerokie i ciemne, zimniejsze niż czarny lód na zamarzniętym asfalcie. Dostawałem dreszczy od samego patrzenia na nie, więc zakryłem twarz dziadka dłonią i czytałem dalej.

W artykule napisano, że dziadek palił śmieci, pomagając sobie benzyną, ta zaś zapaliła się, wywołując pożar, w którym zginął. O dziwnej sprawie z głową nie było nawet wzmianki, ale o zębach owszem. Zebrano je i oddano rodzicom zamordowanych chłopców. O babci napisano, że jest „wstrząśnięta” zbrodniami swojego męża i „odzyskuje siły w Szpitalu Psychiatrycznym imienia Lincolna”. W artykule zacytowano też babcię Leslie apelującą do ludzi o uszanowanie prywatności mojej rodziny próbującej poradzić sobie z szokiem i tragedią.

W kieszeni zabręczał mi telefon. Wyjmując go, zobaczyłem, że zbliża się trzecia rano. Wiadomość była od Jessiego, który nigdy nie spał.

Spisz?

N – odpisałem.

Wszystkok?

T – Ściema. Byłem dobry w ściemnianiu. Jak mój dziadek. Jak moja mama. Zabręczała kolejna wiadomość od Jessiego.

Wiesz zes dup@?

To wywołało uśmiech na mojej twarzy. Wystukałem **chyba ty** i wysłałem. Potem odszukałem numer Triny i posłałem jej **kochamcie**.

Dwie sekundy później telefon zagrał piosenkę Triny, a kiedy odebrałem, powiedziała:

– Właśnie myślałam o tym, jak bardzo bym chciała usłyszeć twój głos.

„A ja właśnie się dowiedziałem, że moja babcia walnęła dziadka siekierą w łeb, a potem go podpaliła”. Musiałem z kimś o tym pogadać, ale – tak jak

wcześniej mama ze mną – nie chciałem dzielić się z Triną tymi wszystkimi okropieństwami. Są rzeczy, których po prostu nie mówi się bliskim osobom, nawet jeśli to ważne sprawy.

– Przyjeżdżasz w weekend? – spytała.

– W sobotę pracuję. – „A mój potworny martwy dziadek morderca być może straszy w tunelu pod szpitalem Lincolna”. – Spróbuję w niedzielę.

„Jeśli nie utknę na zawsze w wariatkowie”.

Trina cierpiałaby, gdybym sfiksował, więc nie mogłem do tego dopuścić, prawda?

– Będę czekać, Dari.

„Jak chmuroduch mojej babci i »Pach! Nie ma szczurka« z głębi piekła”.

Zamknąłem oczy.

– Miło mi to słyszeć, skarbie. Do zobaczenia w niedzielę.

Rozdział 13

Jakiś czas po mojej rozmowie z Triną, jeszcze zanim obudziłem się w piątkowy poranek, zaginęło dziecko.

Facet w wiadomościach powiedział, że chłopiec miał sześć lat, że nazywa się Jonasz Brown oraz że FBI i Gwardia Narodowa organizują poszukiwania. Lokalni reporterzy potrzebowali dziesięciu minut na odgrzebanie sprawy mojego dziadka. Prezenterom z ogólnokrajowych sieci wystarczyło pięć.

Zrobiłem śniadanie, wsadziłem mamę do samochodu i zawiozłem na sprzątanie naszego kościoła – na wypadek gdyby reporterzy zwęszyli, że żyje jeszcze ktoś z rodziny Effa Leera i zapukali do naszych drzwi. Nie chciałem, żeby niepokoiili mamę, zwłaszcza pod moją nieobecność, kiedy nie mogłem się nią zająć. Zadzwoiłem jeszcze do Triny, zanim poszła na zajęcia, a ona zapewniła, że mnie kocha. Potem wpadłem do Starbucksa poprzeskadzać Jessiemu zajętemu grą w sieci. Odprawił mnie wzniesionym palcem. Wygłosił też przydługi wykład o tym, że mój dziadek od dawna jest trupem i nikt nie kontynuuje jego zbrodni. Dzieciak zapewne zabłądził. Znajdą go wałęsającego się nad jakimś jeziorem albo na ranczu i wszystko wróci do normy.

Chciałem w to wierzyć. Naprawdę bardzo chciałem.

Po południu poszedłem do pracy. Kiedy w Lincolnie, spojrzawszy na tabelę przydziałów, zobaczyłem słowo „tunel” obok swojego nazwiska, nie byłem ani trochę zaskoczony. Jessiego nie było w grafiku aż do niedzieli, a kapitan James nie dawał znaku życia, byłem więc zdany na siebie.

Kilkoro pracowników ochrony dotarło do zegara w tym samym czasie co ja, więc poczekałem na swoją kolej, piknąłem identyfikatorem i wyszedłem z bloku, ruszając w długą drogę na mój posterunek. Nikt nie gapił się na mnie ukradkiem i nie słyszałem szeptów za plecami, uznałem więc, że wszystko jest w porządku. Przynajmniej na razie.

Nie było słonecznie i upalnie jak poprzedniego dnia, lecz pochmurno, ciemno i duszno – jeden z tych dni, kiedy niebo zasnuwa się stalą, a powietrze cuchnie pianą z kałuż. Zanim dotarłem na tyły świetlicy, pot zalewał mi oczy i najbardziej na świecie pragnąłem wody z lodówki turystycznej na służbowym stoliku.

Facet, którego zmieniałem, przywitał mnie udawanym salutem i oddalił się marynarskim krokiem, nie czekając, aż przecłapię ostatnie metry do stanowiska. Zasapany otworzyłem plastikowy kuferek i zobaczyłem jedną

butelkę z wodą, w dodatku opróżnioną do połowy. Świetnie. Modląc się w duchu, aby koleś nie miał tyfusu, pochłonałem to, co zostało, kilkoma solidnymi łykami. Potem napełniłem butelkę lodem i postawiłem na stole, aby zawartość rozpuściła się na słońcu.

Usiadłem na krzeselku i rozejrzałem się. Ktoś pozbierał plastikowe podkowy do rzucania i ustawił z nich stertę przy kołku w piaskownicy. Poza tym wszystko wyglądało mniej więcej tak samo jak poprzednim razem, kiedy tam byłem: duże pole graniczące z lasem, boisko do kosza i dwie siatki do siatkówki. Wszelkie kolory przygaszała stalowa szara aura, a w zgęstniałym powietrzu cisza zdawała się rozbrzmiewać zbyt głośno.

Spojrzałem na wyrwę w ścianie świetlicy i w otchłań prowadzącą ku tunelom. Wciąż przegrodzona taśmą... Zaraz... Czy tam się coś właśnie poruszyło?

Zerwałem się na równe nogi tak szybko, że butelka z lodem stoczyła się ze stolika. Tam naprawdę coś się ruszało. Wychodziło z ciemności labiryntu pod szpitalem. Ból ścisnął mi żebra. Klepnąłem się w pierś, zamykając drewniany kolec w dłoni. Czy ludzie w moim wieku mogą doznawać zawałów serca? Bo ja...

Zaraz, a to co?

W miarę jak poruszający się w mroku kształt był coraz bliżej, coraz wyraźniej widziałem żółtą koszulkę, czarne spodnie i baseballówkę, takie same jak te, które miałem na sobie.

Kapitan James pośpiesznie zanurkował pod rozciągniętymi taśmami, odwrócony do mnie najpierw ramieniem, potem plecami. Nie pomachał mi, nie przystanął ani nic, po prostu ruszył dalej. Kurczę, facet nie wyglądał normalnie. Był jakiś taki... za chudy. Za wysoki. I prawie nie byłem w stanie rozpoznać koloru jego skóry – przez chwilę wydawała mi się ciemna jak moja, ale potem zrobiła się jaśniejsza, a zaraz już całkiem jasna i miałem wrażenie, że jeśli zmrużę oczy, przejrzę go na wylot.

Oddech mi przyśpieszył. Przez głowę przemknęła myśl o ucieczce.

Zupełnie jakby wyczuł moje spojrzenie wypalające mu dziury w plecach, kapitan James zatrzymał się nagle przy narożu świetlicy. Odwrócił się powoli, jakby jednocześnie zastanawiając się, co powinien zrobić w razie odkrycia, że ktoś go obserwuje. Mimo duchoty zrobiło mi się zimno, kiedy spojrzał na mnie, uśmiechnął się krzywo i uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

Puściłem kolec i uniosłem swoją w odpowiedzi.

Machałem do czaszki obciążonej skórą – czaszki, której brakowało dwóch zębów na przedzie. Tych szpiczastych na górze.

„To wszystko jest w mojej głowie. To nie rzeczywistość”.

Chciałem krzyczeć, ale wysuszone gardło nie wydało głosu. Powietrze zaświszczało tylko, ulatując z moich otwartych ust.

Kapitan James nie zwlekał na tyle, aby moje przywidzenie zdążyło się rozwiać. Zniknął za ścianą świetlicy, a ja zostałem przy stoliku, stojąc z uniesioną ręką jak głupek. Palce zacisnęły mi się w pięść. Nie mogłem oderwać wzroku od miejsca, gdzie zobaczyłem czaszkowego potwora w stroju kapitana Jamesa. Czy naprawdę tam był? Czy tylko go sobie wyobraziłem?

Opuściłem rękę i liczyłem oddechy, aż doszedłem do stu. Kiedy byłem mały, pomagałem sobie w ten sposób odegnać strach przed dziwnościami. Tym razem pomogłem sobie poczuć się jeszcze bardziej głupio. Wydobyłem z kieszeni telefon i puknąłem palcem w ikonkę z twarzą Triny. Teoretycznie nie wolno nam było używać komórek, kiedy pracowaliśmy przy pacjentach, ale tam, za budynkiem świetlicy, jedynym obłąkańcem byłem ja.

Usłyszałem trzy sygnały, po czym włączyła się poczta głosowa. Trina wciąż była na zajęciach. Słuchałem jej słodkiego głosu, który poinformował mnie, że niestety nie może odebrać telefonu i że prosi o nagranie wiadomości. Nie byłem pewien, czy będę w stanie mówić z sensem, więc się rozłączyłem. Potem zadzwoniłem do Jessiego i poprosiłem, żeby skombinował trochę wody, paczkę lodu i coś na ząb i podrzucił mi na posterunek.

Pół godziny później, kiedy ujrzałem, jak biegnie wokół budynku w moją stronę, zacząłem oddychać normalnie.

– Stary! – sapnął Jessie na widok wyrwy, której pilnowałem. – Ale musiało łupnąć.

Podał mi ciężką torbę z butelkami wody i lodem.

– Myślisz, że coś mi zrobią za łożenie po szpitalu nie na służbie?

– Nie, jeśli przywiozłeś mi lunch – odpowiedziałem, stawiając torbę na stole.

To była totalna głupota, ale miałem uczucie, że tunel – albo to coś, co się w nim czaiło – zachowuje się przyzwoicie, ponieważ był ze mną Jessie. Żadnych upiornych szefów ochrony wypełzających na powierzchnię, żadnych koszmarnych melodyjek jak wczoraj, żadnych wirów wsysających mnie do Hadesu. Zupełnie nic. Dziura po prostu sobie była, zwyczajna i niewinna; mogłem sobie wyobrazić, że się do mnie uśmiecha.

Jessie zaczął przekładać lód i wodę do lodówki. Ja stałem, wpatrując się w wylot tunelu.

– Mojego dziadka zaciukała moja babcia.

– Żartujesz.

Nawet nie przerwał układania woreczków z lodem. Jessie już taki był. Potrafił niezmiernie irytować, ale nie miał skłonności do przedwczesnego osądzania ludzi.

Usiadłem na składanym krzeselku i poszperawszy wśród toreb z przekąskami i kanapkami, które przyniósł Jessie, wybrałem sobie jedną z wołowiną i cheddarem oraz chipsy śmietanowo-cebulowe.

Jessie rozsiadł się na ziemi obok stolika, wylosował kanapkę i otworzył sobie torebkę chrupek serowych. Przez minutę jedliśmy w milczeniu, obaj wpatrzeni w wejście do tunelu. Wreszcie przerwałem ciszę.

– Pomęczyłem wczoraj mamę i w końcu coś z niej wyciągnąłem. Babcia zarąbała mordercę siekierą, a potem go podpaliła.

Jessiemu wyrwał się krótki śmiech, prawie jak kasznięcie. Kilka kukurydzianych okruchów, czerwiejszych niż jego włosy, wylądowało na trawie przed nim.

– Wiwat, babcia Betty. – Wierzchem dłoni wytarł sobie usta. – Ciekawe, ile dzieciaków uratowała. Ale musiało jej być paskudnie ciężko – westchnął.

Opowiedziałem mu wszystko, czego dowiedziałem się od mamy, nie pomijając nawet babci niosącej część głowy mojego dziadka. Jessie nie wymiotował ani nic. Nawet na chwilę nie oderwał też wzroku od tunelu.

– A kiedy umierała – ciągnąłem, spowiadając się z tego, co dręczyło mój umysł – powiedziała coś, co wtedy potraktowałem jak gadkę pomyślonej kobiety, jak zwykle, ale teraz zastanawiam się...

Jessie nie odzywał się. Czekał, pozwalając mi wyrzucić wszystko z siebie jednym tchem. I dobrze, bo gdyby mi przerwał, chyba po prostu przestałbym mówić.

Odłożyłem na stół ostatni kęs kanapki.

– Powiedziała: „Co ja zaczęłam, ty musisz zakończyć”.

Teraz ja zamarłem w oczekiwaniu. Jessie przestał jeść swoje chrupki i po raz pierwszy oderwał wzrok od tunelu na dość długo, aby móc rzucić mi krótkie spojrzenie. Po kolejnych kilku sekundach wzruszył ramionami.

– Skoro odrąbała mu łeb i spaliła zwłoki, wygląda na to, że dokończyła to, co zaczęła.

– Tak, też tak myślałem.

„Ale ten tunel wygrywa melodyjkę furgonetki z lodami, kiedy ciebie nie ma w pobliżu, wczoraj duch babci Betty zjawił się, żeby mnie ponaglić, a teraz jeszcze zaginął dzieciak”.

Wyglądało na to, że kompletnie mi odbija. Nie było innego wytłumaczenia dla tych szalonych myśli. Coś na kształt smutku wkradło mi się do serca –

ponura świadomość, że te naprawdę obłąkane szczegóły powinienem zostawić dla siebie. Z Jessiem i Triną dzieliłem się wszystkim. Prawie.

– Twoja babcia była na pewno nieźle skołowana i przerażona, że potwór ją dorwie – powiedział Jessie, przenosząc swoją uwagę z powrotem na chrupki i tunel. – Ten dzieciak, Jonasz Brown, nie porwał go żaden duch, mówię ci. Zgubił się w lesie, czy coś.

– Wszyscy w Never na pewno już myślą, że mój dziadek wrócił. – Potrząsnąłem głową. – Nie ma to jak być wnuczkiem demona.

– Wyraży współczucia.

Zajadał dalej, dopóki się nie rozpadało – nic wielkiego, parę kropel na krzyż, ale dość, żeby poderwać Jessiego na równe nogi.

Jessie pomógł mi pozbierać pozostałe chipsy i resztę kanapek do torby, wyciągnął trochę lodu, żeby zmieściła się w lodówce, i zatrzasnąwszy wieko, potruczał do swojego zdezelowanego mustanga. Powiedział, że zaparkował niedaleko, więc na pewno za bardzo nie zmoknie. Niestety nie mogłem tego powiedzieć o sobie.

Upewniłem się, że krótkofalówka znajduje się w skórzanej kaburze, naciągnąłem czapkę na oczy i przygotowałem się mentalnie do siedzenia na deszczu. Nie było mowy, żebym spróbował schronić się przy wejściu do tunelu.

Jessiego nie było może od pięciu minut, kiedy znowu zabrzmiała furgonetkowa melodyjka *Pach! Nie ma szcurka*, tak jak poprzednio. Spojrzałem w głąb tunelu, bardziej zły niż wystraszony, ale poczułem... jeszcze coś. Ciągnęło mnie. Wabiło. Niemal rzucało mi wyzwanie.

– Możesz dać sobie spokój – powiedziałem, nawet nie próbując zastanawiać się, do kogo lub czego przemawiam. – Nie dam się wciągnąć w ten bajzel.

Muzyka ustała.

W ciszy niemal przestało bić mi serce.

Nagle upiorna melodyjka zagrała jeszcze raz, tym razem wolniej. Mój mózg sam dopowiadał słowa do kolejno rozbrzmiewających nut.

„Przez... po-le... i... przez cie-mny las...”.

– Nic z tego. Nie mam zamiaru tam schodzić.

Po każdej nucie mijały długie sekundy, jakby tunel droczył się ze mną.

„Małp-ka... go-ni-ła... szcur-ka...”.

– Jesteś trupem i pozostaniesz trupem.

„A ja nie mam zamiaru oszaleć”.

Całe moje ciało dygotało.

Zmusiłem się do odwrócenia wzroku i omiotłem spojrzeniem ścianę świetlicy. Nie musiałem patrzeć prosto w dziurę, żeby ostrzeżać przed nią

pacjentów, prawda? Mogłem po prostu rozglądać się i pilnować, żeby nikt się do niej nie zbliżył.

Może gdybym nie gapił się prosto w tę ciemność...

„Chcia-ła... tyl-ko... po-ba-wić się...”.

„PACH! Nie ma szcurka”.

Ostatnie nuty nagle przyśpieszyły, tworząc kakofonię, głośne i przeraźliwie fałszywe. Skuliłem się i zakryłem uszy.

Kiedy wreszcie odjąłem dłonie od głowy, usłyszałem inny dźwięk, dochodzący z podziemi szpitala. Ciche pociąganie nosem. Tłumione, urywane łkanie.

O, Boże.

To brzmiało jak płaczące dziecko.

Rozdział 14

Nie zwalniając, przedarłem się przez żółte taśmy. Moje palce odnalazły latarkę przy pasku i pogałem przed siebie, pod ziemią, pod szpitalem Lincolna, oświetlając sobie drogę cienkim promieniem światła.

Posadzka była ceglana, podobnie jak mury – stare, ciemnoczerwone. Poplamione. Wolałem się nad tym nie zastanawiać. Łukowate, wyoblone wnętrze miało rozmiary tunelu kolejowego. W powietrzu stał gorący, ale pochłodził, kiedy zostawiłem za sobą szary poblask dochodzący ze świata na zewnątrz. Promień latarki wydał mi się mniejszy. Pachniało ziemią, a potem brudną wodą. Ściany zbliżały się do siebie.

Pod sufitem wisały żarówki, stare i zepsute. Mój oddech brzmiał zbyt głośno, a uderzenia stóp o posadzkę odbijały się echem od ceglanych murów. Miałem wrażenie, że swoim biegiem miażdżę dźwięk, który starałem się wyłowić: łkanie dziecka.

„Proszę, niech to nie będzie prawda”.

Dzieciakiem mógł być Jonasz Brown. To mogło dziać się naprawdę. Albo byłem wariatem. Ale dopóki istniał choć cień szansy, że chłopiec trafił jakoś do tego tunelu, nie mogłem pozwolić mu tam zginąć. Moja krew, moja rodzina... Jeśli umarłbym, aby ocalić dziecko, spłaciłbym w ten sposób nasz dług.

Serce waliło mi tym mocniej, im większy ogarniał mnie mrok. Latarka zgała światłem cienie zbyt gęste, aby mogła je rozproszyć; przed sobą słyszałem płacz. Stromizna posadzki wzrosła, a ściany jeszcze bardziej zbliżyły się do siebie. Chciałem ryknąć na mury, aby się rozstały, otwierając mi drogę do chłopca.

Melodia *Szczurka* zaczęła plumkać, jakby ktoś nakręcił zwariowaną pozytywkę. Gdybym mógł dorwać tego, kto wygrywał te głupoty, przysięgam, że udusiłbym go gołymi rękami. Przez te dźwięki prawie nie słyszałem dzieciaka, choć i tak przecież mogłem biec tylko jedną drogą: prosto przed siebie i w dół. Zrobiło się paskudnie zimno, aż zacząłem szczerkać zębami. Omiotłem światłem mur po lewej stronie, potem po prawej, następnie znów po lewej. Gdybym rozpostarł ramiona, mógłbym dotknąć obu ścian. Tunel robił się coraz węższy i węższy.

Chłopiec zapłakał głośniej. Bał się.

Warknąłem z frustracji i przyśpieszyłem; światło latarki ledwie nadążało z wyławianiem z mroku stert gruzu, które groziły mi potknięciem. Bojaźliwy

głos skryty w zakamarku mojego umysłu zastanawiał się, jak wiele dzieci słuchało tej samej melodii z furgonetki mojego dziadka tuż przed swoją śmiercią.

Co trzeba mieć w głowie, żeby zabijać małe dzieci? Albo porąbać męża siekierą? Co za chore geny odziedziczyłem po tych ludziach? Nic dziwnego, że od małego świrowałem. Nic dziwnego, że słyszałem teraz głosy i muzykę, ale nie miałem wyboru – musiałem biec w dół tego tunelu, bo był rzeczywisty. Nie obchodziło mnie, co o tym pomyślą inni, ponieważ to *działo się naprawdę*.

Dłonie zacisnęły mi się w pięści, kiedy odruchowo uniosłem ramiona, aż światło latarki przesunęło się w górę i w dół. Poskręcane cienie zdawały się sięgać w moją stronę. Węże?

Uchyliłem się.

Cienie spotężniały, a korytarz stał się tak wąski, że musiałem zwolnić. Wkrótce mogłem najwyżej iść, zaciskając ramiona przed sobą, aby mieścić się w tunelu, trąc łokciami o ceglane ściany.

Czułem, że skóra mi płonie, i pocilem się obficie, mimo że powietrze było lodowate. Wielkie węże wcale nie były węzami. Zobaczyłem to, kiedy zdołałem skierować światło latarki odpowiednio wysoko. Patrzyłem na korzenie drzewa i potykałem się o bryły gruzu z murów rozsadzonych przez owe korzenie.

Próbowałem wmówić sobie, że to korzenie z rzeczywistego świata – ale one nie przypominały żadnych korzeni, jakie kiedykolwiek widziałem. Przywodziły mi na myśl olbrzymie sękaty palce z brudnymi szponami. Kolec na rzemieniu chyba przepalał mi skórę, tak wielki żar czułem na piersi. Korzenie były tak samo czarne jak on. Ciągnęły się w nieskończoność i nie chciałem sobie nawet wyobrazić rozmiarów drzewa, które karmiły.

„Głodne” – szepnął głos babci Betty. Dzieciak krzyknął przeraźliwie, a ja zatrzymałem się gwałtownie tuż przed ceglanym murem, który nagle zagroził mi drogę.

– Szlag! – sapnąłem, kierując światło na wszystkie strony, gorączkowo szukając przejścia.

Mur wyglądał solidnie. Znów usłyszałem słowa mojej babci – te same, które wypowiedziała tuż przed śmiercią: „Zawsze widziałeś prawdę... Patrz uważnie”.

Zmrużyłem oczy – jak zawsze, kiedy chciałem przejrzeć rzecz na wskroś, ujrzeć jej prawdziwą naturę, zobaczyć to, co większość ludzi przegapiła. Nie zobaczyłem niczego prócz ciemnych, splamionych cegieł i tych koszmarnych korzeni. Ostukałem miejsce, w którym zaprawa wyglądała na zwiertzałą.

Odpadło kilka okruchów. Mur wydawał się mocny wszędzie, gdzie pukałem i skrobałem.

„Patrz uważnie”.

Czując coś w rodzaju wdzięczności, że ta durna muzyczka nie zaczęła grać znowu, spojrzałem w lewo, przesuwając snop światła w górę i w dół spoin naroża. Znów korzenie, ściekające po cegłach i wgryzające się w podłogę. Obróciłem się na tyle, na ile mogłem w ciasnej przestrzeni, i poświeciłem na prawą ścianę.

Jej fragment poruszał się. Ale to nie była ściana. Poruszała się pokrywająca mur warstwa karaluchów.

– Jezu...

Odkoczyłem do tyłu, wpadając na korzenie, i żołądek podszedł mi do gardła od plugawego, uwierającego dotyku zimnego drzewa. Przeszły mnie ciarki, jakby karaluchy wspinały mi się pod ubraniem w stronę głowy. Ktoś głośno przeklinał – to chyba ja krzychałem, w panice upychając nogawki w skarpetkach, aby nic nie mogło wleźć mi pod spodnie. Niestety nie mogłem uszczelnić w ten sposób rękawów i kołnierzyka. Zresztą gdyby wlażyły na mnie i dostały się tak wysoko, pewnie i tak złałbym się w gacie i padł trupem na miejscu.

Poświeciłem latarką w zarobaczony kąt w nadziei, że światło zniechęci małe paskudztwa do podchodzenia do mnie, i właśnie wtedy zobaczyłem... coś. Migotanie. Dziwną, ciemniejszą ciemność na granicy dzielącej ściany. Popatrzyłem uważnie, tak jak kazała mi babcia. Przestrzeń w prawym rogu tunelu miała oleisty połysk, jakby nic jej nie wypełniało, jakby nie było w niej cegieł. Chociaż były. Widziałem je. Tak jakby. Wydawały się jaśniejsze od cegieł po lewej stronie i tych na ścianie przede mną.

Skupiłem się na żalonym zawrocie dziecka i zmusiłem do przesunięcia naprzód. Raz po raz wzrok uciekał mi w prawo, na falującą tapetę z karaluchów.

Rany, nie chciałem tego, ale musiałem iść naprzód, wciskając swoje ciało w tamten kąt, aż dotknąłem policzkami chłodnych cegieł, a w nozdrza wdarł mi się smród miliardów gnijących karaluszych szczątków. Parłem naprzód, prosto w tę tłustolśniącą czerń, i zdało mi się, że na skórze czuję drapanie dziesięciu tysięcy owadzich nóżek i...

Przeleciałem przez ścianę, ocierając sobie oba łokcie, potykając się i zataczając, upuszczając latarkę, kiedy wymachiwałem rękami, aby utrzymać równowagę. Zacerpnałem gwałtownie trochę powietrza, mając nadzieję, że nie wciągnę do płuc insektów. Wyprostowałem się w ogromnym

pomieszczeniu piwnicznym, być może tak wielkim jak pole ciągnące się od budynku świetlicy do lasów otaczających szpital Lincolna.

Było dziwne. Ściany – przynajmniej tam, gdzie było je widać – zrobiono z drewna, tak jak podłogę. Były stare, zniszczone, przerośnięte pędami roślin, przeżarte przez pleśń i robactwo.

Tak, karaluchy też tam były, a pewnie i szczury, i myszy, i wszelkie odmiany innych paskudztw, których nie miałem ochoty oglądać.

Kolec na piersi oparzył mnie tak gwałtownie i mocno, że odruchowo chwyciłem go w dłoń. Oczy bolały mnie od dziwnego czerwonego światła, jakie wypełniało to upiorne miejsce. Światło biło ze środka pomieszczenia, z podstawy pnia drzewa o rozmiarach sporego domu – pewnie z dziesięć metrów szerokości i co najmniej tyle samo głębokości, z setkami krótkich rosochatych gałęzi poskręcanych i splatających się ze sobą. Drzewo miało wielkie kolce i kiście dziwacznych białych kwiatków, które wydzielały słodkawy odór, jak coś, co zdechło na rozgrzanym słońcem piachu. Jego szczyt nikał w ciemności pod stropem podziemia.

Teraz przynajmniej wiedziałem, z czego wyrastały te wstrętne węzowate korzenie. Oraz skąd dochodził płacz.

Pod jednym z najgrubszych, najcięższych korzeni siedział skulony mały chłopiec o ciemnobrązowych włosach. Bose stopy i ręce miał całe uwalane ziemią. Ubrany w dzinsy i pasiastą koszulkę, wyglądał dokładnie jak brudniejsza wersja dzieciaka, którego widziałem rano w wiadomościach.

– Hej, Jonasz – powiedziałem do niego. – Chodź ze mną. Wyciągnę cię stąd.

Łkanie i pociągnięcia nosem stopniowo ucichły i dzieciak poruszył się, ale nie przestał ścisnąć kolan rękami.

– Jonasz – powtórzyłem. – Nie mam pojęcia, jak się tutaj dostałeś, ale jestem z ochrony szpitala. Zabiorę cię do twoich rodziców.

Czerwony blask bijący z drzewa zadrżał i przez podziemie przemknął lodowaty powiew. Dzieciak zakwilił żałośnie i zwinął się w jeszcze mniejszą kulkę.

Dobra, w porządku, po to właśnie dobry Bóg uczynił dużych ludzi dużymi, a małych małymi. Nie chciałem przestraszyć chłopaka, ale musiałem go złapać i wynieść z tego koszmarnego miejsca. Powstrzymując się od rozglądania i głębszego rozmyślenia nad swoimi decyzjami, ruszyłem naprzód, pochyliłem się i wziąłem Jonasza na ręce.

Nie opierał się, kiedy go podnosiłem, ale też nie złapał się mnie i w żaden sposób nie współpracował. Wciąż obejmował własne kolana, ściskając je, jakby bał się, że kiedy puści, zniknie na zawsze.

Nie potrafiłem zmusić się do odwrócenia plecami do tego drzewa, więc ostrożnie zacząłem cofać się tyłem, próbując trafić w ten dziwny kąt w litym murze, gdzie jego materialność była tylko złudzeniem. Czerwone światło jeszcze raz zamigotało i znowu powiało zimnem. Na karku wystąpiła mi gęsia skórka, a Jonasz zapłakał cicho. Wciąż odsuwałem się od drzewa.

Ta ściana nie powinna być tak daleko. Przecież nie szedłem po chłopaka aż taki kawał drogi. Zerknąłem przez ramię – ściana była dwa metry za mną.

Kiedy znów spojrzałem przed siebie, tuż obok drzewa stał człowiek.

Zaparło mi dech tak gwałtownie, że zabolowały mnie żebra. Zatrzymałem się.

Mężczyzna był odziany w ogoniasty frak, jaki mógłby założyć uczeń, który chce wyglądać kozacko na balu maturalnym. Był wysoki, miał ciemną skórę, długie nogi i guzowate marionetkowe stawy. O jego nosie i podbródku nie mogłem powiedzieć wiele, ponieważ brakowało mu lewej strony twarzy. Podobnie jak części lewej ręki.

Taka maskara nie powinna przecież stać, bo zwyczajnie nie mogła być żywa. Z całą pewnością nie mogła też zrobić kroku w moją stronę ani pogwizdywać *Pach! Nie ma szurka*.

Ale gwizdała.

Przycisnąłem Jonasza do piersi tak mocno, że krzyknął z bólu.

To coś, co niegdyś było moim dziadkiem, roześmiało się, a mnie ciarki przebiegły po skórze, jakby wszystkie te karaluchy wskoczyły na mnie w tym samym momencie. Straszdyło poruszyło szczęką, a czerwone światło zatańczyło na mięsistych strzępach jego twarzy.

– Witaj, Dariuszu – powiedziało. – Czekaliśmy na ciebie.

„Czekaliśmy?”

Jacy znowu *my*?

Upiór położył całą swoją rękę na pniu potwornego drzewa, a wtedy pod splątaną gęstwą gałęzi coś drgnęło i poruszyło się, powoli, ciężko, niczym drewniany kloc wleczony, przesuwany, mozolnie dźwigany w górę.

Chłopiec w moich ramionach zaczął krzyczeć.

Pojedyncze oko drzewa rozwarło się i zapłonęło krwawą, palącą czerwienią. Mój krzyk dołączył do wrzasku Jonasza.

Rozdział 15

Odskoczyłem w tył, potknąłem się i grzotnąłem plecami o ceglany mur. Jonasz szarpnął się w moim uścisku, nie przestając krzyczeć.

Mój dziadek skierował się w naszą stronę. Jego stopy nie dotykały ziemi. Sunął prosto na mnie, z ustami na wpeł otwartymi w złowrogim grymasie.

Gdybym spojrział na ścianę, być może znalazłbym przejście, ale nie mogłem oderwać wzroku od tej maskary pędzącej przez piwnicę i od tego drzewa. Dobry Boże! To oko! Kolejne warstwy kory rozsunęły się, odsłaniając paszczę. Ze strasznej gęby dobył się ryk, który wstrząsnął ścianami, wypełnił mi czaszkę i przeszył bólem moje kości.

Była w nim desperacja. Było szaleństwo.

„Głód...”

Odwróciłem się w stronę ściany, mrużąc oczy i pocąc się. Szlochałem i dygotałem tak mocno, że przedmioty rozmazywały mi się przed oczyma.

– Dariusz... – Gorący oddech dziadka wpełził mi na kark i objął szyję. – Masz w sobie moją krew, chłopcze. Czują ją.

Patrzyłem na mur przed sobą. Patrzyłem uważnie, ale widziałem tylko cegły.

Palce zacisnęły się na moim ramieniu, zatapiając w skórze grube żółte paznokcie.

– Twoja matka była słaba, nie udała mi się, ale ty masz wszystko, co trzeba.

Jonasz krzyczał i krzyczał, nie przestawał krzyczeć. Moje usta same rozwarły się do krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Panicznym szarpnięciem uwolniłem się z uścisku upiora. Z Jonaszem w objęciach zatoczyłem się w bok i nagle wypadłem z zatęchłej piwnicy z powrotem do tunelu.

Otoczyła nas ciemność, ale puściłem się biegiem przed siebie. Jakieś plugastwa przebiegały po ścianach. Korzenie strzelały spomiędzy cegieł, wiły się w poszukiwaniu ofiary, trzeszcząc i skrzypiąc. Nie wiedziałem, gdzie jest mój dziadek – czy nas ściga, czy w ogóle może nas ścigać. Wizja tego strzępu twarzy zbliżającego się ku mnie zmuszała mnie do jeszcze szybszego biegu. Okruchy cegieł i ziemia wybuchały pod moimi wielkimi stopami. Widziałem tylko czern. Słyszałem jedynie obłąkańczy krzyk Jonasza i swoje własne tchórzliwe wrzaski. Odległa część mojego umysłu zarejestrowała fakt, że odległość między ścianami stopniowo rośnie.

Fala energii przewaliła się przez tunel i dogoniła nas, zimna i ostra. Nienawistna. Wgryzła mi się w skórę. Pachniała śmiercią. Wyczuwałem w niej furję i głód.

– Mój... – wyszeptała.

Uciekałem.

W górze, przed sobą, nie widziałem zbyt wiele światła. Czy na zewnątrz było już ciemno? Jak to możliwe? Spędziłem w podziemiach zaledwie kilka minut. Było przecież popołudnie.

Nieważne.

Gdybym tylko doniósł chłopca do wyjścia, gdybym zdołał wydostać się na zewnątrz, mógłbym ocalić Jonasza. Jeszcze trzydzieści metrów. Jeszcze piętnaście. Zobaczyłem krzyż z żółtej taśmy zamykający wylot tunelu.

„Taśmy, którą zerwałem, aby się tu dostać?”

Coś brutalnie wgryzło mi się w kostkę i zważyło z nóg. Poleciałem na ziemię, rzucając Jonasza przed siebie, aby go nie przygnieść. Moje żebra trzasnęły, uderzając o cegły. Usłyszałem je, ale nic nie poczułem.

– Uciekaj! – wrzasnąłem do dzieciaka, który na czworakach gramolił się w stronę wyjścia.

Obejrzał się i spojrzał na mnie. Miał zakrwawioną twarz. Krew płynąca z ust plamiła mu szyję i koszulkę.

„W nogi!” – próbowałem krzyknąć jeszcze raz, ale wydałem z siebie tylko chrapliwe rżenie.

Na oślep kopnąłem to, co trzymało mnie za kostkę. Wolałem nie patrzeć. Wolałem nie wiedzieć, co to jest. Mój pęcherz opróżnił się wbrew mojej woli, kiedy korzenie owinęły się wokół mnie i pociągnęły w tył, z powrotem w ciemność i roje karaluchów.

– Potwór! – zawył Jonasz.

Zerwał się na równe nogi. Kolana ugięły się pod nim, ale postawił krok w stronę taśmy. Potem następny. I jeszcze jeden. A potem zaczął uciekać, krzycząc:

– Potwór! Potwór! Potwór!

Korzenie ślizgały mi się po szyi, wpychały w uszy, drapały oczy. Ścisnęły mi ręce i nogi, wsuwały i wysuwały z kieszeni moich dzinsów.

Z czeluści piwnicznego piekła usłyszałem rechot mojego dziadka.

A potem usłyszałem głosy, dużo głosów. Latarki żgały ciemność żółtymi snopami. Korzenie zwijały się gwałtownie od dotyku światła. Jeden po drugim puszczały mnie, by skwiercząc, umknąć w głąb tunelu.

Próbowałem zaczerpnąć powietrza, ale nie mogłem, tak bardzo bolały mnie

żebra. Świat stracił wyrazistość. Zakląłem, kiedy czyjeś ręce chwyciły mnie i obróciły na plecy.

Kościotrupie oblicze kapitana Jamesa wisiało nade mną, marszcząc brwi. Dwaj inni faceci w czarnych czapkach i żółtych koszulkach stali za nim i kiwali głowami.

– Miał pan rację – powiedział jeden z nich do kapitana. – Miał tego dzieciaka przez cały czas.

To się nie zgadzało. Nic a nic.

– Krew zawsze wylezie – powiedział kapitan James. – Takich jak on trzeba rozstrzeliwać bez sądu. Po co marnować forszę na procesy?

Gapiałem się na niego, próbując poskładać to, co się działo, w jakąś sensowną całość. W polu widzenia pojawiły się nowe twarze. Większe latarki. Mundury policyjne. Jeden z policjantów wzywał karetkę przez swoje radio. Inny ukląkł obok mnie. Zajrzał mi w oczy i zmarszczył brwi, kiedy przesunął wzrok na krew na mojej koszulce. Naciągnął na dłonie lateksowe rękawiczki i odciął skrawek materiału, który ostrożnie wsunął do foliowego woreczka.

„To nie tak” – chciałem powiedzieć, ale nie mogłem. W płucach świszczą mi wydychane powietrze, ale nie miało dość mocy, aby zabrzmieć słowami. Zacząłem widzieć plamy. Musiałem wyjaśnić. Musiałem powiedzieć mu...

Ale co?

Jak usłyszałem płacz Jonasza i wbiegłem do tunelu i znalazłem tam wielką zgniłą piwnicę, a w niej mojego dziadka-mordercę-zombie i szalone olbrzymie drzewo?

Drzewo z okiem. Drzewo z paszczą.

Drzewo, które było głodne.

– Drzewo... – wykrztusiłem. – To drzewo zrobiło.

Policjant przetrząsnął mi kieszenie. Miałem tam trochę drobnych, klucze i telefon, ale nie to wyciągnął w pierwszej kolejności. Poświecił sobie latarką na dłoń i mars na jego czole pogłębił się. Przechylił rękę, abym mógł zobaczyć.

Dwa nieduże białe zęby, szpiczasto zakończone.

Rozdział 16

- Obudź go.
- Bądź miły, Levi.
- To nie w moim stylu, Forest.
- Lubię, jak jesteś miły.
- ...
- ...
- Dobra. Będę miły. Robię to tylko dla ciebie.

Dziewczyną mogłaby być Trina. Chłopakiem mógłbym być ja. Dla Triny spróbowałbym wszystkiego. Gdyby tu była, przyciągnąłbym ją do siebie. Blisko. Pachniałaby kwiatami i przekonałaby mnie, że nie widziałem mojego martwego dziadka ani drzewa z przekrwionym ślepiem i żarłoczną gębą.

Powiedziałyby mi, że nie skrzywdziłem dziecka.

Wyobraziłem sobie jej głowę na moim ramieniu i uniosłem dłoń, żeby ją pogładzić. Metal stuknął o plastik. Szarpnąłem ręką, ale nie chciała przesunąć się dalej. Kajdanki. Byłem przykuty do szpitalnego łóżka. Za oba nadgarstki i obie kostki. Całe ciało pulsowało mi bólem tuzina ran, potrzaskanych żeber i miejsca, w które lekarz wetknął mi rurkę, żeby napompować mi płuco. Serce bolało mnie, bo moje życie było skończone. Rodzinny obłęd zabrał mi je, akurat kiedy uwierzyłem, że jestem bezpieczny. Nie chciało mi się nawet otwierać oczu. Gdybym to zrobił, mógłbym ujrzeć płaczącą mamę. A już na pewno ujrzaliby dwóch policjantów za szklaną ścianą mojej sali, pilnujących, aby nie uciekł najnowszy potwór z Never.

Po cichym pochrapywaniu i parsknięciach dobiegających z dalekiego kąta po prawej stronie pokoju poznałem, że mama śpi tam w swoim wózku. Kiedy wreszcie otworzyłem oczy, zobaczyłem sufit. Jak mógł być wtorek, skoro wszedłem do tamtego tunelu w piątkowe popołudnie? Piątkowy wieczór, cała sobota, cała niedziela i poniedziałek mniej więcej do północy, kiedy to wyłoniłem się z Jonaszem – przypadły.

Czy z Jonaszem wszystko w porządku?

Czy próbował opowiedzieć komuś o tym, co straszło w tunelach starego psychiatryka?

Policzyłem plamy na szpitalnym suficie.

Nieważne, co powie Jonasz. Był tylko małym dzieckiem. Jeśli zacznie

mówić o potworze z piekła rodem, który próbował go zabić, policja po prostu uzna, że mówi o mnie.

A co było prawdą?

Nie miałem pojęcia, co mogłem robić w tych tunelach przez trzy i pół dnia, tym bardziej że dla mnie minęły tam może ze trzy minuty. No dobrze, góra pół godziny.

Trzy dni.

A w kieszeni miałem zęby dzieciaka.

Ktoś musiał mu je wyrwać.

Zamknąłem oczy. Pod powiekami zatańczyły mi powidoki sufitowych plam. Policja na pewno dokładnie przeszukała tunel. Gdyby znaleźli drapieżne węzowe korzenie albo paskudną piwnicę z moim nieumarłym dziadkiem i drzewem ludojadem w środku, zdjęliby łańcuchy z moich nadgarstków i kostek.

Nie wyrwałem zębów temu chłopcu.

Musiał to zrobić mój dziadek – ale czy on w ogóle istniał? Może mój mózg płatał mi figle i nie zdawałem sobie sprawy, że jestem wariatem ani że robiłem straszne rzeczy temu dzieciakowi.

Tam, w szpitalu, w mroku własnego umysłu, skuty niczym groźne zwierzę, zajrzałem w swoje serce. Nie wyczułem w nim specjalnej niegodziwości. Biło sobie w najlepsze, przetłaczając krew seryjnego mordercy.

„Masz wszystko, co trzeba”.

Tak powiedział do mnie Eff Leer.

– Kiedy znowu otworzysz oczy – poprosił dziewczęcy głos – nie krzycz.

Powieki natychmiast się podniosły, głowa sama obróciła się w stronę głosu. W moim pokoju naprawdę była dziewczyna! Mniej więcej w moim wieku, ale dość drobna, w dżinsach i żółtej bluzie. Miała opaloną skórę i ciemne loki, które opadały falującą kaskadą na ramiona. Jej oczy były lekko skośne, przez co wydawały się jeszcze większe i bardziej błyszczące, niż były w rzeczywistości.

Policjanci na korytarzu zdawali się jej nie dostrzegać. Moja chrapiąca mama nawet nie drgnęła, kiedy rozległ się głos dziewczyny.

No, super.

Z każdą chwilą coraz bardziej odbijała mi szajba.

– Nie wymyśliłeś mnie – zapewniła dziewczyna. – Ja naprawdę tu jestem. Mam na imię Forest.

Forest? Jak w moim śnie, zanim obudziłem się w tym koszmarze? Ale jeśli Forest była prawdziwa, to i Levi...

– Musimy już iść – powiedział chłopak.

Moja głowa obróciła się w lewo, zanim zdążyłem o tym pomyśleć.

Okej...

No dobra.

Szarpnąłem rękami przykutymi do poręczy łóżka, nienawidząc tych kajdanek dwa razy bardziej niż przed chwilą. Byłem w pułapce, kompletnie bezbronny. Chłopak miał na sobie czarne dżinsy i czarną koszulkę z krótkim rękawem. Błądą skórę pod okiem plamił mu czerwony tatuaż. Oczy miał czarniejsze niż bezksiężycowa noc, a kiedy w nie zajrzałem, zobaczyłem, że facet ma nie po kolei w głowie.

Mój oddech przyśpieszył. Jeszcze raz szarpnąłem kajdanki.

W oddali zawyły psy – takie, jakich używa się do polowań – i krótko przystrzyżone włosy na mojej głowie stanęły dęba. Zgrzytnąłem zębami. Gdzieś daleko zaczęły bić dzwony.

Jezu...

Dzwony Lincolna.

Musiałem wydostać się jakoś z tego przeklętego łóżka, mogłem tylko miotać się, grzechotać i dzwonić.

– Daj spokój, Levi. – Dziewczyna, Forest, wydawała się poirytowana. – Nie przyszliśmy tu po to, żeby go straszyć.

– Racja – odrzekł brat Drakuli, mówiąc z południowym akcentem, choć niezbyt silnym. – Przyszliśmy, żeby go zabrać, no więc bierzmy go i ruszajmy. Jazda.

Forest westchnęła.

– Nie możesz po prostu pakować się do szpitalnych sal i wrywać ludzi z łóżek. Jest ranny, a do tego zdenerwujesz jego matkę.

Levi wyciągnął rękę w stronę mojego ramienia. Próbowałem się cofnąć, ale kajdanki trzymały mocno. Coś jakby czarna mgła dobyła się z koniuszków jego palców i dotknąwszy mnie, wstrząsnęła całym moim ciałem. Krzyknąłem, ale z moich rozdziawionych ust nie wydobył się żaden dźwięk. Na twarzy, na rękach, na nogach wystąpiły mi krople potu; pierś wypełniła się gorejącymi węglami; od bólu łzawiły mi oczy. Płonałem. Byłem pewien, że stoję w ogniu. Wypreżyłem się, otwierając usta jeszcze szerzej i wybałuszając oczy. Nie mogłem złapać tchu. Musiałem oddychać. Musiałem zgasić ten żar...

Żar zgasł.

Ot tak, po prostu.

Koniec.

Wessałem powietrze tak głośno, że obaj funkcjonariusze za szybą odwrócili

się, żeby zajrzeć do sali. Mama wydała z siebie kilka dodatkowych chrząknięć i poruszyła się niespokojnie na wózku. Policjanci przyjrzeni mi się groźnie, a po chwili odwrócili z powrotem w stronę korytarza, nie zwracając najmniejszej uwagi na Forest i jej towarzysza, który dopiero co usiłował mnie zgładzić. Tyle że teraz oddychało mi się znacznie łatwiej niż przedtem. I nic mnie nie bolało. Żadnych ran ani sińców, nie czułem też połamanych żeber przy oddychaniu.

Levi wyglądał, jakby cierpiał, ale tylko przez krótką chwilę. Powoli wypuścił powietrze z płuc, a potem musnął opuszkami palców moje łańcuchy. Kłęb czarnej mgły pojawił się znikąd, a kajdanki zaskwierczały cicho, a następnie rozpadły się. Levi złapał je po swojej stronie, zanim stuknęły o podłogę, i odłożył na łóżko. Widok opadającego ze mnie metalu, nagła wolność po uwięzieniu na łóżku napełniła mnie lekkością. Nerwowe napięcie ustąpiło mimo sytuacji. Na próbę poruszyłem rękami i nogami, po czym usiadłem i naciągnąłem kołdrę na pozostałości kajdanek, aby moi strażnicy nie widzieli, że nie jestem już skuty.

– Proszę – powiedział Levi do dziewczyny. – Nie jest już ranny. Możemy teraz iść?

Forest zgromiła go wzrokiem, ale widać było, że wcale nie jest zła. Trina czasem tak na mnie patrzyła. Zwykle zaraz potem częstowała mnie całusem. Albo trzepnięciem z liścia – w zależności od sytuacji.

A jeśli chodzi o Leviego, to, jak patrzył na Forest... Przejrzałem na wylot tę jego pozę posępnego twardziela. Był w naszym wieku, mniej więcej, i miał w sobie dziwną nerwowość. Ta dziewczyna, Forest, była jego kryptonitem, czosnkiem czy czymś takim, nie wiem, czego się boją upiorne typki z wampirzą skórą i krwawymi łzami wytatuowanymi pod okiem.

– Proszę, wybacz mu – zwróciła się do mnie Forest, gestem wskazując Leviego. – Miał ciężkie życie i przytrafiło mu się trochę paskudnych rzeczy. Brakuje mu kilku umiejętności społecznych, ale pracuję nad nim.

Chciałem podnieść się z łóżka i Levi wyciągnął rękę, aby złapać mnie za ramię. Sądziłem, że chce mi pomóc, ale lodowaty podmuch odrzucił go w bok, zanim zdążył mnie dotknąć.

– Nie waż się go tknąć!

Kobiece głosy. Dwa, oba dobrze mi znane. Moja babcia Betty i moja babcia Leslie. Głosy dobiegły z wnętrza mojej głowy i z powietrza wokół mnie, znikąd i zewsząd jednocześnie. Mama obudziła się ze stęknięciem i wyprostowała się gwałtownie na wózku.

Aż podskoczyłem, słysząc ten szept. Forest i Levi także, ale policjanci na korytarzu nawet nie drgnęli. Czymkolwiek był ten nowy obłąd, miał miejsce

tylko w mojej szpitalnej salce.

– Babcia Betty? – wyszeptałem na widok mglistego obłoku, który uformował się pomiędzy moim łóżkiem a Levim.

Levi, Forest i mama gapili się z otwartymi ustami na ulotną zjawę. Nagle druga postać zamigotała tuż obok pierwszej, była wyraźniejsza od niej i lepiej zarysowana.

– Babcia Leslie... – zacząłem, ale Forest przerwała mi cichym okrzykiem.

– Leslie Hyatt – wyszeptała, co wstrząsnęło mną niemal tak mocno jak widok duchów.

Forest wytrzeszczyła oczy. Obeszła mgłę dookoła, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół.

– Leslie – powiedziała znowu z czułością, jakby mówiła do najlepszej przyjaciółki, choć przecież nie było mowy, żeby znała kobietę, która zmarła, kiedy byłem małym chłopcem.

– Nie mówiłeś przypadkiem, że tylko potomkowie Madoca mogą przemieniać się w widma i upiory? – powiedziała Forest do Leviego, nie spuszczając oczu z chmury, która była babcią Leslie. – Jak Decker i pani Sally?

– Sądziłem... Cóż. – Levi przysunął się ostrożnie do babci Betty. – Może w nich płynęło trochę jego krwi.

– W niej nie – odparła Forest, wysuwając palce w stronę zjawy babci Leslie.

Kiedy jej opuszki przeniknęły przez powierzchnię kobietokształtnej chmury, babcia Leslie uśmiechnęła się.

– Dobrze wyglądasz, dziewczyno – powiedziała głosem jak letni powiew.

Forest spuściła głowę i zakryła dłonią usta.

Wyczuwałem swoje babcie jak moc wypełniającą mi serce, gniewną, zdesperowaną, wystraszoną. Zerknąłem na mamę, która przenosiła wzrok z duchów na dziewczynę, z dziewczyny na Leviego, unosząc brwi tak wysoko, że nie było ich widać spod potarganej grzywki. Zmarszczki na jej twarzy pogłębiały się z każdą chwilą i wiedziałem, że prawdopodobnie bardzo się boi, ale widziała to samo co ja. Może jednak nie postradałem zmysłów. Może nie wyrwałem dziecku zębów i nie więziłem go w podziemiach szpitala psychiatrycznego przez trzy długie dni.

Ulga spadła na mnie z takim impetem, że miałem ochotę ukryć twarz w dłoniach i rozpłakać się.

Forest wzięła się w garść, wyprostowała i uśmiechnęła do Leviego.

– Leslie Hyatt nie miała w żyłach ani kropli krwi Madoca, a mimo to stoi tu przede mną, wyraźna i silna jak upiór. Zdaje się, że nie wiesz jednak *wszystkiego*, co Levi?

– Imogena będzie musiała poprawić swoje notatki – wymamrotał Levi.

Jego mina przez chwilę wyrażała niepokój, ale zaraz go zamaskował. Znow sięgnął po mnie, ale babcie syknęły na niego gniewnie. Mama chwyciła podłokietniki wózka, jakby zamierzała wstać i rzucić się na chłopaka, ale jej wzrok skierował się w stronę policjantów na korytarzu i zamarła w bezruchu.

Babcia Betty uniosła dłoń. Między palcami błysnęło światło i w następnej chwili dłoń trzymała półprzeźroczystą siekierę. Babcia uderzyła z całej siły. Levi odskoczył od niej tak szybko, że nie dostrzegłem jego ruchu. Siekiera wbiła się w podłogę, bezgłośnie i nie czyniąc żadnych widocznych szkód – żeby choć drobne pęknięcie w posadzce, ale nie, nie było niczego. Mimo to coś mi mówiło, że gdyby ostrze natknęło się na Leviego, efekt byłby wyraźny i dramatyczny.

Levi musiał pomyśleć to samo, bo jego czarne oczy zrobiły się wielkie i cofnął się nieznacznie, powiększając odległość od babci Betty.

Babcia Leslie stała obok Forest i mógłbym przysiąc, że w dłoni trzymała grzebień. Potrząsnęła nim groźnie.

– Nie waż się tknąć mojego wnuka – ostrzegła Leviego.

– Nie waż się go tknąć – powtórzyła Betty jak echo.

Każde słowo duchów boleśnie zapadało mi w duszę. O babci Leslie nie wiedziałem zbyt wiele, ot, kilka historii o tym, jak ciężko harowała, i o jej długich latach ofiarnego pomagania ludziom w psychiatryku Lincolna. Mówiła z dumą i mocą, a siła w jej głosie przywodziła mi na myśl mojego tatę. Jeśli chodzi o babcię Betty, to tęskniłem za jej temperamentem. Tęskniłem za jej miłością. Tęskniłem za wszystkim, czym była, przeokrutnie, a teraz była tu ze mną, ale wiedziałem, że nie mogę jej uściskać. Nie mogłem uścisnąć żadnej z nich. Gdybym spróbował ich dotknąć, moje ręce przeszłyby przez zimną pustkę, a to bolałoby bardziej niż cokolwiek innego.

– Obiecuj im, że nie skrzywdzisz Dariusza – powiedziała Forest, zwracając się do Leviego. – Daj słowo jego babciom.

Przeniosła wzrok na mamę.

– I powiedz jego matce to, co powinna usłyszeć.

Levi westchnął.

Forest czekała.

Zadawałem sobie pytanie, czy wszystkie bystre i silne dziewczyny stosowały te same taktyki, bo ona i Trina miały ze sobą wiele wspólnego, kiedy chciały coś dostać.

Levi ustąpił tak szybko, że byłoby to wręcz zabawne, gdyby zabawność była dozwolona w koszmarach.

– Obiecuję, że nie podniosę ręki na waszego wnuka – powiedział do moich babci. – Nawet go nie dotknę. Daję słowo, że wyrządzenie Dariuszowi krzywdy nie jest moim zamiarem i że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby zapewnić mu bezpieczeństwo.

Forest uśmiechnęła się, zasłaniając chłód Leviego swoim miękkim ciepłem.

– On nie może złamać przyrzeczenia. Gdyby choć o tym pomyślał, Imogena skopałaby mu zad.

Babcia Betty pokiwała głową.

– Uzdrowicielka – mruknęła. – Pomogła mojej mamie wydać mnie na świat.

– Musimy odszukać dziadka Dariusza... – zaczął Levi, ale babcia Betty wymamrotała do mnie kilka zdań, po czym rozplynęła się w powietrzu.

Babcia Leslie pogroziła Forest grzebieniem.

– Bądź grzeczną dziewczynką. Ja wszystko widzę.

A potem także znikła.

Levi i Forest przyskoczyli do miejsca, w którym stały jeszcze przed chwilą, wymachując rękami, jak gdyby chcieli złapać moje babcie i wyciągnąć je z powrotem stamtąd, dokąd udawały się znikające duchy.

Forest obejrzała się na mnie.

– Możesz coś zrobić, żeby znów się pojawiły?

Potrząsnąłem głową, zerknąłem szybko na policjantów i wyszeptałem:

– Babcia Leslie i babcia Betty robiły, co chciały, kiedy chciały i jak chciały za życia, i przypuszczam, że po ich śmierci pod tym względem nie zmieniło się wiele.

Mama wciąż miała marsową minę, ale pokiwała głową i dodała cicho:

– Mm-hmm.

Kiedy tak szybko mrugała powiekami, wiedziałem, że powstrzymuje się od płaczu, że próbuje wziąć się w garść, ponieważ na nią patrzę, ponieważ jej potrzebuję, ponieważ nie mogła już udawać, że nie jest taka jak ja, że widzi rzeczy, których inni ludzie nie dostrzegali. Nie można powstrzymać prawdy, tak samo jak nie można powstrzymać śmierci.

Levi spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

– Co twoja babcia Betty powiedziała ci, zanim znikła? Nie dosłyszałem jej.

W pierwszym odruchu chciałem go spławić albo wzruszyć ramionami, albo po prostu zbyć milczeniem, ale wydało mi się to nie w porządku. Levi przyszedł tu, uzdrowił mnie i uwolnił z kajdanek. Nie byłem tego pewien, ale wiele wskazywało na to, że on i jego dziewczyna Forest przybyli, aby mnie uratować. Dlatego postanowiłem zagrać w otwarte karty.

– Powiedziała, żeby ci nie ufać – oznajmiłem. – Powiedziała: „Imogena to

dobra kobieta, ale już raz spartoliła sprawę”.

Czarne oczy Leviego błysnęły gniewem. Wytatuowane łyzy poczerwieniały jak świeża krew na twarzy, górna warga uniosła się, odsłaniając zęby. Energia biła z niego czarnymi chmurami i na szpitalnych ścianach zaczęły pojawiać się cienie – ptaki i psy, i rzeczy, których nie rozpoznawałem, zawirowały w szaleńczym tańcu niczym jakaś obłąkana karuzela. Mama potoczyła się naprzód na wózku, aby oddalić się od ściany i zjaw.

Jedna z nich rzuciła się na nią.

Nad mamą świsnęła wielka czarna łapa z długimi szponami, ociekająca cieniami, które plasnęły na podłogę wokół wózka i wijąc się, rozpierzchnęły na wszystkie strony. Potem reszta olbrzymiego psa wyskoczyła znikąd, sadząc susy wokół szpitalnej salki, jakby potwór należał do normalnych żyjących stworzeń.

Jakim cudem mama nie krzyknęła, nie mam pojęcia. Ja omal nie wrzasnąłem, ale Forest dotknęła mojego ramienia i rzuciła Lewiemu karcące spojrzenie. Wielki pies zakręcił się i usiadł przy jego nodze.

Levi dygotał i robił się... jakby ciemniejszy. Odległe ujadanie psów było coraz bliższe i teraz usłyszałem także ptaki – skrzeczenie, gęganie i łopot potężnych skrzydeł. Patrzyłem, jak Levi rośnie. Ujrzałem światło i mrok w jego wnętrzu, emanował żarem i mrozem jednocześnie.

Jego pies uniósł wargę i zawarczał.

– Przestań! – zażądała Forest. – Przestań natychmiast, słyszysz?

Levi nie zwracał na nią uwagi – przez jakieś pięć sekund. Potem głowa zwiśla mu na piersi, a cienie na ścianach i suficie zwolniły, niemal znieruchomiały. Położył dłoń na głowie wielkiego psa i monstrum przestało warczeć. Sekundę lub dwie później cienie zniknęły, a odgłosy psów i ptaków stopniowo cichły, aż nie słyszałem już niczego prócz panicznego łomotu własnego serca, oddechu mamy i odległego ding-dong obłąkanych dzwonów Lincolna, bijących, aby przerazić wszystkich na śmierć.

– Moja babcia Imogena posłała Efnisiena Leera na tamtą stronę pięćdziesiąt dwa lata temu – powiedział Levi, nie odrywając wzroku od czarnego łba psa, którego drapał za uchem. – Mogę pokazać wam wpisy w jej księgach. Myśleliśmy, że już po nim.

Forest i Levi spojrzeli po sobie i po chwili milczenia Forest dodała:

– Babcia Leviego zapisuje wszystko, co się dzieje w Lincolnie, i jeśli pojawiają się problemy, stara się je rozwiązać.

Mama nie wydawała się tak zaskoczona jak ja. Szczerze mówiąc, w ogóle nie była zaskoczona.

– Pamiętam pannę Imogenę z dzieciństwa – oznajmiła dziarsko. – Akuszerka, tak? Ta, którą pół miasta nazywało szeptuchą?

Levi skinął głową.

– Słyszałam plotkę, że urodziła się w dniu, w którym otwarto ten szpital – powiedziała mama – jako córka pierwszej przyjętej tam kobiety. Myślałam, że już dawno zmarła, ale skoro wciąż dycha, to czy mogłaby wyjaśnić nam, w jaki sposób mój ojciec powstał z grobu?

Na widok zmarszczonych brwi Leviego nagle pożałowałem, że nie mam przy sobie zaostrzonego osinowego kołka, ale jego głos był spokojny, kiedy odpowiedział:

– On nie wstał z grobu. Nie całkiem. Po prostu przeniósł to, co zostało z jego energii, z powrotem na tę stronę, żeby narobić zamieszania. Jest upiorem.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, a potem zadałem własne pytanie:

– Czy można go zabić? Znowu?

Levi spojrzał mi w oczy.

– Wszystko można zabić, jeśli tylko jest się dość silnym, aby to zrobić.

Na razie wolałem nie analizować myśli o tym, że mój dziadek był nie tylko seryjnym mordercą, lecz teraz jest także autentycznym upiornym potworem z zaświatów. Zwrot „zła krew” nabierał dla mnie całkiem nowego znaczenia.

– Skoro twoja babka Imogena przeprowadziła jego duszę na tamtą stronę, kiedy umarł, to jakim sposobem przemienił się w upiora?

Twarz Leviego zadrgała nieodgadnioną emocją. Jego palce zacisnęły się na czarnej sierści psa.

– Upiory potrzebują mocy, żeby wrócić. Albo mają jej za dużo w chwili śmierci, albo coś silnego pomaga im w przekroczeniu granicy.

– Dusze zwykle nie mogą przemieszczać się tam i z powrotem bez pomocy. – Forest założyła sobie ciemny kosmyk za ucho. – Levi i Imogena są od tego. Albo ja, choć dopiero się uczę. Ale my mu nie pomogliśmy.

Mama złożyła ręce na kolanach.

– Czyli ktoś, kto ma jakąś straszliwą moc, przejął energię Effa Leera albo jego duszę, czy coś tam, i ściągnął to, co z niej zostało, na tę stronę, tak? Kto mógłby zrobić coś tak okropnego?

Świeża fala strachu przemknęła Leviemu przez twarz i chłopak bezwiednie złączył dłonie na brzuchu.

Forest spojrzała na niego w taki sposób, jakby miała ochotę objąć go i przytulić.

– Obawiam się, że to ktoś lub coś jeszcze bardziej paskudnego niż Eff Leer.

W rejestrach Imogeny jest mnóstwo bardzo dziwnych rzeczy.

– Takich jak drzewo? – Moje pytanie zabrzmiało głośniejsze, niż tego chciałem, i policjanci na korytarzu odwrócili się, by sprawdzić, co mówię i robię.

Forest uniosła dłoń, jakby ich pozdrawiała, i lekko pchnęła powietrze. Odwrócili się z powrotem w stronę korytarza jak zahipnotyzowani.

– Jak drzewo – powiedział Levi.

To nie było pytanie, a groza w jego głosie zamroziła mi trzewia w sople.

– Duże – powiedziałem, odruchowo unosząc palce do wisiora kolca, który wciąż miałem na szyi. – Ma korzenie, którymi porusza, wielkie oko i paszczę. Wiecie, co to jest?

– Wiedźmowe drzewo. – Levi zamknął oczy. – Musimy wejść do tuneli pod Lincolnem i zniszczyć je, zanim znowu ktoś zginie.

Zdjął dłoń z głowy czarnego psa i rozkazał mu:

– Kain, naprzód!

W chwili, kiedy Forest ruszyła w stronę drzwi, monstrualne zwierzę wybiło się potężnym susem w powietrze i znikło, nie wydawszy żadnego dźwięku. Tymczasem mama podtoczyła swój wózek pomiędzy Leviego a mnie, zagradzając mi drogę.

– Tobie nie wolno, Dariuszu. Jesteś aresztowany i cokolwiek jest w tym tunelu, zamierza cię skrzywdzić, tak jak próbowało skrzywdzić tego biednego chłopca.

– Wiem – odparłem, wstając, pewien, że Forest i Levi poradzą sobie z policją i z mamą także, jeżeli nie uda mi się pokonać jej oporu. – Dlatego muszę tam iść.

Otworzyła usta, aby zaprotestować, ale – chyba po raz pierwszy w życiu – uciszyłem ją stanowczym gestem.

– Nie zdradziłem ci wszystkiego, co powiedziała babcia Betty na łożu śmierci – wyznałem.

„Ty zawsze widzisz prawdę.

Patrz uważnie.

Tym razem będzie głodne”.

Mama znieruchomiała na wózku, z na wpół otwartymi ustami i rozszerzonymi oczami pełnymi gniewu i smutku. Czekwała, aż zbiorę w sobie dość odwagi, aby powiedzieć jej resztę.

– Babcia Betty powiedziała mi, że muszę dokończyć to, co ona zaczęła – powiedziałem z westchnieniem. – I myślę, że wiesz, co to oznacza.

Mama pokręciła głową, najpierw powoli, potem potrząsnęła nią gwałtownie

i zakryła uszy. Chwyciłem ją za nadgarstki i odciągnąwszy dłonie od twarzy, przykucnąłem, aby spojrzeć jej w oczy.

– Nie ma innego wyjścia, mamó. Jeśli nie zrobię tego, co powinienem zrobić, kolejne dzieci będą ginąć i kto wie, jakie jeszcze zło rozpanoszy się po tym świecie.

– Dariuszu – szepnęła mama. – Co będzie, jeśli wrócisz pomyłony jak moja matka? A co, jeśli nie wrócisz wcale?

Powinienem być przerażony, zdenerwowany, wściekły, czy coś, ale wciąż nie czułem niczego prócz ulgi, że nie byłem jednak tak szalony, jak mi się wydawało. Pocałowałem mamę w policzek i nachyliłem się do jej ucha, aby mnie wysłuchała, nawet jeśli nie miała na to ochoty.

– Muszę iść do szpitala, załatwić to drzewo i zabić dziadka Effa na dobre. Przyrzekam, że wrócę. W ten czy inny sposób.

Rozdział 17

Zostawiliśmy mamę w szpitalnej sali, udającą, że śpi, aby mogła zasłonić się niewiedzą, kiedy policjanci zorientują się, że zniknąłem. Policjanci nawet nie spojrzeli w naszą stronę, tak jak nie zrobił tego nikt inny, kiedy Levi i Forest wyprowadzali mnie ze szpitala w bezksiężycową ciemność, która szczelnie opatulila całe Never. Nie było wiatru. Nieruchome, duszne powietrze pachniało skoszoną trawą, smołą i nawozem. Wszystko było takie południowoamerykańskie, takie letnie, takie żywe, choć śmierć czaiła się pod ziemią zaledwie kilka kilometrów dalej.

Parking zdawał się drzeć w pozostawionych przez dzień resztkach letniego skwaru. Im bardziej oddalaliśmy się od szpitalnych drzwi, tym większy ogarniał mnie lęk. Łatwo było zgrywać twarziela przed mamą, o wiele łatwiej niż stanąć twarzą w twarz z moim dziadkiem i jego krwawymi, zmasakrowanymi zwłokami. Nie wspominając o tym makabrycznym drzewie.

Policjanci, którzy mnie aresztowali, najwyraźniej nie zauważyli mojego wisiorka, ale odebrali mi telefon. Nie mogłem zadzwonić do Jessiego ani Triny, żeby ich uprzedzić, powiedzieć cokolwiek, na przykład to, że się ukrywam albo że próbuję wrócić do Lincolna, albo „żegnajcie”. Nie powinienem jednak być zaskoczony, kiedy natknęliśmy się na nich na parkingu, gdy szliśmy w stronę drogi, która według Leviego i Forest miała najszybciej zaprowadzić nas do Lincolna. Trina była ubrana w dżinsy i niebieskie polo i jak zwykle wyglądała świetnie, kiedy wyskoczywszy z auta Jessiego, puściła się biegiem w moją stronę. Przez chwilę byłem pewien, że śnię.

Już po chwili była w moich ramionach. Czując dotyk jej ust na szyi, zatopiłem twarz w jej gęstych, słodko pachnących włosach i po prostu stałem, tuląc ją do siebie.

– Wiedziałaś, że nic nie zrobiłeś temu dzieciakowi – wymamrotała mi w pierś. – Puścili cię, tak?

Ależ to bolało, że muszę ją puścić, odepchnąć i potrząsnąć przecząco głową.

– Nie, skarbie. Przykro mi. Przykuli mnie do szpitalnego łóżka, ale uciekłem.

Jej wielkie ciemne oczy napełniły się łzami i Trina zaczęła dźgać mnie palcem w pierś.

– No to natychmiast zawracaj, maszeruj z powrotem do środka i poddaj się,

zanim wpadniesz w jeszcze gorsze tarapaty.

– Stary... – Jessie kiwał głową potakująco. – Gliny mogą zacząć strzelać. Weź ty puknij się w łeb, co?

Posłałem znaczące spojrzenie Leviemu i Forest i tak długo świdrowałem ich wzrokiem, aż ukazali się Jessiemu i Trinie. Wiedziałem, że to zrobili, bo mój najlepszy kumpel i moja dziewczyna podskoczyli w tej samej chwili i wytrzeszczyli oczy na ludzi, którzy niespodziewanie pojawili się obok mnie.

– To jest Levi, a to Forest – przedstawiłem ich. – Pomogą mi załatwić mojego dziadka raz na zawsze.

Trina nie odpowiedziała. Jej śliczna buzia wydawała się zasłonięta cieniem, choć parkingowa latarnia świeciła prosto na nas.

Jessie skrzyżował swoje patykowate ręce na piersi i wbił we mnie wzrok, ściągając rude brwi nad piegowatym nosem.

– Czeka cię trochę wyjaśniania – oznajmił. – Gadaj, bo to jakaś chora jazda.

Sprzedalem im wersję skróconą: mój dziadek był duchem i straszył w podziemiach szpitala Lincolna, z każdą chwilą stawał się bardziej niebezpieczny; potworne drzewo użyczało mu swojej mocy, czy coś, w każdym razie musiałem spróbować go zabić, jak babcia próbowała to zrobić przede mną.

Jessie zamrugał nerwowo powiekami, ale – zgodnie z tym, czego się po nim spodziewałem – przesuflował otrzymane informacje w głowie i w końcu uwierzył.

– Twój dziadek omal nie załatwił wtedy twojej babci – przypomniał mi, marszcząc brwi w sposób, który skojarzył mi się z mamą. – Ogień wypalił jej oczy i rozum.

– Nie no, to nie może dziać się naprawdę – wymamrotała Trina, która nie potrafiła oderwać wzroku od Leviego. Widziałem w jej oczach, jak uświadamia sobie, że nie jest to ktoś, na kogo mogłaby się natknąć w normalnym świecie. – Coś ci się pomieszało. Coś jest nie tak.

Głos miała coraz cichszy, jakby próbowała przekonać samą siebie i stopniowo traciła wiarę w moc swoich słów. Chciałem ją objąć, ale nie byłem pewien, czy chce, abym ją teraz dotykał. Światło latarni nareszcie zdało się jej dosięgnąć, ukazując mi jej twarz. Przypominała teraz przerażone zwierzątko gotowe rzucić się do ucieczki przy moim pierwszym gwałtownym ruchu.

– Chciałbym, żeby to nie była prawda – powiedziałem głównie do niej, choć wiedziałem, że mnie nie słyszy.

Trwała zagubiona we własnych myślach i uczuciach, przytłoczona niedowierzaniem i szokiem widocznymi w napiętych liniach jej ciała. Nagle

powstały dystans między nami ugodził mnie boleśnie, ale czyż mogłem ją winić? To wszystko było dziwne i straszne, a ona nie powinna być w to zamieszana. Może Trina zawsze była zbyt dobra dla takiego gościa jak ja. Nawet gdyby nie rzuciła mnie po tym wszystkim, to jak mogłem liczyć na jakąkolwiek wspólną przyszłość? Ona była normalna, dobra i urocza.

Ja miałem złą krew.

I podejrzewano mnie o próbę zamordowania dziecka.

Już nigdy nie odzyskam swojego życia. Nie takiego, jakie miałem.

Zmusiłem się do przeniesienia wzroku na Jessiego, który wciąż marszczył brwi.

– Babcia Betty ruszyła do walki z potworem, ale znalazła dwa. Praktycznie nie miała szans – powiedziałem i wskazałem na Forest i Leviego. – Ja mam wsparcie.

– Musimy ruszać – ponaglił Levi. – Lada chwila policja zorientuje się, że cię nie ma, i wszystko skomplikuje się jeszcze bardziej.

– Stary, nie rób tego. – Jessie pokręcił głową.

– Muszę. – Zaryzykowałem zerknięcie na Trinę, ale jej twarz przybrała kamienny wyraz. Nie dostrzegałem w niej żadnych uczuć, tylko po jej policzkach spłynęło kilka łez połyskujących żółto w blasku parkingowych latarni.

Levi wskazał mi drogę, prowadząc w stronę olbrzymiego dębu na granicy parkingu. Czułem się okropnie, zostawiając tak Trinę i Jessiego, ale wiedziałem, że muszę to zrobić. Zacząłem oddalać się od nich – trzy metry, potem pięć – a kiedy dotarliśmy do drzewa, Forest ujęła moją dłoń.

Noc zdawała się płynąć wokół nas, kreśląc falujące linie w ciemności. Energia zaskwierczała wyładowaniami na mojej skórze, aż podskoczyłem przestraszony.

– Nie bój się – powiedziała Forest. – W twoich żyłach płynie krew Madoca, więc mogę zabrać cię z nami na tamtą stronę. Zaoszczędzimy sporo czasu, a policji nie uda się nas zatrzymać. To nie będzie bolało i stracisz najwyżej kilka sekund.

Nie byłem pewien, czy jej wierzę.

Ale musiałem to zrobić, więc ruszyłem naprzód, zbierając się w sobie tuż przed wkroczeniem w ruchomą ciemność. Rozbrzęczała się wokół mnie niczym tysiąc pszczoł. Mój wisiołek zaczął drzeć w harmonii z tą wibracją, a moje trzewia skręciły się w supeł.

– Dariusz! – Głos Triny dogonił mnie w huczącej czeluści.

– Dariusz! – Teraz bliżej, jakby biegła w moją stronę.

Chciałem zatrzymać się, zawrócić, wrócić do niej, ale Forest pociągnęła mnie w głąb nicości.

I wtedy, zanim zdążyłem choćby kiwnąć palcem, aby to powstrzymać, Trina i moje dawne życie odleciało ode mnie płomienną smugą i zgasło jak spadająca gwiazda.

Omam nie klapnąłem na tyłek, kiedy wypadliśmy z... z czegoś, co sprawiało wrażenie żywej poruszającej się pustki. Z wirującym jak bąk mózgiem zatoczyłem się, łapiąc równowagę, oddech i jednocześnie próbując dosięgnąć Triny. Kopnięciem posłałem plastikową podkrowę na czarny od nocy trawnik, zakląłem i z pewnym trudem odszukałem wzrokiem falującą sylwetkę Leviego stojącego jakieś dwa metry ode mnie. Obramowany czarną wyrwą w ścianie budynku świetlicy wyglądał jak dziwaczna ilustracja z powieści grozy.

– Forest poszła po parę rzeczy dla nas – powiedział, ale nie byłem zainteresowany tym, co ma mi do powiedzenia.

– Zabierz mnie z powrotem – zażądałem. – Słyszałem, jak Trina mnie woła. Chciała mi coś powiedzieć.

Levi stał w milczeniu i patrzył na mnie. Jego mina mówiła: „Nie możesz tam wrócić. Tamta dziewczyna i tamto życie odeszły na zawsze”.

Ścisnęło mnie w żołądku. Zgiąłem się wpół, zwymiotowałem, zaniósłem bolesnym kaszlem i padłem na kolana. Wszystko wokół mnie wirowało wielkimi, wywracającymi flaki kołami. Levi podszedł bliżej, ale nie dotknął mnie, tak jak obiecał mojej babci.

– Przykro mi – usłyszałem jego głos. – Niektórzy ludzie reagują mdłościami na kontakt z tamtą stroną.

Czas stracił dla mnie jakiejkolwiek znaczenie. Walczyłem z nudnościami i za wszelką cenę starałem się nie zemdleć. Moja siła opuściła mnie i dygotałem jak przerażony dzieciak. Sekundy i minuty mijały jedna za drugą, a każda dłużyła się, rozciągnięta w godzinę. Nie mogłem wstać, nawet kiedy już odzyskałem oddech. Czułem się zbyt smutny, zbyt ciężki, więc pozostałem na kolanach i trwałem tak ze wzrokiem utkwionym w trawie i ziemi wielkiej łąki za budynkiem świetlicy.

– Czym ty jesteś? – spytałem Leviego, nie oczekując odpowiedzi. – Upiorem, jak mój dziadek?

Westchnął.

– Nie jestem upiorem. Umarłem i przeszedłem na tamtą stronę tak jak on, ale wróciłem w całości.

Gdyby jego głos nie brzmiał tak szczerze i gdybym nie widział na własne

oczy widma seryjnego mordercy, jednookiego drzewa i duchów moich babci, pomyślałbym, że łyże.

– Nie jesteś jakimś... wampirem czy czymś takim, nie? – Podniosłem na niego wzrok. – Nieumarłym, czy jak się tam nazywa takie paskudy?

Potrząsnął głową.

– Człowiek z krwi i kości. I wolę pizzę od burgerów, ale nie bardzo mogę już jeść kabanosy, tak jak fistaszki. Przypominają mi noc, kiedy zginąłem.

– Jak to się stało?

– Zamordowano mnie. Facet, który mnie zabił, próbował spalić moje ciało, ale moja babcia sprowadziła moją duszę z powrotem z tamtej strony i uratowała mnie.

Levi dotknął czerwonych łyż pod okiem.

– Ale zostały mi blizny, które wyglądają jak krew, i teraz potrafię robić takie same rzeczy jak Imogena. Nie wiemy dlaczego.

Pomyślałem o przemianie, jaką Levi przeszedł w szpitalu, kiedy się rozgniewał. O dziwnych cieniach na ścianach. O tym, jak mnie uzdrowił i jak roztopił moje kajdanki. Levi wrócił z zaświatów z czymś więcej niż kilka krwawych blizn w kształcie łyż.

– Czyli... – próbowałem się skupić – teraz żyjesz. Tak samo jak Forest i tak samo jak twoja babcia, tak?

Levi skinął głową.

– Możesz umrzeć znowu?

– Tak – odpowiedział. – Wszyscy możemy umrzeć. Ja, Forest i ty także. Jeśli chodzi o Imogene, to kiedyś sądziłem, że jest nieśmiertelna, ale dziś widzę, że... gaśnie. Z każdym dniem jest coraz słabsza, więc wydaje mi się, że ona także może umrzeć. Nie sądzę, aby miała dość siły, żeby sprowadzić nas z powrotem, jeśli zginiemy. Właśnie dlatego, że słabnie, dzieją się te wszystkie złe rzeczy. W tej chwili tylko ona powstrzymuje inwazję *naprawdę* przerażających rzeczy, które usiłują wydostać się z Lincolna.

– Czym ona jest? – Zamknąłem oczy na chwilę, próbując nie myśleć o tym, co może być bardziej przerażające od tego, co już widziałem. – Kto dał jej tę pracę, którą wykonuje?

– W rzeczywistości Imogena jest moją prapraprababką czy jakoś tak. Nie wiem dokładnie. Wzięła mnie do siebie, kiedy moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. A kto postawił ją na warcie w Lincolnie? – Levi wzruszył ramionami. – Bo ja wiem, Bóg chyba. A może diabeł. Zawsze mówiła, że narodziła się, zajmując tym, co robi.

– Ale ty nie miałeś swoich, hmm, zdolności, zanim nie... No wiesz...

– Zanim nie umarłem i zostałem wskrzeszony? Zgadza się.

Levi posmutniał, a ja zastanawiałem się przez chwilę, jakim był człowiekiem, zanim zginął.

– Imogena mówi, że jeśli ma się umiejętności, to trzeba je wykorzystywać.

– Wyciągnął rękę w stronę szpitala. – Kto nie robi tego, co powinien robić, ten ma duże szanse skończyć w takim miejscu jak Lincoln.

Coś w jego tonie sprawiło, że przeszedł mnie dreszcz, i następne pytanie zadałem pośpiesznie, bojąc się, że zabraknie mi odwagi.

– Czy my dziś umrzemy, Levi?

Pomyślał nad tym przez chwilę, a potem znowu wzruszył ramionami.

– Może. Nie mam zdolności parapsychicznych. Wycofujesz się?

– Nie – odpowiedziałem, bardziej pewny tego, co mówię, niż kiedykolwiek dotąd. – Idę z wami.

– Wszystko w porządku? – spytała mnie Forest kilka minut później, kiedy wróciła stamtąd, gdzie była do tej pory.

Zmusiłem się do skinienia głową.

– Chciałbym tylko zorientować się ciut lepiej, co się tu dzieje. Mówiłeś coś o wiedźmowym drzewie? – zwróciłem się do Leviego.

– Czytałem o nich w księgach Imogeny – odpowiedział Levi. – Widziała parę takich. Czasem ludzie odprawiają rytuały krwi i magazynują złą energię w drzewach, które nazywają naczyniami.

– Czyli jak? Zła energia, złe drzewo?

Zerknąłem na Leviego, ale nie wyglądał, jakby zamierzał powiedzieć cokolwiek więcej. Dopiero pod ciężkim spojrzeniem Forest odezwał się znowu.

– Myślę, że twój dziadek jest starszy nawet od Imogeny. W sensie, o *wiele* starszy. Pochodzi z czasów, kiedy ludzie składali ofiary drzewom rutynowo. Jego naczynie musiało polubić dzieci.

Zamknąłem oczy.

– Jak drzewo umarłych w *Jeźdźcu bez głowy*?

– Tak – przytaknął Levi. – Coś w tym stylu.

W głowie błysnęło mi wspomnienie filmu Tima Burtona – sceny z wijącym się, wrzeszczącym pniem drzewa pełnym czaszek i krwi.

– No, cudnie.

– Myślę, że twój dziadek i jego drzewo czekali na śmierć twojej babci Betty – powiedziała Forest. – Bali się jej. Teraz, kiedy jej już nie ma, drzewo jest...

– Głodne. – Dźwignąłem się z ziemi i wyprostowałem. – No to jak je zabijemy?

– Nie wiem. – Forest rzuciła mi przepaszające spojrzenie, jednocześnie podsuwając drewniany trzonek. – Levi i Imogena nie mogą go nawet wyczuć, a kiedy Imogena poprzednio przeprowadzała twojego dziadka na tamtą stronę, drzewa nie było wcale. Musiało się ukrywać.

Ze wzrokiem utkwionym w trzonku odebrałem od Forest nowiutką lśniącą siekiere, wciąż opatrzoną metką całodobowego supermarketu, w którym ją kupiła. Drugą wręczyła Leviemu, a trzecią zatrzymała dla siebie.

Odwrotu nie było. Oto miałem pójść w ślady swojej babci i dodać „obłąkanego mordercę z siekierą” do listy piętn, jakimi ostemplowano mi duszę. Bezwiednie zważyłem narzędzie w ręce, sprawdzając chwyt i wyważenie. Leżało mi w dłoni przerażająco naturalnie.

Mój wzrok sam skierował się w stronę budynku świetlicy, wejścia do tuneli i zygzaków taśmy policyjnej, która przypominała mi, kim i czym jestem.

– Rozumiem, że spróbujemy porąbać to drzewo. Ale co z dziadkiem?

– Być może umrze razem z drzewem – odpowiedział Levi. – Albo chociaż osłabnie. Wtedy zgarnę jego duszę i przerzucę na tamtą stronę.

– Możesz to zrobić? – Ścisnąłem mocniej trzonek siekiery. – Możesz wyrwać duszę żywemu stworzeniu i zadać mu śmierć?

– Eff Leer jest upiorem, nie żywym stworzeniem – odrzekł Levi. – Bez drzewa stanie się bezradny i będziemy mogli pozbyć się go na dobre.

Zabrzmiało mi to jak wykręt. Byłem całkiem pewien, że Levi mógł zabijać, wyrrywając istotom ich duszę, ducha, energię czy coś tam. Nic dziwnego, że babcie nie chciały, żeby mnie dotykał. Ale tą sprawą mogłem martwić się później – jeśli miałem przeżyć, żeby w ogóle móc się czymkolwiek martwić.

– No dobra. – Uniosłem siekiere przed sobą niczym jakiś talizman i ruszyłem w stronę wyrwy w ścianie świetlicy. – Chodźmy dokończyć tę robótkę.

Rozdział 18

Zerwaliśmy policyjną taśmę i razem wkroczyliśmy do tuneli – Levi z lewej strony, Forest w środku, a ja po prawej. Zupełnie znikąd pojawiły się psy, które ruszyły za nami.

Było ciemno, ale skóra Leviego promieniowała srebrzystą poświatą, która migotała na ostrzach siekier i oświetlała nam drogę. Na początku było zimno, potem gorąco, a następnie nienaturalnie gorąco, jakbyśmy szli prosto do bram piekieł. Powietrze pachniało gorzką miedzią, ziemią i drewnem.

Wodziłem wzrokiem po ścianach tunelu, wypatrując najdrobniejszego ruchu i najmniejszych śladów korzeni. Czy wiedzieli, że nadchodzimy?

Cegły wydawały się coraz bliższe.

Schodziliśmy coraz głębiej, nie przerywając ciszy gadaniem o planach bez szans powodzenia i taktykach, które nie mogły nam pomóc.

Tunel robił się coraz węższy. Jeszcze kilka kroków i zderzyłem się ramieniem z Forest. Levi musiał wysunąć się naprzód, Forest ruszyła za nim, a ja zamykałem pochód.

Jakiś szelest poniósł się echem po korytarzu za nami i odwróciłem się gwałtownie, z uniesioną siekierą, gotowy na wszystko. Gęsiokształtne cienie przemykały po srebrzących się ścianach, sunęły równie cicho jak psy. Włosy na rękach stanęły mi dęba. Czułem się tropiony.

– Dariusz – szepnęła Forest, uświadamiając mi, że się zatrzymałem.

Nie chciałem odwracać się plecami do tych psów, zwłaszcza Kaina. Było w nich coś, co przywodziło na myśl tamte korzenie, jakby były krwiożerczymi, śmiercionośnymi posłańcami czegoś bardzo potężnego i nie należało im ufać.

– Dariusz – powtórzyła Forest, a ja zmusiłem się do odwrócenia w jej stronę.

Świat stał się miękki i falujący, jakby zwiotczał w swojej strukturze. Kolec na mojej szyi rozżarzył się i zaczął wypalać mi dziurę w piersi.

Złapałem drewno przez materiał koszulki.

– Wiedzą o nas.

Levi wzniosł siekierę w salucie dla ciemności wypełniającej tunel przed nami.

– A my wiemy o nich.

I wtedy zagrała muzyka, mechaniczna, zgrzytliwa i drażniąca. *Pach! Nie ma szczurka*, nuta za nutą, powoli, fałszywie, w pijanym rytmie.

Psy za mną zaczęły warczeć. Zawarczałem wraz z nimi. Levi powoli ruszył naprzód, a Forest i ja podążyliśmy za nim.

Ceglane mury wydawały się jeszcze bliższe siebie. Docieraliśmy do końca tunelu, gdzie było wejście do podziemnej komory. Powiedziałem o tym Leviemu i Forest. A potem zobaczyłem węzowe cienie.

– Korzenie! – krzyknąłem akurat w chwili, gdy oślizła macka wystrzeliła ku nam ze stropu, owijając się Forest wokół szyi i zaciskając gwałtownie.

Forest upuściła siekiere i wbiła paznokcie w korzeń.

Serce podeszło mi do gardła. Uniosłem swoją siekiere, ale wyprzedził mnie Levi, poruszając się tak szybko, że wyglądał jak srebrno-czarna smuga. Jego siekiera świsnęła w gorącym powietrzu, odrabując korzeń jednym ciosem. Część, która dusiła Forest, zwiotczała i opadła na posadzkę. Reszta z trzaskiem schowała się w stropie, bryzgając wokół czarniawą posoką, której krople opryskały mi twarz i ręce. Parzyły skórę niczym wrzątek.

Próbowałem powstrzymać się od krzyku, ale ból był zbyt silny. Z mojego gardła wydobył się żaloszny skowyt. Forest też krzyknęła, a Levi wycelował we mnie palec i szybko coś wymamrotał. Skóra przestała mnie parzyć. Złapałem dół koszulki i szybko wytarłem sobie nią twarz i ręce.

Złowrogie szelesty i trzaski wypełniły tunel. Upiorna melodyjka zaczęła szybko nabierać mocy, małpka goniła szczurka coraz szybciej i szybciej. Zmrużyłem oczy, aby przyjrzeć się ciemności, a psy za mną ujadają i wyły. Gęsi zaczęły gęgać i łopotać skrzydłami, a Forest zawołała coś i zamachnęła się siekiere. Zobaczyłem na co.

Tym razem nie atakował nas korzeń. Były ich tuziny.

Wystrzeliły spomiędzy cieni niczym węzowa armia, wijąc się i ślizgając po ceglach, sunąc prosto w naszą stronę. Zakląłem i z furią opuściłem siekiere na najbliższą guzowatą mackę próbującą chwycić mnie za kostkę. Ostrze wgryzło się w drewno i natychmiast zakleszczyło.

Gdzieś w ciemności mój dziadek zaczął się śmiać.

– Ożeż ty... – Przygniotłem obcasem wijący się korzeń i spróbowałem wyszarpnąć siekiere, ale utkwiła zbyt głęboko.

Kain przyskoczył do mojego korzenia, a pozostałe psy rzuciły się na inne, kłając je, rozszarpując i taroszząc jak upolowane króliki. Cienie gęsi przykryły plugawe kłębowski na ścianach. Levi walczył obok mnie, tnąc siekiere znad głowy potężnymi, szerokimi ciosami. Forest miała kłopoty, jak ja, po każdym uderzeniu musiała wyrywać ostrze z drzewa. Psy pomagały, zajmując się korzeniami, których my nie mogliśmy dosięgnąć. A potem nie słyszałem już niczego prócz tej durnej melodyjki lodziarza i ujadania,

skamlenia i gęgania, kłapania zębami i odrażających furczących odgłosów wydawanych przez korzenie, które udało się nam rozrąbać.

Levi i ja nie patrzyliśmy na siebie, ale nasze cele wydawały się jednakowe: utrzymać mordercze korzenie z dala od dziewczyny i posuwać się naprzód. Od walczył od frontu, ja ubezpieczałem tyły, a Forest zajmowała się tym, czemu udało się nas ominąć – czego było coraz mniej i mniej, w miarę jak nabieraliśmy wprawę.

Znów zaczynała piec mnie skóra, ale Levi przepędził ból za pomocą tej swojej mgły z palców. Przymrużyłem powieki, aby czarna maź nie dostała mi się do oczu, i ciąłem, i wyszarpywałem ostrze, i ciąłem, i znów wyszarpywałem. Wkrótce pieczenie w moich ramionach nie miało już nic wspólnego z czarną posoką i zaniósłem się śmiechem tak obłąkanym, że mój dziadek zamilkł.

– No, dawaj! – wrzasnąłem. – Możemy tak cały dzień!

Może odbieraliśmy drzewu energię tylko niewielkimi porcjami. Może zabijaliśmy je po trochu – nie obchodziło mnie to, dopóki wyrządziliśmy mu krzywdę, a poprzez nie Effowi Leerowi.

Pach! Nie ma sznurka urwało się raptownie, a korzenie, które jeszcze nie zostały rozsiekane na konfetti albo psią karmę, wycofały się pomiędzy cegły ścian, trzaskając jak bicze.

Słuchałem własnego dyszenia w ciszy, jaka nagle zapadła. Posoka wiedzimowego drzewa połyskiwała plamami wszędzie wokół nas. Krew w moich żyłach pulsowała triumfalnie, ale Levi nie opuszczał siekiery, podobnie jak Forest, więc i ja trzymałem swoją w gotowości. Powietrze wydawało się jeszcze gorętsze i miało gorzki zapach. Ziemia pod cegłami i naszymi stopami zdawała się poruszać i kipieć; ostre szpony strachu przeszły mi pierś.

Mój dziadek bawił się z nami, tak swawolny, jak tylko mógł być duch seryjnego mordercy.

A teraz się wściekł i zepsuta ziemia we władaniu mrocznego druida reagowała na jego furję. Posadzka tunelu zaczęła się wybrzuszać.

– Biegiem! – wrzasnął Levi. – Już!

Rozdział 19

Biegłem, skakałem i upadałem na ziemię, która rozstępowała się wokół mnie. Z otwierających się szczelin buchały fale gorąca. Jedyna droga ucieczki wiodła prosto naprzód. Żar przypalał mi stopy i byłem pewien, że podeszwy moich butów zaczynają się topić. Runąłem na kolana, aż zadzwoniły mi zęby, i na czworakach pogałem dalej, w stronę końca tunelu, gdzie znalazłem wejście do piwnicznej komory, kiedy po raz pierwszy wlałem do tej dziury.

Duszący żar. Brak oddechu. Nie wiedziałem, że cegły mogą przemienić się w wodę – a może to była krew? Wrząca krew. Czułem, że za chwilę sam wtopię się w nią albo stanę w płomieniach jak skwiercząca pochodnia z ludzkiej skóry. Smród palonych włosów wdarł się w moje nozdrza. Psy wyły. Gęsi gęgały. Wydało mi się, że słyszę krzyk Leviego, a potem także Forest, ale nie byłem w stanie zorientować się, czy są przede mną, czy zostali w tyle. Gorejące kurtyny żaru znaczyły wszystko piekielnymi oranżami i czerwieniami.

Kiedy nie mogłem już iść na czworakach, pełzłem.

Pot lał mi się po twarzy i piekł w oczy, ale czołgałem się dalej, dzwoniąc ostrzem siekiery za każdym razem, kiedy moja prawa pięść uderzała w bąbel wrzącego gruntu. Ziemia próbowała mnie wessać, pochłonąć, aby zmiażdżyć moje ciało, a moją twarz i kości przemienić w płyn. Serce waliło mi tak, jakby zaraz miało wybuchnąć.

Ceglane ściany po obu stronach mnie stanęły w ogniu, którego piekące języki lizwały mnie po ramionach. Płomienie wyprzedziły mnie, gnając przed sobą szumiące tsunami robactwa. Karaluchy zaroily się grubą rozedrganą warstwą na końcu tunelu, po czym utonęły w ogniu, w kakofonii przeraźliwych pisków i trzasków, obsypując mi twarz fragmentami pękających od żaru pancrzyków.

Ignorując ból nóg i ramion, rzuciłem się w kąt tunelu, tłukąc ciałem o cegły i zapierając nogami o rozżarzoną ziemię, szukając tamtego miejsca, gdzie tunel przechodził w wielką przegniłą piwnicę pod domem wariatów. Ogień tryskał spod ziemi syczącymi gejzerami. Znalazłem się w piekle i miałem w nim spłonąć.

– Dariusz! – zawołała Forest, ale nie zatrzymałem się.

– Tędy! – krzyknąłem, jeszcze raz taranując ramieniem rozpalony mur, rzucając się na ceglaną ścianę jak rozjuszony byk.

Jeszcze raz. I jeszcze. Przejście musiało gdzieś tutaj być. Dym drażnił mi płuca, dusząc i zmuszając do kaszlu; przez łzy widziałem wszystko w żółtych barwach. Skoczyłem na ścianę jeszcze raz. Po skórze przebiegły mi elektryczne ciarki i runąłem naprzód z takim impetem, że siekiera wyleciała mi z dłoni, a ja gruchnąłem ciężko w próchno i ziemię, przetaczając się trzy albo cztery razy, zanim wyrznąłem o coś twardego, waląc szczęką o...

...parę nóg.

Czarne spodnie od fraka.

Pierś zapłonęła mi żywym ogniem – nie skóra, ale drewniany wisiołek. Złapałem kolec w dłoń i podniosłem wzrok. Przez zacierającą kontury warstwę potu i łez ujrzałem dziadka stojącego wewnątrz podziemnej komory, skąpanego w czerwonym blasku bijącym od wiedźmowego drzewa.

Był wysoki. Stawy jego łokci oraz ocalałego nadgarstka i palców wydawały się nienaturalnie wielkie, a ta twarz... Chciałem odwrócić wzrok od jej zmasakrowanych szczątków, ale nie śmiałem. Za nim rośło drzewo, ogromne i złowrogie, z krwawym okiem i żarłoczną paszczą, z chwytными gałęziami porośniętymi wielkimi kolcami i kiściami mdląco cuchnących białych kwiatów.

Dym unosił się z mojej skóry i dryfował powoli do miejsca, gdzie korona drzewa dotykała przegniłego stropu. Nogi, przedramiona i policzki miałem całe w pęcherzach i chciało mi się wyć nie tylko z bólu, lecz także dlatego, że byłem tam, w piekle, zupełnie sam, przekonany, że Forest i Levi spłonęli żywcem.

W walce z potworami nie poszło mi lepiej niż babci Betty. A najgorsze, że skłamałem mamie. Nie dane mi było do niej wrócić.

– Wstawaj – rozkazał Eff Leer głosem na tyle lodowatym, by móc nim ugasić tysiąc pożarów, po czym kopnął mnie mocno w lędźwie, odbierając mi dech. – Umieraj na własnych nogach, jak mężczyzna.

Z wysiłkiem powlokłem się w bok, dygocąc i podrygując, bo moje mięśnie wciąż krzyczały z bólu po tamtym kopnięciu. Pełzłem na rękach i kolanach, jak przerażone dziecko, ale nie obchodziło mnie, jak wyglądam. Pełzłem, aż dotarłem do siekiery, którą upuściłem przy upadku. Porwałem ją z ziemi i trzymając oburącz przed sobą, dźwignąłem się na nogi. Oddech świszcział mi w poparzonej krtani i musiałem zmrużyć oczy, żeby zobaczyć coś przez zalewającą mi oczy mieszanek potu i krwi.

Eff Leer i drzewo znajdowali się jakieś trzy metry ode mnie – zbyt daleko, by uderzyć siekierą, zbyt blisko, aby uciec.

– Kogo dziś ze sobą przyprowadziłeś? – Mój dziadek powąchał powietrze

i oblizał wargi. – Wyczuwam krew.

A ja stałem z siekierą w rękach, żałując, że brakuje mi odwagi, aby zacząć nią machać.

Mój dziadek wyciągnął przed siebie jedyną całą rękę. Zgrubiałe palce rzucały wielki kościotrupi cień na odległą ścianę komory.

Coś łupnęło.

Podskoczyłem, omal nie upuszczając siekiery, i zaraz wyprostowałem łokcie, aby nie drżała mi w rękach.

Levi minął mnie, trzymając swoją broń u boku. Mój dziadek opuścił rękę.

– Sądzisz, że podołasz temu, do czego nie starczyło sił twojej babce, chłopcze? – Uśmiechnął się bez rozbawienia. – Spróbuj.

Mówił do Leviego czy do mnie? Obie nasze babce próbowały z nim walczyć i przegrały.

I gdzie była Forest?

Strzeliłem oczami w prawo, potem w lewo. Nie chciałem jej zdradzić, jeśli się ukrywała, ale co, jeśli zostawiłem ją na pastwę ognia w tunelu? Przecież wołała mnie, a ja pełzłem dalej. Dlaczego musiałem być takim beznadziejnym gnojem?

Skórę miałem tak poparzoną, że byłem pewien, iż złazi ze mnie płatami. Łzy spływały mi po twarzy, ale trzymałem siekierę wysoko. Kain, reszta psów i gęsi, które zdawały się podążać za nim, zniknęły bez śladu.

– Efinisienie Leerze – zagrzemiał Levi, a czerwone światło w piwnicy zamigotało niespokojnie od dźwięku jego głosu. – Ty i twoje wiedźmowe drzewo jesteście skończeni. Pójdź ze mną w pokoju albo w kawałkach. Twój wybór.

Levi uniósł siekierę. Widziana z boku jego blada twarz wydawała się dłuższa, bardziej wyrazista. W jego spojrzeniu nie było strachu, a czerwone krople pod okiem skrzyły się jak najprawdziwsza krew.

Od śmiechu, jakim zaniósł się mój dziadek, skreśliły mi się trzewia. Upiór wyciągnął przed siebie rękę i siekiera Leviego zadygotała. Moja własna broń szarpnęła się nagle, próbując wyrwać mi się z uścisku, aż zachwiałem się, walcząc o utrzymanie jej w dłoniach. Podziemia zadrżały i przez komorę przetoczył się łoskot, który ucichłszy, ustąpił miejsca szorująco-drapiącemu szelestom kolczastego drewna pełznącego po kamieniu. Na ten dźwięk zacząłem w panice okręcać się na pięcie, z siekierą w gotowości na wypadek, gdyby korzenie próbowały mnie dosięgnąć.

Nie próbowały.

Obrastały ściany komory, okrążając ją, wpełzając jeden na drugi, grube,

kolczaste i gęste.

Nie było już drogi ucieczki.

– Levi? – bąknąłem, ale nie otrzymałem odpowiedzi.

Dwa korzenie wystrzeliły w stronę tylnej części komory. Usłyszałem wołania i wrzaski dobiegające z oddali, ale zbliżające się bardzo szybko. Po chwili końce korzeni wychyły z mroku.

„O, Boże. Nie”.

Wszystko we mnie zwiotczało i uschło.

Trina i Jessie. Ciasno owinięci końcówkami korzeni, unieruchomieni w ich uścisku, bili w drewno i szamotali się, próbując odzyskać wolność.

Musieli pójść za mną, kiedy po wyjściu ze szpitala przedostałem się do tuneli, a teraz...

„Nie, nie, nie!”.

– Levi!

Kiedy odwróciłem się w jego stronę, on i mój dziadek krążyli wokół siebie, mierzając się drapieżnym wzrokiem. Levi uderzył krótkim szybkim zamachem. Mój dziadek uchylił się przed siekierą.

– Nie masz takiej mocy jak ta wiedźma, chłopcze. Odpuść sobie.

Levi uderzył znowu.

Mój dziadek wciągnął powietrze w nozdrza, jakby węszył krew, którą zamierzał rozlać. Wytrzeszczył oczy. Przestał krążyć wokół Leviego i wycofał się tyłem pod drzewo, obracając głową to w prawo, to w lewo.

– Znalazłeś nową – wymamrotał. – *Młoda*. Gdzie ona jest?

Odwrócił się gwałtownie w stronę naroża komory, w stronę wejścia, i uświadomiłem sobie, że Forest musi ukrywać się właśnie tam.

Levi wyszczerzył zęby i skoczył, machając z furją siekierą.

Mój dziadek się potknął.

Gałęzie oderwały się od ścian i ruszyły mu na pomoc, a wtedy natarłem na korzenie trzymające Trinę i Jessiego. Moje ostrze odbiło się od drzewa jak od litej skały. Trysnęły iskry. Poczułem ukąszenie bólu w nadgarstku i stylisko wyrwało mi się z dłoni. Moja siekiera zawirowała po przegniłych deskach podłogi, sunąc w stronę Leviego i mojego dziadka.

Trina wydała okrzyk, który rozdarł mi serce.

– Idę, skarbie! – odkrzyknąłem rozpaczliwie.

Skoczyłem po siekierę. Gałąź przechwyciła ją, zanim zdołałem się zbliżyć, i w wirze liści i zgniłych białych kwiatów siekiera pokoziołkowała ze świstem w moją stronę. Uskoczyłem w bok, wpadając z impetem na kolczastą podstawę drzewa tuż poniżej oka.

Potworna paszcza otworzyła się. Omszałe zębiska przeorały mi brzuch i zaczepiły o pasek dżinsów, odrywając mnie od ziemi.

Drzewo trzymało mnie w powietrzu, odwróconego głową w dół, wierzgającego i wrzeszczącego, ile sił w płucach. Czułem, jakby każda cząstka mojego ciała była rozdarta na pół. A potem zobaczyłem Trinę i Jessiego unoszonych w powietrze jakieś pięć metrów ode mnie, bezwładnych jak szmaciane lalki. Twarze mieli zwiotczałe, usta otwarte, oczy zamknięte.

Groza ścięła mrozem mój ból, moje oparzenia i mój umysł – nie byłem już w stanie myśleć.

Gałęzie odrzuciły moją siekierę i złapały mnie za nogę, próbując zgnieść w kulę, aby wiedźmowe drzewo mogło mnie pożreć. Wierzgnąłem mocniej. Kątem oka dostrzegłem, jak mój dziadek wali Leviego w twarz swoją kościstą pięścią, powalając go niczym zawodowy bokser.

Wtedy drzewo odwróciło mnie i moje pole widzenia wypełniły ohydne drzewne zęby, kolce i to paskudne, wielkie, nabiegłe krwią oko, obracające się tam i z powrotem. Krzyknąłem i z furją uderzyłem pięścią w korę. Drzewo chciało mnie pożreć. A potem miało pożreć Trinę i Jessiego. Nie mogłem go powstrzymać.

Chwyciłem wisiołek i zerwałem sobie z szyi. Był to tylko kolec, gorący i czarny jak samo drzewo. Nie mogłem powstrzymać potwora, ale mogłem go zranić i dać szansę innym.

Zamachnąłem się i uderzyłem, zatapiając zakrzywiony szpic w mięsistym białku.

Kolec wybuchł mi w dłoni. Soki trysnęły z oka niczym gorący gejzer kwasu, prosto w moją twarz i tors, odrzucając mnie w tył, przemieniając wszystko w ogień i cierpienie, i ciemność. Gejzer nie słabł, wyrzucając wszystko, co było w tym drzewie. Gorąca krew tryskała fontanną, która nigdy nie wysycha.

Gałęzie puściły mnie i gruchnąłem na ziemię wśród upiornego wycia rannego drzewa. Podziemna komora zakołysała się. Grunt zaczął dygotać i pękać. Rozniósł się swąd palonego drewna, skóry i włosów – mojej skóry, moich włosów. Wrzeszczałem wraz z drzewem, przetaczając się panicznie to w jedną, to w drugą stronę, ale nie mogłem ugasić płomieni, które trawiły mnie żywcem. Nie widziałem absolutnie niczego. Nie mogłem myśleć o niczym oprócz Triny, Jessiego, Leviego i Forest. Nasłuchiwałem ich krzyków, ale słyszałem tylko piekielny huk, a potem wściekły wrzask mojego dziadka i wreszcie odgłos kroków, kiedy po mnie przyszedł.

– Coś ty zrobił? – wysyczał, i zaraz wrzasnął w nieopanowanej furii: – Co mu zrobiłeś?!

Zatopił palce w mojej poparzonej szyi; wiedziałem, że mnie udusi. Mordował mnie. Byłem martwy, już teraz pogrążony w ciemności i...

– On nie jest twój – szept babci Betty prześliznął się przez wszechświat.

Przez dwie sekundy czułem tylko jej obecność, przez następne dwie także zapach – miękki, pudrowy, jak zawsze, kiedy ją przytulałem.

– Nigdy go nie dostaniesz.

Dziadek skrzywił się w złowrogim grymasie.

Coś świsnęło w powietrzu. Rozległo się mokre chrupnięcie i głucho łupnięcie o ziemię. Nie musiałem odzyskiwać wzroku, aby wiedzieć, że mój dziadek w końcu stracił resztę swojej głowy.

– Tak lepiej – pochwaliła babcia Leslie. – Nie mów, że ćwiczyłaś, Betty.

Coś delikatnie musnęło mój policzek, jakby para chłodnych warg, najpierw jedna, potem druga.

A potem babcia Leslie powiedziała:

– Obudź się, Levi. Zajmij się moim wnukiem, jak obiecałeś. I moją małą Forest też.

Gdzieś w oddali zaczęły bić dzwony.

Zimne powietrze zawirowało wokół mojej poparzonej skóry i ran w moim brzuchu, łagodząc ból. Psy wciąż czekały, gęsi syczały, drzewo wrzeszczało. Zdało mi się, że widzę Leviego i Kaina wlokących coś czarnego i skrzącego się do ciemnego leja tak przepastnego, że musiał prowadzić prosto w zaświaty.

Kilka chwil później ból spotężniał znowu tak gwałtownie, że naprawdę straciłem rozum.

– Levi...

– Forest, musimy ich stąd wydostać.

Nicość.

Mdłości.

Krzyk.

– Uzdrów go. Pomogę.

Levi jęknął z bólu i Forest przeprosiła go, a potem świat zapachniał kwiatami, trawą, jeziorem i świeżo spadłym deszczem, a ja umarłem. A potem jednak nie. A potem...

– Teraz oczy.

– Nie mogę. Nawet Imogena nie podołałaby czemuś takiemu. Jest zbyt stara.

– Musisz spróbować.

– Dobrze, ale tylko prawe. Z drugiego nic nie zostało.

– Niech będzie.

I obudziłem się, widząc dwa światy zamiast jednego.

Rozdział 20

– Żaden z ciebie Stevie Wonder, ale dajesz radę. – Imogena poklepała mnie po dłoni.

Staliśmy przed lustrem w archiwum Szpitala Psychiatrycznego imienia Lincolna, wysoko w dzwonnicy, która dawniej śmiertelnie mnie przerażała. Przymierzałem okulary, które Imogena, Levi i Forest przerobili dla mnie przy niewielkiej pomocy Triny i Jessiego. Były to okulary, jakie nosili zwykle niewidomi.

Prawa połowa mojej twarzy była gładka i zdrowa, podobnie jak oko po tej stronie, dlatego prawe szkło było tylko przyciemnione i widziałem przez nie normalnie – widziałem świat, w którym się wychowałem, bez żadnych nadprzyrodzonych dodatków.

Lewą stronę mojej twarzy pokrywały białoróżowe blizny i po dwóch miesiącach od czasu, kiedy ścięliśmy wiedźmowe drzewo w podziemiach Lincolna, Levi mógł wreszcie przejść do pracy nad brzegami uszkodzonej skóry, barwą i ukształtowaniem, jak autentyczny mistrz tatuażu, a nawet lepszy. Blizny zbiegły mi się w coś na kształt stylizowanego słońca, a jeśli chodzi o oko po tej stronie, było dziwne – całe białe i na pozór ślepe, ale nie martwe. Widziało wiele rzeczy. Okulary tłumiły nieco światło i kolory, które groziły rozsądzeniem mi mózgu za każdym razem, kiedy koncentrowałem się za bardzo na tym, co moje złe oko próbowało mi ukazać.

Uniósłszy okulary, popatrzyłem na siebie i Imogенę w lustrze, a potem na Leviego, Forest, Jessiego, Trinę i mamę. Normalne oko mojego odbicia spojrzało na mnie uważnie, białe oko także. Bez okularów widziałem w Levim mieszaninę światła i mroku oraz niesamowitą żółtą poświatę wokół Forest. Imogena emanowała podobnym blaskiem, ale jej światło wydawało się bardziej rozrzedzone i słabsze.

Mamę otaczała aura – miękkie białe rozbłyski – a Jessie miał w sobie stalowobłękitną solidność. Zawsze wiedziałem, że jest porządnym człowiekiem, ale teraz mogłem to także zobaczyć. Z bitwy pod domem wariatów nie wyniósł żadnych blizn, ale potem obciął swoje długie rude włosy, ogolił się i zapisał na karate i siłownię. Forest wyraziła przypuszczenie, że chłopak zdurniał i uwierzył, iż może zostać ninją. Ciekawy byłby to wojownik, w spranych dżinsach, bluzie Lincolna i z kępkami rudej szczeciny sterczącymi na boki po obu stronach głowy.

Trina stanęła obok mnie i patrząc w lustro, ujęła moją dłoń. Miała na sobie dzinsy i różowy sweter. Jej aura była inna – srebrzysta z roziskrzonym światłem wokół krawędzi, zwłaszcza w kąciach jej przecudnych oczu.

– Fajne te okulary – powiedziała, więc opuściłem je z powrotem na nos, a Trina ścisnęła moją dłoń.

Jej też nie zostały żadne blizny – ani na skórze, ani na duszy i uczuciach. Wciąż się uczyła i zamierzała ukończyć studia, ale właśnie zmieniała kierunek na pracę socjalną i planowała podjąć pierwsze praktyki w Lincolnie, aby być blisko.

Babci Betty nie wyczuwałem wcale, odkąd ujrzałem jej ducha pod Lincolnem, ale miałem nadzieję, że pochwaliłaby mnie. Forest kilka razy wybrała się też na poszukiwanie babci Leslie, ale bez powodzenia. Myślałem sobie, że obie tym razem na dobre odeszły na tamtą stronę i myśl ta nappełniała mnie smutkiem, a jednocześnie dawała ukojenie. Może teraz odpoczywały albo poszły do nieba czy gdzieś tam, dokąd się udajemy w następnym życiu. Gdziekolwiek były, miałem nadzieję, że znalazły pełny i ostateczny spokój duszy.

Staliśmy tam wszyscy – Trina i Jessie, Imogena i Forest, Levi, mama i ja.

Siedem osób gapiących się w lustro i zastanawiających, czy naprawdę dobrze zrozumieliśmy wszystko, co się wydarzyło i co dopiero miało się wydarzyć.

– No i? – spytała mama. – Ludziska kochane, wymyśliliście coś?

– To był ten kolec – powiedział Levi. – Betty musiała zdobyć go, kiedy po raz pierwszy walczyła z wiedźmowym drzewem. Kiedy Dariusz dźgnął drzewo w oko, załatwił je jedyną na tyle silną trucizną, aby je skrzywdzić: kawałkiem niego samego.

Przyjrzałem mu się, starając się zauważyć wszystko, co mogłem dostrzec.

– A mój dziadek? Jesteś pewien, że odszedł na dobre?

Levi zdołał wykrzywić usta w grymasie nawet odrobinę przypominającym uśmiech, ale nie całkiem. Nie uśmiechał się zbyt wiele, chyba że myślał o Forest.

– Bez drzewa jest słaby jak mysi noworodek. Nie wróci.

Mama zmarszczyła brwi.

– Chyba że znajdzie się następne wiedźmowe drzewo, które zechce się nim posłużyć.

– Nie ma innego drzewa – powiedziała Forest. – Nie takiego jak to.

Wszyscy spojrzeliśmy na nią. Tam, w podziemiach, było oczywiste, że mój dziadek poznał się na jej mocy. Była rzadka i dość silna, aby przerażać

zarówno ludzi, jak i duchy. Chciałem chronić Forest, tak jak chciałem chronić Trinę, ale z innych pobudek. Wydawało się to właściwe, jak coś, czego świat potrzebował – zwłaszcza maleńki skrawek świata wokół szpitala psychiatrycznego Lincolna.

Być może przeznaczeniem Forest było przejąć obowiązki Imogeny – obowiązki, które Imogena wykonywała stanowczo za długo. Zaś naszą powinnością było otoczyć ją opieką i pomóc jej w ogarnięciu się.

– Już czas – powiedziała Trina, a ja przytaknąłem skinieniem głowy.

Jessie naprężył prawy biceps.

– Niedługo koniec zmiany. Kapitan James wziął dziś drugą, więc na trzecią nie zostanie. Lepiej się ruszmy.

Mama pokręciła głową, ale nie zaprotestowała głośno, tylko ostentacyjnie zaciągnęła hamulce wózka, dając nam znać, że nie pochwała naszego postępowania i że sama zostaje w dzwonnicy. Wciąż się bała, że wpakuję się w jakieś tarapaty, mimo iż oczyszczono mnie z wszelkich zarzutów, kiedy policja uznała, że prawdziwy złoczyńca porwał mnie i próbował spalić żywcem w podziemiach Lincolna.

Jednak policja nie wiedziała o kapitanie Jamesie – że był kimś w rodzaju sługi mojego dziadka i tamtego drzewa. Według zapisków Imogeny miał w sobie krew Madoca i jakiś rodzaj własnej mocy, ale przeszedł na stronę zła. Imogena powiedziała, że jest zepsuty do szpiku kości i nie można pozwolić, aby chodził po ziemi i krzywdził innych. Pomyślałem sobie, że niedługo przekonam się, czy Levi potrafi zabijać, wyrywając ludziom duszę, ducha czy coś tam.

– Serio, nie potrzebuję przy tym pomocy – powiedział Levi, ale my już schodziliśmy gęsiego po schodach wieży i nikt nawet nie spojrział w jego stronę. – Mogę pójść z Imogeną. Takie rzeczy zawsze załatwialiśmy sami.

– Czasy samotnej pracy przeminęły, Levi – powiedziała Imogena do swojego wnuka.

Szła tuż przede mną, na końcu pochodu, sunąc po schodach szybciej, niż uznałbym za możliwe dla osoby w jej wieku.

– Kiedy dobry Pan zsyła pomoc, należy ją przyjąć.

Dziwnie było słuchać, jak mówi o Bogu, i jeszcze zanim dotarliśmy do frontowych drzwi w głównym holu domu pod wieżą, nie wytrzymałem i powiedziałem:

– Wciąż wspominasz dobrego Pana, Imogeno. Sądziłem, że jesteś wiedźmą.

Na dźwięk tych słów wszyscy stanęli jak wryci. Levi posłał mi mroczne spojrzenie, ale Imogena tylko się roześmiała.

– Nazywano mnie już znacznie gorzej. Nie raz.

Wyciągnęła rękę i podała mi mały papierek. Podobne papierki dała Trinie, Forest, Jessiemu i Leviemu.

– Dobrze, a teraz włóżcie je do ust.

Nikt się nie zawahał oprócz mnie. Po kilku sekundach uniosłem karteczkę i położyłem sobie na języku, jak wszyscy pozostali. Zabuzowała lekko i rozpuściła się, rozpluwając miętowym smakiem na podniebieniu.

– Co to było? – spytałem.

Szelmowski uśmiech Imogeny czasem robił na mnie upiorne wrażenie – sprawiał, że wyglądała jednocześnie na starszą i młodszą. W jej okolonych zmarszczkami oczach zamigotała wesołość.

– Nic trującego. Tylko szczypta Pisma z kroplą olejku miętowego.

„Od wiedźmy”. Tych słów nie wypowiedziała na głos, ale zobaczyłem je w uśmiešku drgającym w kącikach jej ust.

– Nie jestem specjalnie religijny – wyznałem.

– Nie jest istotne, w co wierzysz – powiedziała Imogena. – To ja napisałam słowa, które mają chronić was tej nocy.

– Levi mówi, że panujesz nad duchami – powiedziała Trina, odruchowo przyciszając głos w opustoszałej wieży. – I że przechowujesz opisy różnych rodzajów duchów, które spotykasz w Lincolnie.

– Tak było, ale staję się na to za stara, co często powtarzam. – Imogena zerknęła na Leviego. – I co wszyscy często mi powtarzają. Ale Levi to dobry chłopak, a Forest jest silna. Wy troje zresztą tak samo.

– Będziemy potrzebować siły? – spytała Trina.

– W okolicy starego psychiatryka zawsze warto mieć siłę. – Imogena ruszyła w stronę drzwi.

Ruszyłem za nią.

– Dlaczego?

– To miejsce nękają zaburzenia – powiedziała, po czym otworzyła masywne drewniane skrzydło, jakby nic nie ważyło, i przytrzymała je, wypuszczając nas na zimną styczniową noc. – Trzeba coś z nimi robić, inaczej mogą się zacząć dziać straszliwe rzeczy.

Skinąłem na Trinę i Jessiego, aby wyszli na zewnątrz.

– Zaburzenia? Masz na myśli tutejszych szaleńców?

– To, co dziś wydaje się szalone, jutro może być całkiem normalne. – Imogena potrząsnęła głową, a jej gruby biały warkocz zakołysał się na boki. – Wiedzieliście, że dawniej zamykano tu dziewczęta za zadawanie się z chłopcami bez ślubu? Zsyłano tu wszystkich: deliryków i opóźnione

w rozwoju dzieci, nastolatków, którzy pyskowali rodzicom, i chorych umierających na suchoty albo na febrę. Każdy, kto był inny albo zalażł czymś ludziom za skórę, trafiał do domu wariatów gdzie tkwił do końca życia. Prawdziwych szaleńców zawsze było tu niewielu.

Trina zatrzymała się na ganku i odwróciła w stronę Imogeny, pocierając ramiona, aby je rozgrzać.

– Co jest nie tak z Lincolnem? Byłaś tu, kiedy zbudowano ten szpital, więc musisz wiedzieć.

Imogena wyciągnęła rękę i wyłączyła lampę na ganku domu pod wieżą. W nagle zapadłej ciemności Levi, Jessie i Forest stłoczyli się za Triną w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Zawsze uważałam, że to miejsce jest trochę jak ja. – Imogena odjęła dłoń od wyłącznika i w zamyśleniu powiodła kościstymi palcami po krawędzi drzwi. – Lincoln ma w sobie krew Madoca, nasiąkły nią belki i kamienie budynku. Ten szpital żyje w dwóch światach.

Kiedy Imogena spojrzała na mnie, jej oczy wydały mi się nagle nieprawdopodobnie stare i nawiedzone, aż przyszło mi na myśl, że może ona *jest* tym szpitalem, że w jej postaci obudził się do życia – albo że to szpital trzyma przy życiu ją. Myśl była stanowczo zbyt obłąkana, abym odważył się wypowiedzieć ją na głos.

– Jeśli istnieje coś osobliwego – kontynuowała Imogena – albo jeśli kiedykolwiek istniało, prędzej czy później wypływa tutaj, w Lincolnie. Istoty szalone? O, tak! Oraz takie chmary duchów, że powietrze od nich aż brzęczy. Nie wszystkie są złe, jednak z pewnością nie wszystkie nazwalibyście dobrymi.

– Wiedźmowe drzewo nie było dobre. – Wypuściłem powietrze, czując na policzku jego ciepło. – Mój dziadek był jeszcze gorszy.

Imogena wyszła za próg i chwyciwszy mnie za nadgarstek, wyciągnęła za sobą na dwór. Drzwi domu pod wieżą trzasnęły za nami.

– Tylko pamiętaj: nie wszystko, co złe w tym miejscu, jest martwe. Nigdy nie trać głowy i zawsze miej oczy otwarte. Przydadzą ci się.

Wszyscy ruszyliśmy naprzód, z wyjątkiem Lewiego, który stał na najwyższym stopniu schodów, z twarzą zwróconą do ścieżek dydaktycznych i hektarów lasu po naszej prawej stronie. Mimo ciemności wiedziałem, że marszczy brwi.

– Czujecie to? – Levi spytał głosem tak cichym i tak złowieszczym, że natychmiast zamarłem w absolutnym bezruchu.

I wtedy też to poczułem. Uniosłem okulary i moje białe oko ujrzalo szare smużki dryfujące między nami.

Dym.

Dym o złowroźnie słodkawym zapachu, od którego rozdygotały mi się wnętrzności. Bezwiednie uniosłem palce do blizn na mojej twarzy, a Levi zacisnął pięści.

– Taa, choćbym chodziła ciemną doliną – mruknęła Imogena, omijając nas, aby pokuśtykać w dół frontowych schodów – zła się nie ulękne...

Ale ja lękałem się zła. Lękałem się okropnie i wcale nie chciałem schodzić w głąb ciemnej doliny śmierci.

Gdzieś pośród mroźnej nocy płonął człowiek.

Odnaleźliśmy stos na terenie wyglądającym tak, jakby należał do prastarej kniei, a nie do lasu oddzielającego szpital od Never. Miejsce było doskonałe – odosobnione akurat na tyle, aby normalni ludzie niczego nie zauważyli. Ani nie wyczuli.

Ująłem Trinę za rękę i stanęliśmy wraz z Jessiem nad stertą dopalających się węgli, starając się nie zauważać upiornej sylwetki dzwonnicy w oddali, przesłaniającej czarnym cieniem księżyc i gwiazdy.

– Kto to zrobił? – spytał Levi, nie odwracając wzroku od zwęglonych szczątków człowieka.

Palce nieboszczyka, zwinięte w czarne sierpy, kruszyły się w żarze.

– Ten sam facet, który zabił ciebie, chłopcze – odpowiedziała Imogena. – Ten sam, który robi to od lat. Ma coś przeciwko madocom. Może uważa, że wykonywałby naszą pracę lepiej od nas.

– Facet? – spytała Trina głosem płaskim i mroźniejszym niż zimowe powietrze.

– To mężczyzna – westchnęła Imogena. – I zanim zaczniesz się dopytywać: nic więcej nie wiem.

Forest wyłoniła się spomiędzy drzew rosnących najbliżej stosu. Próbowwała wyczuć duszę zamordowanego, aby odnaleźć ją i przeprowadzić na tamtą stronę, jeżeli jeszcze nie przeszła tam samodzielnie.

– Ten spalony człowiek... To kapitan James, Imogeno. Miałaś rację. Przeprowadziłam go. Czy powinniśmy wytropić tego, kto go zamordował?

Imogena potrzęsnęła głową.

– Nie. Dosyć umierania jak na jedną noc.

– Wzywamy policję? – spytał Jessie.

Nie musiałem patrzeć na kręcącą głową Imogenę, aby domyślić się odpowiedzi.

– Niech sami znajdą, co mają znaleźć, i to w swoim czasie. Nie wydaje mi

się, żeby tacy jak ten tutaj mieli kogokolwiek, kto chodziłby i ich szukał.

– Ty poszłaś szukać mnie – powiedział Levi głosem bez emocji, a mimo to przesiąkniętym wszystkimi uczuciami świata.

Dłoń Triny ścisnęła moje palce tak mocno, że strzeliły mi knykcie.

– Ile osób zabił ten maniak, skoro mówisz, że to trwa już od lat? – spytałem. – Dwadzieścia? Trzydzieści?

Imogena nie odpowiedziała i ogarnęło mnie paskudne przeczucie, że liczba jest znacznie wyższa.

– Następny seryjny morderca – westchnął Jessie. – Nie do wiary. Witamy w Never.

– Może sądzi, że pozbywa się złych stworzeń, nad którymi prawo nie może zapanować, tak jak my mieliśmy to robić – powiedziała Trina drżącym głosem.

– Może we własnym rozumieniu stara się robić to, co należy. Jak możemy osądzać go, nie osądzając samych siebie?

– Ale kimkolwiek jest ten zabójca, popełnia błędy – powiedziała Forest, stając obok Leviego.

– A wy nigdy ich nie popełniacie? – Trina zwróciła się do Imogeny, a potem przeniosła wzrok na Leviego. – Nigdy nie zdarzyło się wam dopaść zbrodniarza, który wykorzystywał moc Madoca do czynienia zła, by ostatecznie przekonać się, że ścigaliście nie tę osobę?

– Spokojnie, skarbie. – Przyciągnąłem ją do siebie i przytuliłem, rozdygotaną, łapiącą powietrze nerwowymi haustami. – Za dużo tego wszystkiego. Chodźmy po mamę i wracajmy do domu.

Z ociąganiem położyła mi ręce na plecach i odwzajemniła uścisk, a po kilku chwilach skinęła głową. Wszyscy mieszkaliśmy w moim domu: mama, Jessie, ja, Forest i Levi. Trina miała się do nas wprowadzić – do mnie – kiedy tylko porozmawia ze swoim ojcem.

Jeśli chodzi o Imogenę, to jej domem było mieszkanko pod szczytem dzwonnicy. Nie opuszczała terenu szpitala; nie wiedziałem nawet, czy mogła. Po tym, jak znaleźliśmy tego płonącego trupa w lesie, wcale nie byłem pewien, czy chcę, aby to robiła.

Ten szpital musiał mieć strażnika. Być może potrzebowało go całe Never.

– Chodźmy – powiedziałem do Triny, odciągając ją od ognia. – To nie jest coś, co moglibyśmy naprawić dzisiaj.

Trina weszła ze mną między drzewa, a za nami ruszyli pozostali. Cieszyłem się, że nikt nie powiedział głośno tego, co dodałem w myślach:

„To nie jest coś, co moglibyśmy kiedykolwiek naprawić”.

Ale może wszyscy razem byliśmy dość silni – i dość głupi – aby

przynajmniej spróbować.

CZĘŚĆ TRZECIA

KRZYK NA KOŃCU KORYTARZA

Trina

Rozdział 21

„Wiedźmin”.

To takie paskudne słowo. Nie mogłam wyrzucić go z głowy, ale nie potrafiłam też go ignorować. Już nie.

– Po co chcesz iść do sklepu, Trina? – spytał mój ojciec, nie odrywając wzroku od rozłożonej na kolanach książki. – Addie poradzi sobie sama.

Siedziałam naprzeciwko najbardziej znanego kaznodziei w Never, dwie godziny po jego popołudniowym niedzielnym spotkaniu modlitewnym, nie mogąc pozbyć się wizji ciała płonącego na stosie w lasach za szpitalem Lincolna.

„Wiedźmin”.

Ojciec dałby mi w twarz, gdybym go tak nazwała.

„Morderca”.

Gdyby to słowo padło z moich ust, potraktowałby mnie o wiele gorzej.

Tamten zamordowany mężczyzna w lesie – kapitan James – był złym człowiekiem. Zepsutym na wskroś. Jeśli mój ojciec naprawdę go zabił, czy było to takie złe?

– Stęskniłam się za Addie w szkole – odpowiedziałam i nie było to kłamstwo.

Musiałam ścisnąć dłonie, aby powstrzymać się od dłubania przy woskowych zatyczkach w moim nosie. Rozchyliłam usta na milimetr, ledwie na tyle, aby móc nabrać powietrza, bacząc, aby ojciec niczego nie zauważył. Mogłam mieć tylko nadzieję, że się uda. Z moim ojcem nigdy nie było wiadomo, co dostrzegł, a czego nie, dopóki nie okazało się, że jest za późno.

„Odejmę czarodziejstwa z twojej ręki i wieszczbiarzy już w tobie nie będzie” – wyrecytował mój mózg. Cytat pochodził z Biblii, z Księgi Micheasza. Mój ojciec lubił cytować Pismo, nie wychodziło mu tylko stosowanie się do jego zaleceń.

– Mmm – zamruczał ze wzrokiem utkwionym w książce.

Był wysokim mężczyzną o węzlastych mięśniach i dłoniach dość dużych, by móc zgniatać nimi czaszki. Wyłysiał, ledwie dorosłam na tyle, aby zachować wspomnienie taty z włosami, ale poza tym nie postarzał się ani trochę. Skórę miał ciemną i tak gładką, że jedyną znaną mi gładszą rzeczą była dalia, którą dostał od kogoś w którąś Wielkanoc. Zawsze nosił spodnie od garnituru, a w jego czarnych jak węgiel oczach czaił się przenikliwy błysk. Nie przegapiał

niczego i żądał sprawozdania z każdej czynności, każdej sekundy spędzonej poza zasięgiem jego wzroku.

– Czy to nie strata czasu, Trino? Mogłabyś się pouczyć.

Czułam, jak na karku perli mi się pot. Powinnam była uciec z powrotem do Lexington, kiedy znaleźliśmy te zwłoki dopalające się w lesie. Powinnam była wrócić do college’u, do wizji przyszłości, w której nie było pastora Martineza rozpierającego się w swoim uszатыm fotelu, kontrolującego każdą minutę mojego życia i poddającego osądowi każdy mój oddech.

Jego palce musnęły skórzaną okładkę książki. Wyglądała normalnie, ale wiedziałam, jaka to skóra.

Ludzka.

Jego druga żona Adelajda – dla mnie Addie od dnia, w którym ją poznałam – wyszła z kuchni i stanęła za fotelem, w którym czytał tę starą księgę zaklęć, odebraną którejś z jego ofiar w Never. Komuś, w czyich żyłach płynęła krew Madoca. Komuś złemu – albo raczej komuś, kogo on uznał za złego.

„Kolejne ciało spalone w nocy na stosie”.

– Nie miałam zbyt wielu okazji nacieszyć się Triną podczas tej wizyty, Xavier. – Głos Addie brzmiał rzeczowo. – Daj nam trochę czasu na babskie pogaduchy.

Mięśnie mi stężały, ale starałam się wyglądać na rozluźnioną. Żadnych emocji na twarzy. Żadnego sugerowania czegokolwiek. Powietrze w pokoju wydało mi się nagle zbyt gorące i nieruchome. Mimo wetkniętych w nozdrza zatyczek aromat duszonego mięsa niepowstrzymanie wsączał mi się w świadomość. Addie gotowała je celowo, ponieważ zapach był nam potrzebny.

– Co chcesz kupić? – spytał ją mój ojciec.

Addie postawiła szklanke z mrożoną herbatą na stoliku obok fotela.

– Sól i liście laurowe – odpowiedziała.

Jej łokieć za fotelem – ten, którego nie mógł zobaczyć – zgiął się, kiedy sięgała do kieszeni swojego niebieskiego fartucha, aby wydobyć z niej trupa dłoń.

Była uwiędła i pomarszczona, a każdy palec został umoczony w tłuszczu wytopionym z sadła jej pierwotnego właściciela. Był kierowcą ciężarówki, zastrzelonym przez policję w innym stanie i przetransportowanym do domu na pogrzeb. Dłoń – tę samą, która trzymała nóż, którym szofer posiekał na kawałki prostytutkę – Addie zdobyła w domu pogrzebowym Johnson i Synowie, gdzie pracowała. Ukradła też dość sadła z brzucha mordercy, aby móc dokończyć dzieła, i przygotowałyśmy sobie wszystko, czego

potrzebowałyśmy, aby móc oddychać, kiedy stanie się to trudne.

Addie wśliznęła się cicho za ojca, podpaliła kciuk *dłoni chwały* i wsunęła ją szybko pod fotel.

Wyobraziłam sobie, że mogę zobaczyć, jak mdląco słodki zapach płonącego trupiego tłuszczu z wolna wypełnia pokój, zespalając się z aromatem duszonego mięsa.

Ojciec poprawił się w fotelu. Addie wzdrygnęła się, a ja podskoczyłam na kanapie, mimo nadludzkiego wysiłku, jaki wkładałam w pozostawanie w bezruchu. Serce biło mi coraz szybciej i szybciej. Ojciec ziewnął.

– Dobrze zatem – powiedział. – Macie pół godziny.

Addie ruszyła z powrotem do kuchni, nie ważąc się na mnie spojrzeć.

Ojciec sięgnął po herbatę, ziewnął jeszcze raz i odstawił szklanę. Kiedy zwrócił twarz w moją stronę, krew w moich żyłach zapulsowała z taką mocą, że oczy zaszyły mi łzami.

Jego powieki poruszyły się leniwie kilka razy i opadły.

Wyprężył swoje długie ciało w fotelu i położył dłoń na skonfiskowanej księdze zaklęć, którą studiował. Kilka chwil później rozległo się jego chrapanie.

Drzwi kuchni znów się otworzyły i wyszła z nich Addie, przywołując mnie gestem. Poderwałam się i skierowałam prosto do wyjścia.

Śpiąc pod wpływem uroku, mój ojciec tylko chrząknął, zamiast wygłosić wykład o obowiązujących w tym domu zasadach albo skrócić wolny czas, który nam przyznał. Jego drzemka nie miała trwać więcej niż ponad godzinę – tego byłam pewna. Żaden czar nie działał na mojego ojca zbyt długo, ale ten przynajmniej mógł powstrzymać go przed rzuceniem własnych uroków do śledzenia nas albo podsłuchiwania naszych rozmów. Gdyby naprawdę dopisało nam szczęście, nie zorientowałyby się nawet, co zrobiłyśmy.

Gdyby nie dopisało nam szczęście... Nie, wolałam nie kusić losu myśleniem o złych rzeczach.

Addie i ja wśliznęłyśmy się przez drzwi sutereny, wspiełyśmy szybko po schodkach i puściłyśmy biegiem do samochodu.

Rozdział 22

Wyciągnęłam zatyczki z nosa i schowałam je do kieszeni, podczas gdy Addie wyprowadzała auto spod domu.

Ktoś zatrąbił na nas, aż podskoczyłam. Czy to półciężarówka taty, już uruchomiona, gotowa do pościgu? Czy mój ojciec obudził się mimo dłoni chwały skwierczącej i dymiącej pod jego fotelem?

Pięści zacisnęły mi się same, ale zmusiłam się do rozluźnienia palców. Co mi odbiło? Przecież nigdy w życiu nie spróbowałabym uderzyć własnego ojca, bez względu na to, jak bardzo mnie przerażał.

– Trina? – Moja macocha zmierzyła mnie nieco rozbawionym wzrokiem, trochę jak rodzic, trochę jak przyjaciółka.

Była taka dla mnie od dnia, w którym ojciec sprowadził ją do domu jako swoją nową młodziutką żonę. Ja miałam pięć lat, ona osiemnaście; nie jestem pewna, czy tata zdawał sobie sprawę, że przyprowadził mi sojuszniczkę, a nie opiekunkę. Jeśli chodzi o moją prawdziwą mamę, ta już dawno zniknęła z mojego życia, najpewniej uciekła od ojca najdalej, jak tylko mogła. Nigdy nie dostałam od niej choćby listu.

– Nie wracam do Lexington – powiedziałam do Addie, wbijając wzrok w drogę przed samochodem. – Złożyłam wniosek o praktyki w tym semestrze i zaczynam w poniedziałek. Potem może dokończę rok w South College, jeśli zgodzą się na moje przeniesienie.

W odbiciu na przedniej szybie auta zobaczyłam, że Addie się krzywi.

– Ojca trafi szlag. Nie chce, żebyś została w Never.

Wzruszyłam ramionami, udając, że nic a nic mnie to nie obchodzi, a Addie dodała:

– Zrobię, co będę mogła, ale wiem, że nie namówiłaś mnie na uśpienie go tylko po to, żeby nie usłyszał o twoich decyzjach dotyczących edukacji.

Na te słowa poruszyłam się niespokojnie. Addie nie używała zaklęć do zaglądania w moje myśli ani przyszłość. Nie musiała. Wszystko, co miałam w sercu, potrafiła odczytać z mojej twarzy.

– Nie będę mieszkała w domu – powiedziałam.

Addie westchnęła i kiwnęła głową.

– Przeprowadzasz się do Dariusza.

Nie musiała dodawać, że „ojca trafi szlag” – to rozumiało się samo przez się. Jakiś czas temu Dariusz został aresztowany i oskarżony o morderstwo.

Wprawdzie szybko oczyszczono go z wszelkich zarzutów, ale takie rzeczy nie robiły dobrego wrażenia na ojcach, zwłaszcza tak nadopiekuńczych jak mój. Co do reszty historii, to wciąż nie mogłam się zdobyć na opowiadanie jej, więc poprzestałam na bezsensownym:

– Będę miała osobny pokój.

Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Czego ty mi nie mówisz? – spytała Addie, hamując przed wjazdem na parking sklepu.

Powietrze w aucie zdawało się gęstnieć od energii, a moje wnętrzości skręciły się w supeł. Przyszło mi do głowy, że być może to ojciec rzucił jakieś zaklęcie, które teraz czai się u granic naszej rozmowy, szukając rysy, pęknięcia, przez które mogłoby wysssać wszystkie moje sekrety.

– Kilka tygodni temu wpakowałam się w coś. Byłam w Lincolnie – wyznałam.

Serce zabiło mi mocniej i zerknęłam nerwowo w lusterko. Nie śledziła nas żadna półciężarówka; tylko spodziewałam się, że tam będzie.

– W Lincolnie? Czyś ty na głowę upadła? – Addie wydawała się bardziej zirytowana niż wściekła, a ja ją rozumiałam.

Ojciec zawsze stanowczo podkreślał, że Lincoln jest dla mnie strefą zakazaną. Było to jedyne miejsce w Never – jeśli nie liczyć cmentarzy – do którego nie wolno mi było się zbliżyć bez względu na wszystko. Szpital był niebezpieczny, zły, ponieważ kończyło w nim wielu z *nich* – dziwnych ludzi, w których żyłach płynęła krew Madoca; złych istot, które mój ojciec tępił.

Addie wciąż mówiła, mamrocząc, zamiast krzyczeć, na co – wiedziałam o tym – miała wielką ochotę.

– Wiesz, że teraz nie przestanie zrzędzić o tym szpitalu. Że to wylegarnia. Że to...

– Dół klo-u-aczny – dokończyłam, kiepsko imitując głęboki głos ojca z jego mocno południowym, choć lekko sfrancuziałym akcentem, który przejął od swojej kreolskiej matki. – Wiem, że po Lincolnie szwendają się paskudztwa, Addie. Pomogłam zabić jedno z nich.

Marsowa mina Addie zamieniła jej twarz w kamień, a światło w jej oczach zamigotało i zmętniało. Nigdy nie chciała, abym brała udział w zabijaniu. Zaparkowała auto, wyłączyła silnik i zwiesiła głowę, ukazując mi swoje starannie przystrzyżone włosy, maleńkie loki, tak ciasne, że w żaden nie dałoby się wbić choćby szpilki. Zawsze próbowała mnie chronić, nawet wykorzystując zaklęcia, które ściągnęłyby na nią wściekłość ojca, gdyby tylko się o tym dowiedział, a ja sama z siebie poszłam i uwikłałam się w wojnę,

którą mój ojciec toczył od lat.

– Oni o nas wiedzą, niektórzy z tych ludzi, którzy potrafią... no wiesz, robić dziwne rzeczy. – Mars na moim czole dorównywał marsowi Addie. – Wiedzą na pewno, że ktoś ich zabija.

– W takim razie musimy się przygotować, a ja muszę ostrzec Xaviera.

Addie sięgnęła do stacyjki, aby znów uruchomić silnik, ale złapałam ją za rękę.

– Nie musisz mu niczego mówić. – W wyobraźni pojawił mi się obraz Dariusza z jego głupkowatym uśmiechem i szczeciną na policzkach. I tym białym wypalonym okiem, które widziało rzeczy, jakich nie powinno się oglądać. – Oni nie szykują się do walki. Nie zaatakują nas.

– Zaatakują – odparła Addie, odtrącając moją dłoń, ale nie włączając silnika. – Zawsze to robią. Popatrz na twoją historię.

„Moja historia”. Miała na myśli zapiski mojego ojca. Ilu madoców zabił, jak wielu tak zwanych normalnych ludzi w Never zginęło w zagadkowy sposób. Morderstwa, zaginięcia, tajemnicze dramaty – zapisywał wszystko i zawsze zakładał, że to sprawka madoców.

„To szatan wypuścił na ziemię zło, takie jak madocowie” – zwykł mawiać mój ojciec. – „Bóg zaś przykazał ludziom, takim jak ja, niszczyć je”.

Otworzyłam drzwi i wysiadłam, mając nadzieję, że Addie robi to samo. Po kilku chwilach poszła w moje ślady i stanęłyśmy naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy ponad białą maską jej oldsmobile’a.

– On jest w błędzie, Addie. Nie każdy, kto ma moc, jest zły. My, na przykład, nie jesteśmy, prawda?

Skrzyżowała ręce na piersi i zmarszczyła brwi.

– My nie mamy mocy, Trina. Wiemy tylko, jak wykorzystać moc tkwiącą w innych rzeczach. Co innego, kiedy ma się ją w sobie, we własnej krwi. Wtedy moc rozrywa umysł i duszę i robi z człowieka coś takiego jak te demony, na które poluje Xavier.

Wizja płonących zwłok zamigotała mi przed oczami, więc zacisnęłam powieki i policzyłam do trzech. Zawsze wiedziałam, co robił mój ojciec albo co twierdził, że robi dla naszego bezpieczeństwa, ale nigdy nie widziałam go w akcji ani nie oglądałam tego, co zostawało z jego ofiar, kiedy już z nimi skończył.

Zwłoki w lesie wyglądały po prostu jak trup. Nic wielkiego, przejmującego ani przerażającego. Wyglądały żałośnie.

„Czy to tata był tym, kto próbował zabić Leviego?”.

Natychmiast wypchnęłam tę myśl z głowy.

– Poznałam kilka osób, które potrafią robić wyjątkowe rzeczy – oznajmiłam Addie. – Nie uważam, aby były złe.

Addie wzdrygnęła się, a jej do tej pory gniewna twarz przybrała wyraz grozy.

– Kochanie, takie stwory kłamią jak z nut. Potrafią sprawić, że będziesz myślała, co tylko zechcą. Właśnie tak działają te służusy szatana.

– To nie są służusy szatana. – Potrząsnęłam głową, czując gorącą plamę desperacji rozlewającą mi się po trzewiach. – To zwyczajni ludzie, tacy jak ty i ja.

Addie wpatrywała się we mnie z brwiami uniesionymi tak wysoko, że wyglądała jak postać z kreskówki.

– Co to za ludzie?

Wzruszyłam ramionami. Nie było mowy, abym podała jej nazwiska, ona zaś dobrze o tym wiedziała. Po kilku chwilach oczekiwania zrezygnowała i machnęła ręką w stronę sklepu.

– Chodźmy. Sól i liście laurowe. Może nie zauważy, że wyszliśmy na dłużej, niż powinnyśmy, ale na pewno zauważy, jak nie przyniesiemy tego, po co poszliśmy.

Pozostała część wyprawy na zakupy i podróż powrotna do domu upłynęły w milczeniu, ponieważ brakowało mi już odwagi do rozmowy.

Kiedy wysiadłyśmy z samochodu przed domem, obie przyjrzałyśmy się uważnie drzwiom sutereny, a potem oknu salonu. Przekroczyłyśmy limit przyznany nam przez ojca o osiemnaście minut. Dłoń chwały pewnie już się wypaliła, ale na pewno nie został po niej popiół ani plamy tłuszczu. Tata nigdy nie orientował się, że użyłyśmy tej metody, chyba że znalazł wciąż płonąca dłoń. Za każdym razem nie miałyśmy pewności, czy ujdzie nam na sucho wykradnięcie odrobiny dodatkowego czasu i prywatności. Mogłam być pewna tylko jednego: że jeśli się obudził, to jest wściekły i zamknie nas w domu na całe tygodnie – chyba że porzucę Dariusza i wrócę na studia.

Addie ruszyła w stronę domu, ale dogoniłam ją kilkoma susami.

– Zaczekaj! Jedną chwileczkę.

Jeśli nie potrafiłam przekonać Addie do moich racji, nie miałam szans na nakłonienie ojca, aby mnie wysłuchał.

– Niektórzy z tych ludzi obdarzonych mocą mogliby nam pomóc. A my moglibyśmy pomóc im. Oni naprawdę nie są źli, na pewno nie wszyscy.

Addie otworzyła i zamknęła usta. Zaszleściła nerwowo foliową reklamówką i potrząsnęła głową, jakby chciała zmusić do posłuchu skłócone

myśli, awanturujące się w jej głowie.

– Na przykład ta dziewczyna, Forest – ciągnęłam w gorączkowym pośpiechu. – Normalnie czuje się, jak promieniuje czymś wyjątkowym. Dariusz widzi, jaka jest dobra, swoim specjalnym okiem, choć tak naprawdę nie wiemy, kim jest. Wtedy pod Lincolnem załatwiliśmy seryjnego mordercę i drzewo, które było... Bo ja wiem? Zbyt żywe, czy coś... Miało paszczę z zębami.

Addie nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Tylko patrzyła. Na mnie. Myślałam, że mnie słucha. Myślałam, że rozumie.

– Co do pewnych spraw ojciec od początku miał rację – przyznałam. – Naprawdę toczy się wojna, tylko nie taka, jak sobie wyobraża. Właśnie dlatego muszę popracować trochę w Lincolnie: żeby mieć oko na wszystko, co się tam dzieje, i w razie czego pomagać.

Addie złapała mnie za łokieć i wolnym krokiem ruszyła w stronę sutereny. Nie opierałam się, kiedy wciągnęła mnie za próg. Potem starannie zamknęła za nami drzwi i przekręciła zamek. Kiedy znalazłyśmy się w ciszy między murami, zajrzała mi głęboko w oczy i ciężar, który narastał mi w piersi, nieznacznie zelżał. Powiedziałam wszystko, co miałam powiedzieć. A Addie wysłuchiwała. Zawsze była przy mnie, zawsze po mojej stronie. Na pewno zrozumie. Na pewno pomoże mi przekonać ojca, że musimy pomagać dobrym ludziom – bez względu na to, czy mają moc, czy nie – w walce z prawdziwym złem, kiedy objawi się na tym świecie.

– Dariusz... – powiedziała Addie. – Kiedy się dowiedziałaś?

Zamrugalam powiekami, nie rozumiejąc pytania.

Addie wypuściła powietrze w długim ciężkim westchnieniu, jak robiła zawsze, kiedy była smutna.

– Kiedy dowiedziałaś się, że Dariusz Hyatt jest potomkiem Madoca?

– C-co? – Mróz ściał moje myśli i spłynął w dół, aby ścisnąć serce.

Przecież nie powiedziałam niczego o tym, że Dariusz ma moc. Tego jednego sekretu nigdy bym nie zdradziła, ponieważ mój ojciec... Och... Oko. Wspomniałam o oku Dariusza.

– Moc w nim nie może być silna, bo twój ojciec wyczułby ją już dawno temu. – Addie odłożyła na podłogę torbę z liśćmi laurowymi i solą, po czym objęła mnie ramionami i przyciągnawszy do siebie, mocno uścisnęła. – Tak mi przykro, słonko. Tak bardzo mi przykro.

– Dariusz jest zupełnie w porządku. On tylko... – zaczęłam mówić, wtulając twarz w jej ramię, ale zamilkłam, porażona widokiem mojego ojca na szczycie schodów sutereny.

Usta miał ściśnięte w poziomą kreskę; wyraz jego twarzy był pusty i bezwzględny. Krew w moich żyłach ścięła się w lód i naparłam na Addie, próbując wyswobodzić się z uścisku.

– Trina, nie – szepnęła mi do ucha. – On wie, że kochasz chłopaka. Zrobi to szybko. Dariusz nawet nic nie poczuje.

Zdołałam odepchnąć ją od siebie i Addie zatoczyła się w tył, potrącając torbę z zakupami. Twarz mojego ojca przemieniła się w maskę sędziego i kata. Wyglądał jak sama śmierć i wiedziałam, co teraz musi się stać.

Ojciec odwrócił się i odszedł.

Rzuciłam się za nim, sadząc susy po schodach i krzycząc, ile sił w płucach.

Rozdział 23

Wciąż krzyczałam, kiedy ojciec otworzył szafę w przedpokoju, aby wyjąć z niej torbę, którą zawsze zabierał ze sobą na polowanie. Przepchnęłam się obok niego i mój krzyk urwał się, jakby coś uderzyło mnie w krtani. Nie oddychając, nie myśląc, zastąpiłam mu drogę do wyjścia. Mógł pójść do sypialni albo zejść na dół, ale aby dostać się do drzwi frontowych lub kuchennych, musiałby przejść przeze mnie.

Nie czułam już strachu. Byłam wściekła. Piers pracowała mi ciężko od biegu i krzyku, ręce rozpostarłam na boki. Trudno było to nazwać pozycją bojową. Nie miałam za sobą treningu ninja ani – jak mój ojciec – lat doświadczenia w zabijaniu ludzi, ale byłam pewna, że sobie poradzę, że coś wymyślę.

Odwrócił się w moją stronę, ściskając rączkę brązowej skórzanej torby na ramię, zawierającej noże, siekiery, żelazne szpikulce, a także zioła, mikstury i wszystko, czego potrzebował do unicestwiania swoich ofiar. Wyglądał jak jakiś profesor, w czarnych spodniach i odprasowanej białej koszuli, ze swoją doskonale gładką skórą i bezwłosą czaszką, ale ja wiedziałam, czym jest naprawdę: machiną śmierci napędzaną ignorancją i garścią błędnych przekonań.

– Nie – wycedziłam przez zaciśnięte zęby, zaskoczona mocą własnego głosu.

„To twój ojciec. Zwariowałaś? Zmiażdży cię jak muchę. Grozisz własnemu ojcu”.

Powietrze wciąż cuchnęło sadłem i palonym ludzkim ciałem. Dłoń chwały zrobiła, co było w jej mocy, ale zawiodła, a teraz dusił mnie jej smród. Zaniostałam się kaszlem, oczy zaszyły mi łzami, ale nie ruszyłam się z miejsca. Nie mogłam. Musiałam go powstrzymać, w przeciwnym razie w ciągu kwadransa Dariusz będzie trupem.

Addie wyszła po schodach z sutereny i stanęła za moim ojcem. Na jej twarzy malowała się groza. Kiedy pochyliwszy głowę, ruszył w moją stronę, złapała go za łokieć.

– Xavier, nie waż się tknąć tego dziecka!

Jej głos był wysoki, wręcz piskliwy. Bała się. Widziałam torturujący ją lęk – smugi rozedrganych żółtych błyskawic migoczące na jej gładkiej brązowej skórze. Kolory mojego ojca były ciemniejsze, przypominały granatowoczarny

atrament. Nie cierpiał od tej ciemności, przeciwnie, witał ją z wdzięcznością. Był to jego pancerz nienawiści.

Barwy, które widziałam, nie były przywidzeniem. Były prawdziwe. Kiedy coś mnie bardzo zdenerwowało, kiedy się bałam albo byłam zła, cała moc, z jaką kiedykolwiek w życiu się spotkałam, zdawała się płynąć do mnie i przeze mnie, a wtedy widziałam kolory i mogłam robić niezwykle rzeczy. Choć nie celowo. Wszystko działo się zupełnie przypadkowo, bez udziału mojej woli. Nie panowałam nad tym, ale w tamtej chwili nie miało to dla mnie znaczenia. Było to coś, z czego nigdy nie odważyłam się zwierzyć Addie ani ojcu. Teraz mieli dowiedzieć się, doświadczając tego na własnej skórze.

– Nie chcę wyrzucić ci krzywdy – powiedziałam ponownie zbyt głośno.

Mój głos wciąż brzmiał poważnie i złowieszczo. Jak głos Xaviera Martineza.

Ojciec uniósł lewą brew, ale poza tym jego twarz pozostała nieruchoma, niczym wykuta w czarnym alabastrze. Przeniósł wzrok z jednej mojej chudej ręki na drugą.

– Zamierzasz zapoliczkować mnie na śmierć?

Nie odpowiedziałam.

– Zadałem ci pytanie, dziewczynko.

Nie czułam się jak dziewczynka i po raz pierwszy jego ton nie robił na mnie wrażenia. Jego twarz zapłonęła świeżą furją, ze skóry sączyły się kolory ciemniejsze od czerni. Zrobił krok w moją stronę.

Addie pociągnęła go za rękę, ale wyszarpnął się. Zaszlochała głośno i odwróciwszy się, zbiegła z powrotem do sutereny.

Serce ścisnęło mi się najpierw ze smutku, a zaraz potem z grozy.

Byłam zdana na siebie.

– Nie waż się podnieść na mnie ręki, Trina – powiedział mój ojciec. – Oko, co ojca wyśmiewa...

– Niech kruki nad rzeką wydziobią lub niech je zjedzą orlęta – dokończyłam za niego cytat z Księgi Przysłów.

Jego oczy rozszerzyły się nieznacznie, akurat na tyle, aby dać mi znać, że go zaskoczyłam. Nigdy nie znosiłam zbyt dobrze jego lekcji Biblii, więc pewnie zakładał, że go nie słuchałam. Zrobił kolejny krok, zbliżając się do mnie na wyciągnięcie ręki. Myśl o tym, że będę musiała uderzyć go, popchnąć, kopnąć czy coś w tym rodzaju, uderzyła mnie z mocą, wywołując mdłości.

– A kto by uderzył swego ojca albo matkę – powiedział – winien być ukarany śmiercią.

– To jak, teraz mnie zabijesz? – odparowałam nagle. – Cóż, chyba nie powinno mnie to dziwić.

– Nie będziesz okazywać mi nieposzanowania – powiedział ojciec tonem tak beznamiętnym, że aż przeszły mnie zimne ciarki. – Zejdź mi z drogi, Trino. Nie będę się powtarzał.

Przerzucił swoją morderczą torbę do lewej ręki, zwalnając prawą, aby móc rozprawić się ze mną. Moje serce tłukło się o żebra jak dziki zwierz w klatce. Byłam zła, że dygocę i ach, jakże pragnęłam móc pchnąć go albo walnąć i niczego przy tym nie poczuć, bo byłam pewna, że krzywdząc mnie, on nie będzie czuł absolutnie niczego.

A on naprawdę zamierzał mnie skrzywdzić.

Widziałam to w całej jego postaci – ledwie powstrzymaną furję. Nie byłam niczemu winna, ale wiedziałam, że to nie będzie miało znaczenia, kiedy mnie uderzy. Że jego ciemność spadnie na mnie i zmiążdży. Że unicestwi wszystko, co stanie jej na drodze, a potem zrobi to samo z Dariuszem.

Mój ojciec podszedł bliżej, wypełniając sobą cały mój świat. Nie widziałam niczego prócz jego gniewnych oczu i błysku białych zębów, kiedy jego usta ułożyły się w krzywy zły uśmiech.

– Co się z tobą stało? – spytał.

Żołądek skręcił mi się w supeł, ponieważ było to pytanie, które zawsze chciałam zadać jemu. Co się stało? Co napełniło go taką zawziętością i okrucieństwem?

Uniosł otwartą dłoń knykciami w moją stronę i domyśliłam się, że zamierza powalić mnie na kolana. Musiałam uderzyć pierwsza.

Mięśnie mi zadrżały. Zacisnęłam pięści, ale nie uniosłam ręki do ciosu.

– Proszę, nie – jęknęłam błagalnie.

Mówiłam i czułam się jak przerażone dziecko. Patrzyłam w te mroczne oczy, usiłując znaleźć w nich jakieś uczucie, troskę – cokolwiek oprócz furii.

Nie znalazłam niczego.

Ale bez względu na to, jak bardzo byłam wściekła, nie potrafiłam uderzyć własnego ojca.

Nie mogłam ocalić Dariusza ani moich nowych przyjaciół, ani nikogo innego.

„Tchórz. Bezużyteczny dzieciak”.

Ręce opadły mi wzdłuż boków. Zamknęłam oczy.

Poczułam to łupnięcie w zębach i wszystkich kościach, ale na próżno czekałam na ból. Nie zachwiałam się. Nie upadłam.

Dźwięk uderzenia i łomot czegoś ciężkiego spadającego na podłogę skłoniły mnie do otwarcia oczu.

Wcale nie zostałam uderzona. To nie ja runęłam na podłogę pozbawiona

przytomności ciosem w głowę. Mój ojciec leżał skulony u moich stóp; prawą połowę twarzy powoli zalewała mu krew.

Addie stała nad nim z patelnią, którą ścisnęła kurczowo, wciąż unosząc ją do ciosu jak baseballową pałkę. Na jej twarzy walczyły ze sobą ból, smutek i groza, a kolorów przemykających po jej skórze nie potrafiłabym nawet opisać.

– Addie... – szepnęłam wstrząśnięta i nagle ogarnął mnie strach o nią, ale także o tatę.

Wyciągnęłam do niej rękę, ale krzyknęła ostrzegawczo i odsunęła się ode mnie z dzikim błyskiem w oczach.

Z wciąż uniesioną patelnią spoglądała to na mnie, to na ojca. Wymamrotała coś o ziołach leczniczych i zaklęciach, których trzeba użyć, aby zapobiec obrzękowi mózgu, ale ja nie byłam nawet pewna, czy on jeszcze żyje.

Żadna z nas nie kwapiła się, aby to sprawdzić.

Nie chciałam go dotykać. Wolałam też nie spuszczać z oczu Addie, która wydawała się bliska utraty zmysłów.

Mijały sekundy. Jeszcze więcej sekund.

Mój ojciec się nie poruszał.

Addie nie opuszczała patelni i nie pozwoliła mi się do siebie zbliżyć. Cofała się przede mną i cofała, aż musiałam przestąpić nad ojcem, aby się do niej dostać. Wymamrotała zaklęcie uzdrawiające, które wniknęło we mnie jak tysiąc elektrycznych igieł. Każdy siniec i każde skaleczenie na moim ciele zagoiło się w jednej chwili – i to bolało.

Być może zaklęcie trafiło też ojca. Mogło uderzyć w sąsiadów albo ludzi tysiąc mil dalej. Addie posługiwała się surową mocą, bez żadnych talizmanów ani eliksirów umożliwiających jej wzywanie i zapanowanie nad nią. Byłam prawie pewna, że ojciec nie wiedział, że ona to potrafi. Niekontrolowana moc była tak groźna jak powódź albo burza z piorunami. Jak wola boska albo klęska żywiołowa robiła swoje, dopóki nie skończyła.

Włosy Addie sterczały na wszystkie strony, a na jej gładkim fartuchu pojawiły się sztywne fałdy i zmarszczki. Jej brązowe oczy zaszyły mgłą, skóra nabrała niezdrowej popielatej szarości. Cokolwiek właśnie zrobiła, wysssało z niej siłę prawie do cna.

– Addie? – spróbowałam jeszcze raz i jej wzrok przeskoczył na mnie tak nagle, że aż się wzdrygnęłam.

Ujrzałam spokój. I cierpienie. I zdradę.

– Odejdź – rozkazała głosem brzmiącym jak tuzin demonów uwięzionych w studni.

Stałyśmy w przedpokoju naprzeciwko siebie, łykając powietrze pachnące krwią i popiołem ze spalonej ręki nieboszczyka. Skóra cierpła mi od niekontrolowanej mocy iskrzącej wszędzie wokół mnie, serce waliło jak młotem.

Odwróciłam się i pobiegłam.

Rozdział 24

– Muszę tam wrócić, sprawdzić, co się z nim dzieje – gorączkowałam się.

Ból rozsadzał mi pierś, a oczy tak piekły od łez, że ledwie rozpoznawałam pięć patrzących na mnie twarzy.

– Wiesz, że nie możesz. – Dariusz mówił cicho, łagodnym głosem, który jednak ani trochę mnie nie uspokajał. – Wygląda na to, że ledwo wyostałaś się z domu w jednym kawałku.

Potrząsnęłam głową, próbując udawać sama przed sobą, że ojciec wcale nie próbował mnie... nawet nie wiem, co próbował mi zrobić za karę, że śmiałam mu się sprzeciwić. Nie opuszczała mnie wizja jego skulonego ciała leżącego w przedpokoju naszego domu, w kałuży krwi.

A jeśli umarł? A jeśli już wtedy był martwy?

Levi ruszył w moją stronę.

Cofnęłam się gwałtownie, aż uderzyłam ramionami we frontowe drzwi domu Dariusza.

– Stój – ostrzegłam, unosząc pięści.

W moim głosie pobrzmiwało szaleństwo.

– Nie uderzyłaś mordercy, nie uderzysz mnie – mruknął Levi.

Forest kazała mu założyć dzinsy i czarną koszulkę ze srebrnymi skrzydłami Aerosmith, co jednak nie czyniło go ani trochę mniej strasznym. Długie czarne włosy związał w kucyk, a jego blada twarz wydawała się teraz dwukrotnie bielsza niż wcześniej. Powietrze wokół niego migotało srebrem i czernią, światłem i ciemnością, a po ścianach i stropie przemykały cienie.

Nie przerażały mnie. Nawet kiedy wyły i skrzeczały, nawet kiedy zaczęły wynurzać się z tynku, przemieniając w psy i gęsi. Jeden z psów zjeżył się, stając pomiędzy mną a Levim. Moje oczy widziały beagle'a, ale zwierzę wyglądało dziwnie nienaturalnie. Krzywizny jego sylwetki zdawały się obce, jakby w każdej chwili miał przemienić się w coś ogromnego i śliniącego się, gotowego mnie pożreć.

– Mój ojciec nie jest większym mordercą niż ty! – Potrząsnęłam pięścią w kierunku Leviego i jego psa łowczego, nagle rada, że stoję przed drzwiami, blokując przejście, dzięki czemu nikt nie może wybiec i pognać w stronę mojego domu. – Nie mogę uwierzyć, że zdradziłam swoją rodzinę dla kogoś takiego jak ty!

Dariusz zastąpił drogę Leviemu.

– Nic z tego, stary. To moja dziewczyna. Stój, gdzie stoisz.

– Ma prawo być zły – powiedziała Forest. – To Xavier Martinez zabił Leviego, nie rozumiecie? Zamordował go i rzucił zwłoki na stos, żeby je spalić. Ten człowiek jest tak samo obłąkany jak każdy pacjent tego domu wariatów.

Potrząsnęłam głową.

– To nie tak. Mój ojciec wierzy, że ocala świat. A wy dobrze wiecie, że w Lincoln naprawdę czai się zło.

„Błagam, niech on nie będzie martwy”.

Levi wycelował we mnie palec, a jego największy i najgroźniejszy pies zawarczał.

– Jeśli bierzesz jego stronę, nie jesteś lepsza od niego.

Forest przystąpiła do Leviego, nie zważając na pięć czy sześć bestii gotowych do skoku u jego stóp. Jej lekko skośne oczy i osobliwy spokój, jakim zawsze emanowała, sprawiały wrażenie, jakby przybyła z innej planety. Kiedy tego chciała, sprawowała nad Levim całkowitą kontrolę.

– To trochę zbyt mocne słowa – stwierdziła.

Levi odstał ode mnie i mierząc mnie ognistym spojrzeniem, powiedział:

– Grzechy ojców są grzechami synów. Spytajcie Imogenę.

Brzmiał stanowczo, ale wzrok na chwilę przeniósł na Forest.

– To z Księgi Wyjścia – powiedziałam do niego. – Ale tak naprawdę nie to jest tam napisane.

– Napisane czy nie, to głupie – oznajmiła Forest. – Trina nie jest odpowiedzialna za to, co zrobił jej ojciec, tak jak Dariusz nie był odpowiedzialny za to, co zrobił Eff Leer.

Wściekłość na twarzy Leviego słabła z każdą chwilą. Gęsie i psie cienie na ścianach zaczęły blaknąć, a prawdziwe psy u jego stóp zniknęły, jakby nigdy ich tam nie było. Został tylko największy.

– Ale jeśli twoi prapraprzodkowie krzywdzili ludzi, to musisz odkupić wyrządzone przez nich zło.

Znowu to samo. Silił się na grzmiący ton człowieka pewnego siebie i rozgniewanego, ale z mizernym skutkiem. Za bardzo zależało mu, aby Forest przyznała mu rację.

Forest zmarszczyła brwi.

– Nie kupuję tego.

– Imogena mówi, że jest przeklęta z powodu tych, którzy żyli przed nią – wyszeptał, sięgając w dół, aby podrapać w głowę swojego psa. Wyglądał przy tym prawie normalnie, ale ja wiedziałam swoje. – Sądzi, że właśnie dlatego nie umarła.

Forest potrzęsnęła głową.

– Nie jest przeklęta. Nikt z nas nie jest. Nie zrobiliśmy niczego złego.

Ponieważ Levi wciąż się nie cofał, Forest musnęła palcem jego łokieć. Dariusz zdradził mi, że to cała pieszczota, jaką mogli się dzielić: szybkie dotknięcia i długie spojrzenia, a wszystko z powodu tej dziwnej bransolety, którą ktoś założył Forest, kiedy była niemowlęciem. Wyglądała raczej niepozornie – ot, kawałek rzeźbionego drewna wysadzanego gładkimi koralikami – ale rosła razem ze swoją właścicielką i dopóki tkwiła na jej nadgarstku, nikt, w czyich żyłach płynęła krew Madoca, nie mógł dotknąć Forest, nie narażając się na ciężkie poparzenie.

Levi wciąż trwał w napiętej postawie i Forest dotknęła go jeszcze raz. Szarpnął się, ale przez jego twarz przemknęło coś innego niż ból.

– Trina nie jest Xavierem Martinezem – powiedziała Forest. – I nie możesz na niego polować, bo to jej ojciec.

Oczy Leviego rozszerzyły się.

– A jeśli on właśnie tu idzie, żeby pozabijać nas wszystkich?

Forest wzruszyła ramionami.

– Jeśli się pokaże, zajmiemy się nim.

– On tu nie idzie. – Podbródek drżał mi mimo wysiłków, aby go powstrzymać; oczy nabiegły mi łzami. – Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje po tym, jak Addie walnęła go tą patelnią.

Dariusz obejrzał się na mnie przez ramię. Widziałam, że zamiast osłaniać mnie przed Levim, wolałby objąć mnie i przytulić. Pragnęłam tego samego, ale nie mogłam też odpędzić od siebie myśli, że Dariusz jest jednym z nich.

– Jeszcze trochę i skończę jako pacjentka Lincolna, a nie pracownica – mruknęłam do siebie.

Skończę w „dole klo-u-acznym”, w miejscu, którego miałam strzec wraz z innymi, pilnując, aby nic prawdziwie złego nie wydostało się tamtędy na świat.

– Nie mam nawet ciuchów, żeby jutro zacząć praktyki.

– Mama zabierze cię do sklepu – powiedział Dariusz. – Znajdziemy ci coś na parę dni, dopóki nie rozwiążemy sprawy.

Złapałam się za ramiona, próbując powstrzymać dygot.

– A jak rozwiążemy sprawę mojego ojca?

– Levi i ja pójdziemy do was i sprawdzimy, jak on się miewa – powiedziała Forest. – Zrobimy, co się da, żeby mu pomóc.

– Nic z tego. – Pokręciłam głową, czując, jak groza rośnie we mnie niczym gorączka. – To zbyt niebezpieczne.

Forest uniosła brwi.

– Mówiłaś, że jest nieprzytomny.

– Dom i podwórko są chronione, zabezpieczone. A Addie jest przytomna i nie jest sobą. Obawiam się, że zabiłaby was szybciej niż tata.

Addie w jej wygniecionym fartuchu, wycieńczona i nadkruszona przez moc, której użyła... Nie chciałam o tym myśleć, ale obraz utkwił mi w głowie i nie chciał zniknąć.

– A jak niby miałyby nas skrzywdzić? – spytał Levi. – Ma własne noże czy co?

– Nie jest madokiem, ale potrafi posługiwać się mocą – westchnęłam. – Jeśli Addie rzuci na was nieuwiązany urok, zaklęcie może walnąć jak głowica jądrowa i zmieść pół osiedla.

– Urok? Zaklęcie? Znaczy, takie jak u czarownicy? – Na każdej innej twarzy mina Leviego wyrażałaby szyderstwo; u niego wyglądała całkiem normalnie. – Nie przypuszczam, żebyś zechciała pokazać nam jakieś...

– Nie mogę. – Opuściłam ręce i potrząsnęłam nimi, aby pobudzić krążenie w dłoniach. – Potrzebuję talizmanów, eliksirów, proszków, no, wiecie, rekwizytów, ale wszystko zostało w domu. Przy sobie mam tylko wierzbowy wianek.

Wsunęłam dłoń do kieszeni dzinsów i wy dobyłam stamtąd kółko z wierzbowych witek, które Addie uplotła dla mnie, kiedy byłam młodsza. Było prawie idealnie okrągłe, z krzyżem w środku.

– Czasem zdarza mi się dziać bez rekwizytów coś więcej niż podstawowe czary, ale tylko kiedy jestem wytrącona z równowagi, a wtedy nie panuję nad tym, co się dzieje.

– Przypomina to krew Madoca – powiedziała Forest.

Dariusz zsunął okulary na czubek nosa i przyjrzał mi się badawczo swoim niesamowitym białym okiem.

– Nie. To coś innego.

Forest i Levi nie oponowali, ponieważ Dariusz mógł dostrzec prawdę we wszystkich i we wszystkim. Widział moc w każdym jej kolorze i w każdej formie.

Levi przyglądał mi się przez chwilę, a potem oznajmił:

– Poproszę Imogenę, żeby poszła do twojego domu.

Na wzmiankę o starej kobiecie stężały mi mięśnie. Nie znałam jej, nie wiedziałam, kim jest, ale była związana z Lincolnem i z mocą, której mój ojciec bał się i której nienawidził.

„Do kogo bardziej pasuje miano wiedźm, do nas czy do nich?”

– Imogena może wychodzić poza teren szpitala? – zdumiała się Forest.

– Owszem – odpowiedział Levi. – Byle niezbyt często i nie na zbyt długo. I nie obawiaj się, nie pójdzie tam wojować.

Powietrze wyrwało mi się z płuc potężnym strumieniem. Nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję oddech. Świadomość, że ktoś pójdzie sprawdzić, co się dzieje z tatą, przyniosła mi wyraźną ulgę.

– A ja tymczasem pójdę do Lincolna czytać dalej w zapiskach Imogeny o różnych rodzajach duchów – powiedziała Forest. – Wolałabym, żebyśmy dowiedzieli się jak najwięcej, zanim spędzisz w tej pracy zbyt dużo czasu, Trino.

Nagle poczułam się tak wyczerpana i ociężała, że opadłam na stojący przy drzwiach fotel, ufając, że Dariusz powstrzyma Leviego i tego potwornego beagle'a, jeśli się na mnie rzucą.

– Jak ja mam tam pracować, udając, że wszystko wcale nie jest totalnie popaprane?

Dariusz podszedł do mnie i ukląkł przed fotelem. Jego wielkie dłonie zaciążyły mi na ramionach, ścisnęły je, a potem przesunęły się na policzki, by unieść mi głowę, kierując mój wzrok na niego.

– Proste. Polecisz wuwuenem.

– Co?

– Tryb WWN, czyli wszystko w normie – wyjaśnił. – Dopóki wszystko wydaje się normalne, działasz tak, jakby tak właśnie było.

Pociągnął mnie lekko do przodu i delikatnie musnął moje usta swoimi. Zmęczona czy nie, poczułam rozkoszny dreszczyk rozbiegający mi się wzdłuż ramion i kojącą ulgę płynącą ze świadomości, że jest tak blisko mnie.

– Strasznie mi przykro, skarbie – powiedział Dariusz niskim, cichym głosem. – A może wolałabyś dać sobie z tym wszystkim spokój? Bo odejdę z tobą, jeżeli taki będzie twój wybór.

Przez kilka sekund serce biło mi szybciej, a pokój zdawał się zwężać, aż nie widziałam już nikogo ani niczego poza Dariuszem. Pomyślałam o powrocie na uniwersytet, o ponownej ucieczce spod skrzydeł ojca, o przyjaciółkach, których tam zostawiłam, i o polataniu postrzępionego życia, które dopiero co zaczęłam tknąć. Na studiach radziłam sobie całkiem dobrze, a Dariusz mówił serio. Gdybym teraz wstała, wsiadła do auta i pojechała prosto do Lexington, pojechałby ze mną.

Ale co wtedy stałoby się w Lincolnie?

W tamtym szpitalu hulało zło, które próbowało wyrwać się na wolność, aby zabijać. Zaczęliby ginąć ludzie. Imogena, Levi, Forest – ich możliwości były

ograniczone. I bez względu na to, co Forest mówiła o naszym braku odpowiedzialności za grzechy naszych rodziców, to *mój* ojciec poważnie utrudnił im zadanie.

Gdybyśmy opuścili Never, ja i Dariusz bylibyśmy częściowo odpowiedzialni za straszne rzeczy, które zaczęłyby się tu dziać. Jak bardzo straszne i czym to wszystko mogło się skończyć, nie miałam pojęcia ani odwagi pomyśleć.

– Tryb WWN – westchnęłam ciężko, patrząc na Dariusza.

Jego szacunek, a także czystość mojego sumienia wydawały się uczciwą zapłatą za wszystko, z czego rezygnowałam.

– No dobrze. Chyba zacznę ćwiczyć minę „nie widzę tu nic szalonego”. Na pewno mi się przyda.

Rozdział 25

Kiedy odbierałam przydziałowe kółko z kluczami od panny Miller, mojej przełożonej w Szpitalu Psychiatrycznym imienia Lincolna, ręce dygotały mi ze zdenerwowania.

„Tryb WWN”.

Musiałam zaliczyć praktyki, żeby móc myśleć o przyszłości pracownicy socjalnej. Jeśli miałam zrobić to jak należy, powinnam zdobyć stopień licencjata, a potem magistra, a dodatkową korzyścią pracy w Lincolnie było to, że mogłam pomagać naszej małej grupce wojowników w nadzorowaniu tego, co się tam dzieje. Przede wszystkim jednak chciałam pomagać Dariuszowi i chronić go przed moim ojcem. Gdybym tylko zrozumiała, jaka walka naprawdę toczy się w tym szpitalu, być może zdołałabym wytłumaczyć wszystko ojcu i nakłonić go do zmiany stanowiska.

Nadszedł czas okazać zdolności aktorskie. Ułożyłam usta w uśmiech. Pod nowiutką czarną spódnicą i białą bluzką swędziała mnie skóra; nowe czarne pantofle uciskały mi palce stóp. Pachniałam jak mama Dariusza, bo umyłam się jej mydłem – nie żeby mój węch był dość czuły, aby wyłować ten zapach z waniliowo-cynamonowo-dyniowo-arbuzowo-cytrusowych aromatów odświeżaczy powietrza mieszających się z wonią niezapalonych świec zapachowych i potpourri sączącej się zza drzwi gabinetów.

„Tryb WWN...”.

To nie był czas na skamlenie ani zamykanie oczu i zadreżanie się myślami o ojcu. Za mniej więcej kwadrans Imogena miała zameldować, czego się dowiedziała.

Grzmot przetoczył się nad wielkim kamiennym gmaszyskiem, a ja skuliłam się, słysząc ten dźwięk. Od ponad godziny słuchałam panny Miller, która instruowała mnie, jak odbijać kartę zegarową, gdzie szukać przydziałów, jak zabezpieczać się przed roznoszeniem infekcji i jak zgłaszać zauważone nadużycia. Siedziałyśmy w jej gabinecie, którego ściany pomalowano na różowo. Serio. Kolor był blady, ktoś mógłby nazwać go koralowym, ale dla mnie to był róż. A panna Miller miała na sobie nie najlepiej dopasowany trzyczęściowy granatowy kostium.

Dlaczego zwróciłam na to uwagę? Nigdy nie obchodziło mnie, w co się ubierają inni. Panna Miller miała wielki, chemicznie wybielony uśmiech i grubą wiechę tlenionych włosów – żółte na granatowym na różowym tle.

Przydałaby mi się aspiryna. Albo porządny zastrzyk uspokajający wywołujący śpiączkę.

Deszcz zabębnił gwałtownie o zasłonięte żaluzją i zakratowane okno, aż podskoczyłam.

„Tryb WWN...”.

Działać, jakby wszystko było w normie.

Jakby nie chciało mi się wymiotować.

Jakbym nie miała ochoty uciec stamtąd z krzykiem, by już nigdy nie wrócić.

Jakby nie zbierało mi się na płacz co kilka cholernych sekund.

Panna Miller wciąż mówiła, ale nie miałam pojęcia o czym.

– Zacznesz na oddziale C – załapałam nagle i zdołałam skupić się na tyle, by usłyszeć jeszcze: – To nasz oddział dla przewlekłe chorych. Dziś masz tylko obserwować i poznawać swoich ludzi.

Oślepiła mnie kolejnym megawatowym uśmiechem.

„Moi ludzie”. Kim dokładnie byli *moi ludzie*? Chyba nie miała na myśli mojego ojca, człowieka, którego porzuciłam, umierającego. Ani Addie, która rąbnęła swojego męża w głowę, aby mnie ratować.

Powstrzymałam westchnienie i skupiłam się na podtrzymywaniu normalności mojego zachowania.

Wreszcie wyszliśmy z gabinetu panny Miller, by ruszyć jednym z długich, wyłożonych kamiennymi płytami korytarzy szpitala. Deszczowoszarze światło wylewało się z otwartych drzwi gabinetów, mieszając z zimnym blaskiem świetlówek, przez co cały hol wydawał się zachmurzony. Przypomni mi się dom pogrzebowy Addie – z którego pracownicy uparcie próbowali zrobić jasne, pogodne miejsce, ale który ostatecznie był tylko tym, czym był: miejscem, gdzie pakowano nieboszczyków do drewnianych skrzyń.

Wzdrygnęłam się i przycisnęłam mój notatnik do piersi.

Dariusz czekał pod drzwiami gabinetu panny Miller – mój osobisty goryl, otulony urokiem maskującym przez Forest i Leviego, aby zwykli ludzie nie mogli go widzieć. Ja też go nie widziałam, ale czułam zapach jego wody po goleniu i słyszałam jego kojący oddech. Wyobraziłam sobie jego szerokie ramiona poruszające się rytmicznie, kiedy zrównał z nami krok za naszymi plecami. Jego przystojna twarz musiała być surowa i poważna i byłam pewna, że zagląda do każdego z mijanych przez nas wielobarwnych gabinetów na wypadek, gdyby jakiś potwór miał nagle wypaść na nas zza sztucznych figowców.

Im bardziej oddalaliśmy się od części biurowej, tym intensywniejszy otaczał

nas zapach kamienia, środków myjących i wilgoci. Posadzki i ściany wydawały się coraz bardziej szare. Burza wybijała grzmotami miarowy rytm, a kiedy mijałyśmy okna, słyszałam deszcz rozbijający się na pancernym szkłe.

Panna Miller prowadziła mnie przez tyle zamkniętych na klucz drzwi, że szybko straciłam rachubę. Każde wydawały się grubsze i solidniejsze od poprzednich. Kiedy dotarliśmy do przejścia opatrzonego napisem: Uwaga! Ryzyko ucieczki. Zachowaj ostrożność, poczułam się, jakbym była w środku ogromnego labiryntu, z którego nigdy nie zdołam znaleźć wyjścia. Przytrzymałam otwarte skrzydło na tyle długo, aby Dariusz zdążył wśliznąć się za mną, po czym cofnęłam rękę. Drzwi zatrzasnęły się z metalicznym łoskotem, a ja stałam przed nimi, patrząc w malutkie kwadratowe okienko umieszczone nieco powyżej poziomu oczu.

Byłam zamknięta.

Nieważne, że miałam klucze. I tak było dziwnie.

Kiedy odwróciłam się i dogoniłam pannę Miller, oddalającą się w głąb holu, oddział C rozpostarł się przede mną niczym tunel prowadzący do alternatywnego wszechświata. Ściany były z pustaków, jak w szkole, ale pomalowane na jasnoniebiesko. Wszystko wydawało się beznamiętnie funkcjonalne, nawet krzesła i stoły przysunięte do ścian korytarza. Wprawdzie tablice ogłoszeń ozdobiono wesołymi jesiennymi dekoracjami, ale to nie wystarczało do przełamania nastroju. To miejsce było ciche. Smutne. Cuchnęło moczem i odświeżaczem powietrza. Czulałam, że nie chcę tutaj być.

Na jednym z krzeseł siedział jedyny widoczny pacjent: mężczyzna w dżinsach i bluzie od dresu. Skrywał twarz w dłoniach i kołysał się w powolnym rytmie. On też nie wyglądał, jakby chciał tu być.

Panna Miller poprowadziła mnie do biurka w głębi korytarza i przedstawiła niewysokiej czarnowłosej kobiecie w jaskrawożółtym kitlu. Nie zapamiętałam jej nazwiska, tylko imię – Sharon – oraz że jest pielęgniarką oddziałową i że w razie potrzeby mogę zwracać się do niej o pomoc. Pielęgniarka wskazała mi stolik, przy którym mogłam usiąść, aby „obserwować”, nie wchodząc nikomu w drogę, i poinformowała, że pacjenci niedługo wrócą z porannych zajęć grupowych. Potem panna Miller uraczyła mnie promiennym uśmiechem i powiedziała, że kiedy skończę, mam wrócić do jej gabinetu z notatkami, a wtedy omówimy moje doświadczenia.

Oddaliła się w stronę windy, a ja stałam bez ruchu, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć. Mój mózg odmawiał włączenia się w bieg wydarzeń.

– Stół – szepnął Dariusz, a ja podskoczyłam.

Sharon, siedząca może ze dwa metry dalej, wpatrywała się we mnie, jakby

rozważała, czy nie powinna zająć się mną, zamiast wypełniać swoje karty.

Zdobyłam się na coś w rodzaju uprzejmego uśmiechu, po czym powoli oddaliłam się i usiadłam na ciężkim plastikowym krześle przy plastikowym stoliku. Siedząc plecami do ściany, po mojej lewej stronie widziałam wejście, pielęgniarkę przy biurku i obecnie jedyne go pacjenta na oddziale. Po prawej stronie miałam puste krzesło czekające na Dariusza oraz drzwi do kilku sypialni pacjentów po obu stronach korytarza.

– Trzeba było spojrzeć, zanim dotknęłaś tych mebli – wymamrotał Dariusz. Usłyszałam ciche pac-pac jego wielgachnej dłoni oklepującej krzesło, po czym skrzypnięcie, kiedy obciążył mebel swoim masywnym ciałem. – Pewnie niemyte od miesiąca.

Zanim Levi i Forest uczynili go niewidzialnym, miał na sobie dżinsy i czarną koszulkę z emblematem szpitala. Musiał dostać ją w tym krótkim czasie, kiedy pracował tutaj jako ochroniarz, zanim stracił oko i oskarżono go o próbę morderstwa. Wyobraziłam sobie, jak siedzi na tym krześle, w ciemnych okularach połyskujących w blasku świetlówek.

– Nie gap się tak, skarbie – powiedział i pomyślałam, że pewnie szczyrzy zęby w uśmiechu. – Zobaczą, że wpatrujesz się w pustkę i jeszcze cię tu zamkną.

Plasnęłam notatnikiem o blat, uważając, aby ominąć zielonkawą plamę, która wyglądała na lepłą. Otworzyłam go i napisałam: „To nie jest śmieszne”, kilka razy zamasyżyłam podkreśliłam i dorzuciłam kilka wykrzykników.

Dariusz roześmiał się tak, że tylko ja mogłam go usłyszeć, ale pięć stolików dalej, w dłuższej części korytarza, mężczyzna, który siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, nagle uniósł głowę, jak gdyby coś go zaskoczyło. Powiodł spojrzeniem po ścianach, aż natrafił na mnie, a wtedy utkwiał wzrok w mojej twarzy, jakby sprawdzał każdą myśl, jaka kiedykolwiek przeszła mi przez głowę. Miał ciemną skórę jak mój ojciec, ale był masywniejszy i odznaczał się niechlujnością, jakby od lat nie mógł się na niczym skupić. Ale te jego oczy – bezrozumne, rozszerzone przerażeniem... Nie potrafiłam znieść ich spojrzenia. Odwróciłam wzrok.

Może nie nadawałam się do całej tej pracy socjalnej. Przynajmniej nie tu, nie w Lincolnie.

– Nie przejmuj się – powiedział Dariusz, jakby czytał mi w myślach. – Chcesz pracować w służbach zajmujących się dziećmi, nie tutaj. To tylko praktyki, rzecz do zaliczenia. Potraktuj to jak te seminaria ze statystyki, których tak nienawidziłaś.

Napisałam: „Zło konieczne”.

– No właśnie.

Udało mi się rozluźnić na tyle, by wrócił mi regularny oddech. Odwróciłam stronę i zaczęłam notować moje spostrzeżenia dotyczące otoczenia i mężczyzny na korytarzu, który tymczasem stracił zainteresowanie mną. Kim był? Dlaczego siedział na pustym oddziale, podczas gdy wszyscy pozostali byli gdzie indziej? Domyślałam się, że pacjenci mogą odmówić udziału w zajęciach. Albo zapaść. Może mieli zwolnienia chorobowe. Wszystko to zapisywałam jako wątpliwości do późniejszego rozstrzygnięcia z panną Miller, która bez wątpienia miała mnie już za idiotkę. Liczyłam na to, że inteligentne pytania pomogą mi w poprawieniu słabego pierwszego wrażenia. Ponadto szczegółowe notatki na temat wszystkiego, co zauważyłam, mogły dostarczyć nam wskazówek co do następnej złej istoty, z którą przyjdzie się nam zmierzyć. Możliwe, że mogłam zobaczyć coś istotnego, nawet jeśli jeszcze tego nie rozumiałam. Levi i Forest mogli przeanalizować to później, kiedy skończą studiowanie zapisków Imogeny.

Imogena.

No pięknie.

Myśl o niej natychmiast naprowadziła mnie z powrotem na moje największe zmartwienie: co z moim ojcem?

Dariusz wymamrotał:

– Nie nakręcaj się znowu. Kto to?

W kieszeni brzęczał mi telefon. Wyjęłam go, pacnęłam klawisz połączenia i przytknęłam do ucha, nie mówiąc „halo”.

– Twój ojciec stanął na nogi – poinformowała mnie Imogena ze swoim prowincjonalnym akcentem.

Mówiła o wiele za głośno. Mogłam sobie wyobrazić, jak stoi przed moim domem, trzymając komórkę Dariusza przed ustami i krzycząc do niej jak do radia z czasów drugiej wojny światowej.

– Twoja macocha dogląda go teraz, jak mi się zdaje.

Ulga kazała mi pochylić się naprzód i wesprzeć łokciami na blacie, nieważne, czy lepkiem od brudu, czy nie, było mi wszystko jedno.

– Dziękuję – powiedziałam słabym głosem.

Powiodłam wzrokiem wzdłuż korytarza, zerkając najpierw na mężczyznę na krześle, a potem na pielęgniarkę przy biurku na wypadek, gdyby okazało się, że nie wolno mi korzystać z telefonu na oddziale. Panna Miller zdaje się mówiła coś takiego, ale nie byłam pewna, czy mnie to obchodzi.

– Wasz dom jest dobrze zabezpieczony – ciągnęła Imogena. – Bariery są mocne; nie mogę się przez nie przedostać i chyba lepiej, żebym nie próbowała.

Teraz wyobraziłam sobie Imogenę – która wyglądała jak tęzsza wersja babci ze starego serialu *Beverly Hillbillies* – łązącą tam i z powrotem po naszym podwórku. Miałam nadzieję, że potrafi stać się niewidzialna jak Levi, Dariusz i Forest. Tego nam tylko brakowało, żeby ktoś zadzwonił na policję i zgłosił, że duch babci Clampett próbuje włamać się do domu pastora.

Sharon zerknęła w moją stronę, a widząc mój telefon, zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Muszę kończyć – rzuciłam do aparatu. – Daj znać niedługo.

Rozłączyłam się.

Nad szpitalem zagrzmiało i piorun błysnął tak jasno, że korytarz wokół mnie na chwilę znikł w oślepiającej bieli. Przeniosłam wzrok z pielęgniarki na drzwi i wtedy ją zobaczyłam.

Przeszła przez drzwi.

Zamknięte drzwi.

To była Forest. Albo może jej bliźniaczka, w spłowiałych dzinsach i niebieskiej koszuli, z zalęknioną miną i pustym wzrokiem skierowanym prosto przed siebie.

Powietrze wokół mnie zdawało się skwierczeć, a kiedy wciągnęłam je w nozdrza, poczułam drzewa, oceany i kwiaty.

Postać dziewczyny wydawała się dziwnie przyblakła, ale byłam przekonana, że patrzę na Forest, tym bardziej że korytarz wypełniła ta osobliwa spokojna świeżość, którą z nią kojarzyłam.

Ale kojąca vibracja tym razem na mnie nie działała.

Bicie mojego serca przyśpieszyło, aż usłyszałam krew tętniącą mi w uszach. Palce drgnęły mi nad długopisem i stroną notatnika. Dziewczyna szła w moją stronę. Nie, nie szła. Raczej sunęła. Nienaturalny krok i płynność jej ruchów przyprawiały mnie o dreszcze.

Czy Forest wyświetlała tu siebie jak obraz z rzutnika? Czy to jakaś kolejna madocowa sztuczka, o jakiej nie miałam pojęcia? Czyżby wraz z Levim znalazła w księgach coś, o czym chciała nam powiedzieć?

Czemu po prostu nie zadzwoniła?

Może w archiwum, wysoko w słynnej dzwonnicy Lincolna, wydarzyło się coś złego?

O, Boże...

Czyżbym patrzyła na właśnie uwolnionego ducha Forest?

Pielęgniarka przy biurku nie uniosła głowy, ale pacjent tak. Zgrzytnął krzesłem, próbując się cofnąć, i odwrócił twarz, jakby nie chciał oglądać przybyłej.

Ja też nie chciałam, ale nie mogłam oderwać od niej oczu. Groza wzbierała mi w brzuchu lodowatą kałużą.

– Co do diabła...? – wyszeptał Dariusz. – Czy to... Ale... Wygląda jak...

Nie dane mu było dokończyć, bo zjawa zatrzymała się i zwróciła nań płonące oczy. Uniosła rękę, wyciągając długi blady palec w jego stronę. Kolejny grzmot targnął powietrzem, a wtedy otworzyła usta i wydała z siebie krzyk.

Dźwięk wdarł mi się do mózgu i pod skórę.

Pacjent zakrył uszy dłońmi i zaczął się nerwowo kiwać.

Poderwałam się z krzesła, próbując otrząsnąć się z wrażenia, że po całym ciele pełzają mi miliony płonących mrówek, rażąc mnie milionami elektrycznych nóżek.

Forest zniknęła, pozostawiając po sobie tylko krzyk na końcu korytarza.

Pacjent kiwał się i kiwał, okropny dźwięk powoli cichł, ja zdrapywałam z siebie niewidzialne insekty, czując w piersi ból, jakbym doznała ataku serca.

Pielęgniarka wytrzeszczała oczy, ale nie patrzyła na mnie.

Patrzyła na Dariusza, który zgięty wpół, z ustami otwartymi w niemym krzyku, zakrywał sobie uszy dłońmi.

Był całkowicie widzialny.

Rozdział 26

Przypadłam do Dariusza i uklęknęłam przed nim. Czoło błyszczało mu od potu, a kiedy złapałam go za przeguby, jego skóra okazała się chorobliwie zimna i wilgotna.

– Nic ci nie jest? – Słowa wyrwały mi się pośpiesznym sapnięciem.

Mięśnie twarzy drgały mi od gasnącego wrażenia rozżarzonych owadów wędrujących po moich powiekach i ustach. Dariusz zakaszłał. Ciemne okulary zasłaniały mu oczy, ale kiedy odjął dłonie od głowy i pozwolił mi je ująć, ujrzałam zbiegające się linie zmarszczek na jego skórze i domyśliłam się, że z całej siły zaciska oczy.

– Była strasznie jasna – wykrztusił wreszcie. – Oślepiła mnie. Nic nie widzę, tylko jakieś plamy.

Dygotał na całym ciele. Ja też.

Zerknęłam na Sharon, która wbrew temu, czego się spodziewałam, wcale nie stała ze słuchawką przy uchu, dzwoniąc po ochronę. Była z pacjentem, klęcząc, tak jak ja klęczałam, i łagodnie przemawiając do mężczyzny, dopóki nie przestał się kołysać. Wtedy wstała i wyciągnęła do niego rękę, a kiedy ujął ją i wstał, poprowadziła go w stronę jednej z sal sypialnych – uprzednio strzeliwszy we mnie spojrzeniem, jakie uśmierciłoby na miejscu większość ludzi.

Wstałam i lekko pociągnęłam Dariusza za rękę.

– Możesz chodzić? Lepiej się stąd wynośmy.

Na zewnątrz uderzył piorun i żarówki w korytarzu zamigotały i zgasły, by zaraz znów się zaświecić.

Dariusz zaczerpnął haust powietrza, skinął głową i dźwignął się na nogi, z głową zwieszoną nisko, jak gdyby walczył z przemożną falą zawrotów głowy.

– Musisz prowadzić. Wszystko jest zamazane.

Puściłam jedną z jego rąk i spytałam:

– Czym ona była?

Potrząsnął głową.

– Była silna. Poza tym... pojęcia nie mam.

– Pójdź tu, młoda wiedźmo – powiedział niski głos, który rozległ się tak blisko mnie, że usłyszałam go w komórkach mózgu zamiast w uchu.

Moje mięśnie stężały, serce na chwilę zgubiło rytm. Ścisnęłam dłoń Dariusza.

– Słyszałeś to?

– Co miałem słyszeć? – Czarne okulary zwróciły się ku mnie. – Ten grzmot? Nie przestaje grzmieć, odkąd tu weszliśmy.

Puściłam rękę i precyzyjnie się obok Dariusza, skierowałam się ku sali na samym końcu korytarza, najbardziej oddalonej od wejścia. Drzwi były zamknięte, a ze szpary pod zniszczonym drewnem sączyło się szare światło. Było w nim coś... niezdrowego.

Skóra ścierpła mi od szyi aż po stopy.

Przez smugę światła przemknął cień, jakby w zamkniętej sali coś się poruszyło.

Zaczerpnęłam powietrza i sięgnęłam do klamki, ale Dariusz położył swoją dłoń na mojej, zanim zdążyłam ją nacisnąć.

– Trina, czy ten wrzask rzucił ci się na mózg? Chodź, skarbie. Musimy spadać, zanim dotrze tu ochrona.

– O nie, mój panie – warknął kobiecy głos nasączony ostrością i surowością, o jakiej matka Dariusza mogła najwyżej pomarzyć. – Nie ruszycie się stąd na centymetr.

Dariusz i ja odskoczyliśmy od siebie i ujrzeliśmy Sharon – moją oddziałową – stojącą przy stole, od którego dopiero co odeszliśmy, z marsem na czole i spojrzeniem jak burzowa chmura. Patrząc z bliska na jej szpakowate, upięte w kok włosy i pożłobioną zmarszczkami twarz upstrzoną plamami wątrobowymi na zuchwie, uświadomiłam sobie, że musi być znacznie starsza, niż do tej pory sądziłam. Sharon skrzyżowała pulchne ramiona na swoim obfitym biuście i przyjrzała się Dariuszowi spod zmrużonych powiek.

– Czym ty jesteś? – rzuciła mu pytanie.

Nie „kim”. Właśnie „czym”.

A potem rozpoznała go i podejrzliwość na jej twarzy ustąpiła wyrazowi bezbrzeżnego zdumienia.

– Hej, zaraz... Ty jesteś ten chłopak, co go oskarżyli o morderstwo jakiś czas temu.

Dariusz westchnął, a Sharon mówiła dalej.

– Dziwne było to wszystko, nie ma co. Pomyślałam, że musisz mieć w sobie nieco krwi Madoca.

Trzymając się pomiędzy mną a pielęgniarką – tak że musiałam wyglądać mu zza ramienia, aby ją widzieć – Dariusz zapytał:

– Skąd pani wie o madocach?

– Nie twój interes – odcięła się Sharon i przeniosła uwagę na mnie. – A ty? Dziewczyna pastora, tak? Mała czarownica. Czego tutaj szukasz?

– Nie jestem czarownicą – odparłam odruchowo.

Na zewnątrz przetoczył się przeciągły grzmot, przełamany ogłuszającym trzask-bum uderzającego niedaleko pioruna. Światła na oddziale C znów zamigotały.

– No to jak was teraz zwą, he? – W tonie Sharon pojawił się ślad wesołości, a może to było szyderstwo. – Kombinujecie z ziołami i proszkami, i magicznymi amuletami, tak jak pastor, kiedy myśli, że nikt nie patrzy. Dla mnie to czarownictwo, i tyle.

Zanim zdążyłam ułożyć w głowie ripostę, Sharon znów obrabiała Dariusza.

– Nie wiem, po coś przylazł tu w ukryciu, ale ona nie lubi prawie wszystkich madoców. W życiu nie da ci tu zostać.

Upłynęła dłuższa chwila, nim pojęłam, że Sharon mówi o krzyczącej Forest-zjawie, którą dopiero co widzieliśmy. Dariusz był szybszy.

– Kim ona jest? Jak to się... Znaczy... Czy to duch?

– Nie ma na oddziale C osoby, która by nie wiedziała o Bridgette – oznajmiła Sharon. – Pracowałeś jakiś czas w szpitalu. Nic ci się nie obilo o uszy?

Dariusz trzymał ręce u boków i widziałam, że ze wszystkich sił stara się wyglądać niegroźnie.

– Nie. Nie chodziłem na oddziały.

Sharon wzruszyła ramionami.

– Każda część tego szpitala ma swoje duchy. Ten jest nasz.

– Pani ją widzi? – spytałam, żałując, że zostawiłam notatnik i długopis na stole.

– Nie, ale niektórzy pacjenci owszem. – Sharon obejrzała się przez ramię na wejście na oddział, po czym znów przeniosła wzrok na nas. – Przepędza stąd większość innych duchów. Ludzi też, jeśli nie chce ich tu widzieć. Na przykład pielęgniarki, które źle traktują chorych, albo wiedźmy, które przychodzą tu węszyć nie wiadomo po co.

„Nie jestem wiedźmą” – chciałam powiedzieć to na głos, ale powstrzymałam się, wiedząc, że zrobiłabym to z nawyku, a nie dlatego, że było to prawdą. Z moich ust wyszło za to:

– Jestem tu na praktykach.

Sharon kiwnęła głową w stronę Dariusza.

– Gdybyś przyszła tu po prostu do pracy, nie przemyślałabyś go ze sobą.

– To nie takie proste... – zaczęłam, ale przerwała mi.

– To *jest* takie proste, a was nie powinno tu być. Ci biedacy mają wystarczająco przechlapane i bez dodatkowego straszenia.

Dariusz trwał w bezruchu.

– A pani? Ma pani w żyłach krew Madoca?

Spodziewałam się kolejnego „nie twój interes”, ale Sharon kiwnęła głową:

– Po mamie. Nie wiem, ile tego po niej odziedziczyłam, ale jestem wrażliwsza na duchy niż większość ludzi.

Dariusz sięgnął za siebie, złapał mnie za rękę i pociągnął, zmuszając, abym stanęła obok niego.

– Dlaczego jest pani w Lincolnie? – spytał.

– Dla nich. – Sharon wskazała palcem drzwi, za które wyprowadziła jedyne pacjenta na oddziale. – Pracuję tu ponad trzydzieści dwa lata.

„Młoda wiedźmo. Pójdź tutaj. Szybko”.

Głos zdawał się wpełzać mi do mózgu. Oczy zacisnęły mi się same od mrocznych, lodowatych ciarek, które przebiegły mi po plecach. Musiałam zmusić powieki do rozchylenia się, a kiedy mi się udało, ujrzałam czarne iskry migoczące w powietrzu wokół mojej głowy.

Dźwięk dobiegał z sypialni za mną, byłam tego pewna. Oderwałam się od Dariusza i w otumanieniu pomaszero wałam w stronę tamtych drzwi.

– Nie zbliżaj się do tamtej sali – powiedziała Sharon ostrzegawczym tonem. – Tam nigdy nie wydarza się nic dobrego.

Dariusz zdążył złapać mnie za ramiona.

– Jak to? – spytał.

Sharon westchnęła.

– Od dawna nie umieszczamy tam pacjentów. Bridgette tego nie lubi, a wy lepiej...

– Tam ktoś jest, słyszałam – powiedziałam, szamocząc się w niedźwiedzim uścisku Dariusza.

– No to jesteś tak samo walnięta jak moi pacjenci – mruknęła Sharon. – Od roku nikt tam nie wchodził.

Ominawszy mnie, podeszła do sali, użyła klucza i otworzyła drzwi.

Zwalczyłam chętkę rzucenia się naprzód, w głąb szarych cieni, na spotkanie z tym, co mieszało mi w głowie, ale kiedy drzwi otwarły się na oścież, okazało się, że nie było za nimi nic szczególnego – tylko puste łóżko, przykręcona do ściany szafa i zakratowane okno z żaluzją, chłostane deszczem przez bezlitosną burzę.

Dariusz przestąpił próg, rozejrzał się i spojrzał na mnie, wzruszając ramionami.

– Nic tu nie ma, skarbie.

Głęboko w samym rdzeniu mojego umysłu coś wybuchło śmiechem, od

którego na całym ciele wystąpiła mi gęsia skórka.

Poczucie zagrożenia zawładnęło wszystkimi moimi zmysłami. Doszedł do mnie zapach ziemi i czegoś o miedzianym posmaku, być może krwi. Wyrwałam z kieszeni mój wierzbowy talizman i uniosłam przed sobą w wyciągniętej ręce niczym tarczę, mamrocząc słowa zaklęcia, którego nauczyłam się od Addie. Słowa pochodziły z greki, a może z łaciny, nie miałam pojęcia. Znałam głoski i intonację, ale nie znaczenie.

Rzecz w mojej głowie rozeźmiała się znowu.

Dokończyłam zaklęcie i talizman zadrżał mi w palcach.

Nic się nie wydarzyło.

– Trina? – W głosie Dariusza słychać było troskę. – Co ty robisz z tym magicznym wiankiem?

Stał w drzwiach sali razem z Sharon i oboje przypatrywali mi się, jakby kompletnie mi odbiło. I nic dziwnego. Stałam półtora metra od nich, celując kółkiem z wierzbowych witek w cienie w pustej sali szpitala. Talizman znowu zadrżał.

Za oknem sypialni piorun rozdarł niebo, rozszczepiając się jak jaszczurczy język, rażąc wypielegnowane tereny przyszpitalnego parku. W tej samej chwili iskry wystrzeliły ze ścian i zawirowały wokół mojego wianka. Wierzbowe witki rozbłysły żarem, parząc mi palce, ale zaciskałam je mocno, wciąż trzymając talizman przed sobą, wciąż celując nim w prostokąt otwartych drzwi, gdy nagle...

Smugi błyskawic wystrzeliły nad Dariuszem i Sharon prosto w kąt pustego pokoju. Kiedy trafiły w szare cienie przy oknie, te zakłębiły się i uformowały w coś na kształt ludzkiej postaci.

– Młoda wiedźmo, pójdz do mnie – zagrzemiał stwór głosem, który poniósł się upiornym echem wzdłuż korytarza.

Pacjent zamknięty kilka sal dalej zaczął krzyczeć, a ja poczułam, że coś ciągnie mnie do tej rzeczy w kącie. Zachwiałam się, stawiając krok w stronę Dariusza i Sharon, a wtedy z wianka wystrzelił kolejny piorun. Wyładowanie trafiło istotę z cienia, która przeraźliwie zawyła.

Gdzieś za mną pacjent zaczął panicznie bełkotać w swoim pokoju. Sharon oderwała się od nas i pobiegła w tamtą stronę. Dariusz wpatrywał się we mnie badawczo.

– Co się dzieje, Trino? Co ty tam widzisz?

Mężczyzna z cieni wyszedł z kąta, ruszając w naszą stronę.

Serce zamarło mi w piersi. Skoczyłam naprzód. Moc wdarła się we mnie wszechogarniającą falą i ze środka wierzbowego krzyża wystrzeliła smuga

błękitnobiałego ognia.

Kiedy uderzyła w mężczyznę z cieni, jego oczy rozbłysły karmazynem, ciało zaś przybrało bardziej rzeczywistą postać, jakby wciskając się w cienką błonę ciemności, którą nagle przebił całym sobą. Był wysoki, miał grubo ponad metr osiemdziesiąt, a na sobie staroświeckie czarne spodnie, czarną marynarkę i także kapelusz.

Ale jego twarz...

Wzdrygnęłam się.

Była podłużna i chuda, zwieńczona kępą ciemnych włosów. Twarz małego chłopca, z najzimniejszymi czarnymi oczami, jakie kiedykolwiek widziałam. Wyszczrzył się do mnie w uśmiechu i poczułam, jak wnętrzności skracają mi się w supeł. Ten uśmiech był łajdacki, zły. Mój pocisk energii wcale go nie dotknął. Dręczyło mnie paskudne przeczucie, że tylko dodałam mu sił.

Stwór zachichotał i oblizał wargi.

– Młoda wiedźmo, podejdź trochę bliżej – powiedział głosem, który brzmiał jak prośba małego dziecka. – Tylko jeden kroczek lub dwa.

Dariusz nareszcie usłyszał głos i odwrócił się zamasyście w stronę mężczyzny.

– Co to było, do dia...?!

A potem Forest – albo jej duch – pojawiła się tuż obok mnie.

Uniosła obie ręce i wrzasnęła na mężczyznę, który zatoczył się do tyłu, warcząc wściekle. Dariusz padł na kolana, przyciskając dłonie do uszu.

– Forest! – Spróbowałam przekrzyczeć wrzask i warczenie. – Forest!

Żołądek podszedł mi do gardła, zmysły eksplodowały. Forest zniknęła. Opadłam na kolana obok Dariusza, wymiotując. Świat zgasł.

Moje dłonie opadły na trawę.

Błysnęło światło.

Deszcz?

Z wysiłkiem otworzyłam oczy.

Piorun wyrznął w drzewo rosnące mniej niż sto metrów od nas, wypalając w mojej świadomości obraz płataniny gałęzi.

Wszędzie drzewa.

– Jesteśmy na zewnątrz – wymamrotałam, znów łapiąc za swój talizman.

Byliśmy w lesie. Następny świetlisty zygzak oświetlił szpitalną dzwonnice, ale nie byłam w stanie stwierdzić, czy wieża stoi tuż obok nas, czy kilometr dalej.

Wokół szalała wichura; gałęzie trzeszczały i pękały.

Dariusz zerwał się na równe nogi i złapał mnie za ramię, oglądając się za

siebie.

Moja głowa stanowczo odmówiła obrócenia się w tamtą stronę. Miałam wrażenie, że świat wali się na mnie. W ustach poczułam piekącą gorycz, a potem całkowitą suchość. Ledwie mogłam otworzyć oczy w siekającej ulewie i prawie nie odróżniałam prawej strony od lewej, ale Dariusz nie miał takich problemów.

– W nogi, Trina! – Pociągnął mnie między drzewa i potoczyliśmy się chwiejnie w stronę dzwonnicy. – Szybciej! Szybciej!

Rozdział 27

Panika gnała mnie naprzód mimo zawrotów głowy i dezorientacji.

– Szybciej! – Dariusz prawie ryczał.

Mokre gałęzie chłostały mnie po twarzy, kiedy ciągnął mnie przez otaczającą nas leśną gęstwę. Kolejna błyskawica rozdarła ciemność, pozostawiając obraz gałązek i liści wypalony w mojej świadomości niczym fotograficzny negatyw. Grzmot wstrząsnął powietrzem. Ulewa odbierała mi dech.

Mężczyzna przedzierał się przez las za nami. Nie chciałam na niego patrzeć. Nie chciałam widzieć tej nienaturalnie dziecięcej twarzy na ciele dorosłego człowieka.

– Szybciej – poganiał mnie Dariusz ponad hukiem ulewy. – Szybciej! Szybciej! Szybciej!

Rozgarniał chaszczę własnym ciałem i praktycznie włókł mnie za sobą.

Mężczyzna wyciągnął po mnie rękę, ale chybił. Poczułam smagnięcie na ramionach. O, Boże!

Pomyślałam o ojcu – że chciałabym, aby był ze mną.

„Głupia”.

Ale wiedziałby, jak zabić to coś.

– Tato!

Wcale nie chciałam wykrzyknąć tego na głos, ale nie panowałam już nad sobą. Podrapane policzki piekły mnie od łez. Zataczając się i potykając, biegłam za Dariuszem, czując w zaciśniętej dłoni parzący żar wierzbowego wianka. Myśli mieszały mi się i wirowały jedna wokół drugiej bez ładu i składu. Ręka bolała mnie od szarpnięć Dariusza i tylko ten ból sprawiał, że wciąż byłam przytomna, podczas gdy stopy plątały mi się, zaczepiając o korzenie, kamienie, o siebie nawzajem. Oddałabym wszystko za siłę mojego ojca.

Mężczyzna za nami ryknął jak dzikie zwierzę. Ścisnęłam wierzbowy wianek i zapragnęłam, aby ścigający nas człowiek wybuchł.

Bez skutku.

Biegliśmy dalej – pięć sekund, dziesięć, piętnaście. Odtrąciłam gałąź, która niemal wykłuła mi oczy, i nagle plecy przeszył mi koszmarny ból. Runęłam naprzód, tracąc równowagę i omal nie przewracając Dariusza, ale on nawet nie zwolnił. Włókł mnie po ziemi, dopóki nie zdołałam pozbiierać nóg pod sobą

i odzyskać rytmu kroków. Ramiona paliły mnie żywym ogniem, którego żar spływał mi po plecach. Krew. Mężczyzna pewnie znów próbował mnie złapać, ale zamiast tego poranił mi kark.

„To koniec. Zginiemy”.

Dariusz gnał naprzód i nagle wypadliśmy spomiędzy drzew na jeden ze starannie wykoszonych trawników Lincolna. Znowu upadłam i tym razem Dariusz porwał mnie z ziemi i zarzucił sobie na ramię, nawet nie zwalniając kroku.

Oddech uszedł ze mnie ze świstem. Kiedy uniosłam głowę, aby zaczerpnąć powietrza, spojrzałam prosto na naszego prześladowcę. W obu rękach trzymał metalowe sztaby – długie, krzywe i tępe, wyglądały jak kawały złomu przyniesione z wysypiska. Biegł niecałe półtora metra za nami, zanosząc się chichotem, od którego chciało mi się krzyżeć. Patrzyłam, jak bierze zamach swoim żelastwem. Czas zwolnił.

Czubki sztab były unurzane we krwi.

Śmiejąc się coraz głośniej i głośniej, mężczyzna brał zamach i chybiał, brał zamach i chybiał.

– Szybciej! – wrzasnęłam, tłukąc Dariusza pięścią w plecy.

W drugiej dłoni ściszałam mój wierzbowy wianek. Wypełniała mnie groza, tak lodowata, że szczękały mi zęby, tak silna, że w końcu zdołała dowiercić się do złóż gniewu głęboko w mojej duszy i zapalić je.

– Ty świrze! – ryknęłam, unosząc wargę w gniewnym grymasie. – Nie waż się mnie tknąć!

Mężczyzna zamachnął się. Krzyżąc, nie zaczerpnąwszy tchu, podniosłam wianek na tyle wysoko, aby spojrzeć przezeń na twarz prześladowcy. Strach i furia wezbrały we mnie niepowstrzymaną falą i drzewa po obu stronach potwora wybuchły ogniem.

Ledwie to zauważyłam, ledwie zarejestrowałam w świadomości, że to ja mogłam to uczynić. Barwy wyplotły się z ciemności w dzikim tańcu, jaśniejsze niż czerń, po chwili jaśniejsze niż słońce, a wtedy wykrzyknęłam jedno z kilku łacińskich słów, które znałam – to, którego mój ojciec używał do zabijania potworów.

– *Percello!*

Mój głos utonął bez śladu w biciu dzwonów, ale niebo znów rozcięła błyskawica. Błysnęła dokładnie nad nami, po czym zaczęła uderzać wszędzie wokół nas.

W nas...

We mnie.

Elektryczny udar targnął moim ciałem, trzeszcząc w szyi i zalewając żarem mój brzuch. Nie widząc niczego prócz złotego blasku, wtłoczyłam energię przez ramiona w obie dłonie, a przez nie w wierzbowy wianek. Talizman szarpnął mi się w rękach, ale utrzymałam go.

Zygzaki ognia trysnęły z maleńkich wierzbowych witek i zbiegły w jednym punkcie na torsie mężczyzny. Wyładowanie trafiło go trochę poniżej gardła i odrzuciło w tył.

Dariusz biegł jak szalony, strzelając spod butów grudkami ziemi, unosząc mnie, jakbym nic nie ważyła. Mężczyzna upadł na mokrą od deszczu trawę, prześliznął się kawałek na plecach, poderwał na nogi i znów ruszył w pogoń.

Dariusz stęknął, a ja uświadomiłam sobie, że wspina się po schodach. Stromych, o wąskich, wykutych w kamieniu stopniach – dzwonnica. Dariusz zdołał dobiec do dzwonnicy!

Nadzieja rozbłysła w całym moim ciele, napełniając je nową siłą. Świat wokół mnie wyostrzył się. Dzwony biły i biły, skrzypiąc i jęcząc, jakby metal rozdzierał sam siebie na strzępy.

Mężczyzna dopadł nas dwoma potężnymi susami, z uniesionymi sztabami i obłędem w wytrzeszczonych chłopięcych oczach. Obnażył zęby.

Krzyknęłam, unosząc wierzbowy wianek w nadziei, że ochroni mnie przed rozsiekaniem.

Dariusz staranował coś, miażdżąc moje nogi na drewnie raz, a potem drugi. Drewno ustąpiło. Wpadliśmy do mrocznego, wybrukowanego kamieniami holu, a w tej samej chwili smuga ruchu śmignęła obok nas prosto w deszczową noc.

W polu widzenia błysnął mi ogień. Dariusz postawił mnie na nogi i popchnął w głąb budynku. Stracił okulary, a jego białe oko jarzyło się poświatą koloru kości słoniowej. Z promienistych blizn sączyły się barwy, a normalna źrenica rozszerzyła mu się tak bardzo, że jego twarz nie wyglądała już na ludzką.

Odwrócił się w stronę drzwi, zaciskając pięści, gotowy do walki.

Nagle między Dariuszem a mężczyzną pojawiła się Imogena. Emanowała srebrnym światłem, a jej długie szare włosy popłynęły w górę wraz z uniesioną dłonią. Nagły skok ciśnienia ścisnął mi policzki i boleśnie strzelił w uszach.

Rozszczekały się psy, rozwrzeszczały gęsi, roztrzepotały skrzydła, a na wieży wciąż biły dzwony. Po wewnętrznych ścianach dzwonnicy spływały spirale cienie. Największy z psów wyskoczył prosto z kamienia, nie był już beaglem. Był ogromny i czarny, miał kłapiącą paszczę pełną wielkich zębów. Wciąż trzymałam przed sobą zwiotczały dymiący wianek, jakby mógł jeszcze

do czegoś mi się przydać.

– Dariusz! – krzyknęłam i wlała się we mnie kolejna fala energii.

Talizman zadrżał. Coś wrzasnęło nade mną. Uchyliłam się odruchowo, mijając o włos z Levim, który śmignął obok mnie, spadając prosto ze stropu. Rozsiewając obłoki czerni ciemniejszej niż noc, pognął naprzód, odtrącając Dariusza na bok, by dołączyć do Imogeny przy drzwiach. Na widok mężczyzny Levi wydał z siebie straszliwy pomruk, niemal tak przerażający jak złowieszczy warkot jego piekielnych psów.

Nieustające migotanie niestrudzenie bijących piorunów przemieniło całą scenę w kiepski stary film. Imogena przepuściła Leviego, którego po chwili wyprzedził jego wielki pies, a potem reszta psów i gęsi, których chmary wyłaniały się ze ścian wieży.

Mężczyzna krzyknął przeciągle. Jego głos przeszedł w przeraźliwy skrzek, a potem w krzyk małego dziecka. Rzucił się do ucieczki. Słyszałam stukot obcasów na kamieniach, kiedy umykał przed bestiami z cieni, które deptały mu po piętach. Levi gnał za nimi w strugach deszczu, zamykających się za nim jak szare zasłony. Dariusz odzyskał równowagę i ruszył naprzód, zamierzając dołączyć do Leviego, ale Imogena wyciągnęła przed siebie rękę jak szlaban i zatrzymała go.

– Zostaw – powiedziała głosem twardym jak granit. – Tylko byś im przeszkadzał.

Dariusz zawahał się, ale potem odwrócił w moją stronę i włączył światła w holu dzwonnicy.

Powoli opadła mu szczęka.

– Trina – powiedziała Forest akurat w chwili, kiedy uświadomiłam sobie, że stoję w kałuży krwi.

Położyła dłonie na moich plecach, a złote światło wypełniło mi oczy i wszystkie zmysły. Smakowało jak nasiona dmuchawca, brzmiało jak śpiew, pachniało jak miód. Parzyło.

Dariusz ujął mnie za ręce i delikatnie skierował je w dół, aby móc się do mnie zbliżyć. Forest topiła mnie w ciepłym miodzie. Imogena płonęła srebrem.

Jakaś wysoka i barczysta postać wyszła z mroku, odtrącając wyciągniętą rękę Imogeny, łapiąc ją za szyję, a ja...

Ja...

Zamrugalam.

Kolana ugięły się pode mną.

– Co wyście jej zrobili? – zagrzemiał głęboki głos, szarpiąc każdym nerwem w moim ciele. – Zabiję was wszystkich!

– Tata – zakwiliłam.

Dariusz złapał mnie, zanim opadłam na posadzkę.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, był mój ojciec, który zbliżał się do nas, wlokąc Imogenę ze sobą.

Rozdział 28

Blask słońca wdarł się w mrok mojego umysłu.

Słońce i ból.

I twarz Addie.

– Nie dotykaj jej, Xavier. Nie zasłużyłeś jeszcze na ten przywilej.

Płomień trawił mi ramiona, wypełzał na plecy. Odbierał mi oddech. Głosy i twarze widziałam jakby za mgłą, dopóki...

W polu widzenia mignęła mi smutna mina ojca. Patrzył na mnie. Błagalnie. Może się modlił. Jego twarz wydawała się lekko wgnieciona z jednej strony.

– Infekcja streptokokowa – powiedziała do kogoś mama Dariusza. – Tak, ostra. Tak. Wróci, kiedy tylko dojdzie do siebie. Praktyki u was są dla niej bardzo ważne.

Dźwięk odkładanej słuchawki.

Więcej słońca.

– Ostrożnie, Forest – powiedziała Imogena. – Zwiędiesz nam tu jak zerwana stokrotka.

Pokój znów wypełniła ciemność i gdzieś bardzo daleko gasnący głos mojego ojca powiedział:

– Muszę zrozumieć...

Śniłam o błyskających nożach. Ludzie ścigali mnie, całe hordy ludzi, wyjących, rechoczących i dźgających mnie stałą. Nie byłam dość szybka, a oni chcieli mojej krwi. Pot zalewał mi oczy, krzyczałam, wiedziałam, że nigdy, przenigdy nie zdołam uciec.

Upadłam i ból przeszył moje ciało. Cięli mnie okrutnie, zapamiętałam.

Forest wpłynęła do mojej świadomości, tyle że to nie była ona. To była tamta zjawą ze szpitala, wyblakła i przeźroczyta, jakby ledwie istniejąca.

– Pożerają cię – szepnęła ze smutną miną.

I wtedy umarłam.

– Tylko dodałam mu sił – powiedziałam, dźwigając się na łokciu na kanapie w salonie Dariusza.

Potem spróbowałam wstać.

Addie i Jessie złapali mnie pod ramiona w tym samym momencie. Minęła dłuższa chwila, nim dotarło do mnie w pełni, że Addie naprawdę tam jest

i przygląda mi się z troską, próbując wraz z Jessiem ułożyć mnie z powrotem na kanapie. Rejestrowałam każdy szczegół, od jej precyzyjnie przystrzyżonych włosów po czarną bluzkę i malutki naszyjnik z pereł na dekolcie. Pachniała mleczkiem migdałowym i znów wydawała się pełna życia, zdrowa – nie jak wtedy, kiedy widziałam ją ostatnio, po tym, jak ogłuszyła ojca patelnią.

Mój ojciec.

Opadłam z powrotem na kanapę i rozejrzałam się.

– Tata? Czy on...?

– Jest tutaj – uspokoił mnie Jessie, spulchniając poduszkę leżącą najbliżej niego. – Wyszedł do ogródka z Dariuszem i panią Hyatt.

Znów chciałam poderwać się na równe nogi, ale Addie powstrzymała mnie stanowczym naciskiem na oba ramiona.

– Hola, Trino, spokojnie. Mamy tu pełne porozumienie. Na razie.

Twarz Addie wisiała o centymetry nad moją; jej czarne oczy były wielkie i szczerze.

– Pomyśl chwilę – dodała. – Czy Jessie siedziałby tutaj, gdyby Dariusz potrzebował ochrony?

– Wszystko gra – zapewnił mnie Jessie.

Opadłam z powrotem na kanapę, czując, że mam zawroty głowy.

– Dlaczego tak kręci mi się w głowie?

– Wersja skrócona – odpowiedział Jessie rzeczowo. – Ty i Dari ścięliście zakręt rzeczywistości, przelatując przez tamten świat, ścigani przez jakiegoś psychologa z nożami. Facet pochlastał ci plecy i rany szybko się zainfekowały. Levi i Imogena nie mogli nic na to poradzić, ale Forest idzie całkiem dobrze.

Usiadłam wyżej i na próbę wyciągnęłam przed siebie ręce. Impuls bólu wykrzywił mi twarz, ale moja skóra wydawała się cała, a mięśnie solidnie przyczepione do kości. Nie czułam też, żebym miała gorączkę.

Opuszczając ręce, przeniosłam uwagę na Addie, która usiadła na krześle obok kanapy. Uśmiechała się łagodnie, spokojniejsza i bardziej rozluźniona niż kiedykolwiek w ostatnim czasie. Wzruszenie wezbrało mi w piersi, oczy nabiegły łzami. Już samo to, że mogłam na nią patrzeć... A tak się bałam, że już nigdy ze sobą nawet nie porozmawiamy.

Nie mogłam znaleźć słów dla tysiąca pytań, które chciałam jej zadać, poprzestałam więc na krótkim:

– Ojciec? Wersja skrócona?

Addie zamknęła oczy, otworzyła je znowu i kiwnęła głową.

– Zdzieliłam go całkiem porządnie. Trzeba było trzech dni i wszystkich moich czarów uzdrawiających, żeby się wreszcie obudził. A kiedy tylko

otworzył oczy, wpadł w panikę, że stało ci się coś złego, i poleciał cię szukać.

– Trzy dni?

Coś tu się nie zgadzało. Spędziłam u Dariusza tylko jeden dzień, zanim poszliśmy do Lincolna.

– Straciłaś trochę czasu, kiedy przeszłaś przez tamten świat – powiedział Jessie. – Forest i Levi dostawali kota, szukając cię, kiedy zniknęłaś ze szpitala. Ledwie zdążyli na czas.

Podczas gdy próbowałam przetrwać fakt, że to, co mi zajęło kilka minut, w percepcji innych trwało trzy dni, Jessie ciągnął:

– Wiedziałaś, że twój ojciec zna taekwondo? Szkoda, że nie widziałaś, jak próbował rozwalić łeb Dariemu, kiedy myślał, że robią ci krzywdę.

Ukryłam twarz w dłoniach, próbując zwalczyć nową falę zawrotów głowy, ale też wyrzucić z umysłu wizję własnego ojca udającego Jackiego Chana przed moim chłopakiem w dzwonnicy starego szpitala psychiatrycznego. Przez ułamek sekundy znowu słyszałam bicie dzwonów, tak głośne, że aż poczułam je w kościach.

– Tylko nam nie odleć, słonko. – Na kolanie poczułam poklepującą mnie dłoń Addie.

Kiwnęłam głową i podniosłam wzrok na moją macochę. Addie uśmiechnęła się do mnie, a potem znowu zmarszczyła brwi. Splotła dłonie na kolanach, jak zawsze, kiedy była podenerwowana.

Gdy poruszyłam się niespokojnie i sama zaczęłam zaplatać palce, Addie spojrzała mi w oczy. Zaczepnęła powietrza i powiedziała bardzo, bardzo powoli:

– On chciałby wiedzieć, że jesteś przytomna, Trino.

Jessie odchrząknął i zastygł, wpatrując się w coś za oknem salonu, pozostawiając mnie samą z decyzją do podjęcia.

– I tak tego nie uniknę – powiedziałam głosikiem tak cienkim i niedojrzałym, że aż zirytowałam się sama na siebie.

Addie i Jessie nie odpowiedzieli. Oboje unikali mojego wzroku.

W ciszy, która zapadła, splotłam i rozplotłam palce jeszcze kilka razy.

Mój ojciec zamierzał wyrządzić mi krzywdę, zanim Addie nie ogłuszyła go patelnią. Wiedziałam o tym, ale wiedziałam też, że zaślepiła go furia i być może inne uczucia, których nie pojmowałam. Kiedy się ocknął, jego pierwszą troską było moje bezpieczeństwo, nie własna obolała twarz.

Czy naprawdę wdał się w bójkę z Dariuszem, Levim i Imogeną, próbując mnie ocalić? Czy naprawdę widziałam go modlącego się, podczas gdy Forest próbowała mnie uzdrowić? Oczy zaszły mi mgłą, po części ze wzruszenia, po

części przez zawroty głowy.

Nie nienawidziłam go i nie byłam na niego zła. Czułam się zraniona. Może ciut dezorientowana. Ale przecież w tym wszystkim nie chodziło tylko o mnie, prawda?

– Porozmawiam z nim po tym, jak rozmówię się z całą resztą – powiedziałam cicho.

Rozdział 29

Jakąś godzinę później Imogena stała na ceglanym tarasie w ogródku Dariusza, wyciągając ku mnie rękę z delikatnym pożółkłym wycinkiem z gazety. Pochodził z „Cincinnati Enquirer”. Nagłówek i data były zbyt wytarte, aby można je było odczytać, i udało mi się odcyfrować tylko rok – 1929 – oraz dwa słowa: „chłopiec” i „wolny”.

Była tam fotografia kobiety trzymającej na kolanach dziecko – chłopca o okrutnej twarzy, ciemnych włosach i ustach wykrzywionych w złym uśmiechu. Sam jego widok przejął mnie mrozem, aż zadygotałam na leżaku, choć na policzkach czułam żar słońca.

– To on? – spytała Imogena.

Wcisnęłam jej w dłoń wycinek, nie chcąc dotykać go ani sekundy dłużej.

– Tak.

– Kto to jest? – spytała pani Hyatt.

Siedziała na wózku po mojej lewej stronie. Po prawej przycupnął Dariusz, na skrzyżowanych nogach, szalenie przystojny w swoich ciemnych okularach, czarnych dżinsach i czarnej koszulce. Kiedy wyciągnął rękę, aby ująć moją dłoń, pozwoliłam mu na to, choć tata siedział dwa metry przede mną na jednym ze składanych krzesel, które Dariusz przyniósł z garażu.

Addie usiadła po prawej stronie ojca, na krześle, pod którym położyła swoją wielką torbę z eliksirami. Forest siedziała po jego lewej stronie, a Levi – oczywiście – stał obok niej. Jessie stał pomiędzy obiema grupami gotowy interweniować, gdybyśmy wszczęli bitwę na pięści albo zakłęcia.

– To niejaki Carl Newton Mahan – powiedziała Imogena. – Chłopak z okolic Paintsville na wschodzie Kentucky.

– Brzmi znajomo. – Mój ojciec sięgnął po wycinek, a Imogena oddała mu go, po czym przysiadła na niskim ceglanym murku okalającym klomb azalii.

Niesamowicie było patrzeć na tatę w jednym z jego najlepszych brązowych niedzielnych garniturów siedzącego wśród potomków Madoca – i to nie byle jakich potomków. Forest, Levi i Imogena byli być może najsilniejszymi madocami, jakich kiedykolwiek napotkał. Nie mogłam oderwać wzroku od jego twarzy, jego smutnej, niespokojnej miny, od owalu jego głowy nieznacznie spłaszczonego z prawej strony, jakby Addie nie udało się poskładać odłamków czaszki, jak należy.

– Pamiętam, że gdzieś o tym słyszałem – powiedział, potrząsając głową nad

zdjęciem, po czym zwrócił wycinek Imogenie. – Chłopak miał sześć lat, kiedy zastrzelił kolegę po kłótni o jakieś żelastwo, które próbowali sprzedać złomiarzowi na zagłębiu. Najmłodszy morderca, jakiego kiedykolwiek skazano w tym stanie i pewnie wszędzie indziej.

„Żelastwo”. Wzdrygnęłam się na wspomnienie sztab siekających mnie w strugach deszczu i upiornej dziecięcej twarzyczki na ciele dorosłego mężczyzny.

– W narodzie zawrzało, że taki młody i się nie godzi, aż w końcu prokurator generalny odesłał go z powrotem do rodziny, zamiast wsadzić do poprawczaka – powiedziała Imogena. – Gazety rychło zapomniały o sprawie, a rodzice wyjechali z nim na zachód, żeby trzymać chłopaka z dala od kłopotów.

– Ale on wziął kłopoty ze sobą? – powiedziała Addie.

Imogena skinęła głową.

– Chłopak był porządnie pokrecony od maleńkości. Trafił do Lincolna jako dwunastolatek po tym, jak zakatował dziewczynę na śmierć gdzieś pod Kadyksem. Musieli trzymać go w izolatce, inaczej próbował mordować pacjentów, kiedy spali. Zmarł na suchoty jeszcze przed trzydziestką. Przeprowadziłam go.

Po kilku chwilach niezręcznego milczenia pani Hyatt poprawiła się na swoim wózku.

– Znaczy się... on wrócił? Tak jak mój ojciec?

– Na to wygląda – kiwnęła głową Forest.

– Dlaczego? – spytała pani Hyatt.

– Ci źli tak mają – powiedziała Imogena. – Trzymają się blisko świata i kiedy tylko mogą, wracają, żeby wciąż parać się łajdactwami, które cieszyły ich najbardziej. Karmią się krwią i strachem.

– Czy za życia wszyscy mieli w żyłach krew Madoca? – spytał mój ojciec. – Duchy, które wracają?

– Dawniej tak sądziłam – powiedziała Imogena. – Był taki czas, że zastanawiałam się, czy tylko madoców dopada obłęd i czy ich dziełem są wszystkie straszliwe zbrodnie popełniane na tej ziemi. Ale dziś znam prawdę. Nie ma na tym świecie człowieka, który nie mógłby zejść na złą drogę albo postradać rozumu, niezależnie od tego, jaka krew krąży w jego żyłach. Wystarczy, że zaczną działać się złe rzeczy.

Mina pani Hyatt była mroczna jak burzowa chmura.

– Powracające dusze, wszystkie te zjawy i upiory. Czy to się dzieje także w innych miejscach, czy tylko w Lincolnie?

– Nie wiem na pewno – przyznała Imogena. – Ale podejrzewam, że nie jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy mieszkają o rzut kamieniem od samych wzgórz piekła.

– Ale madocowie przybyli w te strony... – zaczęła Addie.

Imogena uciszyła ją szybkim gestem.

– Ci ludzie, kimkolwiek byli, nie osiedlili się jedynie tutaj. To tylko jedno miejsce. Na pewno jest wiele innych.

Twarz mojego ojca drgnęła.

W ciszy, która zapadła, usiłowałam wyobrazić sobie dziecko na tyle zdeprawowane, by zamordować przyjaciela i torturami zamęczyć dziewczynę na śmierć, a wszystko jeszcze zanim zobaczyło trzynastą wiosnę życia.

– Myślę, że Carl Newton Mahan wrócił na ten świat jako upiór, poltergeist czy to, w co tam się przemienił, dzięki energii moich zaklęć – wymamrotałam. – Pięknie!

– Co prawda, to prawda. Zwykle duchy nie uzyskują wystarczającej substancjalności, aby móc wpływać na rzeczywistość. – Imogena oglądała w skupieniu swoje guzowate knykcie i zauważyłam, że jej ręce delikatnie drżą. – Równie dobrze może być tak, że ci, którzy pragną chaosu, czują, że słabną. Dawniej potrafiłam odesłać taką paskudę po raz drugi, zanim odkryła nowy sposób na sianie spustoszenia, ale tamte czasy minęły, i oni o tym wiedzą.

Lekko zdeformowana twarz mojego ojca pozostała bez wyrazu. Pusty wzrok miał utkwiony we mnie i po raz pierwszy w życiu poczułam, że to ja odczytuję jego, zagładając mu w głąb duszy, a nie odwrotnie.

– *To* jest prawdziwa wojna – powiedziałam do niego. – Dobrzy ludzie przeciwko złu, a nie my przeciwko potomkom Madoca. Teraz rozumiesz?

Otworzył usta, jakby chciał wylać z siebie potok słów, ale dobyło się z nich tylko szepnięcie:

– Trino...

Nerwowo wciągnęłam powietrze, a Dariusz ścisnął moją dłoń.

Tyle uczuć w jednym słowie. Jak mój ojciec to robił?

Wiedziałam, że były to jedyne przeprosiny, na jakie było go stać. Milion lat temu wkurzyłabym się na niego, ale w tamtej chwili to mi wystarczało. Skinęłam mu głową, a on chyba trochę się rozluźnił.

– Zanim nas zaatakowano, Dariusz i ja zobaczyliśmy kogoś, kto wyglądał dokładnie jak Forest – powiedziałam do Leviego. – W szpitalu. Na oddziale C.

Levi ściągnął swoje nazbyt czerwone usta, a ja starałam się nie patrzeć na jego wytatuowane łyzy, połyskujące krwiście w słońcu.

– Dariusz już nam powiedział.

– Pętla czasowa? – podsunął Jessie. – Może weszła w nią i była w dwóch miejscach naraz.

Levi potrząsnął głową.

– Niemożliwe.

Idea przebywania w tym samym miejscu w dwóch różnych czasach była dla mnie za bardzo metafizyczna, więc darowałam sobie głowienie się nad nią.

– Forest albo ta rzecz, która wyglądała jak ona, kiedy nas zobaczyła, wydała z siebie niesamowity krzyk. Jej głos miał w sobie moc i zdarł z Dariusza niewidzialność. Mam wrażenie, że sprowadził także tego... tego Carla Mahana, czy cokolwiek to było.

– Albo po prostu otworzył mu wejście. Tak, to możliwe – powiedziała Forest, pochylając się do przodu na swoim składanym krzeselku. – Wygląda na to, że użyła głosu do wyrzucenia was z budynku.

– Ty to potrafisz? – spytała ją pani Hyatt.

Policzki Forest zaróżowiły się nieznacznie.

– Zwykle po prostu *szukam* rozrzedzenia, w którym przejście jest łatwiejsze. Nigdy nie próbowałam zrobić własnego.

– Chciałam walczyć z Mahanem zaklęciami, ale nie zadziałały, jak powinny – powiedziałam. – Miałam wrażenie, że tylko go wzmacniają.

Levi przykucnął obok Forest, jakby moje słowa odebrały mu siłę w nogach.

– Więc jest dość silny, aby chłonać energię – mruknął. – Pewnie jest upiorem, jak Eff Leer.

Jessie strzelił knykciami.

– Można go zabić jeszcze raz, jak dziadka Dariusza?

– Tak – odpowiedziała Imogena. – Choć „zabić” może nie być najwłaściwszym słowem. Możemy posłać jego duszę tam, skąd przybyła.

Levi usiadł w milczeniu, obserwując mojego ojca, i po raz pierwszy ujrzałam w jego oczach coś w rodzaju strachu. Po chwili zwiesił głowę i przysięgam, że zatrzęsły mu się ramiona, kiedy Forest delikatnie przeczesła palcami jego włosy.

– Czy to on? – spytałam Leviego, ruchem głowy wskazując tatę. – Czy to on cię, hmm... zabił?

Nikt nie patrzył na mojego ojca, a Levi nie odpowiedział.

Po chwili tak długiej, że czas zdawał się stać w miejscu, dał się słyszeć szept mojego ojca.

– To byłem ja.

Kiedy Levi uniósł głowę, tatuaż pod jego prawym okiem zdawał się jaskrawszy niż zwykle, jakby Levi naprawdę wyplakał krwawą łzę.

Mnie też zbierało się na płacz. Chciałam przeprosić; chciałam uderzyć ojca albo potrząsnąć nim, ale nagle moje emocje po prostu się wyłączyły – zgasły, pozostawiając jedynie ochotę, aby złożyć głowę na ramieniu Dariusza i zasnąć. Spać tydzień albo miesiąc, a po przebudzeniu się odkryć, że to był tylko koszmar i mój tata wcale nie jest mordercą.

– Myliłem się – powiedział mój ojciec. – Teraz to rozumiem. Oddam się w ręce władz i przyznam do swoich zbrodni.

– W ten sposób niczego nie naprawisz, kaznodziejo – powiedziała Imogena z mocą. – Nigdy nie odkupisz swoich grzechów, nie w moim świecie, ale nie mogę wypowiadać się za Leviego.

Wstała z murku i nie powiedziawszy już nic więcej, ruszyła przez ogród w kierunku szpitala Lincolna. Już miałam zaproponować, aby ktoś podwiózł ją samochodem, kiedy świat zamigotał i w następnej sekundzie Imogeny nie było już wśród nas.

Oniemiała ze zdumienia wpatrywałam się w miejsce, gdzie stała jeszcze przed chwilą.

– Dlaczego? – spytał Levi, a ja podskoczyłam na dźwięk jego głosu.

– Mój ojciec zaczął się tym parać, kiedy zamordowano jego ojca – powiedział cicho tata.

Przerwał na chwilę, odchrząknął i podjął opowieść.

– Zabójcą dziadka był niejaki Purcell Mace, okresowy pacjent Lincolna. Kiedy nie przebywał w szpitalu, pił. Wydawało się, że zawsze wiedział, kto ma pieniądze, które można ukraść. Pewnej nocy wyszedł za moim dziadkiem z baru i zatłukł go na śmierć ołowianą rurką.

Podczas kolejnej pauzy zerknął na mnie, a ja nie odwróciłam wzroku.

– Mace nigdy nie poszedł za kratki – ciągnął tata. – Posłano go do Lincolna, gdzie w końcu umarł, ale nie zanim zamordował jedną z osób, które próbowały się nim opiekować. Moją kuzynkę. To jej matka opowiedziała nam o nim i o innych pacjentach szpitala, którzy mogli, no, wiecie... czynić rzeczy, jakich żaden człowiek nie powinien czynić, i wiedzieć rzeczy, których nie mogli wiedzieć.

– Na przykład kto ma pieniądze? – spytała pani Hyatt.

Mój ojciec skinął głową.

– W końcu odkryłem, że tacy ludzie są wszędzie w Never – powiedział. – Nie wszyscy byli pacjentami szpitala. A ja potrafiłem ich wyczuć, zdemaskować dzięki magii, której się nauczyłem.

Tym razem spojrzał na Leviego.

– Wiele morderstw i zaginięć, rzeczy, które nie powinny się wydarzyć,

naprawdę było dziełem madoców.

Levi nadal się nie odzywał, ale widać było, że nie zaprzecza.

Mój ojciec przeniósł wzrok na mnie.

– Przez to, no i przez tę historię z dziadkiem, uwierzyłem, że oni wszyscy są źli. Pomiot szatana. Robiłem więc to, czego nauczył mnie ojciec: likwidowałem ich, gdziekolwiek i kiedykolwiek się na nich natknąłem, sądząc, że jestem niczym ręką Boga.

Przerwał na chwilę, aby spojrzeć na swoje dłonie.

– Sądziłem, że właśnie po to Bóg dał mi narzędzia: abym uwalniał ziemię od plagi.

Zacisnął usta i spostrzegłam, że ich kąciki drżą.

O, Boże. Czy tata zamierzał się rozplakać? Tego bym chyba nie zniosła.

Ale nie rozplakał się. Patrzył tylko wyczekująco, jakby liczył na to, że coś powiem, ale ja nie miałam dla niego żadnych słów. Zrozumienie, dlaczego robił to, co robił... Owszem, wszystko nabrało teraz sensu, ale nie czułem się przez to ani trochę lepiej.

– Co mamy zrobić z pastorem Martinezem, Levi? – spytała pani Hyatt. – Wezwać policję? Zapomnieć o sprawie? To tobie wyrządzono zło i jakiegokolwiek wyjście uznasz za słuszne, jesteśmy z tobą.

Levi przełknął ślinę, zamrugał, a ja złapałam się na tym, że czekam, aż krwawa łza na jego policzku skapnie na taras.

– To, czy coś jest słuszne, czy nie, nie ma w tej chwili wielkiego znaczenia – powiedział. – Najważniejsze to pozbyć się Carla Mahana, zanim znów kogoś skrzywdzi.

Mój umysł próbował nadażyć za rzeczywistością, w której Levi patrzył na człowieka, który go zamordował, człowiekiem tym zaś był mój ojciec. Gdyby Imogena nie była tym, kim była – gdyby nie potrafiła sprowadzać duchów z powrotem – Levi byłby teraz martwy, a mój ojciec nadal zabijałby każdego, u kogo wyczułby krew Madoca.

– Powstrzymam Mahana – powiedział mój ojciec. – A potem postąpicie ze mną wedle waszej woli.

– Sam nie dasz rady – powiedziała Forest. – Jest upiorem, a ty nie możesz go przeprowadzić.

Addie rozważała te słowa przez chwilę, a potem mruknęła:

– To jest możliwe. Musiałabym znaleźć właściwe zaklęcie. Przejrzę moje księgi, i Xaviera też...

– Nie mamy na to czasu – przerwał jej Levi, wciąż patrząc w inną stronę. – Będziemy musieli działać razem.

„To, czy coś jest słuszne, czy nie, nie ma w tej chwili znaczenia” – te słowa wciąż kołatały mi się po głowie. Splotłam nerwowo palce.

– Nie wydaje mi się, żeby użycie zaklęć było dobrym pomysłem – powiedziałam do Addie. – Nie wiemy, czy zadziałają, a równie dobrze mogą dać Mahanowi jeszcze większą siłę.

– Chcę iść do szpitala – oznajmiła Forest, zaskakując mnie i wszystkich pozostałych.

Levi odwrócił głowę w jej stronę, wytrzeszczając oczy w zdumieniu.

– Nie. Teraz grasuje tam ten potwór. Musimy to dobrze przemyśleć.

– Tamten duch wyglądał jak ja. To może być ktoś spokrewniony ze mną. I może pomóc nam z Mahanem. – Forest dotknęła włosów Leviego, patrząc mu prosto w oczy. – Muszę wrócić na oddział C, dowiedzieć się, co się tam dzieje.

– Nie teraz – odparł Levi tonem jednocześnie zaskoczonym i zbolalym. – Najpierw Mahan, potem duch.

– To zbyt niebezpieczne, Forest – powiedział mój ojciec i usłyszałam opiekuńczą nutkę w jego głosie.

– Jeśli chce iść, powinniśmy ją wziąć – oświadczyłam, czując zadowolenie z tego, że tata troszczył się o Forest, jakby była dlań prawdziwą osobą, a jednocześnie frustrację, ponieważ zbywano ją tak szybko.

Odwróciłam się do Dariusza.

– Imogena właśnie tam wróciła, tak? A Mahan wie, że teraz ma do czynienia z nią i z Levim. Nie zaatakuje od razu. Najpierw musi wykombinować, jak nas pokonać. Teraz jest najlepszy moment.

– Przepraszam, skarbie, ale głosuję na ich pomysł. – Dariusz ścisnął moją dłoń. – Pójdziemy, kiedy będziemy mieli plan pokonania tego upiora.

Addie i pani Hyatt w ogóle się nie odezwały i coś w minie Addie – rezygnacja połączona z błyskiem w oczach – kazała mnie też trzymać buzię na kłódkę, mimo iż Forest wyglądała na zdruzgotaną.

Po długiej chwili ciszy mój ojciec wystąpił z propozycją zjedzenia kolacji, zanim zabierzemy się do pracy, po czym wraz z Jessiem i Dariuszem postanowili, że upieką nam coś na ruszcie, i zgromadzenie rozproszyło się, kiedy poszli do kuchni Hyattów po parówki i mieloną wołowinę. Pani Hyatt dawała wskazówki i instrukcje, ale sama nie ruszyła z pomocą, podobnie zresztą jak Addie. Levi przez jakiś czas towarzyszył Forest, a potem odszedł, by usiąść na murku, gdzie wcześniej siedziała Imogena. Pomyślałam, że pewnie chce zostać na chwilę sam na sam z myślami.

Wszystkie cztery siedziałyśmy w milczeniu, dopóki mężczyźni nie zajęli się sobą. Wtedy przykryłam dłonią drżące palce Forest. Wpatrywała się tępo

w swoje stopy, a mój dotyk zachęcił ją do podniesienia na mnie wzroku. W jej oczach szklily się łzy.

– Jak myślisz, kim ona była? – spytała mnie drżącym głosem.

– To byłeś ty – odpowiedziałam. – No chyba że masz siostrę bliźniaczkę.

– Nic o tym nie wiem.

– Wszystko jest możliwe – westchnęła pani Hyatt, ale Forest nie przestała wpatrywać się we mnie.

– Jak wyglądała twoja mama? – spytała.

Nie byłam przygotowana na takie pytanie i poczułam lekki skurcz w żołądku.

– Tak naprawdę to nie wiem.

Spojrzałam na Addie. Nigdy nie byłam pewna, co czuła, słuchając o sprawach dotyczących mojej biologicznej matki, a nie chciałam powiedzieć niczego, co mogłoby ją zranić. Wiedziałam, że dzieci przeważnie cierpią z tęsknoty za rodzicami, którzy znikli z ich życia, ale ja, mając Addie, nie zaprzętałam sobie tym głowy. Kochałam ją, ona kochała mnie, a moja matka, dokądkolwiek postanowiła się wynieść, podjęła tym samym decyzję, że nie będzie częścią mojego życia.

– Mój ojciec zawsze powtarza, że mam po niej włosy – powiedziałam Forest. – I oczy też, i... Och...

W tamtym momencie wszystkie zobaczyłyśmy to samo, i to bardzo wyraźnie. Nowa wiedza płynęła wraz z wymienianymi spojrzeniami, napełniając nasze oczy i umysły prawdą, prawda zaś była następująca:

Musiałyśmy złożyć wizytę duchowi z oddziału C. Dla Forest.

Musiałyśmy dowiedzieć się, czy Bridgette jest jej matką, i coś kazało nam wierzyć, że nie ma sprawy ważniejszej od tego, bez względu na to, jak wielkie może grozić nam niebezpieczeństwo.

– Uważają, że zawsze potrzebujemy ochrony. – Forest wskazała głową dom, gdzie panowie wszczęli spór o najlepszy sposób rozpalenia grilla, na którym mieli upiec hamburgery. – Nigdy się nie zgodzą.

Levi wciąż siedział na pobliskim murku, zatopiony bez reszty we własnym świecie.

– Nie potrzebujemy ich zgody – powiedziała Addie.

Być może mieli rację – mój ojciec, Dariusz, Jessie i Levi. Być może w Lincolnie było teraz zbyt niebezpiecznie, nawet jeśli Imogena znów czuwała nad szpitalem w swojej dzwonnicy. Istniała taka możliwość, ale była też druga – taka, że my także miałyśmy słuszość. Że na tym etapie najważniejszym zadaniem było odnalezienie Bridgette i próba wyciągnięcia od niej

wszystkiego, czego mogliśmy się dowiedzieć o Carlu Mahanie, a także o Forest.

Mój ojciec, Jessie, Dariusz, nawet Levi nie wysłuchaliby nas. Próbowaliby nas powstrzymać i zapewne pozbawiliby jakiegokolwiek szansy na zdobycie potrzebnej nam wiedzy.

Addie wyciągnęła spod krzesła swoją torbę. Chrząknięciem oczyściła gardło i pomachała ręką do chłopców.

– Hej, dajcie sobie spokój z tymi hamburgerami. Przyrządę nam pyszne soczyste duszone mięsko w niecałą godzinę.

Rozdział 30

Niedługo po zachodzie słońca obecni w domu mężczyźni – w tym Levi – ulegli pełnym brzuchom i odrobinie poobiedniej herbaty zaprawionej najlepszym chmielem i kozłkiem Addie. Oceniałyśmy, że mamy co najmniej kilka godzin, choć z moim ojcem i Levim nigdy nic nie było wiadomo. Przynajmniej wyszłyśmy z domu bez awantury.

W absolutnym milczeniu Addie zawiozła Forest, panią Hyatt i mnie do Lincolna, co trwało około kwadransa. Na widok identyfikatora pracowniczego przy moim kołnierzu ochroniarz przepuścił nas przez bramę, po czym pokierowała nas na parking przy wejściu położonym najbliższej oddziału C.

– Ja pracowałam tylko na geriatrici, i to wieki temu – powiedziała Forest, idąc obok mnie w stronę ciężkich metalowych drzwi broniących wejścia do sutereny starego szpitala. – Od tamtej pory siedzę głównie w wieży. Wszystko tu się pozmieniało.

Szłam, rozluźniając mięśnie, w których wciąż czułam dziwne ukłucia po mojej walce z Mahanem. Już prawie zapomniałam, że przeprowadzając dusze na tamtą stronę, Forest występowała z nurtu czasu. Nie mogła wracać do przeszłości, ale mogła przesuwać się naprzód w przyspieszonym tempie. Choć biologicznie była w moim wieku, rzeczywiście pracowała w Lincolnie wiele, wiele lat temu. Wszystko to było bardzo dziwne i przywiodło mi na myśl Leviego. Forest powiedziała, że jest mniej więcej w naszym wieku, ale kiedy naprawdę przyszedł na świat?

Dotarłyśmy do zacienionego naroża głównego budynku i musiałyśmy wyjść poza strefę uspokajającego blasku latarni, aby dostać się do drzwi, gdzie zatrzymałyśmy się, aby poczekać na Addie i panią Hyatt. Od nagłego wejścia w mrok przeszły mnie ciarki. Moje palce zawisły nad kieszeniami, gdzie miałam mój wierzbowy wianek oraz mały mieszek z mogilną ziemią, węzową skórą, utartymi kośćmi, siarką i innymi składnikami, których nawet nie znałam. Addie dała mi go, bo był to jeden z naszych najlepszych czarów ofensywnych. Miałam nadzieję, że nie będę musiała go użyć. Oprócz tego, że nie miałam najmniejszej ochoty na kolejną potyczkę z Mahanem, ten proszek śmierdział jak krowie placki z pieprzem i palił się jak samo piekło.

Addie zaopatrzyła nas też w dziesięciocentówki z wybitymi otworami, nawleczone na skórzane rzemyki, które zawiesiłyśmy sobie na szyjach, przegubach i kostkach. Powiedziała, że lśniące srebro zacznie mętnieć,

a potem szernieje, jeśli zbliżymy się do jakiegokolwiek zła.

Kiedy Addie wyłoniła się z cienia na chodniku, popychając przed sobą wózek z panią Hyatt, monety na jej ciele rozbłysły chmurą migotliwych refleksów. Torba śmierci mojego ojca spoczywała na kolanach mamy Dariusza, tuż obok magicznej torby Addie.

– Nie będzie potem jakichś kłopotów z mężem? – spytała Forest, zwracając się do Addie, zajętej parkowaniem wózka pani Hyatt w ciemności obok nas.

– Już wam mówiłam, że nie potrzebuję jego pozwolenia, aby zrobić to, co należy – odpowiedziała Addie. – Wbrew temu, co myślicie, nie potrzebuję jego pozwolenia na nic, tak samo zresztą jak Trina.

– Wyglądamy jak monetowe drzewa – powiedziałam, unosząc mój identyfikator do czytnika przy drzwiach. – Jeśli nas złapią, ochrona pewnie nie odda nas policji, tylko od razu odstawi na izbę przyjęć.

Pani Hyatt parsknęła tłumionym śmiechem.

Kliknął zamek, a ja pchnięciem otworzyłam drzwi, wpuszczając nas do suterenu szpitala Lincolna, cztery piętra pod oddziałem C.

Weszliśmy po kolei – najpierw ja, potem Forest, za nią Addie i pani Hyatt na końcu. Drzwi zamknęły się zbyt szybko, zatraskując z metalicznym łoskotem, od którego ciarki przebiegły mi po plecach.

– Co to za miejsce? – wyszeptła Forest, podczas gdy rozglądałyśmy się badawczo po długim holu ciągnącym się w dal przed nami.

Ściany i posadzka były z brązowego kamienia, jak lochy zamków w bajkach. Na ścianę po prawej stronie wpełzała żółtawa poświata lamp ewakuacyjnych, których szereg umieszczono tuż nad podłogą, natomiast po lewej...

– To jest klatka – powiedziała Addie napiętym tonem, przyglądając się stalowej kratce zajmującej sporą część ściany po lewej stronie holu.

Drzwi klatki blokowała kłódka, a obwieszoną pajęczynami przestrzeń za kratą wypełniały zakurzone nosze na kółkach i wózki inwalidzkie.

– Magazyn – mruknęła pani Hyatt. – Przynajmniej teraz. Wolę nie myśleć, co tu mogło być jakieś sto lat temu.

Coś zbulgotało ponad nami, a kiedy uniosłam głowę, ujrzałam pęk rur biegnące przez całą długość stropu. Ciepła woda? Gaz? Elixir szaleństwa? Któż mógł to wiedzieć?

– Nie mogę znaleźć włącznika światła – poskarżyła się Forest, oklepując dłonią rozmaite skrzynki na ścianie przy drzwiach. – Kiedy tu pracowałam, w strefach dla personelu światła ewakuacyjne paliły się całą noc. W suterrenach zawsze było pusto z wyjątkiem przerw, kiedy ludzie szli do automatów na

stołówce czworo drzwi dalej w tamtą stronę. – Forest wskazała kciukiem wylot korytarza najbliższej nas, gdzie było jeszcze ciemniej niż w holu.

Znów spojrzałam na sufit i przypomniałam sobie, co moja opiekunka opowiadała mi podczas wprowadzenia do praktyk. Mówiła o grubości kamiennych ścian oraz ile stóp stali i kamienia oddziela każdą kondygnację od poprzedniej. Stary szpital mógł w razie potrzeby służyć jako schron przeciwburzowy, schron przeciwpromienny i centrum zarządzania kryzysowego. Zbudowano go jako fortecę w czasach, kiedy budowanie fortec wciąż było żywą sztuką. Ucieczka z tego labiryntu o niezliczonych zamykanych przejściach była praktycznie niemożliwa, a ponieważ wielu pacjentów krzychało przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu, budowniczości uczynili go też całkiem dźwiękoszczelnym. Hałasy nie niosły się tu zbyt daleko.

„W kosmosie nikt nie usłyszy twojego krzyku” – odpowiedział mi bez sensu mój mózg, i to głosem Dariusza. Nienawidziłam go za to, że zmusił mnie do obejrzenia *Obcego*.

Addie pochyliła się i poszperawszy w swojej torbie, wyjęła z niej długą czarną latarkę. Wręczyła ją pani Hyatt, która pstryknęła włącznik i powiodła snopem światła po kamiennej ścianie. Czując zimny powiew na policzkach, patrzyłam, jak plama światła ściga cienie pod strop, a potem z powrotem na posadzkę. Powietrze pachniało wilgotnym kamieniem i chlorowym wybielaczem.

Drzwi załomotały i wszystkie podskoczyłyśmy w przestkach.

– Wiatr – orzekła pani Hyatt, kierując snop światła na wózki za kratą. – Przestańmy się wygłupiać i po prostu znajdźmy windę, która zawiezie nas na piętro, gdzie Trina widziała ducha. Och, dobry Boże!

Jej ręka zadrżała, na chwilę wprawiając światło w dziki taniec.

Pani Hyatt oświetliła srebrne nosze na kółkach, na których przykryta prześcieradłem, leżała podłużna bryła o przybliżonym kształcie człowieka, z całą pewnością niedająca znaków życia.

Przełknęłam ślinę i chciałam zaczerpnąć powietrza, ale zaciśnięte gardło odmówiło mi posłuszeństwa i zdołałam wciągnąć tylko rzeżący krótki haust. Forest złapała mnie za rękę i obie wytrzeszczyłyśmy oczy na prześcieradło.

– Za małe na zwłoki – powiedziała Addie z pewnością siebie kogoś, kto pracuje w kostnicy. – Przynajmniej na zwłoki dorosłego.

– To ma nam poprawić samopoczucie? – Pani Hyatt zaświeciła Addie w twarz. – Oszalałaś?

Forest puściła mnie, wzięła latarkę od pani Hyatt i powoli podeszła do

klatki, rozganiając światłem półmrok za kratą. Chciałam złapać ją za kark i odciągnąć, ale wtedy spojrzałam na monety na mojej szyi. Wciąż srebrne – przynajmniej na ile mogłam to stwierdzić w słabym świetle lamp ewakuacyjnych. Poza tym ja też często bywałam w kostnicy. Cokolwiek leżało na tych noszach, nie cuchnęło śmiercią i nie rozsiewało tego lodowatego, pustego wrażenia czegoś, z czego uleciało życie. Zatem albo była to żywa istota, albo...

– Plastik – powiedziała Forest, po czym dodała nieco rozbawionym tonem:
– To Harold.

Wpatrywałyśmy się w nią wyczekująco, kiedy odwróciła się do nas, kierując strumień światła w bok.

– Manekin do ćwiczeń pierwszej pomocy – wyjaśniła. – Kiedy tu pracowałam, Harold służył do nauki resuscytacji, opatrywania ran, i takich tam. Pielęgniarki lubiły zostawiać go siedzącego w różnych przypadkowych miejscach w szpitalu, żeby straszył ludzi.

– Co za urocza tradycja – powiedziała Addie głosem mroźnym jak powietrze w holu.

– Winda jest tam. – Wyciągnęłam palec w stronę, w którą Forest celowała latarką. – W korytarzu za klatką.

Nikt się nie poruszył.

Coś wielkości człowieka przemknęło przez wylot korytarza, błyskając w jasnym świetle.

Forest wrzasnęła i latarka wypadła jej z ręki. Bez namysłu skoczyłam po nią i szybko skierowałam snop światła w lewo, w prawo, w górę i w dół. Hol był pusty. Serce mi łomotało i miałam wrażenie, że wszystkie włosy na ciele stanęły mi dęba.

Czy nie zrobiło się zimniej? Widziałam własny oddech.

– Kiedyś pacjenci mogli tutaj schodzić – powiedziała Forest, z każdym słowem wydmuchując ulotny kłębek białej pary. – Myślisz, że to mógł być któryś z nich?

– Opiekunka mówiła, że o tej porze wszyscy są na oddziałach.

Snop światła podskakiwał nerwowo mimo moich wysiłków, by opanować drżenie rąk.

– Dlaczego zrobiło się zimniej? Wszystkie to widziałyście, prawda?

Addie przepchnęła panią Hyatt przed nas i wyciągnęła rękę po światło.

– Widziałyśmy – powiedziała, kiedy podałam jej latarkę.

Szybko obejrzała nasze monety w silnej wiązce światła – wszystkie połyskiwały czystym srebrem.

Nagle skierowała latarkę na wylot korytarza.

Wszystkie gwałtownie wciągnęłyśmy powietrze.

Stała tam postać w dżinsach i czerwonej bluzie z kapturem. Kaptur miała podniesiony, a twarz skrytą w jego cieniu, ale u dołu wypływały spod niego kosmyki ciemnych kręconych włosów.

Forest miała takie włosy.

– Musicie wyjść – powiedział wystraszony kobiecy głos.

Głos Forest, ale i nie Forest. Dżinsy i bluza zblakły nagle, po czym znów nabrały wyrazistości.

– Musicie stąd uciekać.

Każde słowo było naładowane desperacją, którą czułam jak prąd przesywający moje własne myśli. W holu zrobiło się tak zimno, że zaczęłam szcząkać zębami.

„Uciekaj” – naglił mój mózg, a przynajmniej sądziłam, że to on. Wewnętrzny głos nie brzmiał jak mój własny.

Spojrzałam na monetę – była wciąż srebrna. Addie obróciła głowę tylko na tyle, aby pochwycić mój wzrok, i zobaczyłam, że jej ręka przesuwa się w stronę kieszeni w spodniach. Pani Hyatt sięgała do torby Addie, również powoli, aby jej ruch nie został zauważony. Ukradkiem włożyłam dłonie do kieszeni i lewą ścisnęłam wierzbowy wianek, prawą – mieszek z proszkiem.

„Uciekaj!”.

– Już czas, abym przestała uciekać – powiedziała Forest głosem niemal tak samo wystraszonym jak głos zjawy stojącej w świetle latarki. – Muszę podnieść głowę i walczyć.

– Zbyt wiele złego czai się w tym miejscu – wyszeptała nie-Forest jednocześnie na głos i w moim umyśle. – Nie możesz wygrać.

Od tego głosu, który wciskał mi się do głowy, łzawiły mi oczy. Addie nie opuszczała latarki.

– No to zginę, próbując – odparła hardo Forest.

Na te słowa zjawa uniosła głowę i ściągnęła kaptur, odsłaniając oblicze tak podobne do twarzy Forest, że zamrugałam nerwowo, choć wiedziałam, czego się spodziewać.

– Nie mów tak. – Ton kobiety był przesiąknięty żalością. – Nigdy tak nie mów.

Forest opuściła ręce. Powoli podeszła do zjawy i obie zaczęły krążyć wokół siebie u wylotu korytarza.

– Jesteś moją matką – powiedziała stanowczo Forest, a zjawa nie próbowała zaprzeczyć. – Nie jesteś upiorem, bo nigdy nie byłaś po tamtej

stronie. Jesteś tym, co Imogena nazywa widmem.

Forest wyciągnęła rękę przed siebie, ale jej dłoń przeszła przez kobietę, rozbłyskując świetlistą mgiełką w miejscu, gdzie dotknęła jej łokcia. Widziałam już ducha babci Dariusza, ale ten był inny. Zdawał się delikatnie jarzyć kolorami – nawet w pustych przestrzeniach – oraz ruchem, niemal jak wypełniony molekułami zygzakującymi szaleńczo z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę. Przypominał mi bardziej białe oko Dariusza niż bezcielesne projekcje jego zmarłych krewnych.

– Jak masz na imię? – spytała Forest.

– Bridgette. Urodziłam się tutaj, tak jak ty – odpowiedziała kobieta i natychmiast zakryła usta dłonią, jakby przestraszyła się, że powiedziała zbyt wiele.

Forest przestała krążyć wokół zjawy i stanęła naprzeciwko niej, wciąż z opuszczonymi rękami, aby nie stwarzać poczucia zagrożenia.

– Kim był mój ojciec?

Bridgette skrzywiła się i przycisnęła palec do ust.

– Ciii... Nie zadawaj pytań. Bo jeszcze usłyszysz.

Zacisnęłam dłoń na mieszk. Z jakiegoś powodu wątpiłam, aby mógł nas usłyszeć ojciec Forest. Byłam pewna, że widmo ma na myśli Mahana.

– Czy mój ojciec żyje? – dopytywała się Forest. – Czy mógłby nam pomóc?

Widmo zerknęło na sufit i jakby posmutniało, ale nie odpowiedziało.

– Dlaczego mnie oddałaś? – Forest spróbowała jeszcze raz. – Dlaczego porzuciłaś, aby wychowywali mnie obcy ludzie?

– Ponieważ ciemność potrzebuje światła, a światło ciemności. To jedyna droga. – Bridgette sięgnęła do przegubu Forest.

Zbyt późno zrozumiałam, co zamierza zrobić – sięgała po rzeźbioną jarzębinową bransoletkę, którą Forest nosiła przez całe swoje życie, tę wysadzaną gładkimi żelaznymi ćwiekami; tę, która odpychała i spalała madocową esencję.

– Uważaj! – krzyknęłam, ale Bridgette dotknęła bransoletki, zanim zdążyłam wyrwać mieszek z proszkiem z kieszeni.

– Ciemność łaknie światła! – krzyknęła Bridgette, a Forest zeszywniała, po czym zaczęła gwałtownie dygotać, jak rażona prądem.

W tej chwili Addie wymamrotała zaklęcie, a ja uniosłam rękę z proszkiem, ale Forest krzyknęła:

– Nie! Nie krzywdźcie jej!

Bluza i džinsy Bridgette zapłonęły żywym ogniem.

Jej oczy także.

– Światło łaknie ciemności – jęknęła Bridgette, a przy każdym słowie w ustach migotał jej pomarańczowy płomień. – Jedyne dróg.

Przez chwilę wpatrywała się w nas tymi straszliwymi płonącymi oczami, a potem wrzasnęła.

Dłonie same zatrzasnęły mi się na uszach, przyciskając woreczek z proszkiem do głowy. Nie byłam w stanie się temu przeciwstawić. Addie i pani Hyatt także zakryły uszy. Usta miały otwarte, jak ja, i wiedziałam, że też krzyczą z bólu, ale wcale ich nie słyszałam.

Forest trzęsła się, jakby elektryczność wypełniła całe jej ciało, ale płomienie buchające z widma omijały ją. Tym razem wydawało się, że krzyk na końcu korytarza będzie trwał wiecznie.

Ciemny kwadrat otworzył się za Bridgette, obejmując ją, ciągnąc ją do tyłu, wsysając wicher jej ognia i zniekształcając kontury sylwetki.

Nie mogłam się ruszyć, przykuta do miejsca, w którym stałam, zahipnotyzowana. Forest...

Ale Forest nie walczyła i nie była wciągana w głąb czarnego kwadratu. Wydawało się, że próbuje zatrzymać przy sobie to, co zostało z jej matki, gdy nagle Bridgette rozprysła się w chmurę jasnych światła. Wir iskier wleciał w głąb portalu, a ten zamknął się gwałtownie, ucinając jej straszliwy krzyk.

Forest zatoczyła się w tył, uderzając ramieniem w ścianę, wciąż wyciągając rękę z bransoletką w stronę miejsca, gdzie zniknęła jej matka. Wepchnęłam proszek z powrotem do kieszeni i podbiegłam do niej przez kłęby osiadającego dymu. Czując, jak wali mi serce, zagarnęłam Forest ramionami i mocno przytuliłam. Była zimna jak lód, dygotała, a po policzkach ciekły jej łzy.

– Jej umysł był przytłoczony nadmiarem mocy – wyszeptala mi ponad ramieniem. – Kiedy mnie dotknęła, zobaczyłam jej myśli. Fragmenty i skrawki przeszłości, teraźniejszości, nawet przyszłości, ale nie potrafiłam jej uzdrowić.

Forest drżącymi ustami wciągnęła powietrze.

– Teraz jest już po tamtej stronie, przerażona na śmierć, bo to dla niej zupełnie obce miejsce.

– Nonsens! – Pani Hyatt i Addie właśnie do nas dotarły i pani Hyatt klepała mój bok i ramię Forest jednocześnie. – Po tamtej stronie na pewno nie brakuje kobiet takich jak my tutaj. Nie pozwolą jej cierpieć.

W tonie jej głosu była pewność siebie gasząca w zarodku wszelkie wątpliwości. Jednak nie o niebie była tu mowa. Zaświaty nie były też piekłem. Nie miałam pojęcia, jak wygląda tamta strona, jak brzmi ani jak pachnie. Nie wiedziałam, jak zachowują się tam ludzie ani nawet czy w ogóle są tam jacyś ludzie. A jeśli były tylko chmury? Albo potwory, jak psychotyczny dzieciobójca

Eff Leer i Carl Mahan?

Tuliłam Forest do siebie, dopóki Addie nie rozdzieliła nas delikatnie. Forest cofnęła się i w półmroku nie zdołałam dojrzeć jej twarzy.

Addie ścisnęła mnie za ramię, po czym odwróciła się do Forest, ujęła jej rękę i uniosła, aby obejrzeć skórę wokół jarzębinowej bransoletki.

– Żadnych oparzeń – mruknęła, puszczając nadgarstek Forest i opuszczając latarkę.

– I Bogu niech będą dzięki – powiedziała pani Hyatt, unosząc prawą dłoń w pochwalnym geście, lewą zaś skręcając wózką w stronę drzwi wyjściowych. – A teraz wyno...

– Wasz Bóg tu nie zagłada – powiedział chłopięcy głos, który rozległ się dokładnie za nami. – Szpital Lincoln odwiedza tylko szaleńcy.

Addie zakłęła i skierowała światło latarki w stronę dźwięku i w tej samej chwili wszystkie jednocześnie odwróciłyśmy się, aby zobaczyć, kto do nas mówi. Forest złapała mnie za rękę i ścisnęła, kiedy latarka oświetliła kolejną postać w dżinsach i czerwonej bluzie. Ta była znacznie wyższa i bardziej materialna niż Bridgette. Żadnych migotliwych efektów świetlnych, żadnego arktycznego mrozu. Przeciwnie: powietrze wydawało się gorętsze, niż powinno być, i miałam wrażenie, że zaczyna się poruszać.

– Trina... – szepnęła Addie i snop światła latarki dotknął dziesięciocentówki na mojej szyi.

Moneta była czarna jak sadza.

Postać zachichotała, a ja poczułam ten dźwięk w trzewiach. Całe moje ciało przeszył skurcz grozy. Postać pstryknęła palcami i gwałtowny podmuch wyrwał latarkę z dłoni Addie, rozbijając ją o kamienną ścianę. Baterie, szkło i części obudowy rozprysły się na wszystkie strony. Nocne światła w naszej części holu zamigotały i zgasły.

Nawet przez grube szpitalne mury, nawet przez łomot własnego serca słyszałam grzmoty oraz odległe bicie dzwonów.

Postać emanowała czerwoną poświatą, złowrogą i odstręczającą, jedynym światłem w ciemności. Nie widziałam zbyt wiele poza karmazynowym cieniem zakapturzonej głowy, ale nie musiałam. Wiedziałam, że kiedy upiór odrzuci ten kaptur do tyłu, zobaczę twarz małego chłopca.

Rozdział 31

Wyludniona.

Dźwiękoszczelna.

Ciemna.

Byłyśmy zamknięte w piwnicy szpitala-fortecy z potworem.

Forest i ja instynktownie przysunęłyśmy się do siebie, tworząc mur oddzielający Mahana od Addie i pani Hyatt.

„Dariusz”. Wspomnienie jego twarzy rozbłysło mi w świadomości i zostawiło swój odcisk na sercu. „Tak mi przykro. Ty miałeś rację, a ja nie”.

Jeśli kiedykolwiek zobaczę go znowu, pewnie nakopie mi do tyłka.

W holu rozhulał się wiatr, łomocząc kłódką klatki i wprawiając nosze i wózki za kratą w dziki taniec. Wichura targała mi włosy i przyciskała policzki do zębów; przypięty do kołnierza identyfikator trzepotał wściekle pod moją brodą. Potwór przed nami jarzył się coraz ciemniejszą czerwienią.

Puściłam dłoń Forest, aby sięgnąć po mój proszek, ale powstrzymała mnie:

– Nie.

Nie mam pojęcia, jak zdołałam usłyszeć ją przez ten łoskot i wycie wiatru, ale zatrzymałam rękę. Miała rację. Nie powinnam marnować mojej jedynej broni. Musiałam wybrać najbardziej odpowiednią chwilę.

Oczy nabiegły mi łzami, kiedy przeniosłam wzrok z pochylonej głowy Mahana na żelazne sztaby w jego rękach.

– Odsuń się – zasyczała Forest przez huk wichury. – Ja się tym zajmę.

Próbowała wystąpić przede mną, ale przesunęłam się naprzód wraz z nią.

– Trina, mówię poważnie. – W głosie Forest słysząc było strach. – Wracaj do Addie.

– Nic z tego.

Byłam przerażona dwa razy bardziej niż wkurzona, ale nie zamierzałam zostawić Forest samej. Addie była za mną i na pewno robiła już coś w sprawie wyrwania nas z tych tarapatów. Na pewno.

Ściany zdawały się broczyć kolorami; srebro, złoto, błękit i czerwień sływały z murów zwiewnym oparem. Wiatr nie dotykał tej energii sączącej się z kamieni, unoszącej z posadzki. Czy to Addie ściągała tu moc?

Chciałam odwrócić się, zobaczyć, co robi, ale nie miałam odwagi.

Lewą ręką wyciągnęłam wierzbowy wianek i wycelowałam nim w Mahana. Poprosiłam moc, którą widziałam, aby uderzyła we mnie tak jak piorun przy

moim pierwszym starciu z upiorem. Chciałam, aby talizman znowu wystrzelił ogniem, ale nic się nie wydarzyło.

– *Percello!* – krzyknęłam przez huk wiatru.

Wciąż nic.

Mahan uniósł głowę, wyprostował się i w końcu odrzucił kaptur. Jego dziecięca twarz spływała karmazynowym światłem, jakby zalana krwią; oczy jarzyły się czerwienią.

Czekałam, aż zachichocze albo wyzwie mnie od wiedźm.

Nie odezwał się.

Tylko zaczął rosnać.

I rosnać...

Wypełnił sobą cały wylot korytarza. Przestrzeń zdawała się zaginać wokół niego, umożliwiając powiększanie bez końca. Wiatr skupił się na nim, wiejąc w jego stronę, wnikając w niego, karmiąc go, a ja uświadomiłam sobie, że Forest ma zamknięte oczy. Nuciała coś.

Coś za mną wybuchło. Krzyknęłam i przypadłam do ziemi, trzymając wierzbowy wianek nad głową.

Mahan szarpnął się, a kiedy znów się podniosłam, ujrzałam mały ciemny otwór pod jego lewym ramieniem. Sekundę lub dwie później zasklepił się, nie zostawiając po sobie żadnego śladu.

– Trafiłam? – krzyknęła pani Hyatt przez wicher.

– Strzelanie nic nie pomoże – usłyszałam cierpką odpowiedź Addie.

– Nie masz w tej torbie czegoś większego kalibru? – spytała pani Hyatt, ale nie usłyszałam odpowiedzi Addie, bo nucenie Forest stało się zbyt głośne.

Mahan znów opuścił głowę, aż jego twarz znalazła się na poziomie oczu Forest. Zdawał się słuchać tego, co nuciała. Melodia wydawała mi się dziwna, nieskładna i przechodziły mnie od niej ciarki jak od skrobania paznokciami po tablicy.

Czerwone oczy potwora rozbłysły, wpatrzone w twarz Forest. Mahan powoli uniósł swoje żelazne sztaby, ale była w tym ruchu ostrożność.

Wiatr nagle ustał i pomiędzy dwiema nutami pieśni Forest usłyszałam pociągnięcie nosem – Mahan węszył.

– Kim ty jesteś?

Pytanie zadudniło mi w czaszce, zmuszając do zaciśnięcia powiek, ale byłam pewna, że Mahan nie przemawia do mnie. Każde jego słowo miało w sobie dziwną moc i wywoływało we mnie chęć odpowiedzi. Pragnęłam podać Mahanowi swoje imię i opowiedzieć mu wszystko o sobie.

Najwyższym wysiłkiem woli zmusiłam się do milczenia i otwarcia oczu.

Forest nie uległa jego presji; nuciła dalej, tyle że bezładna melodia nabrała równego rytmu, przechodząc w śpiewne, pozbawione słów skandowanie. Z wysiłkiem uniosłam mój talizman przed sobą, odgradzając się nim od Mahana.

Addie też śpiewała. Pochwyciłam uchem kilka słów wraz z grzechotem metalu szorującego o drewno i inny metal, jakby ktoś szperał w torbie śmierci mojego ojca. Kolory sączące się ze ścian i posadzki pojaśniały i przemieszały się, wzlatując w górę niczym obdarzona świadomością mgła.

Ktoś załomotał w drzwi głównego wejścia za nami.

– Wpuście mnie! – zażądała Imogena. Jej charakterystyczny skrzekliwy głos o południowym akcencie rezonował mocą, od której drżały mury.

Tylko ja miałam kartę otwierającą drzwi.

Wolną ręką szybko zerwałam identyfikator z szyi i rzuciłam za siebie w nadziei, że upadnie blisko Addie albo pani Hyatt. Któraś z nich wpuści Imogena, a wtedy...

– Kim jesteś? – zagrzmiął znów Mahan, a skoro Forest nie odpowiedziała, ruszył na nią.

W czerwonym świetle mignął srebrny błysk – to sztylet świsnął obok mnie, pociągając za sobą kolorowy opar.

Nóż Addie utkwiał Mahanowi w piersi. Upiór złapał za rękę i runął na plecy, rycząc wściekle i głośno kłapiąc zębami. Wokół rany zatańczyły smugi oślepiających kolorów, ale zdołał wyszarpnąć ostrze i odrzucił je z tak wielką siłą, że głownia złamała się, uderzywszy w kamień.

Forest nie przestawała śpiewać.

Cały gniew opuścił mnie w jednej chwili, pozostawiając tylko bezbrzeżną grozę.

– Chodźmy stąd – rzuciłam do Forest. – Przynajmniej do drzwi. Tam jest Imogena.

Forest nie słuchała. Uniosła rękę, a jarzębinowa bransoletka zdawała się wić na jej nadgarstku. Pomyślałam, że złapię ją za rękę, ale nagle przestraszyłam się, że jakaś supermoc Madoca w jej ciele może spalić mnie żywcem.

Jakby na potwierdzenie moich obaw nowe kolory zaczęły sączyć się ze ścian i posadzki. Sunęły ku Forest, kłębiąc się i łącząc, aż zmieszały się w czarną chmurę nicości.

Mahan podniósł się. Czerwone płomienie wystrzeliły mu z ramion, przypalając strop starego szpitala. Znów ruszył na Forest i w tej samej chwili usłyszałam za sobą łomotanie do drzwi i krzyk Imogeny:

– Trzymaj się od nich z daleka, chłopcze!

Mahan szedł naprzód, chwiejąc się i wymachując sztabami.

– KIM... TY... JESTEŚ? – zagrział w mojej głowie i w uszach jednocześnie, kierując pytanie do Forest, ale trafiając także mnie.

– Jestem Trina! – krzyknęłam wbrew swojej woli.

Rozdygotaną ręką wciąż trzymałam wierzbowy wianek wycelowany w Mahana i część kolorów ze ścian holu wsiąkła w splecione witki.

Powieki Forest rozchyliły się raptownie, uwalniając złoty żar – jak płynny ogień tryskający z powierzchni słońca. Forest rozrzuciła szeroko ramiona i zawołała:

– Jestem córką swojej matki!

A potem wydała krzyk.

Krzyknęłam wraz z nią, ponieważ jej głos zdawał się zdzierać mi ciało z kości. Krzyczałam i nie przestawałam krzyczeć, tonąc w męce, podczas gdy wszelkie kolory, jakie kiedykolwiek widziałam, wnikały we mnie, wypełniały mnie, przepływały przeze mnie straszliwym nurtem, by wystrzelić z powrotem na zewnątrz i wybuchnąć w czarną pustkę, kiedy tylko dotknęły Forest.

Dwa kolejne sztylety świsnęły mi koło głowy.

I wtedy, nagle, świat zająknął się i stanął w miejscu.

Żadnych dźwięków. Żadnych zapachów. Prawie żadnego ruchu.

Nasączone urokami noże Addie wisały w powietrzu, ociekając kolorami jak wodą.

Mahan uciekał w zwolnionym tempie.

Ciemność tryskała z Forest jak deszcz z chmury, z wolna pochłaniając hol.

Chciałam odwrócić się i odszukać Addie, ale poczułam, że prawie nie mogę się ruszać, jakbym próbowała obrócić się w beczce zakrzepłej smoły. Trwało to przeraźliwie długo, miałam wrażenie, że całe wieki, ale w końcu ją zobaczyłam.

Główne wejście holu, po jej prawej stronie, było otwarte. Imogena, w burzy unoszących się wokół jej głowy srebrnych włosów, wyciągała wózek z panią Hyatt w noc, jak najdalej od niemal zamrożonego w ruchu Mahana. Addie wciąż miała uniesione ręce po rzucie nożami. Sekunda po sekundzie, milimetr po milimetrze jej brązowe oczy zwracały się ku mnie. Znalazły mnie. Rozszerzyły się.

Na jej twarz wypłynęło przerażenie, a potem porażający smutek. Jej usta poruszyły się, układając w moje imię.

Moc wypływała z niej powoli, najpierw na milimetry, potem centymetry od skóry. Była niebieska. Opiekuńcza. Taka silna. Taka totalna.

Jakaś potworna siła ścisnęła mi czaszkę, próbując ją zmiażdżyć. Coś mnie pochwyciło, nie ręce, raczej coś w rodzaju mocy przenikającej całe moje ciało. Wierzbowy wianek wyskoczył mi z dłoni i wzleciał powoli w powietrze, koziółkując leniwie, aby opaść łukiem na kamienie posadzki Szpitala Psychiatrycznego imienia Lincolna. Wylądował na ostrym końcu witki i zaczął wirować jak bąk, nie szybciej niż senny majak, jeden obrót, drugi, trzeci...

Kolory...

Tak wiele kolorów...

Jak gwiazdny pył przesiewany przez tęczę.

Dźwięk przeleciał tuż obok mnie – głosy, setki głosów. Tysiące.

– Ona przechodzi na tamtą stronę! – krzyczała Addie.

Jej błękitna magiczna energia otulała mnie, podczas gdy wokół topniały ściany. Posadzkę zastąpiła czerń. Zimna mgła wpłynęła mi na policzki i świat znów ruszył. Ludzie śpiewali. Wołali do mnie.

Spadłam w górę, w niemiejsce, które stworzyła Forest, tyle że to nie było nic – to było wszystko i wszędzie. Silna woń sosny, miodu i zimnej wody pojawiła się w mojej świadomości. Zdawało mi się, że dobiega do mnie śmiech zapachów. Wzrokiem czułam księżyc – pachniał świeżo, czysto i słyszałam, jak wzywa mnie po imieniu. Głosem Addie.

Moja skóra odpłynęła w dal, a potem wróciła, kryjąc pod sobą tęczę. Nad sobą miałam niebo. Forest i ja stałyśmy na łące w jasny, jakże jasny poranek. Forest wciąż rozpościerała ramiona, a w jej oczach odbijało się słońce. Miękką trawą, zieleńszą niż sama zieleń, zaczęła wyrastać wokół niej, oplatając buty, a potem nogi. Moje także. Pod jej palcami drzewa wypuszczały pąki, kwitły i rosły wzwyż. Rozwijające się kwiaty skłaniały ku niej swoje czerwone i żółte główki.

Gdzieś w wielkiej dali odezwały się dzwony – ich pieśń brzmiała tak słodko, tak pięknie wśród czarodziejskiego śpiewu, że moje oczy wypełniły się łzami. Wygrywały melodię kołysanki, którą Addie śpiewała mi, kiedy byłam mała. Żałowałam, że nie słucha ich razem ze mną.

Forest przeniosła uwagę na mnie. Emanowała taką potęgą, że powinnam być przerażona, ale ja czułam tylko dziwne oszołomienie. Wskazała palcem na moją kieszeń.

Sięgnęłam do niej i wyjęłam mieszek Addie. Sznurki same się rozplątały. Szczypta proszku uleciała w powietrze i na chwilę przybrała formę kłapiących kłów, ale żółty pył nie ukąsił mnie ani nie sparzył. Nawet już nie cuchnął.

Forest wskazała znowu, tym razem poza mnie, a kiedy odwróciłam się, ujrzałam Mahana próbującego dźwignąć się z ziemi niespełna półtora metra od

nas. Oparty na kolanach i dłoniach szamotał się wściekle w objęciach pnączy, które owijały się wokół niego i ciągnęły z powrotem ku trawie. Wciąż miał płonące czerwienią oczy i swoje żelazne sztaby, ale z szyi sterczały mu dwa mieniające się kolorami sztylety. Krew czarniejsza niż śmierć spływała mu po piersi.

Kiedy zwrócił ku mnie swoją dziecięcą twarz i ryknął, cisnęłam woreczek z proszkiem prosto w jego wykrzywione nienawiścią usta.

Żółty pył zakłębił się wokół jego głowy, przemieniając się w setki uzbrojonych w kły pysków, kłających, warczących, rwących ciało na strzępy. Śpiewające głosy spotężniały, zagłuszając ryk bólu. Próbował walczyć, ale pnącza i trawa ściągnęły go w dół i unieruchomiły, a potem sama ziemia rozstała się pod nim. Zniknął w dziurze, która natychmiast zamknęła się nad nim, zarastając trawą i kwiatami.

I już go nie było.

Z mojej wciąż wyciągniętej przed siebie ręki spływały czerwienie, błękity, żółcienie i róże, a tuziny iskier tańczących wokół moich paznokci zdawały się czyścić moją skórę z wszelkich śladów proszku. Choć jakaś część mojej duszy wiedziała, że powinnam być przerażona, nie potrafiłam powstrzymać śmiechu.

Zacząłam śpiewać, starając się pochwycić słowa kołysanki rozbrzmiewającej wokół mnie. Pobiegłam w stronę pieśni, tańcząc, wyciągając ręce po każdą frunącą jak motyl nutę, zatracając się bez reszty w słodczy powietrzu i grze kolorów płynących przez moje rzęsy.

Dłoń Forest zamknęła się na mojej.

– Trino... – szepnęła zaskakująco melodyjnym głosem. – Tak bardzo mi przykro.

Pojedyncza łza zaiskrzyła się jej na policzku. Kiedy się w nią wpatrzyłam, wydało mi się, że widzę kryształ, światy i kosmosy.

Zanim zdążyłam wyśpiewać kolejne słowo, Forest szarpnęła mnie z powrotem w całkowitą ciemność, znowu zdzierając mi całą skórę z kości.

Rozdział 32

Nie wierzyłam, że kiedykolwiek przestanę wymiotować.

Forest klęczała tuż obok, trzymając mnie za ramiona, a ja rzygałam i rzygałam, i rzygałam. Trwało to pewnie kilka minut, ale dla mnie były to wieki. Kiedy wreszcie skończyłam, usiadłam na piętach i rozejrzałam się, próbując zorientować, gdzie jesteśmy.

Nie zobaczyłam zbyt wiele poza słońcem i wirującymi drzewami więc – a jakże – zwymiotowałam jeszcze raz. Było gorąco, upał jak w skwarnej dzień w środku lata, co także nie pomagało.

– Jesteśmy niedaleko szpitala – powiedziała Forest, wydając z kieszeni gumę i dając mi jedną, abym mogła pozbyć się z ust paskudnego posmaku. – Wyszliśmy na tej polanie w lesie, niedaleko dzwonnicy, gdzie Mahan ścigał cię za pierwszym razem.

Smak mięty rozpląnął mi się na języku, odpędzając mdłości. Przeżuwałam gumę przez kilka chwil, a następnie wyplułam ją na ziemię. Forest podała mi następną, którą żułam, aż w ustach została mi tylko piekąca świeżość i ani śladu kwaśnej obrzydliwości, po czym wyplułam także ją i pozwoliłam sobie na powolny głęboki wdech.

Ależ było gorąco.

Forest mówiła coś o dezorientacji po przekroczeniu granicy. Ja ledwie mogłam się skupić, aby sklecić dwa słowa na krzyż, ponieważ nie potrafiłam przestać myśleć o łące, kwiatkach i śpiewie. Wszystko to było takie *realne*, ale teraz...

Jak szła ta melodia?

Nie mogłam uwierzyć, że już wyciekła mi z pamięci jak sen tuż po przebudzeniu.

Forest musiała się pomylić co do miejsca, w którym wyszliśmy. Musiałyśmy być gdzieś daleko na południe od Never, bo było stanowczo za gorąco jak na wrzesień. Stawiałabym raczej na coś bliżej równika – Meksyk, może Jukatan. W głowie miałam taki mętlik, że mało mnie to obchodziło. Żyłyśmy. Mahan zginął. Próbowałam wyłowić z pamięci rozproszone strzępy tego, co właśnie się wydarzyło – pył atakujący Mahana, noże Addie w jego gardle, trawa, pnącza i ziemia zamykająca się nad twarzą małego chłopca. Był też ból i ten niewiarygodny śpiew oraz mnóstwo słodkich aromatów, ale większość wspomnień blakła, jak tylko próbowałam przypomnieć je sobie

dokładniej.

– Oddychaj powoli – poradziła mi Forest. – Przykro mi. Naprawdę. Nie miałam pojęcia, że to w ogóle możliwe, żebyś przeszła na tamtą stronę, będąc wciąż żywa.

Pomyślałam o błękitnej energii Addie, tęczach pod moją skórą i całej tej mocy, jaką ściągałyśmy razem do tamtego holu. Westchnęłam.

– Pewnie zrobiłam to przy niewielkiej pomocy Addie.

– Tak – powiedziała Forest i nagle wydała mi się jeszcze smutniejsza i bardziej zatroskana niż przed chwilą.

Spojrzałam na nią, z ulgą konstatując, że jej twarz – a wraz z nią drzewa – przestała wirować. Naprawdę byliśmy na polanie w lesie, otoczone liściastymi i iglastymi drzewami. Żadnego piasku, żadnej tropikalnej scenerii. Uniosłam głowę, osłaniając oczy przed słońcem, i daleko ponad czubkami drzew ujrzałam charakterystyczny kształt dzwonnicy Szpitala Psychiatrycznego imienia Lincolna.

Strach, którego nie umiałam nazwać i którego nie rozumiałam, zakwitł mi w głębi brzucha.

– Na serio nie powinniśmy były robić tego, co zrobiliśmy – powiedziałam.

– Nawet jeśli dzięki temu pozbyliśmy się Mahana.

Piękne oczy Forest wwiercały się we mnie, jakby chciała mi coś przekazać, ale nie mogła się zdobyć na powiedzenie tego wprost. Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak przybitej i zafrasowanej.

– Nie powinniśmy były iść do szpitala – wyszeptała. – Wiem, że zrobiłaś to dla mnie.

Wzruszyłam ramionami.

– Addie i pani Hyatt też z nami poszły. Wszystkie uważałyśmy, że to właśnie należy zrobić.

Forest złapała mnie za rękę i moc zadrżała w jej palcach.

– Przykro mi – powiedziała jeszcze raz. – Przeszłaś na tamtą stronę. Tak mi przykro.

– Tak, okej. Dobra, przeszłam na tamtą stronę, ale sprowadziłaś mnie z powrotem, prawda?

Zabrałam rękę i wstałam, ponieważ jej nastrój zaczynał mnie niepokoić. Czułam też, że muszę rozprostować ręce i nogi. Raczej nie miałam żadnych złamań ani ran, ale byłam wyczerpana i bolały mnie wszystkie mięśnie.

– Popełniłyśmy poważny błąd – powiedziałam.

Forest także wstała.

– To prawda – westchnęła. – A teraz przyjdzie nam ponieść tego

konsekwencje.

Nowy dźwięk zwrócił moją uwagę i obejrzałam się w stronę ściany lasu. Brzmiało to tak, jakby stado bawołów przedzierało się przez zarośla. Serce zabiło mi szybciej i nabrałam powietrza do płuc, ale zanim zdążyłam krzyknąć do Forest, aby uciekała, ujęła moją dłoń, przekazując mi impuls kojącej, uzdrawiającej energii.

Liście na gałęziach drzew poruszyły się i na polanę wypadł Dariusz. Miał na sobie dzinsy i koszulkę, wyglądał jeszcze przystojniej, niż go zapamiętałam. Ciemne okulary zwróciły się ku mnie i Dariusz puścił się biegiem, rozciągając swoje słodkie usta w szerokim uśmiechu. Ani się obejrzałam, a już trzymał mnie w ramionach i łkał, całując moje włosy. Wtedy zobaczyłam Leviego stojącego bez ruchu, bez słowa, ze wzrokiem utkwionym w Forest.

Forest ruszyła w jego stronę, oddalając się od nas cicho i miękko jak poranna bryza.

– Bałem się, że już nigdy cię nie zobaczę – gorący szept Dariusza owionął mi ucho. – Ale czekałem. Wierzyłem.

Pocałował mnie w usta. Chciałam zapytać, o co mu właściwie chodzi, ale poddałam się nastrojowi i przez następną chwilę lub dwie był tylko on, jego silne ramiona i miękki ale stanowczy dotyk jego warg na moich. Kiedy oderwał się od moich ust, wycałował mi czule policzki, a potem powieki i czoło.

– Czekałem – sapnął znowu. – Czekałem na ciebie, skarbie.

Odsunęłam się i powiodłam opuszkami palców po szorstkiej szczecinie zarostu na jego twarzy. Kiedy przesunęłam dłoń wyżej i potarłam jedną z blizn pod jego białym okiem, poczułam mrowienie na skórze. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się nic podobnego. Spojrzałam na własne palce, a potem dotknęłam blizny jeszcze raz i poczułam to samo.

Moje własne reakcje niepokoiły mnie, choć nie potrafiłabym wyjaśnić dlaczego, podobnie jak moje doznania. Świat wokół mnie wydawał się trochę zbyt szczegółowy i wyrazisty. Miałam wrażenie, że wyczuwam oddechy drzew i szepty traw, nawet ciepło promieniujące z gnijących w ziemi liści i gałązek. Niedaleko nas rosła wierzba. Nie widziałam jej, ale wiedziałam, że tam jest. Słyszałam, jak długie witki zwisające z jej przygiętych ku ziemi gałęzi śpiewają, kołysząc się na łagodnym letnim wietrze. Wydawała się połączona ze mną, mimo że straciłam swój wierzbowy talizman.

– Założę się, że tata się wściekł – wymamrotałam, próbując odegnać od siebie wrażenie dziwności.

Stęzał na te słowa. Wciąż trzymał mnie w ramionach, ale jego palce

wcisnęły się w moją talię odrobinę za głęboko.

– Trina... – zaczął.

Puścił mnie i na twarz wypłynęły mu ten sam smutek i troska, jaką widziałam u Forest. Dlaczego tak się zachowywał? To się nie trzymało kupy. Owszem, wpakowałyśmy się w kłopoty i wybrałam się na niespodziewaną wycieczkę w zaświaty, ale przecież skopałyśmy tyłek Mahanowi, prawda?

W kącikach oczu Dariusza zalśniły łzy i oszołomienie, które nie opuszczało mnie od chwili powrotu, nagle uleciało bez śladu, pozostawiając mnie całkowicie świadomą i skupioną.

Powtarzane bez końca przeprosiny Forest... Smutek Dariusza...

„Czekałem na ciebie”.

Panika ścisnęła mi żebra, odbierając dech. Złapałam Dariusza za ramię.

Prawda i konsekwencje. Byłam po tamtej stronie i wróciłam. Kiedy poszłyśmy do Lincolna, była jesień. Teraz było lato.

Ja i Forest wyszłyśmy z czasu.

Nie.

– Gdzie Jessie? – Rozejrzałam się, szukając wzrokiem patykowatego rudzielca. – Dariusz, gdzie on jest?

Ścisnął mnie kolejny przyływ paniki, tym razem mocniej.

– W Indianie – odpowiedział Dariusz. – Z żoną i dziećmi.

Szczęka stuknęła mi o mostek.

Nie!

Dariusz wcale nie wyglądał starzej. Nie mogło upłynąć...

– Nie starzeję się tak szybko jak większość ludzi – powiedział, jakby czytał mi w myślach, po czym wskazał na swoje białe oko. – Levi uważa, że to była cena, że teraz jestem taki jak on i starzeję się zbyt wolno, żeby móc to zauważyć. Ty też się nie postarzałaś, więc pewnie z tobą jest tak samo.

„Żona. Dzieci”. Objęłam się ramionami, próbując skupić myśli. „Jessie jest dość dorosły, aby mieć żonę i dzieci”.

„Jak długo?” – chciałam zapytać, ale nie mogłam. Nie potrafiłam. Dariusz chciał znów mnie objąć, ale odsunęłam się, potrząsając głową. Upłynął długi czas. Przeciekł nam przez palce. Musiałam spytać.

Uniosłam głowę, aby pochwycić jego spojrzenie, nie mogąc opanować drżenia podbródka.

– Twoja mama...?

Powoli pokiwał głową.

– Odeszła, skarbie. W zeszłym roku. Cukrzyca w końcu ją wykończyła.

Poczułam miękkość w kolanach i Dariusz przyskoczył, aby mnie

podtrzymać. Przycisnął mnie do siebie i trwał tak, milcząc, nie próbując mnie pocieszyć ani niczego tłumaczyć, bo wiedział, że to próżny trud.

Czekał tak długo. Czas mijał, a on czekał na mnie. Wciąż tu był. Wciąż był mój.

Ale...

W myśli wdarła mi się mglista świadomość, że podchodzą do nas Forest i Levi. Miałam tak wiele pytań... Ale nie chciałam znać odpowiedzi na żadne z nich.

Puściłam Dariusza i stanęłam przodem do całej trójki. Forest wyglądała na zdruzgotaną i domyśliłam się, że wie już wszystko.

Strach mroził mi wnętrzości. Nagle poczułam się znużona, jakbym nie spała od lat, wycieńczona, obolała do szpiku kości.

– Zabierzcie mnie do taty – powiedziałam.

Tylko Levi odważył się spojrzeć mi w oczy. Wyciągnął dłoń, a ja ją ujęłam. Jego palce wydały mi się chude i nazbyt ciepłe. Moc zaiskrzyła między nami. Po knykciach przebiegły mi iskierki kolorów i Levi uniósł jedną czarną brew, ale nie puścił.

Nie mówiąc ani słowa, Levi powoli powiódł mnie pomiędzy drzewa na skraju polany, a Dariusz i Forest ruszyli w milczeniu za nami. Wkrótce minęliśmy dzwonnice. Imogena stała na stopniach ubrana w sukienkę, w której wyglądała jak postać z *Domku na prerii*. Na jej twarzy ulga mieszała się ze współczuciem.

Wsiedliśmy do podrasowanego czarnego pickupa z napisem „Dariusz2” na tablicach rejestracyjnych i opuściliśmy teren Szpitala Psychiatrycznego imienia Lincolna.

Jazda nie trwała długo, ale przynajmniej spodziewałam się, że tak będzie.

Kiedy ujrzałam wózek inwalidzki przy kamiennej ławie, w pierwszej chwili pomyślałam, że to pani Hyatt. Potem moje myśli i uczucia dogoniły rzeczywistość i podbiegłam do przodu, uklęknęłam na trawie obok Addie, powiodłam palcami po jej guzowatych artretycznych kolanach i objęłam ramionami jej szyję.

Przytuliła mnie tak mocno, że na chwilę straciłam dech i trwałyśmy tak bez ruchu przez bardzo, bardzo długi czas. Kiedy wreszcie odepchnęła mnie od siebie, aby przyjrzeć się mojej twarzy, doznałam wstrząsu na widok bruzd wokół jej oczu, zmarszczek na czole i srebrnego koloru jej słodko pachnących włosów, wciąż krótkich, kręconych i zadbanych. I wciąż miała szeroki biały uśmiech, nawet kiedy przepełniał ją smutek, jak teraz.

Przez chwilę bawiła się moimi włosami, a potem ujęła moją twarz w dłonie i powiedziała:

– Xavier zawsze mi powtarzał, że wrócisz.

Nie potrafiłam znaleźć stosownych słów, więc tylko pocałowałam jej miękki policzek.

– To, co wtedy zrobiliśmy, było głupie. – Potrząsnęła głową, wciąż trzymając moją twarz w mocnym uścisku. – Głupie i krótkowzroczne, a ty poniosłaś tego konsekwencje, Trino. Słowa nie mogą wyrazić, jak bardzo jest mi przykro.

– Nie zmuszałaś mnie, żebym tam poszła.

– Ani cię nie zatrzymałam.

Jej powieki zamknęły się i znów rozchyliły. Zebrałam się w sobie i spytałam:

– Jak on odszedł?

– Zawał serca. – Uśmiechnęła się krzywo. – W samym środku ataku furii z powodu jakiegoś głupca, który zajechał mu drogę. Mówiłam twojemu ojcu tysiąc razy, że prosi się o taki koniec, ale czy mnie słuchał?

– Nie – odpowiedziałam cicho, kładąc dłonie na jej chorych kolanach, ze wszystkich sił starając się nie załamać pod ciężarem nagłej fali żalu i rozpacz.

– Jak go znam, to nie...

Kolory w moich dłoniach poruszały się i mieniły, mieniły i poruszały, a kiedy zobaczyła je Addie, wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– No proszę, wygląda na to, że teraz masz w sobie moc. Próbowowałaś jej używać?

– Nie – odpowiedziałam. – Ale przynajmniej część dostałam od ciebie. Ocaliła mi życie, kiedy przeszłam na tamtą stronę.

Pokiwała głową.

– Cóż, zatem nie będziemy się nudzić, kombinując, co można począć z taką mocą jak twoja.

Pod wpływem nagłego impulsu przycisnęłam dłonie do jej kolan. Miałam wrażenie, że coś przyciąga moje palce do konkretnych punktów. Wpatrując się w kolory pod moją skórą, wybrałam z nich ten, który przypominał mi słoneczny blask promieniujący z Forest, i siłą woli wprowadziłam go w kolana Addie, wyczuwając nienaturalny kształt jej zdeformowanych stawów i prosząc moje żółte światło, aby uczyniło je na powrót równymi i gładkimi. Ręce mi drżały, w palcach czułam mrowienie, a żółte światło wypływało ze mnie, pozostawiając miękki gorący niepokój.

– Och... – zająknęła się Addie.

Podniosłam wzrok na jej twarz, ale nie wyglądała na cierpiącą. Tylko na zdumioną.

Po kilku chwilach cofnęłam ręce i zachwiałam się, zaskoczona zmęczeniem, jakie niespodziewanie na mnie spadło. Zanim zdążyłam dźwignąć się na nogi, Addie kopnięciem rozsunała podnóżki wózka.

Wstała, zrazu niepewnie, ale w miarę jak prostowała się coraz bardziej, lęk na jej twarzy stopniowo przechodził w zdumienie i wreszcie w ulgę. Pokiwała do mnie głową, zginając i prostując nogi.

– O tak, moja droga, przed nami huk roboty.

Addie zdołała odprowadzić mnie do grobu mojego ojca, gdzie czekali już Dariusz, Forest i Levi.

Uklękałam w miękkiej trawie przed marmurową płytą, na której wyryto jego imię oraz daty obejmujące sześćdziesiąt dziewięć lat jego życia. Wyciągnęłam przed siebie rękę. Pod jej dotykiem rozkwiwały tuziny maleńkich purpurowych kwiatków.

– Już jestem, tatku – szepnęłam, patrząc przez łąy na strzępy fioletoów i zieleni. – Wróciłam, tak jak powiedziałeś Addie.

To był koniec – koniec zmagañ i kłótni pomiędzy nami, ale też koniec wszelkich starañ. Dariusz położył rękę na moim ramieniu, a ja przykryłam ją swoją dłonią.

– Nigdy już nikogo nie zabił – powiedział Dariusz. – Nawet tych, którzy nie powinni żyć. Zrozumiał, skarbie. Naprawdę zrozumiał.

Wtuliłam policzek w jego palce i przestałam powstrzymywać łzy.

Jakieś trzy kilometry za nami stał gmach szpitala Lincolna, nasiąkając sekundami i minutami, dniami i latami. Coś mówiło mi, że kamienie i zaprawa w murach starego szpitala wiedzą wszystko o czasie – i o bólu, i o władzy, i jeszcze o innych rzeczach, zbyt strasznych, by o nich myśleć, podczas gdy klęczałam w blasku słońca, wśród kwiatów, roniąc łzy po zmarłym ojcu wraz z moimi przyjaciółmi i chłopcem, który czekał, aż wrócę do niego, choć inni ludzie w jego życiu poszli naprzód i zostawili go w tyle.

Ten stary szpital i strachy czające się w jego mrocznych zakamarkach jeszcze z nami nie skończyły. Tego byłam pewna. Ale teraz, przynajmniej na razie, jego dzwony milczały.

CZĘŚĆ CZWARTA

LĘK

Levi

Przychodzi do mnie w snach, na polanie, gdzie pastor Martinez spalił moje ciało. Ptaki krzyczą, kiedy idzie, cienie zaś pierzchają, nim zdąży ich dotknąć. Ma w sobie złote światło i jest ono piękne.

*– Na świecie jest wiele cudownych miejsc – mówi, a jej głos jest niczym muzyka.
– Czemu cały czas tkwisz tutaj? Co cię tu trzyma?*

W moich snach zawsze mówię Forest prawdę, odpowiadam zatem:

– Trzyma mnie lęk.

Śmieje się, a dźwięk jej śmiechu uszczęśliwia mnie. Potem mierzy mnie spojrzeniem swoich brązowych oczu, a ja patrzę, jak wiatr łaskocze jej twarz świderkami włosów.

– Umarłeś i wróciłeś do życia. Pomagasz duszom przejść na tamtą stronę i zabijasz rzeczy, które przeraziłyby większość ludzi na śmierć. Czego się boisz, Levi?

Oczami duszy widzę Imogenę i całą moc, jaką posiadała, kiedy byłem młodszy. Widzę, jak moc ucieka. Imogena zaczęła słabnąć w dniu, w którym mnie wskrzesiła, jakby była to cena, którą musi zapłacić. Nie mogę znieść myśli o tym, jak bardzo ją skrzywdziłem.

– Boję się pilnowania duchów w Lincolnie – odpowiadam jej. – Nie wiem, czy nadaję się do pracy, jaką wykonuje tam Imogena.

Zastanawia się nad tym, a jej światło rozgrzewa mnie jak żar ogniska.

– To zrozumiałe, ale nie dlatego się ukrywasz. Czego się boisz, Levi?

Opuszczam głowę, ponieważ nie chcę, aby widziała moją twarz.

Oczami duszy widzę Trinę i Addie, dwie wiedźmy. Mają wielką moc. Potrafią być niebezpieczne. Jeśli postanowią walczyć ze mną, nie będę w stanie ich pokonać.

– Boję się tego, czego nie rozumiem – mówię Forest. – Co, jeśli wszystko zepsują?

Forest także się nad tym zastanawia. Jej oczy są tak cudne, że kiedy w nie spoglądam, moje serce gubi rytm.

– Ja boję się tego samego – mówi. – Ale nie dlatego się ukrywasz.

Milknie, ale ja wiem, że wkrótce zada mi to samo pytanie po raz trzeci. A kiedy to zrobi, będę musiał powiedzieć prawdę.

Moje psy krążą wokół polany. Kain na czele. Spotkałem go w noc mojej śmierci i od tamtej pory jest ze mną. Musiał usłyszeć mój przestrah. Kiedy ludzie patrzą na niego i resztę moich psów, widzą po prostu beagle, ale w moich snach to bestie stworzone z cieni, większe od kucyków. Wszystkie mają skołtunioną czarną sierść, jak Kain, ogień w oczach i krwawe kły. Imogena powiedziała mi, że to barghesty, które zwykle żyją po tamtej stronie. Nasi prapradziadowie nazywali je pożeraczami dusz.

Forest nie zwraca na nie najmniejszej uwagi. Nie zauważa też moich ptaków, kiedy spływają w dół z bezksiężycowego nieba. Wyglądają jak gęsi, ale w moich snach są kłębówiskiem skrzydeł i szponów. Mają łby myszołowów, ale ciała kobiet. Są potworami zemsty i nocnych koszmarów, ale od Forest trzymają się z daleka. Jej światło spaliłoby je na proch.

Zmuszam się do zwrócenia na nią oczu, ale bijąca od niej jasność oślepia mnie. Ma moc Imogeny. Wiem, że tak jest. Jest łagodna i dobra, cała zrobiona z miłości. Bransoletka wisi na jej nadgarstku, jakby ze mnie drwiła, przypominając, że nie mogę jej dotknąć.

Kiedy pyta mnie po raz trzeci, mówi tak cicho, że ledwie ją słyszę.

– Czego się boisz, Levi? – szepcze.

Oczami duszy widzę ją taką, jaka jest – piękną na więcej sposobów, niż potrafiłbym opisać.

– Ciebie – mówię po chwili. – Boję się tego, jak bardzo mi na tobie zależy.

Rozdział 33

Niektóre dziewczęta marzą o przystojnym księciu, który porwie je do swojego zamku, gdzie będą żyć razem długo i szczęśliwie.

Nie jestem takim księciem.

W bajkach zamki zawsze są promiennie śliczne i pękają w szwach od jednorożców.

Psychiatryk Lincolna nie jest takim zamkiem.

To monstrum zrobione z kamieni, cegieł i metalu. To także brama pomiędzy dwoma światami: naszym oraz miejscem, gdzie zmarłe istoty oczekują Sądu Ostatecznego. Lincoln wydaje się obojętny na to, co się dzieje poza jego grubymi murami. Czas płynie, ale szpital się nie zmienia. Ma swoje tajemnice. Patrzy. Czeka.

– Mówisz o tym miejscu, jakby było żywą istotą – powiedziała Forest.

Szliśmy przez pusty oddział, rozglądając się za wszystkim, co dziwne lub nie na miejscu, jak robiliśmy to każdego wieczoru, kiedy rozrzedzenia rzeczywistości są najślabsze. Od czasu, kiedy stoczyliśmy walkę z Carlem Newtonem Mahanem, a Trina przeszła na tamtą stronę, choć nie powinna była tego robić, wszystko zaczęło zmierzać w złym kierunku. Wydawało się, że niemal co drugą noc coś próbuje wygrzyźć i wydrapać sobie drogę z powrotem do krainy żywych.

Wzruszyłem ramionami.

– Bo Lincoln jest żywy w pewnym sensie. A może raczej... świadomy.

Moja ręka powędrowała do pasa i noża, który zrobiła dla mnie Imogena. Rękojeść była stalowa, ale klinga z kości. Nigdy nie spytałem, czyjej kości użyła. Nie byłem pewien, czy chcę to wiedzieć. Nóż ciął wszystko i ta świadomość zupełnie mi wystarczała. Aż do spotkania z Forest nie nosiłem go zbyt często. Zwykle moje psy i gęsi przerażały duchy i ludzi w wystarczającym stopniu, aby nakłonić ich do wypełniania mojej woli, ale odkąd poznałem Forest, raz po raz coś próbowało nas zabić.

– Lincoln nie może być świadomy. – Forest machnęła ręką w mrocznym korytarzu, płosząc pająki emanującym z jej skóry światłem. – To tylko budynek.

– To wielka sterta kamieni poustawianych na zatrutej ziemi. – Zerknąłem na nią, starając się oprzeć rozpraszającemu wpływowi jej urody. – Krwawe ofiary w dalekiej przeszłości, wszyscy ci pacjenci, którzy tu żyli i umierali...

Nawet sobie nie wyobrażasz. Te mury nasiąkają bólem i szaleństwem, odkąd zostały wzniesione.

Brązowe oczy Forest śmiały się ze mnie.

– Mówisz, że to budynek z problemami?

– Tak.

Szła powoli, wciąż się uśmiechając.

– To w końcu jak? Stary dom wariatów jest po naszej stronie czy nie?

Na te słowa poczułem mróz w piersi. W głowie rozdzwoniły mi się dzwony Lincolna i pomyślałem o wszystkich tych momentach, kiedy musiałem walczyć ze złym duchem albo silną madocową duszą. Lincolna zbudowano po to, aby pomagał chorym, ale wydawało się, że teraz sam budynek pogrążył się w chorobie. Nie byłem pewien, czy staram się wystarczająco mocno, próbując zamknąć drzwi przed tym, co martwe, co odeszło.

Spojrzałem na Forest.

– Nie wiem.

Byliśmy na najwyższym piętrze, na korytarzu oświetlonym tylko przez małe lampki przy listwach przypodłogowych. W ich słabym niebieskim świetle ledwie dostrzegłem drewno i kafle posadzki. Musieliśmy omijać meble, które ustawiono tam, aby tworzyły „domową” atmosferę – jakby cokolwiek mogło tego dokonać. Odgłos każdego kroku niósł się echem w ciemności. Rękę trzymałem na rękojeści noża.

– Widziałeś to? – Głos Forest przestraszył mnie.

Spojrzałem we wskazaną stronę. Srebrzysty dym płynął wzdłuż pomalowanej ściany z pustaków, znacząc miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą był duch. Zmrużyłem oczy w ciemności. Czymkolwiek był ów duch, był bardzo słaby i nie zostawił po sobie zbyt wiele.

– Relikt – powiedziałem.

– To nie są żadne relikty, Levi. To są ludzie. – Jej ganiący ton ranił, choć spodziewałem się go. – Albo raczej byli.

Wiedziałem, że jeśli westchnę, uraczy mnie wykładem o dobrych manierach, dokładnie jak Imogena. Jeśli będę trzymał gębę na kłódkę, pomyśli, że ją ignoruję i się obrazi. Jeśli powiem coś, co jej się nie spodoba, weźmie to za złośliwość. Chciało mi się walić czołem w blat najbliższego stolika.

– N-no... racja. – To było najlepsze, na co było mnie stać. – Przepraszam. Ale cokolwiek to było, nie miało zbyt wiele mocy.

Forest westchnęła i kiwnęła głową.

– Powinniśmy tego poszukać? Spróbować przeprowadzić?

Przyjrzałem się ciemnemu kąтови, w którym rozwiewał się dym. Została go tylko odrobina. Prawdopodobnie dzieciak. Wiele dzieci przewinęło się przez szpital w czasie jego istnienia i wciąż czasem je znajdowałem. Dzieci lubiły się chować nawet jako duchy. Dawniej wezwałem moje psy i ptaki, ale teraz Forest zmyłaby mi głowę, gdybym spróbował to zrobić. Uważała, że straszenie dziecka jest okropnością bez względu na to, czy dzieciak żyje, czy nie.

Poczułem lekki skurcz w żołądku. Dzięki znajomości z Forest sam byłem teraz zdania, że to dość okropne. Przez nią robiłem się miękki.

– Mogę poczekać – mruknąłem.

Chyba się uśmiechnęła, ale nie byłem pewien.

Ruszyliśmy dalej i upewniłem się, że jesteśmy szczelnie otuleni cieniami. Nie zawsze byłem tak skrupulatny w zapewnianiu sobie niewidzialności, ale Forest uważała, że to także jest okrutne – ukazywanie się chorym, którym nikt nie uwierzy, kiedy opowiedzą, co widzieli. Zapewne miała rację.

Dariusz i Trina pracowali na oddziale piętro niżej, a Imogena i Addie w suterenie. Każdy z nas miał w kieszeni malutki wierzbowy wianek. Zrobiły je dla nas wiedźmy i powiedziały, że w obecności złych sił talizmany będą się rozgrzewać.

Moje spojrzenie znów ześliznęło się na Forest.

Kiedy ją odnalazłem, wziąłem ją za kolejną ładną dziewczynę z kroplą krwi Madoca, ale szybko wyprowadziła mnie z błędu. Widziała rozrzedzenia lepiej ode mnie, przechodziła na tamtą stronę i z powrotem z większą łatwością, nauczyła się nawet otwierać własne portale. Doszła do takiej wprawy, że podczas przejść już prawie nie traciła czasu. Często powtarzałem, że może stać się tak silna jak Imogena, ale Imogena mówiła: „Nie, Forest będzie silniejsza”.

– Levi? Znowu to robisz.

– Co takiego?

– Toniesz we własnych myślach i wyglądasz na wkurzonego. Patrolujemy, nie czaimy się.

– Ja się nie czaję.

Roześmiała się. Nie byłem pewien dlaczego.

Skęciliśmy za róg, aby podejść do drzwi prowadzących na oddział, kiedy poczułem mrowienie na skórze. Światła w starym szpitalu przygasły i mniej więcej w tej samej chwili Forest wskazała palcem punkt w głębi korytarza.

– Spójrz – powiedziała. – To znowu tamten duch.

Rozdział 34

Jakieś pięć metrów przed nami pełgało blade, srebrne światło. Wewnątrz świetlistej mgiełki ujrzałem coś, co wyglądało jak mały chłopiec. Był szczupły, miał może metr wzrostu i ubrany był w traperski strój z jeleniej skóry, jak Davy Crockett. Z lokami na małej główce wyglądał słodko, jak smutnooki szczeniaczek, ale tuż za nim drzwi do następnego oddziału zamigotały jak stary film.

Nie podobało mi się to. Cofnąłem się o krok i złapałem Forest za rękę, aby pociągnąć ją za sobą.

Chłopiec obserwował nas oczami odrobinę zbyt białymi i rozjarzonymi, abym czuł się przy nim bezpiecznie.

– Przestań! – Forest wyszarpnęła się, zanim jej dotyk zdążył spalić mi palce.

Moja dłoń zasnuła się dymem, trzewia wykręcił ból promieniujący z pojawiających się na skórze pęcherzy. Ta jej bransoletka z czasem robiła się coraz potężniejsza.

– Po co się tak narażasz? To przecież dziecko – powiedziała Forest. – Nie jakiś smok, tylko uroczy mały dzieciak.

– Owszem, tak właśnie wygląda.

Wciąż mi się nie podobał. Był jaśniejszy, niż powinien, biorąc pod uwagę dym, który widzieliśmy na ścianie kilka chwil wcześniej. Podejrzywałem, że nas zwodzi. Teraz zagradzał nam drogę do drzwi.

Forest przykucnęła obok mnie, przyglądając się dziecku.

– Jak masz na imię, mały?

– Nie rozmawiaj z nim. – Ścisnąłem mocniej rękojeść noża i zacząłem wzywać moje psy i ptaki.

– Widzisz coś, czego nie widzę ja? – spytała Forest. – Czy otoczył się jakimś urokiem maskującym?

– Nie, ale...

– No to nie wpadaj w paranoję.

Ledwie ją słyszałem. W głowie wertowałem katalog wszelkich duchów, na jakie natknąłem się osobiście bądź w księgach Imogeny, szukając czegoś, co może przybierać postać dziecka. Czegoś dość silnego, aby mogło nas mamić. Ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– To może być upiór z tamtej strony – powiedziałem do niej najciszej, jak potrafiłem. – Nie zbliżaj się do niego.

Puste, skrzące się oczy chłopca patrzyły na Forest. Moje psy zaczęły ujadać i usłyszałem odległy narastający grzmot – łopot skrzydeł.

– Co ty wyprawiasz? – W głosie Forest był gniew. – Próbujesz wystraszyć go na śmierć?

– On już jest martwy.

Nie spuszczać chłopca z oczu ani na uderzenie serca, powoli dobiłem noża i ustawiłem stopy tak, aby mieć pewne oparcie, w razie gdyby doszło do walki.

Chłopiec uśmiechnął się do Forest.

Obnażyłem zęby.

Na ścianach wokół dziecka zamigotały cienie – i nie były to moje cienie. Coś we mnie... Poczułem...

Zmąciły mi się myśli, ręce zaczęły ciążyć ku ziemi.

Dlaczego wyciągnąłem nóż na małe dziecko? Wcale nie miało pustych oczu. Miało niebieskie tęczęwki, różowe policzki, czarne kręcone włosy.

– Chyba zmarł – mruknęła Forest. – Może poszukamy jakiegoś koca.

Koc. Tak. Powinienem pójść i poszukać. Dzieciak na pewno przemarzył na kość. Pewnie przydałyby mu się też buty, najpewniej małego rozmiaru, choć może niekoniecznie... Te stopy wyglądały na całkiem spore. I wciąż rosły.

Zamrugalem.

Patrzyłem na stopy dorosłego mężczyzny. Stopy w mokasynach. Strój Davy'ego Crocketta nie był uroczy. Spodnie i kurtkę obszyto frędzlami, jakie nosili starzy traperzy z Kentucky – ci prawdziwi twardziele, którzy żyli z tego, co wyrwali ziemi, i zabijali bez mrugnięcia okiem. Chłopiec miał teraz długie włosy i brodę sięgającą mu do pasa. Kiedy uśmiechnął się złośliwie, ujrzałem kilka poczerwiałych przegniłych pieńków w miejscu, gdzie powinien mieć zęby.

Był z krwi i kości, żaden tam duch.

„O, do diabła!”

Był upiorem, i to paskudnie silnym.

Kain i reszta moich psów wypadły przez rozrzedzenie i ruszyły do szarży po suficie, ujadając i przywołując do siebie gęsi. Ptaki zanurkowały z góry, tworząc krąg wokół kościstego traperza.

– Levi? – Forest wydawała się mocno przestraszona. – Kto to jest? Co to jest?

– Stań za mną – wycedziłem przez zaciśnięte zęby, ściskając rękojęść noża.

Kain strząsnął z siebie postać beagle'a i jego wielkie czarne cielsko wylądowało ciężko pomiędzy mną a upiorem.

Forest poderwała się i szybko ruszyła na miejsce, które jej wskazałem.

– Hej! – zawołałem i w tej samej chwili upiór skoczył na mnie, odtrącając Kaina na ścianę.

Pies zaskowytał z bólu.

Upiór świsnął mi tomahawkiem nad głową, śmiejąc się jak głupiec.

– Nie zbliżaj się! – ryknąłem na niego, wkładając w głos całą moc, jaką miałem.

Nie chodziło mu o mnie. Chciał dopaść Forest, widziałem, ale nie zamierzałem mu na to pozwolić.

Kain zawarczał, dźwigając się z ziemi. Kiedy warknął po raz drugi, moje psy i gęsi otoczyły upiора ze wszystkich stron. Psy kęsały i szczekały, gęsi dziobały i okładały skrzydłami jego głowę tak mocno, że musiał wznieść kościste ręce, aby osłonić twarz. Nagle znów wybuchł śmiechem i zaczął wyłapywać moje ptaki z powietrza i ukrecać im szyje. Kain przyskakiwał do niego, łapiąc za łydki i stopy, ale upiór odtrącił go potężnym kopnięciem w pysk.

– Uciekaj! – krzyknąłem do Forest ponad skowytem Kaina. – Przejdź przez rozrzedzenie i znajdź Imogenę!

Psy po kolei odstępowały od trapera, by przycziąć się w bezpiecznej odległości. Nie miałem pojęcia, czy Forest usłyszała mnie w całym tym zgiełku. Upiór odrzucił ostatecznie ptasie truchło i znów rzucił się na mnie. Tomahawk świsnął mi przed twarzą, mijając nos o grubość włosa. Odpowiedziałem pchnięciem noża, ale chybiłem. Kain zawarczał i złapał w zęby łokieć trapera, zajmując go na dość długo, abym mógł złapać oddech.

Za mną Forest zaczęła śpiewać. A potem wrzasnęła. Świat zakołysał się i miałem wrażenie, że czaszka pęknie mi jak szklanka. Skóra oderwała mi się od kości i tysiąc igieł bólu przeszło moją duszę. O mały włos nie wypuściłem noża z ręki.

Szalony traper odrzucił Kaina na bok, posyłając go ślizgającego się na brzuchu w głąb korytarza. Machnął tomahawkiem raz, drugi i trzeci, napierając na mnie, a ja za każdym ciosem odskakiwałem w tył. W nozdrzach czułem jego cuchnący oddech. Oczy miał wytrzeszczone, dzikie – były to oczy potwora, który zabijał tylko po to, aby patrzeć, jak ktoś umiera.

Lubił zadawać cierpienie.

Znów skoczył i tym razem nie spóźniłem się z kontrą. Kościane ostrze trafiło go w tors i rozpruło od mostka aż po pas, a dymiące flaki wylały się na posadzkę.

Nie przestał się śmiać i nie przerwał ataku.

Pchnąłem nożem jeszcze raz i trafiłem go w twarz, blokując jego cios tomahawkiem przy łokciu. Krew połała mu się po twarzy, wlała do ust i zalała zepsute zęby. Oczy zaszyły mu mgłą. Kain wybił się w powietrze – rozpędzony czarny meteor furii. Barghest zatopił kły w rozplatanym ciele upióra, kąsał i ciągnął, rwał i rozszarpywał, miotając wściekle swoim wielkim łbem.

Gdzieś za mną Forest krzyknęła jeszcze raz i poczułem, jak rozrzedzenie otwiera się i napiera na mnie. Wierzbowy talizman w mojej kieszeni rozdygotał się, a potem buchnął płomieniem, przepalając mi spodnie i parząc nogę. Z bijącym jak oszalałe sercem odsunąłem się od chwiejącego się zakrwawionego upióra.

Jeszcze raz spróbował zamachnąć się tomahawkiem, ale stracił równowagę i runął prosto na mnie. Uskoczyłem w ostatniej chwili, a on padł na zmasakrowaną twarz, ślizgając się niemrawo na własnych wnętrznościach. Jego ciało – a raczej to, co z niego zostało – zaczęło rozpadać się na kawałki. Kain stał nad nim, warcząc i rozszarpując bryły mięsa na jeszcze mniejsze strzępy.

Forest wydała kolejny krzyk i tym razem miałem wrażenie, że cały szpital zatrzęsł się w posadach.

Strumień energii uderzył mnie w plecy, nagłym pchnięciem posyłając do przodu. Wymachując panicznie ramionami, przeleciałem nad roztartymi szczątkami upióra i wyrznąłem twarzą między swoimi psami. Mój nos zanurzył się w sierści, ramiona odbiły od muskularnych ciał i uderzyły o posadzkę. Psy zaskamlały, kiedy nóż zgrzytnął o ścianę. Chwilę potem wypadł mi z dłoni.

Zerwałem się na równe nogi, nie czekając na następny oddech ani myśl. Kręciło mi się w głowie. Straciłem orientację w przestrzeni.

– Forest! – krzyknąłem, odwracając się i zataczając w stronę kurtyny wirującej ciemności, która zawisała na środku holu.

Serce niemal przestało mi bić, kiedy ją zobaczyłem.

Była po drugiej stronie kurtyny, trzymał ją traper o wiele większy niż upiór, którego dopiero co powaliłem. Był ogromny. W swojej futrzanej czapie z piórem, rzucającej cienie na wszystkie strony naraz dosięgł samego sufitu. Jego bladą twarz zdobiły czerwone smugi wyglądające jak krwawe ślady palców. Przyciskał Forest do okrytej jelenią skórą piersi i zdawał się nie zauważać pęcherzy, które pulsowały mu na skórze dłoni.

Za olbrzymem, w przyćmionym świetle księżycy, zobaczyłem rozstajne drogi. Był tam też słup i rzecz zatknięta na nim.

To mogła być głowa.

– Kain! – zawołałem i barghest wystartował w stronę portalu, ślizgając się

na zakrwawionej posadzce.

Forest odwróciła głowę w moją stronę, kiedy rzuciłem się za nią w pościg. Na jej twarzy malował się strach. I złość. I... coś jeszcze. Próbowła mi coś powiedzieć, ale nie potrafiłem odczytać słów z ruchu jej warg. Co miałem zrobić? Ścigać upiora? Złapać ją? Odszukać nóż i posiekać łajdakowi twarz?

Reszta moich psów rzuciła się w stronę Forest w ślad za Kainem, a kilka ocalałych z pogromu gęsi zaatakowało głowę upiora. Traper wydał z siebie basowy ryk i odepchnął Forest. Wyciągnął przed siebie dłonie i przyjrzał się dymiącym palcom, dopiero teraz uświadamiając sobie, że jest poparzony wszędzie, gdzie jej dotykał.

Chciałem przyśpieszyć, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa i straciwszy równowagę, runąłem na posadzkę. Kain pośliznął się i przebijając bezradnie łapami, wyrznął między pozostałymi psami.

Podwinąwszy wargę w grymasie wściekłości, traper kilkoma machnięciami ręki postrącał gęsi znad głowy. Potem kopnął Forest z taką furją, że poczułem ból we własnych żebrach.

– Zabiję cię! – ryknąłem, pełznąc w jego stronę.

Forest osunęła się na ziemię, nie wydawszy żadnego dźwięku.

Zacisnąłem pięści i największym wysiłkiem woli zdołałem nieco przyśpieszyć. Jeszcze jakieś trzydzieści metrów. Jeszcze trochę i będę przy niej. Kain był tuż obok mnie.

Forest posłała mi smutne spojrzenie. Tym razem zrozumiałem, co powiedziała.

„Żegnaj”.

W jednej chwili pojąłem, co zamierza zrobić.

– Nie! – Rzuciłem się naprzód z nową energią, trzymając się sierści Kaina dla równowagi. – Forest, nie!

Za późno.

Forest otworzyła usta i dobył się z nich krzyk tak głośny, że zdawał się wyciskać mi mózg przez uszy. Dzikie oczy trapera rozbłysły jeszcze dzikszą furją. Upiór nachylił się nad nią i także krzyknął. Szpital zakołysał się i rozdygotał, a ja runąłem na Kaina w chmurach pyłu strzelającego ze ścian i stropu.

Musiałem za wszelką cenę dostać się do Forest. Dźwignąłem się i popęzłem dalej, choć wnętrzości wykrecał mi ten potworny, rozrywający rzeczywistość dźwięk.

– Forest!

Uniosłem głowę i ujrzałem ją zwiniętą w kłębek u stóp olbrzyma. Oczy

miała zamknięte, usta otwarte, a krzyk płynął z nich i płynął, i płynął...

Moje psy w końcu odzyskały równowagę i wtoczyły się przez rozrzedzenie w tej samej chwili, w której traper znów kopnął Forest – tak mocno, że najpewniej strzaskał jej kręgosłup.

Kain parł naprzód, wlokąc mnie za sobą. Portal zadrżał jak lustro stawu, do którego wrzucono kamień.

A potem nagle zamknął się, ucinając krzyk, pozostawiając Kaina i mnie samych w ciemnym holu szpitala.

Rozdział 35

Świat znieruchomiał i ucichł tak nagle, że poczułem bolesny ucisk w uszach.

Potem Kain zawył i ja zawylem także. Rozgarniając rękami powietrze, rzuciłem się w pustą przestrzeń, gdzie jeszcze przed chwilą była Forest. Nie mogła odejść. Nie w taki sposób. Nie!

– Forest! – wołałem rozpaczliwie, ale nikt mi nie odpowiadał.

Poprzez wściekle szczekanie Kaina dobiegły mnie głosy. Pewnie ochrona albo pielęgniarki. Nie miałem na sobie uroku maskującego. Nie dbałem o to.

Straciłem ją. Nie zdążyłem na czas. Zacisnąwszy powieki, spróbowałem wyczuć rozrzedzenie – tutaj albo gdziekolwiek w pobliżu. Nic do mnie nie wracało. Nie czułem nawet echa wielkiej plamy rozrzedzenia na szczycie dzwonnicy.

„Nie. Nie mogła tego zrobić”.

Stłumiłem mdłości i jeszcze raz posłałem zmysły na zwiady.

Znów nic.

Forest zasklepiła wszystkie rozrzedzenia w całym szpitalu.

Zadbała o to, aby ten wielki upiór nie mógł wrócić na ten świat, ale teraz sama była uwięziona po tamtej stronie, a ja w żaden sposób nie mogłem się do niej przedostać.

Lodowate odrętwienie osiadło mi na kościach. Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim uświadomiłem sobie, że wołające mnie głosy są prawdziwe, że Imogena i Trina są ze mną na korytarzu. Jeszcze dłużej trwało, nim dotarło do mnie, że machają rękami. Zakrwawionymi.

Kain polizał moją dłoń, po czym skubnął ją zębem i rozbłysk bólu gwałtownie przywrócił mnie do tu i teraz. Zobaczyłem rany i zadrapania na ciele Imogeny. Coś musiało ją zaatakować – być może więcej niż jeden napastnik. Zatoczyłem się w stronę mojego kościanego noża i podniosłem go z posadzki.

Kiedy znów odwróciłem się w stronę Imogeny i Triny, spostrzegłem, że Trina jest poparzona, jakby włożyła obie ręce w ognisko. Skóra na jej dłoniach zbiegła się we wściekle różowe zmarszczki, prawy policzek przecinała krwawa pręga. Spojrzałem w prawo i w lewo, rozglądając się za Addie i Dariuszem.

– Gdzie...?

Sięgnąłem w dal zmysłami, przeczesując szpital psychiatryczny Lincolna

w poszukiwaniu znajomych rozbłysków energii.

– Ich już nie ma, chłopcze – powiedziała Imogena, lecząc rany Triny dotknięciami i rozbłyskami złotego uzdrawiającego światła. – Forest, Addie ani Dariusza. Wszyscy troje zabrani.

– W szpitalu totalna katastrofa – dodała Trina roztrzęsionym głosem.

Sama też wyglądała na roztrzęsioną i uspokoiła się trochę dopiero, kiedy Imogena posadziła ją na płytkach posadzki.

– Liczą pacjentów i zamykają drzwi – powiedziała Trina. – I te strzały! Nie wiem, kto albo co je wystrzeliło. Wyglądali jak ludzie, ale to nie byli ludzie. I w rzeczywistości wcale ich tutaj nie było! Mój proszek wybuchł mi w rękach i mnie poparzył, kiedy próbowałam w nich rzucić. Zabrali Dariusza. Zabrali go, Levi!

– Upiory – powiedziała Imogena, której głos tchnął beznamiętnym spokojem w porównaniu z głosem Triny. – Słabe zresztą i z bardzo odległych czasów. Ubrane i wymalowane jak plemię. Nie mogły przejść z tamtej strony, ale podziurawiły mnie jak rzeszoto i zgarnęły Addie, zanim przejście się zasklepiło.

Jej szare oczy płonęły, sprawiając, że wyglądała młodziej.

– Zamknięte, mój chłopcze. Wszystkie drzwi w Lincolnie.

Moje zmysły zataczały koła. Oczy Triny połyskiwały bólem po stracie Addie i Forest. I oczywiście Dariusza. Dariusz był jej miłością, tak jak Forest była moją. Zwróciła na mnie to swoje straszliwe spojrzenie, płonące wiedźmińską mocą i odrobiną szaleństwa zrodzonego z rozpacz.

– Musimy sprowadzić ich z powrotem. Musimy po nich iść. Teraz!

– Nie przedostaniemy się na tamtą stronę. Nie ma sposobu – powiedziałem do niej, czując tę samą rozpacz i obłęd wkradające się do mojej duszy. – Forest zamknęła wszystkie rozrzedzenia.

– No to je teraz otwórz! – Trina huknęła na mnie tak głośno, że Kain obrócił na nią łeb i zawarczał.

Spojrzałem na drzwi holu, skąd dobiegły mnie głosy ludzi krzyczących coś o trzęsieniu ziemi, popękanych ścianach i powybijanych oknach.

– Nie potrafię. Imogena i ja korzystamy z rozrzedzeń, które Lincoln tworzy sam z siebie.

Wyrznąłem pięścią w najbliższą ścianę, czując, jak w dwóch palcach pękają mi kości. Nie dbałem o to. Nawet mnie nie zabolalo, ale Kain i tak pisnął żałośnie i podszedł, by trącić łbem moje nogi. Wiedziałem, że złamania się zrosną, i to błyskawicznie. Od czasu, kiedy Imogena sprowadziła mnie z powrotem z tamtej strony, miałem jej uzdrawiającą moc w sobie, działającą

przez cały czas.

– Kto ich zabrał? – spytała gniewnie Trina. – Czego chcą?

Imogena się nie odezwała. Na kilka chwil wróciła do mnie wizja dwóch upiorów, chudego i wielkiego, przebranych i wymalowanych jak Indianie, z twarzami pełnymi nienawiści i okrucieństwa.

– To mordercy. – Ścisnąłem własne złamane palce, aby ukarać się bólem za to, że zawiodłem Forest.

Ale kości już zaczęły się zrastać i to rozwścieczyło mnie jeszcze bardziej. Jak mogłem być tak niezniszczalny, skoro Forest zaginęła bez śladu, a być może była już martwa? Żałowałem, że nie mogę rozpaść się na kawałki.

– Jeśli byli dość źli, aby trafić do gazet, albo jeśli przeszli przez ten szpital, na pewno są w moich księgach – powiedziała Imogena, kuśtykając w stronę dalekich drzwi holu. – Chodźcie, zabieramy się do szukania. Skoro nie ma już rozrzedzeń, musimy całą drogę przejść pieszo.

Trina wydała z siebie jęk gniewu i frustracji, po czym znów zwróciła się do mnie, z oczami lśniącymi determinacją.

– Mama Forest potrafiła rozrzedzać rzeczywistość. Jej *duch* to potrafił, a ty mi mówisz, że nie możesz tego zrobić?

– Nie mogę – potwierdziłem, pragnąc nade wszystko na świecie, abym mógł.

– Ale chyba Bridgette nie była jedyną osobą, która to potrafiła, prawda? Musi być ktoś jeszcze! – Trina wczepiła się kurczowo w moje ramię, jakby chciała przymusić mnie do przytaknięcia.

Ach, jakże chciałem móc przytaknąć.

„Forest...”.

Cierpiałem każdą cząstką siebie, ale Trina nie zważała na to. Potrząsnęła mną, mierząc gniewnym wzrokiem, a upór, z jakim odmawiała poddania się, sprawiał tylko, że czułem się jeszcze gorzej. W całej historii, którą Imogena spisała, odkąd nauczyła się przesuwac pióro po papierze, Forest i jej matka były jedynymi osobami zdolnymi do tworzenia przejść między światami.

W mojej twarzy Trina ujrzała ulatującą nadzieję i puściła mnie.

– A rozrzedzenia w innych miejscach świata? Przecież muszą istnieć gdzieś jeszcze, prawda?

– Może tak, może nie – powiedziała Imogena, otwierając drzwi. – Levi i ja przynależymy do tego szpitala. Nie jestem pewna, czy potrafilibyśmy przejść przez rozrzedzenia w jakimś innym miejscu.

Trina zaklęła i ukryła twarz w dłoniach. Jej ramiona zadrżały od szlochu, ale nie odważyłem się jej dotknąć. I tak nie miałem pojęcia, co mógłbym jej

powiedzieć. Nienawidziła mnie teraz. Czuję to i nie mogłem jej winić. Byłem zerem. Marnowałem tylko powietrze.

Po pewnym czasie Trina uniosła głowę i opuściła ręce, zaciskając pięści.

– Cóż, nie przeszukaliśmy jeszcze całego szpitala, prawda? – Jej spojrzenie przeniosło się ze mnie na Imogenę i z powrotem na mnie. – To miejsce jest inne. Nie jest całkiem normalne. Jego fragmenty mogą być ukryte przed zmysłami, jak te tunele, gdzie dziadek Dariusza i jego wiedźmowe drzewo przedarli się do świata, pamiętacie?

Imogena przytrzymała dla nas otwarte drzwi, marszcząc brew.

– Przedarli się przez rozrzedzenie, które już tam było. Nie stworzyli własnego.

Szpital zdawał się rozjaśniać mrok słabą poświatą, pokazując mi pobrużdżone łzami policzki Triny i iskry desperacji w jej oczach. Uparcie odmawiała porzucenia nadziei. Może powinienem pożyczyć trochę od niej i przynajmniej spróbować poszukać jakiegokolwiek, choćby najmniejszej szansy na dotarcie do Forest.

Skinąłem Trinie głową, zanurzając palce w czarną sierść na karku Kaina, by pociągnąć go w stronę Imogeny i drzwi.

– Sprawdźmy, z kim mamy do czynienia. A potem postanowimy, co dalej.

Dotarcie do dzwonnicy zajęło nam sporo czasu, ponieważ Imogena nie mogła poruszać się szybko. Wydawało się, że ostatni atak na Lincoln odarł ją z sił niemal do całkowitego wyczerpania. Spróbowałem posłać jej trochę uzdrawiającej energii, ale niewiele wskórałem. Pokoje, w których mieszkała i doglądała swoich ksiąg, były ciemniejsze, niż powinny, nawet kiedy włączyliśmy światła.

Imogena poprowadziła mnie do jednej z półek i kazała wyciągnąć dwie księgi, których grzbiety ozdobił tytuł *Przedtem*.

– Te tomy opowiedzą nam o tym, czego sama nie widziałam – wyjaśniła – o rzeczach, które działy się, zanim nastał mój czas, zasłyszanych przeze mnie od ludzi i duchów. Biorąc pod uwagę stroje tych upiorów, najlepiej będzie szukać najdalej w historii, jak tylko się da.

Zasiadłem przy stole, z Kainem u stóp, i otworzyłem księgę, drugą natomiast przekazałem Trinie. Wodziłem wzrokiem po równych linijkach pisma Imogeny, starając się przepędzić precz wszelkie myśli o tym, co może się dziać z Forest. Strach, że cierpi albo nie żyje, wciąż ścisnął mi serce. Ledwie mogłem skupić się na czytaniu.

Wyczuwając moje troski, Kain zaskamlał cicho i złożył ciężki łeb na moim kolanie.

Każda strona w księdze Imogeny była opatrzona dwiema datami. Jedna przypominała, kiedy Imogena usłyszała daną historię i spisała ją, druga umiejscawiała w czasie opisywane zdarzenia. Bardzo wiele akapitów dotyczyło potomków Madoca, przeważnie ich zbyt wysokich szkieletów znajdujących w pobliskich mogiłach. Każde wyczytane zdanie pogłębiało moją frustrację. Nie było tam niczego, co mogłoby się nam przydać.

– To o powodzi w tysiąc siedemset siedemdziesiątym trzecim – wymamrotała Trina. – Niewielki z tego pożytek.

Imogena pokiwała głową, nie odrywając wzroku od własnej księgi. Ja wróciłem do swojej. Pomiedzy opowieściami o wiedźmach i złych duchach, które w dawnych czasach nawiedzały Never i całe Południe, natknąłem się na pierwsze zapiski Imogeny dotyczące rzeczy, które widywała w Lincolnie.

ŁachLicho – posępny strzęp ludzkiej duszy, co pobłądziła w drodze na tamtą stronę. Nic cięższego od mgły uwięzionej koło miejsca, gdzie się stworzyła. Może nabrać krzynekę kształtu, jeśli tuła się już zbyt długo.

Chochlik – skory do psot, jako i przed śmiercią. Dziecko zapewne. Kształtu ma więcej i choć trzyma się miejsca stworzenia, może się czasem oddalać.

Bezużyteczne informacje.

„Forest...”.

Wkrótce po wzmiance o lichach i chochlikach natknąłem się fragment, który przykuł moją uwagę.

Krwawi Harpe'owie

1775 – Micajah Harpe zwany Dużym i Wiley Harpe zwany Małym. Kuzyni urodzeni w Karolinie Północnej. Silna linia Madoca. Żli do szpiku kości. Palili farmy, bezczęścili kobiety, okradali żołnierzy.

1780 – zaciągnęli się do Czerwonych Kurtek, aby zaspokajać swoją żądzę krwi. Grasowali z bandą renegatów z plemienia Cherokee. Porywali kobiety i poślubiali siłą. Przez następnych dziesięć lat splotzili po dwoje dzieci – wszystkie zginęły z rąk swoich ojców.

Grudzień 1789 – przybyli do Kentucky, by dalej grabić i mordować.

Mrużąc oczy, wpatrywałem się w odręcznie nakreślone litery. Ci dwaj zwyrodnialcy, Micajah i Wiley Harpe'owie, patroszyli ludzi, wypychali im brzuchy kamieniami i topili w rzece, a o tym, co robili kobietom, lepiej było nie myśleć.

– Te świry zamordowały własne dzieci – wymamrotałem, a Imogena i Trina uniosły głowy. – Krwawi Harpe'owie. I przez jakiś czas rabowali razem z bandą wyklętych Cherokee, co wyjaśniałoby strzały i farbę na twarzach, i te słabe upiory, które porwały Dariusza i Addie.

Imogena zamknęła swoją księgę i serce zabiło mi żywiej.

– Przypominam sobie te historie. Gdzieś pod Russellville Duży Harpe rozbił głowę swojej małej córeczki o pień drzewa, bo za głośno płakała. – Potrząsnęła posępnie głową. – Długo wymykali się sprawiedliwości, bo krew Madoca podpowiadała im, jak wyprowadzić w pole ścigających.

– Co to za ludzie? – spytała Trina. – Co się z nimi stało?

Imogena odpowiedziała bez namysłu.

– To pierwsi znani seryjni mordercy w tym kraju. Mały Harpe zginął z rąk kamratów z własnej szajki, którzy zabili go dla nagrody. Ale Duży Harpe skończył gorzej.

– Legenda głosi – zacząłem czytać z zapisków Imogeny – że Duży Harpe zadarł z kimś obdarzonym mocą pod Natchez w Missisipi, w miejscu zwanym Sabatową Górką. Przekląto go, zanim wrócił do Kentucky, i w końcu został schwytany. Ktoś z oddziału pościgowego pomścił swoją zamordowaną żonę i małą córeczkę, pomąłu odrzynając głowę bandycie, podczas gdy ten wciąż jeszcze żył. Oddział zatknął głowę na słupie przy rozstaju dróg nieopodal Henderson w Kentucky. Do dziś miejsce to zwie się Harpową Głową. A zatem to on. – Odsunąłem od siebie księgę, myśląc o tym, co zobaczyłem za traperem, kiedy zabierał Forest.

Słup na rozstaju dróg, prawdopodobnie z głową zatknietą na jego czubku.

– Czyli Forest porwał Duży Harpe, który w dodatku ma na pieńku z czarownicami – podsumowała Trina.

– I to jak – przytaknęła Imogena, wyjmując mi księgę z rąk.

Rozłożyła ją przed sobą i powiodła palcem wzdłuż listy żon i potomków Harpe'ów, które nie zostały zamordowane, badając genealogię.

– Jeśli wierzyć opowieściom – podjęła po chwili – to wiedźma w końcu ściągnęła jego czaszkę z tamtego słupa i roztarła ją na proszek do mikstur.

Trina i ja milczeliśmy przez chwilę, a potem Trina zadała pytanie, które zakiełkowało w głowie nam obojgu:

– Czy Krwawi Harpe'owie wrócili tu przeze mnie? Czy mogli zauważyć mnie, czarownicę, kiedy przeszłam na tamtą stronę?

Imogena wstała i podeszła do półki, aby ściągnąć z niej tom, który otworzyła, jeszcze zanim wróciła na swoje krzesło.

– Niewykluczone – mruknęła, ale bez przekonania. – Nie zawsze wiadomo, co czyni upiora dość silnym, aby mógł przekroczyć granicę, ale te złe próbują nieustannie.

– Jestem prawie pewien, że ten, którego zabiłem, to Mały Harpe – powiedziałem. – A ten, który zabrał Forest, to Duży Harpe.

Na myśl o Forest w plugawych łapskach mordercy, aż zabolął mnie brzuch. Czy już ją zabił, czy dręczył ją tak, że sama pragnęła śmierci?

– Hhm... – mruknęła Imogena i znów zmieniła księgi.

Miała jakiś pomysł, ale cokolwiek to było, na razie się z tym nie zdradzała. Trina wstała.

– Chodźmy – powiedziała. – Mamy nazwisko. Może uda się go wywołać.

– Jest na to jakiś rytuał? – spytałem ją. – Bo bez rozrzedzenia rzeczywistości nie sprowadzimy tu niczego z tamtej strony.

Trina wpatrywała się we mnie rozszerzonymi oczami i widziałem, że ogarnia ją złość. Imogena zdawała się nie zwracać na nią uwagi, kiedy znów wstała i z trzech różnych półek zdjęła trzy książki. Otworzyła wszystkie naraz.

Podniosłem się i podszedłem do niej, aby popatrzeć, co robi. Kain trzymał się mnie jak cień. Sękaty palec Imogeny przerzucały strony tak szybko, że nie nadążałem z czytaniem nagłówków. Przewertowała kilka rozdziałów, zamknęła pierwszą księgę, potem drugą, aż w końcu...

– Tutaj – oznajmiła, pukając palcem we wpis.

Trina stanęła obok mnie i odczytała na głos imię i nazwisko.

– Bridgette Harper.

We wpisie widniały daty przyjęć i wypisów ze Szpitala Psychiatrycznego imienia Lincolna. Przy jednej z dat dorysowano gwiazdkę i zrobiono adnotację na marginesie: „urodziła dziewczynkę”.

Trina uniosła brwi.

– Bridgette? Znaczy... mama Forest?

Imogena skinęła głową.

– Harper – jeszcze raz odczytałem nazwisko i przeniosłem wzrok na margines. – Urodziła dziewczynkę. Nie sądzisz chyba...

– Sądzę. – Imogena zatrzasnęła księgę. – Większość potomków Harpe'ów zmieniło nazwisko, żeby odciąć się od przeszłości. Niektórzy zmienili je w znacznym stopniu i przenieśli się na zachód, jak rodzina starego Wyatta Earpa. Inni zostali tutaj, przemianowując się tylko na Harpów bądź Harperów.

– Ale Forest nie może być jedną z nich – pokręciła głową Trina. – Ona nie jest zła.

– Wyboru między złem a dobrem dokonuje człowiek, nie krew – powiedziała Imogena. – Była szlachetną przeciwwagą dla swoich plugawych praprzodków z własnej woli. Duży Harpe czegoś od niej chce. Zapewne wierzy, że dzięki niej może stać się dość silny, aby robić rzeczy, jakich nie potrafił dotąd żaden upiór.

– Czy ma rację? – spytałem.

– Trudno powiedzieć, ale za życia parał się magią krwi. – Mars na czole Imogeny pogłębiał każdą zmarszczkę na jej twarzy. – Moim zdaniem on sądzi, że może Forest jakoś wykorzystać, na przykład do rozrzedzania rzeczywistości, żeby przekraczać granicę światów wszędzie tam, gdzie mu się zamarzy.

Trina potrząsnęła głową.

– Ona nigdy na to nie pójdzie.

– Wtedy ją zabije i spróbuje przejąć jej moc – odparła Imogena rzeczowym tonem.

Powinienem się wtedy przerazić, ale w głowie kołatała mi tylko jedna myśl: „Być może ona wciąż żyje”. Jeśli ten łajdak potrzebował jej do czegoś, to może jeszcze jej nie zabił. Moja dłoń opadła na kark Kaina, palce zagłębiły się w skołtunioną sierść.

Trina chwyciła mnie za drugą rękę, wbijając paznokcie w przegub.

– Przeszukajmy szpital.

– Nie zaszkodzi spróbować. – Głos Imogeny był chłodny jak zimowa noc. – Poszukajcie duchów, popytajcie, co wiedzą.

– Ty nie idziesz? – spytałem ją, odpychając od siebie falę niepokoju.

– Jestem zmęczona, mój chłopcze – wyznała. – Myślę, że więcej dobrego uczynię tutaj, wertując księgi.

Brzmiało to jak kłamstwo, a mówiąc to, Imogena nie patrzyła mi w oczy. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, zwróciła się do Triny.

– Co ci zostało w torbie z czarami, dziewczyno?

– Kilka proszków do spowalniania ataku – odpowiedziała Trina. – I mój wierzbowy wianek.

Skrzywiłem się na myśl o jej talizmanie. Był znacznie większy od wianków w naszych kieszeniach i przesiąknięty magią Addie. Kłopot polegał na tym, że kiedy Trina próbowała się nim posłużyć, był najczęściej tak przewidywalny jak uderzenia piorunów podczas burzy. Ta rzecz mogła nam pomóc, ale równie dobrze mogła nas pozabijać.

Trina zdawała się czytać w moich myślach.

– Lepsze to niż nic – powiedziała, wzruszając ramionami.

Nie czekając, aż uda mi się urazić ją jeszcze bardziej, gwizdnąłem na Kaina, a on podniósł na mnie swoje ogniste oczy.

– Poluj – rozkazałem.

Pies przypatrywał mi się z niedowierzaniem. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio puściłem go przed sobą, ponieważ Forest nie lubiła straszyć nawet duchów.

Po chwili Kain podwinął wargi i wywalił jęzor w paskudnej imitacji

ludzkiego uśmiechu. Przycisnął nos do posadzki i prychnął, wachając kafel, a potem skoczył do drzwi archiwum i potruchtał ku wyjściu z dzwonnicy. Trina ruszyła za nim, ale ja zostałem chwilę, aby uściskać Imogenę i pocałować ją w pomarszczony policzek. Oczy miała smutne jak deszczowe chmury, w skórze czaił się chłód, ale uśmiechnęła się do mnie.

– Idź, szukaj – powiedziała. – Znajdź tę dziewczynę i sprowadź ją tu z powrotem.

– Odnajdę ją – obiecałem.

Przekraczając próg, usłyszałem jej szept.

– Bo będzie źle.

Rozdział 36

Nadzieja ożywiła mój krok, choć wiedziałem, że najprawdopodobniej niczego nie wskóramy. Kain poprowadził nas przez park do szpitala, a potem po schodach na jeden z oddziałów.

Wiedziałem, że duch, do którego prowadzi nas pies, zapewne nie może nam pomóc, ale szansa, choć nikła, istniała.

W ciągu minionych lat Lincoln zamykał swoje drzwi na wiele rozmaitych sposobów. Teraz używano odcisków palców. Pracownik przyciskał kciuk do tabliczki przy klamce, coś brzęczało i zamek się otwierał. Ja radziłem sobie na własny sposób. Wlałem moc w głąb metalowego skrzydła, nakazując czarnej mgłę zmiękczyć substancję zamka i odciągnąć rygle. Kiedy uznałem, że zrobiłem już dość, złapałem Trinę za rękę i pociągnąłem za sobą przez próg. Kain wtoczył się za nami i potruchtał naprzód, zanim zamki zdążyły znów stwardnieć.

Ruszyliśmy za nim przez oddział pełen pacjentów. Były tam kobiety i mężczyźni, ludzie starzy i młodzi, a wszyscy krążyli po korytarzu, jakby wkrótce mieli wyjść na posiłek albo zajęcia grupowe.

Kain podbiegł prosto do młodej pacjentki o jasnych włosach, oleistej cerze i pustym spojrzeniu. Słaba srebrzysta poświata wokół niej zdradziła mi, że dziewczyna ma w sobie trochę madocowej krwi. Barghest toczący ślinę na jej stopy nie wzbudził w niej żadnych emocji, ale kiedy zobaczyła Trinę i mnie poprzez urok, jakim nas otoczyłem, zaczęła przeraźliwie krzyczeć, wskazując nas palcem i próbując wcisnąć się plecami w pomalowaną na niebiesko ścianę. Serce ścisnęło mi się na myśl, jak wściekła byłaby na mnie Forest za straszenie tej nieszczęsnicy, więc gwizdnąłem na Kaina i uniosłem obie dłonie na znak, że nie zamierzam jej skrzywdzić.

Zaczęła wrzeszczeć jeszcze głośniejsze.

Zastrzyk byłby nie od rzeczy. Forest często mi powtarzała, że zastrzyki uspokajające są bolesne, a leki sprawiają, że ludzie stają się otumanionymi i zdezorientowanymi zombie.

„Nie ma usprawiedliwienia dla straszenia ludzi, jeśli nie jest ono konieczne”.

Tak, rozumiałem to, tyle że nie za bardzo mi wychodziło *niestraszenie* ludzi, zwłaszcza kiedy w pobliżu nie było Forest trującej mi o tym bez przerwy.

Kilka chwil później dziewczynę otoczył personel szpitala. Przemawiano do

niej łagodnymi głosami, ale ona nie spuszczała oczu z Triny, Kaina i ze mnie. Stałem bezradny, jakbym zapuścił korzenie, na szczęście Trina myślała szybciej. Podeszła do dziewczyny, wślizgując się pomiędzy pielęgniarki tak zwinnie, że pewnie nawet nie poczuły powiewu.

– Nie bój się, wszystko jest w porządku – powiedziała. – Nie przyszliśmy, żeby cię skrzywdzić. Szukamy tylko pewnych ludzi.

Płacz dziewczyny przeszedł w nerwowe skamlenie, a wytrzeszczone oczy skupiły się na Trinie. Jej twarz wydała mi się zbyt pusta jak na tak duże przerażenie i pomyślałem, że biedaczka pewnie słyszy własne głosy w głowie, nawet kiedy Trina próbuje z nią rozmawiać.

Trina rzuciła mi przez ramię szybkie ostre spojrzenie.

– Nie mógłbyś pomóc jej przestać tak się bać? Użyj daru uzdrawiania, czy coś.

Potrząsnąłem głową.

– To nie działa na ludzi chorych na głowę. Uwierz mi. Próbowałem.

– Jasne. – Nie zobaczyłem zaciętej miny Triny, ale usłyszałem ją.

Dziewczyna zaskamlała głośniejsze i jedna z pielęgniarek pobiegła po lekarstwo. To znaczyło, że kończy się nam czas. Było mało prawdopodobne, że dziewczyna może powiedzieć nam coś, co pomogłoby w dotarciu do Forest, ale uparłem się, że nie stracę nadziei.

– Widziałaś dzisiaj coś niezwykłego? – spytała Trina. – No wiesz, ludzi takich jak my?

Dziewczyna wpatrywała się w nią z otwartymi ustami i dygocącym podbródkiem.

Kiedy z pokoju zabiegowego wyszła pielęgniarka ze strzykawką, Trina podjęła jeszcze jedną próbę.

– Czy dzisiaj ktoś jeszcze cię przestraszył?

Wzrok dziewczyny przeskoczył z Triny na sufit, a stamtąd na ścianę. Jej usta zamknęły się i znów otworzyły, przez krótką chwilę szczękając zębami. Nagle dziewczyna odchyliła się od pielęgniarek, które próbowały ją uspokoić, i powiedziała do Triny szeptem:

– On!

– Kto? – Trina pochyliła się niżej. – Kim on jest?

Dziewczyna wyciągnęła palec wzdłuż korytarza, w stronę załomu ściany i skrytej za nim odległej części oddziału.

– On – powtórzyła, zapamiętała kiwając głową, jakbyśmy dobrze wiedzieli, o kim mowa. – Przyszedł, kiedy trzęsły się ściany, ale myślę, że był tu już wcześniej. Wiele razy. Tylko wtedy nie mogliśmy go zobaczyć.

– Wszystko się jej miesza – orzekła Trina. – Moim zdaniem ona niczego nie wie.

– Jak on wyglądał? – spytałem dziewczynę, próbując zasłaniać sobą Kaina. Bałem się, że zauważy potwornego psa i znów zacznie krzyczeć.

Dziewczyna uniosła brwi, a potem roześmiała się i pomachała ręką przed twarzą Triny.

– Jak ona – powiedziała i zaśmiała się jeszcze raz. – Wyglądał jak ona.

Powstrzymałem się od westchnienia, wpuszczając przed siebie pielęgniarkę ze strzykawką. Dziewczyna uniosła ręce, jakby zamierzała się bronić, ale Trina pokręciła głową.

– Pozwól im sobie pomóc. Poczujesz się lepiej.

Po chwili wahania dziewczyna opuściła pięści. Pielęgniarka i kilku pomocników natychmiast przypadli do niej i zrobili zastrzyk w biodro, a ja nie miałem pojęcia, czy powinienem czuć zadowolenie, czy gniew. Wiedziałem, że dziewczyna była śmiertelnie przerażona – nami, zastrzykiem i wszystkim tym, co widziała i słyszała we własnej głowie – ale czy środek uspokajający rzeczywiście mógł jej pomóc?

Co powiedziałyby Forest?

Te myśli bolały, więc oddaliłem się, zabierając Kaina ze sobą. Trina zawahała się, ale po chwili ruszyła za mną. Skręciliśmy za róg, który wskazała nam dziewczyna, ale nie znaleźliśmy tam niczego niezwykłego. Korytarz był wyludniony, pokoje opustoszałe. Gardło piekło mnie tak bardzo, że czułem się, jakbym połknął rozgrzany gwóźdź. Wiedziałem, że dziewczynie brakuje piątej klepki, ale chyba wolałbym, żeby mówiła prawdę.

Gapiałem się w podwójne drzwi prowadzące do holu międzyoddziałowego, podczas gdy Kain obwąchiwał podłogę.

– Chodźmy najpierw na górę. Nienawidzę sutereny – powiedziała Trina.

– Mówicie, że czego szukacie? – zagrział głęboki głos za naszymi plecami.

Obróciliśmy się na pięcie w takim pośpiechu, że zderzyliśmy się ze sobą.

Blondynka z krwią Madoca w żyłach stała za nami, chwiejąc się, ponieważ zastrzyk wywołał w niej senność. Oczy miała przymknięte, a tuż za nią czuwał facet w szpitalnym kitlu, który co kilka chwil łapał ją to za łokieć, to za ramię, chroniąc przed upadkiem.

– Musisz się położyć – mówił do niej. – Chodź, odprowadzę cię.

Dziewczyna wyrwała mu się i obrzuciła go wyzwiskami. Nie mocował się z nią ani nie odpowiedział na obelgi, tylko na tyle, na ile mógł, pomagał jej ustać na nogach.

Kain wśliznął się pomiędzy mnie a dziewczynę, wydając niski gardłowy

warkot.

– Czy ten paskudny głos demona przed chwilą dobył się z tej biedaczki? – spytała Trina, mierząc wzrokiem zasypiającą na stojąco pacjentkę. – To ona się do nas odezwała?

– Tak. – Przyglądałem się podejrzliwie dziewczynie, czując ulgę, że mam ze sobą Kaina, a mój kościany sztylet wciąż tkwi przy moim pasie. – Nie brzmiała nawet jak kobieta.

Dziewczyna patrzyła na nas spod na wpół przymkniętych powiek. Zerknęła na Kaina.

– Pan jest moim światłem i zbawieniem moim. Kogóż mam się lękać? – Każde słowo brzmiało głębiej i bardziej chrapliwie od poprzedniego. – Was z pewnością nie muszę.

Jej rysy spłynęły w dół jak piasek, nadając jej surowy starczy wygląd. Na widok napięcia w jej twarzy poczułem mdłości. Coś przejmowało nad nią kontrolę, byłem tego pewien.

Dobyłem noża, a Kain zawarczał.

– Cofnij się – powiedziałem do Triny.

Zignorowała mnie. Stała z lekko uniesioną głową, jakby słuchała głosów w swojej głowie.

– Światło i zbawienie... To psalm dwudziesty siódmy – mruknęła. – Z Biblii.

Mięśnie na twarzy dziewczyny pracowały, jakby toczyła walkę o panowanie nad własnymi słowami. Przegrywała.

– Zejdźcie mi z drogi – powiedziała głosem, w którym pobrzmiwała wzgarda.

Zwracała się do Triny, która wyjęła z kieszeni wierzbowy wianek i uniosła go przed sobą.

– Zostaw! – syknęła istota wewnątrz dziewczyny.

Kain kłapnął paszczą, chlapiąc śliną. Serce załomotało mi gwałtownie. Nie wiedziałem, co przeraża mnie bardziej – opętana dziewczyna czy ten talizman.

– Pokaż się! – zażądała Trina.

Talizman nie zrobił absolutnie niczego i dziewczyna zaśmiała się – zbyt basowo i zbyt przeciągle. Nagle zakłęła i osunęła się na podłogę. Mężczyzna w kitlu złapał ją, zanim upadła, dźwignął w górę i zaczął ciągnąć w stronę jej sali, wołając o pomoc.

Trina wciąż trzymała talizman przed sobą w dygocącej ręce. Oboje patrzyliśmy, jak w sali dziewczyny znika kilka osób z personelu oddziałowego, a na końcu pielęgniarka, która starannie zamknęła drzwi za sobą. Kain

podbiegł tam i znieruchomiał z nosem przy klamce. Stał tak bardzo długo, z wyprostowanym ogonem i wysuniętym pyskiem, jak jakiś piekielny pies myśliwski wystawiający zwierzynę samemu diabłu.

Choć kilka następnych sekund upłynęło w ciszy, wciąż trzymałem uniesiony nóż, a Trina celowała talizmanem w zamknięte drzwi.

– Dlaczego ona tak dziwnie mówiła? – spytała Trina.

– Jest opętana przez ducha – odpowiedziałem.

– Opętana? – Trina uniosła wyżej rozdygotane ramię. – Znaczy jak w *Egzorcystyce*? Ani ty, ani Imogena nigdy nie wspominaliście, że duchy mogą włązić w ludzi.

– Jak to nie? Pamiętasz kapitana Jamesa? Myśleliśmy wtedy, że być może był opętany.

Trina prychnęła i przewróciła oczami.

Opuściłem nóż i wsunąłem do pochwy przy pasie. Ktoś musiał dać dobry przykład. Nie było tam nic do oglądania i już niczego nie mogliśmy się tam dowiedzieć.

W chwili, w której Trina opuściła talizman, drzwi sali dziewczyny otworzyły się z hukiem.

Trina krzyknęła. Ja też. Kain skamłając, rzucił się do ucieczki, a my odskoczyliśmy na boki przed chmurą, która buchnęła z wnętrza pomieszczenia. Kłęby czarnego oparu potoczyły się w naszą stronę, zasnuwając ściany i podłogę, pochłaniając światło.

Skoczyłem na chmurę, zanim dotarła do Triny.

Nacierająca ciemność rozplynęła się po mojej skórze. Była jak lodowata woda sodowa, szczypiąca i ziębiąca, wdzierająca mi się pod naskórek, do wnętrza ciała, do wnętrza mojego jestestwa. Krzyczałem, miotałem się, sztyjąc pięściami przez musujący opar – bez żadnego skutku. Chmura wsiąkała we mnie.

Serce chciało wyrwać mi się z piersi, ciało dygotało tak mocno, że grzechotały mi zęby. Lawina obrazów, uczuć, idei runęła na moje myśli. Próbowałem się opierać, ale atramentowe fale niezmordowanie biły w moją świadomość. Ujrzałem Trinę – zobaczyłem ją *naprawdę*. Nie wiem, jakim cudem, ale znałem ją jako małą dziewczynkę i zdawałem sobie sprawę z tego, jak długą drogę przeszła, o ileż silniejsza była teraz. Byłem zirytowany. Wściekły. Szczęśliwy. Zaskoczony. Niczego nie słyszałem, a jednak słyszałem absolutnie wszystko.

– Hańba złamała moje serce i sił mi zabrakło – powiedziały moje usta niskim, okropnym głosem. – Na współczującego czekałem, ale go nie było.

– Psalm sześćdziesiąty dziewiąty. – Trina znowu uniosła talizman, ale tym razem celowała nim we mnie. – W co ty pogrywasz, Levi?

Kain stanął naprzeciwko mnie. W jego ognistych oczach czaiła się niepewność. Obnażył zęby i zawarczał na mnie. Chciałem siłą woli nakłonić go do posłuszeństwa, ale nie mogłem skupić myśli ani wypowiedzieć własnego słowa. Wstręt i dezaprobata wzbierały mi w piersi falą grożącą wyłamaniem żeber. Te uczucia nie były moje. Chciałem krzyknąć i wyrwać z siebie to coś, co przejmowało kontrolę nade mną, ale było o wiele za silne.

„Podejdź do drzwi”.

Nie mogłem oprzeć się rozkazowi. Zataczając się i potykając, jakby grunt zapadał mi się pod nogami, ruszyłem w stronę końca korytarza. Podwójne metalowe drzwi zbliżały się chwiejnie i zbliżały, a potem rozstały niczym chłodna mgła. Postawiłem kolejny krok...

I runąłem prosto do piekła.

Rozdział 37

Uderzyłem kolanami o posadzkę, choć ręce zdążyły chwycić oparcie krzesła dla spowolnienia upadku. Eksplozja kolorów oślepiła mnie, skok ciśnienia zatkał uszy, jakby ktoś zepchnął mnie ze zbocza góry. Szukałem Triny w swoim umyśle i próbowałem dosięgnąć zmysłami Imogeny, ale były daleko i zamknięte przede mną.

Duch we mnie poderwał mnie na nogi i nagle stanąłem twarzą w twarz ze starszą panią w różowej podomce i bamboszach. Pełzały po niej setki maleńkich czarnych chrząszczy. Może miliony. Kobieta krzyczała i zdrapywała je z siebie, brocząc krwią, która plamiła rozbiegane nóżki i pancerzyki.

Wnętrznosci skręciły mi się w supeł. Chciałem wyciągnąć rękę i strzepnąć insekty z kobiety, ale moje palce pozostały wczepione kurczowo w drewniany szczebel oparcia krzesła. Głowa sama obróciła mi się w lewo, w stronę pacjenta siedzącego na krześle przy drzwiach. Wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia lat, miał gęste brązowe włosy i brodę.

– Nie ukryjesz się! – zagrzmiął głos spod stropu i chłopak skulił się gwałtownie.

Sufit zasyczał na niego, a potem zaczął mamrotać wieloma różnymi głosami, ale nie byłem w stanie rozróżnić słów. Chłopak wpatrywał się w swoje stopy z zastygłą maską grozy na twarzy.

Puściłem krzesło i odwróciłem się w stronę starszego mężczyzny o włosach przystrzyżonych na jeża i wielkich wytrzeszczonych oczach. Mężczyzna drobił pośpiesznie w stronę czarnej ściany wznoszącej się na środku korytarza. Ściana była zwiewna, nierzeczywista, a kiedy do niej dotarł, zawrócił i ruszył w stronę drugiej ściany, takiej samej jak pierwsza. Z czerni wyłaniały się twarze, jęczące i powykęcane, z czarnymi otworami zamiast oczu. Mężczyzna starał się nie patrzeć na nie, ale za każdym razem, kiedy spojrzął, dławił się szlochem i przyśpieszał.

– Nie ukryjesz się! – ryczał sufit. – Idą po ciebie. Rozumiesz? Przed nimi nie można uciec. Już po tobie!

Krzyki sufitu utonęły w szeleszczącym drapaniu robactwa i mógłbym przysiąc, że słyszę, jak żuki coś pożerają. Mój wzrok przeniósł się z powrotem na kobietę, którą atakowały. Krew kapiała jej z koniuszków palców, tworząc kałużę wokół jej pokrytych chrząszczami stóp.

Gdybym mógł zatkać uszy i zacisnąć powieki, zrobiłbym to już dawno.

Moje ciało pochyliło się naprzód, stawiając krok i o włos mijając czarną ścianę twarzy. Ze smolistej otchłani wychyły ku mnie ręce, palce o centymetry mijaly mój nos. Postawiłem drugi krok, a potem trzeci i czwarty, aż wreszcie stanąłem naprzeciw bardzo leciwej damy. Jej rozpuszczone siwe włosy błyszczały od potu, ona sama zaś płała w tańcu, zataczając małe kółka w takt brzękliwej melodyjki, która rozlegała się wokół niej. Wydawała się nieobecna, staroświecka i wyglądała tak smutno, że na jej widok zbierało mi się na płacz.

Ruszyłem dalej wzdłuż korytarza, nie panując nad żadnym mięśnieniem własnego ciała. Po prawej stronie mężczyzna w średnim wieku w poplamionych farbą dzinsach zaciskał pięści i wymierzał rozpaczliwe ciosy nietoperzom atakującym go spod sufitu. Po lewej młody chłopak wsłuchiwał się w szepty przekonujące go, że jest bogaty i sławny. Śmiał się i kiwał głową, aż dziewczyna na krześle dwa metry dalej krzyknęła na niego, żeby się wreszcie zamknął, po czym wróciła do tłumaczenia czegoś czarnemu cieniowi unoszącemu się obok niej. Cień powiedział coś o wymordowaniu jej rodziny i pogroził jej pięścią, a wtedy się rozplakała.

– Jak śmiesz ignorować ich cierpienie? – zapytał głos w mojej głowie. – Spójrz na ich mękę i ulżyj im!

Wkroczyłem bez mapy w krainę obłędu i nie miałem pojęcia, w którą stronę skręcić. Nie mogłem skupić się na niczym oprócz zrozpaczonych i przerażonych ludzi wokół mnie. Nie wiedziałem, czego chce ode mnie głos, więc po prostu szedłem dalej, słuchając poleceń, które bardziej czułem, niż słyszałem.

Moja głowa zwróciła się w lewo i ujrzałem ludzi w salach i korytarzach, niewyraźne sylwetki, całe tłumy cieni. Byli upakowani ciasno jak polana w sągu drewna, a kiedy spojrzałem w ich udręczone oczy, zobaczyłem, że są chorzy. Wszyscy. Rzucili się na mnie, łapiąc za koszulę, z czarnymi ustami rozdziawionymi w niemym krzyku.

Kolejne drzwi pojawiły się jakby znikąd i wpadłem przez nie na opuszczony oddział. Nocne lampy przy podłodze zamigotały i zgasły, pogrążając korytarz w ciemności. Puls tętnił mi w uszach. Moje oczy krwawiły łzami, które rozpryskiwały się na płytkach posadzki. Czułem się tak, jakby coś rwało mi duszę na strzępy. Przez kilka strasznych chwil byłem pewien, że idą po mnie chmary chrząszczy, a z nimi duchy i nietoperze, twarze i krzyczące sufity.

– Jak śmiesz ignorować ich cierpienie? – spytał głos jeszcze raz, głośniejsze.

Miał w sobie tyle słusznego gniewu, że chciałem zakryć głowę rękami.

– Proszę – zdołałem wykrztusić. – Wypuść mnie.

– Oni także błagają o wolność, ci nieszczęśnicy. – Głos w mojej głowie

z całą pewnością należał do mężczyzny, i to wściekłego. – Błagają o zmiłowanie, a ty nie robisz niczego! Ty, z całą swoją mocą! Czy póki wciąż żyją, nic dla ciebie nie znaczą?

– Gdybym tylko mógł im pomóc, zrobiłbym to. – Moje słowa brzmiały bełkotliwie i pusto. – Próbowałem.

Odraza i gniew przeniknęły moje kości na wskroś.

– Łzesz!

Tym razem moje usta odmówiły mi posłuszeństwa. Niezdolny wyjaśnić cokolwiek słowami, przywołałem z pamięci obraz pierwszej chorej osoby, którą Imogena i ja próbowaliśmy uzdrowić w Lincolnie. To był dzieciak, dziewięcioletni chłopiec. Uprzedziła mnie, że niczego nie wskóram, ale ja chciałem spróbować, a ona wiedziała, że muszę to zrobić, bo inaczej się nie nauczę.

Odtworzyłem w umyśle wszystko: jak posłaliśmy w niego naszą uzdrawiającą moc, jak starałem się poskładać jego potrzaskane myśli i uciszyć głosy, które słyszał. Pokazałem istocie w mojej głowie, jak uzdrawianie spaliło na panewce, jak chłopiec krzyczał, kiedy ciało odrywało mu się od kości, nie pozostawiając niczego prócz duszy do przeprowadzenia na tamtą stronę.

W kąciakach oczu zbierały mi się łzy.

– Widzisz? Tego nie można naprawić. Kiedy spróbowałem, moja moc uzdrowiła go w sposób zgodny z jej przeznaczeniem: przeprawiając na tamtą stronę.

Duch nie odpowiadał, ale czułem jego gniew.

– Potem spróbowaliśmy jeszcze raz, z dorosłym, sądząc, że może tym razem dopisze nam szczęście, zwłaszcza jeśli połączymy siły.

Wyciskałem z siebie słowa z tak wielkim trudem, że zgiąłem się wół w ciemności, łapiąc za brzuch, jakby miał zaraz pęknąć. Czułem jednak, że istota w mojej głowie domyśla się dalszego ciągu opowieści.

– Ten człowiek umarł.

– Tak.

– Chcesz powiedzieć, że twoja moc uzdrawiania jest bezsilna wobec chorób umysłowych?

– Potrafimy naprawiać ciało, nie umysł.

Skurcz w moich trzewiach zelżał nieznacznie. Ostrożnie spróbowałem się wyprostować.

– Zabijanie chorych psychicznie nie wydawało się nam słuszne, więc zaprzestaliśmy prób ich uzdrawiania.

Nowe uczucie zakiełkowało mi w piersi, coś na kształt niechętnego

zrozumienia, może nawet zgody. Uścisk na moim jestestwie osłabł jeszcze bardziej i utrzymanie równowagi stało się łatwiejsze.

– A co z zagubionymi duszami uwięzionymi w tych murach?

– Nie wiedziałem, że jest ich aż tyle – odpowiedziałem. – Imogena mówiła mi o nich, ale sam nie mogę ich zobaczyć. Nie tak wyraźnie. Jeśli duch nie ma w sobie choćby krzty Madoca, muszę korzystać z pomocy psów albo Imogeny.

Poczułem coś w rodzaju nadziei. Nie była moja, ale pomyślałem, że wiem, czego istota w mojej głowie zażąda ode mnie.

– Jeśli kiedykolwiek nauczę się widzieć tak dobrze jak Imogena, zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby im pomóc.

Następne uczucie, jakie mną owładnęło, było zbliżone do kapitulacji. Nie wiedziałem, czy powinienem być wdzięczny, czy się gniewać, ale nie było mi dane wybrać.

Rozdział 38

Nie zdążyłem spytać istoty w mojej głowie, kim jest i czego ode mnie chce, ponieważ na oddział wparowała Imogena, ciągnąc za rękę Trinę. Kain przeskoczył przez próg tuż za nimi. Zanim metalowe drzwi zdążyły zamknąć się i zastygnąć, Trina przyskoczyła do mnie, wyciągając przed siebie wierzbowy wianek, który przycisnęła mi płasko do piersi.

Wytrzeszczyłem oczy ze zgrozy, podczas gdy Kain skamłając, skrobał łapami moje stopy.

To, że nie wybuchłem od dotyku talizmanu, zaskoczyło mnie. Drewno było chłodne i nieruchome – przynajmniej do chwili, w której Trina powiedziała coś po łacinie. Spojrzała mi głęboko w oczy, a splecione witki poraziły mnie nagle jak defibrylator.

– Mówię poważnie, tato – powiedziała. – Wyłaż z Leviego, i to już!

Zebrałem się w sobie przeciwko tej wiedźmowej mocy płynącej huczącym strumieniem z talizmanu prosto do mojej piersi.

„Tato?” – pomyślałem. „Och... tylko nie to. Nie ma mowy! Nie. Ma. Mo. Wy”.

Mój mózg odmówił przetworzenia tej informacji, więc przestałem próbować.

– Nie musisz mi grozić – powiedziały moje usta, podczas gdy kości usiłowały wyrwać mi się z ciała, a świadomość migotała wraz z lampami. – Idę.

Poczuwszy pod palcami sierść Kaina, wczepiłem się w nią kurczowo. Pot wystąpił mi na czoło i kark. Chciałem wytrącić Trinie talizman z dłoni. Nie wierzyłem, że wytrzymam, ale to działało. Jak jakiś niematerialny nóż moc wycięła czarną chmurę z mojego wnętrza, aż zawisła skłębiona między nami.

Trina opuściła talizman.

Imogena chwyciła mnie za łokieć i podtrzymała, bym nie upadł na ziemię. Czekałem, aż Trina zaatakuje chmurę, ale ona po prostu stała z opuszczonymi rękami, patrząc na skrzącą się kulę ciemności. Kain zawarczał cicho i wiedziałem, że tak jak ja rozważa, czy powinien skoczyć na ducha i rozszarpać go na kawałki, ale coś w minie Triny powstrzymało nas.

– Możesz śmiało przybrać swoją zwykłą postać. – Z kącika oka Triny stoczyła się łza, ale jej głos zachował siłę. – Wszyscy dobrze wiemy, kim jesteś.

Chmura zakłębila się gwałtowniej, po czym powoli rozciągnęła w kształt

wysokiego mężczyzny w czarnych spodniach od garnitury i krawacie. Gapiłem się na jego wielkie dłonie, wspominając noże, którymi kiedyś zakłuły mnie na śmierć. Jego łysa głowa i gładka ciemna skóra wydawały się niemal materialne, choć wciąż trochę prześwitywały.

„Widmo” – pomyślałem, ponieważ był silny, ale nie miał w sobie krwi Madoca. Nawet jako duch Xavier Martinez miał groźne oczy, czarne jak dwa węgle.

Mój morderca wdarł się do mojego ciała. Ta myśl przeszła mnie zimnym dreszczem i rozpałała mój gniew. Wyrwałem się z uścisku Imogeny i dobyłem kościanego noża, zastanawiając się, czy zdołam go zranić.

Pastor zdawał się mnie wcale nie zauważać. Patrzył na swoją córkę i coś na kształt uśmiechu igrało na jego ustach.

– Wyrosłaś na piękną pannę, moja mała.

Usta Triny zacisnęły się, jakby z najwyższym trudem powstrzymywała się od wybuchnięcia szlochem. Widziałem, że chce mu powiedzieć sto rzeczy i spytać o sto kolejnych, wiedziała jednak, że nie mamy na to czasu, jeżeli chcemy ocalić Dariusza, Forest i Addie.

– Jak długo tu jesteś? – zdołała wyszeptać do pozostałości jej ojca.

– Nie mam pojęcia. – Pastor rozejrzał się po korytarzu. – W tym miejscu czas nie jest godny zaufania. Ale dziś doszło do zaburzenia i zebrałem dość energii, aby podjąć działanie.

– Kiedy zamknęły się rozrzedzenia, tamta strona musiała stracić kontakt i swoją władzę nad nim.

Trina wzięła kilka szybkich wdechów, wciąż walcząc ze swoimi uczuciami.

– Addie ma kłopoty – oznajmiła, przechodząc do sedna sprawy. – Jest uwięziona po tamtej stronie, tak samo jak Dariusz i Forest. Porwał ich upiór seryjnego mordercy.

Pastor przeniósł płonące spojrzenie na mnie.

– Nie możesz ruszyć za nimi?

Potrząsnąłem głową.

– Forest zamknęła rozrzedzenia.

Pastor Martinez zastanawiał się nad tym przez chwilę i w jego oczach dostrzegłem przynajmniej częściowe zrozumienie dla logiki Forest. Owszem, zdarzyła się rzecz straszna, ale w ostatecznym rozrachunku świat był bezpieczniejszy bez mostów między światami.

– Może to i lepiej. – Zupełnie jakby chciał mi powiedzieć, że powinienem zostawić sprawy własnemu biegowi.

– Nie – powiedziałem, zaciskając palce na rękojeści noża. – Znajdę sposób

na ściągnięcie ich z powrotem.

– Myślisz, że on ich zabije? – spytał pastor głosem kompletnie wypranym z uczuć. – Ten morderca? Myślisz, że po to ich zabrał?

Rozpacz wybuchła w moim sercu, na twarzy Triny i w spojrzeniu Imogeny. Zamknąłem oczy i szepnąłem:

– Nie wiem.

– Nie okłamuj mnie, chłopcze!

Rzuciłem mu gniewne spojrzenie.

– Tak! On ich zabije. Być może już to zrobił.

Ból, jaki sprawiło mi wypowiedzenie tych słów, omal mnie nie złamał. Każda cząstka mojego umysłu i serca krzyczała za Forest. Jedyne, czego pragnąłem, to mieć ją przy sobie. Musiałem ją zobaczyć. Nie mogła nie żyć. Nigdy bym w to nie uwierzył.

Pastor przyglądał mi się przez chwilę i dostrzegłem moment, w którym uznał, że nie jestem w stanie zrobić niczego, aby ocalić tych, których kocham. Nie wierzył, że w ogóle mógłbym w czymkolwiek pomóc.

Gorący impuls przeszył mi mięśnie. Nadszedł czas, aby ten głupiec pojął, co potrafię – co sprawiła moja śmierć, kiedy on zamordował mnie, a Imogena sprowadziła z powrotem z tamtej strony. Schowałem nóż i wyprostowałem się, rosnąc, w miarę jak pozbywałem się tej odrobiny uroku maskującego, którą zwykle trzymałem na sobie, nawet kiedy nie musiałem być niewidzialny dla większości ludzi.

– Zabiłeś mnie. Jesteś mi coś winien za to i za każdego madoca, którego zamordowałeś, chociaż nie powinien umrzeć.

Cichy okrzyk Triny zabolął mnie, ale gniew dodawał mi sił.

– Niczego nie jestem ci winien... – zaczął pastor, ale przerwałem mu, wytrzymując jego ogniste spojrzenie.

– Pomóż mi przejść na tamtą stronę. – Moje słowa poniosły się echem wzdłuż korytarza, brzmiąc coraz niżej i głośniejsz z każdą odrobiną uroku, którą odrzucałem. – Może wtedy rozważę, czy chcę ci wybaczyć.

– Nie masz takiej władzy, aby cokolwiek mi wybaczyć, chłopcze.

Moja furia uszła w długim niskim warkocie, który postawił Kaina obok mnie w pełnej gotowości bojowej. Przepędziłem resztę uroku ze wszystkich miejsc, w których jeszcze zalegał, i usłyszałem okrzyk, jaki Trina wydała na widok prawdziwej postaci Kaina. Zawisłem nad widmem Xaviera Martinez, o prawie pół metra wyższy od niego. Moja skóra jarzyła się światłem, które dostałem od Imogeny, kiedy przywracała mi życie.

Kaznodzieja błędził wzrokiem po mojej twarzy i wiedziałem, że przerażają

go moje tatuaże – krwawe łyzy pod okiem znaczące mnie od momentu, kiedy po raz pierwszy zaczerpnąłem tchu po jego zbrodni. W chwilach takich jak ta, kiedy wypełniały mnie potężne uczucia, tatuaże broczyły krwią – powoli, jednostajnie. Powietrze wokół mnie zaskwierczało elektrycznymi trzaskami i miałem wrażenie, że Lincoln budzi się do życia.

Szpital spojrzał na mnie.

Poczułem żar ognia płonącego w moich oczach i w oczach Kaina.

– Urodziłem się tutaj, tak jak Imogena – powiedziałem, a z moich ramion i rąk spływała czarna mgła; opar, który mógł leczyć albo zabijać, zawisł w powietrzu wokół mnie. – To miejsce jest pod *moją* opieką, od tych murów przez dzwonnice i drzewa w parku aż po ogrodzenie. Wyrządziłeś zło na *moim* terenie, pastorze, i ja będę cię sądził, zaś Imogena i Lincoln wesprą mnie, jeżeli postanowisz mi się sprzeciwić.

Pastorowi opadła szczeka, ale się nie odezwał.

– I jeszcze jedno – powiedziałem. – Nigdy więcej nie mów do mnie „chłopcze”.

Dlaczego pozwoliłem, żeby taki facet mnie zabił? Dlaczego pozwoliłem mu się opętać? To było głupie i wiedziałem, że nigdy się nie powtórzy. On też to wiedział.

Po kilku sekundach ciszę przerwał pastor.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc – oznajmił – ale pod warunkiem, że nie zabierzesz Triny ze... ze świata, który znam. Nie chcę, żeby znów znalazła się po tamtej stronie.

– Zgoda.

Gdzieś za mną Trina prychnęła gniewnie i powiedziała:

– Chyba mam prawo głosu, nie?

– Nie. – Pastor Martinez i ja odpowiedzieliśmy jednocześnie, ale prawdopodobnie najbardziej bolało ją to, czego nie powiedzieliśmy.

Już raz poprosiliśmy bliskie nam kobiety, aby nie podejmowały ryzyka, ale one nas zignorowały. Trina trafiła wówczas na tamtą stronę, straciła wiele lat i już nigdy nie zobaczyła swojego ojca za jego życia.

Przygasiłem swoją moc i zwróciłem się do dziewczyny.

– Trina, proszę. Możesz pomóc mi szukać, ale kiedy przyjdzie czas, walkę z Harpe'ami pozostaw mnie. Będę walczył skuteczniej, jeśli nie będę musiał martwić się o ciebie.

Nie była to cała prawda i ona o tym wiedziała, podobnie jak pastor. Jej bezpieczeństwo było dla mnie ważne, bez dwóch zdań, ale bałem się też tego, czego jej wiedźmińska moc mogła dokonać po tamtej stronie, gdyby wyrwała

się spod kontroli. Jeśli Forest, Dariusz i Addie wciąż żyli, zamiast ich ocalić, Trina mogłaby ich pozabijać.

– Zrobię wszystko, żeby sprowadzić Dariusza i Addie z powrotem – powiedziałem jej. – Znajdę sposób. Obiecuję.

Trina przełknęła ślinę, ale zaniechała sporu.

Dobre maniery, w których stosowaniu Forest niestrudzenie mnie musztrowała, kazały mi podziękować, po czym przeniósłem uwagę na pastora.

– Czy byłeś kiedyś po tamtej stronie? Otarłeś się chociaż o nią?

Kaznodzieja zmarszczył brwi, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

– Widziałem jej przebłysk, ale to było trochę jak oglądanie filmu. Myślę, że mogłem patrzeć na nią przez długi czas, ale nigdy nie wszedłem do środka. Czy to, co mówię, ma jakiś sens? Przez cały czas bardzo starałem się wrócić tutaj, do Triny, pomóc jej.

To miało sens. Pastor trwał w jednym z rozrzedzeń i pewnie wypadł z niego w chwili, kiedy Forest wszystkie zamknęła. Albo może tuż potem.

„Proszę, niech to będzie potem”.

– Pokażesz mi, gdzie widziałeś ten film?

Twarz pastora znów nabrała wyrazu skupienia, jakby wydobywał coś z najdalszych głębin pamięci.

– To pod nami – powiedział po chwili. – Musisz zejść na sam dół.

– Świetnie – burknęła Trina. – Mogłam się domyślić, bo nienawidzę tej sutereny do szpiku kości.

Wyciągnąłem rękę, aby ująć dłoń Imogeny, ale ona potrząsnęła głową.

– Nie mogę, chłopcze, przykro mi. Wracam do dzwonnicy.

Zaczerpnęła tchu i w powietrzu zawisło coś niedopowiedzianego. Zaniepokoiłem się. Spojrzałem na Trinę, która wyglądała na równie zdenerwowaną jak ja, a potem znów na Imogenę. Po raz pierwszy, odkąd wraz z Triną wyrwała mnie z mocy pastora, przyjrzałem się jej uważnie. Była blada jak papier i wydawała się znacznie szczuplejsza, niż powinna być.

Poczułem, że miękną mi kolana. Imogena poklepała mnie po ramieniu.

– Wiedziałeś przecież, że ten moment nadejdzie, i to od bardzo dawna. Jestem jak stara bateria, w której kończy się prąd. Nie ja decyduję, kiedy zgaśnie moje światło, i ty także nie.

– Nie. – To było wszystko, co zdołałem wykrztusić.

Smutek tej rozmowy był dla mnie nie do zniesienia. Imogena nauczyła mnie wszystkiego, co miałem robić, kiedy jej zabraknie, traciła moc i wiedziałem, że kiedyś będę musiał ją zastąpić. Nie sądziłem jednak, że stanie się to tak szybko.

Nie mogłem... Ona nie...

– Chłopcze, możesz stać tu i biadać nad naturalnym biegiem rzeczy albo możesz ruszyć na ratunek swojej dziewczynie i przyjaciołom.

W całej postaci Imogeny tylko jej uśmiech zachował pełnię swojej siły.

– Ja w każdym razie wracam do moich książek.

– Będziesz tam, kiedy wrócimy? – Pytanie zabrzmiało tak, jakby zadane zostało przez nieszczęśliwe dziecko, ale nic nie mogłem na to poradzić.

– Może – odpowiedziała po chwili. – Jeśli się pośpieszysz.

Rozdział 39

Trina, Kain i ja zeszliśmy po trzech ciągach schodów, podążając za widmem w absolutną ciemność sutereny. Znów przywdziałem część mojego uroku maskującego, aby nie straszyć Triny swoim widokiem. Choć cieszyła się ze spotkania z ojcem, wciąż wydawała się niebezpiecznie bliska załamania nerwowego z powodu Dariusza. Jeśli chodzi o mnie i moje uczucia wobec Forest, wobec Imogeny...

Nie mogłem sobie na nie pozwolić.

Założyłem sobie emocjonalną blokadę.

Zeszliśmy do głównego holu sutereny. Trina kroczyła obok mnie w ciemności, milcząca jak płyta nagrobna. Jej oczy podążały za duchem ojca, który był jedynym strzępkiem nadziei, jaki mieliśmy. Rękę trzymała w kieszeni i domyślałem się, że w dłoni ściska wierzbowy wianek.

Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że nie idziemy przez suterene, jaką pamiętałem, z gabinetami, stołówką i magazynami. To miejsce tchnęło osobliwym życiem, jakiego dotąd nie znałem, a jednak nie wyczuwałem w nim żadnej innej mocy prócz własnej. Nie czułem też woni pleśni, chloru, formaliny ani mieszanki zapachów potpourri, odświeżacza do dywanów i miętowego aromatu z automatycznych dyfuzorów, od którego zawsze drapało mnie w gardle. Ściany przemieniły się w cienie wybrzuszone się ku nam, kiedy je mijaliśmy. Nie dobiegały do nas żadne krzyki i jęki pacjentów na górze. Nic nie bulgotało i nie dzwoniło w rurach. Nie szumiała wentylacja. Nigdy przedtem nie słyszałem w szpitalu tak absolutnej ciszy.

Znów miałem wrażenie, że jesteśmy obserwowani.

Oprócz rytmu naszych oddechów, splecionego z miękkim klaskaniem kroków na posadzce, nienaturalną ciszę burzyły tylko co jakiś czas odgłosy kapiącej wody niosące się echem w mroku. Dotarliśmy do załomu korytarza i skręciliśmy. Chwilę później skręciliśmy jeszcze raz. Mijały minuty. Kolejne minuty. Ciemność zdawała się coraz ciemniejsza.

Na następnym skrzyżowaniu migotliwa postać pastora Martineza zawahała się.

– Coś się nie zgadza... – wyszeptało widmo, a Kain przysiadł u jego stóp. – Nic tutaj nie wydaje mi się znajome.

Trina objęła się ramionami i westchnęła.

Odruchowo położyłem dłoń na kamiennej ścianie – i podskoczyłem.

Kamienie powinny być zimne, ale promieniowały ciepłem jak żywe ciało. Wąty, miarowy rytm zapulsował mi pod dłonią i opuszkami palców. Szybko cofnąłem rękę. Mięśnie stężały mi w gotowości do walki lub ucieczki, a umysł próbował odrzucić to, w co nie mogłem uwierzyć.

– Co się stało? – spytała Trina, w ciszy zniżając głos niemal do szeptu.

– Lincoln... – zająknąłem się, nie bardzo wiedząc, co chcę powiedzieć. – On... Ten szpital... Ściany...

Trina przyłożyła dłoń do ściany i po sekundzie jej oczy rozszerzyły się ze strachu.

– Levi, tam bije serce.

– Nie może być – powiedział duch pastora, ale sam zamilkł, zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć.

Oto my: widmo kaznodziei wiodące wiedźmę, barghesta i faceta, który powstał z martwych przez korytarze zbyt ciemne, aby mogły być rzeczywiste. Słowo „niemożliwe” nie miało tu racji bytu.

Wiedziałem, że stary szpital miewa coś w rodzaju dziwnych przebłysków świadomości. To ja powiedziałem Forest, że Lincoln żyje, że nasiąkał szaleństwem przez wiele lat. Ale przecież nie miałem na myśli czegoś takiego!

„To w końcu jak, stary dom wariatów jest po naszej stronie czy nie?”

Na myśl o ponownym dotknięciu tej ściany mój oddech stał się płytki i przyśpieszony. Zganiłem się w duchu za tchórzostwo, a potem przypomniałem sobie, że Forest jest warta wszystkiego, co muszę znieść w drodze do niej, nawet spotkania z nawiedzonym szpitalem, który obudził się do życia.

Zacisnąłem szczęki i położyłem dłoń na kamieniach.

Wznosiły się i opadały pod moimi palcami.

Oddychały.

„Tylko spokojnie”. Zadarłem głowę i zajrzałem głęboko w mrok kamieni, skupiając się całym sobą na pulsowaniu w ich wnętrzu.

– Pomóż mi, proszę – powiedziałem do murów, do szpitala. – Musimy przedostać się na tamtą stronę, ale nie możemy znaleźć rozrzedzenia. Czy nas poprowadzisz?

Kamienie wybrzuszyły się i opadły pod moją dłonią raz, potem drugi. Za trzecim było to raczej westchnienie niż oddech i daleko w głębi korytarza po lewej stronie zamigotały i rozjarzyły się świetlówki.

– To pomoc czy jakaś diabelska sztuczka? – spytał pastor Martinez, wpatrując się w światło.

– Nic więcej nie mamy – zauważyłem. – To i tak więcej, niż mieliśmy

jeszcze przed chwilą.

– To nie w porządku – powiedziała Trina głosem tak drżącym, że duch jej ojca odwrócił się i wyciągnął do niej rękę.

Palce widma przeniknęły przez jej łokieć i Trina wzdrygnęła się, ale jej twarz rozjaśnił uśmiech. Brzmiała, jak ktoś znacznie młodszy, kiedy powiedziała:

– Tatku...

– Chodźmy – ponagliłem. – Czas ucieka.

Gwizdnąłem na Kaina i ruszyłem w stronę wylotu rozświetlonego korytarza, nie czekając, by przekonać się, czy zaprotestują. Po chwili usłyszałem, że idą za mną.

Mijając kratę magazynu noszy i wózków, poczułem w piersi falę gorąca. To tutaj już raz straciłem Forest, kiedy zniknęła po tamtej stronie na lata, próbując zabić upiora chłopczyka mordercy. Czy szpital mi pomógł, czy raczej próbował pokrzyżować mi plany?

Może nie należało ufać czemuś, czego się nie rozumiało. Zawróciłem i ruszyłem w stronę Triny i pastora, zamierzając wrócić drogą, którą przybyłem, ale głuchy rumor dobiegający spod posadzki zatrzymał mnie w pół kroku.

Kain zawarczał, a ja odwróciłem się powoli, wpatrując w pokrywę otworu ściekowego w podłodze – metalową, okrągłą, o średnicy ciut większej od piłki tenisowej. Światło nad odpływem rozjarzyło się mocniej i pod pokrywą znów coś zagrzechotało. Przytrzymujące ją śruby zaczęły się obracać. Trina i pastor cofnęli się o kilka kroków.

Dobrym noża w chwili, kiedy pokrywa drgnęła, a potem odsunęła się na bok. Z otworu wystrzelił język i zaraz znikł. Ścisnąłem mocniej rękojeść, a Kain sprężył się do skoku obok mnie. Z odpływu wychynął szeroki tępy pysk, czerwony jak płomień i przytwierdzony do płaskiego trójkątnego łba.

Wąż zaczął wypełzać z dziury, wylewając lśniące cielsko na posadzkę centymetr po centymetrze. Był pomarańczowo-czerwony z zygzakowatym wzorem na grzbiecie, tak jaskrawym, że zdawał się jarzyć światłem.

– Zabij to – zażądał pastor tonem pełnym odrazy.

Już miałem ciąć bestię nożem, kiedy Trina powiedziała:

– To tylko wąż zbożowy. Nie jest jadowity. Żywi się szczurami i myszami. Nie wszystko, co pełza, musi być złe.

Pomyślałem, że Forest broniłaby węża w taki sam sposób.

Z mokrym cmoknięciem gad wyrwał ogon z rury i rozciągnął się między otworem a framugą drzwi prowadzących do korytarza. Z dziury wypełził

kolejny wąż, który dołączył do pierwszego, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, każdy czerwiejszy od poprzedniego, aż utworzyły kłębiącą się łuskowatą barykadę pomiędzy miejscem, gdzie stałem, a korytarzem, w który zamierzałem wejść.

Kain cofnął się, popiskując cicho.

– Bo wysyłam przeciw wam węże jadowite, na które nie ma zaklęcia – zagrział pastor Martinez.

– Ta twoja Biblia jest taka krzepiąca – odparowałem z przekąsem.

Przysięgam, że pastor zachichotał.

– Odrobina strachu dobrze robi duszy – stwierdził.

– Chyba twojej – mruknęła Trina. – Levi, wydaje mi się, że nie powinniśmy iść tędy, chyba że chcesz posiekać trochę węży, które nic do ciebie nie mają.

Światło na korytarzu zgasło, skrywając węże w ciemności. Natychmiast schyliłem się, sięgając nożem ku moim stopom, ale nie wyczułem żadnych łuskowatych ciał. Czubek noża stuknął o kafel posadzki, a wtedy – jak na żądanie – światło w korytarzu za mną znowu się zapaliło, dzięki czemu mogłem dostrzec, że gady nie ruszyły się z miejsca.

Oddychałem ciut głośniejszy, niż pozwalała mi na to moja duma. Powoli wyprostowałem się i uniosłem nóż ponad głowę, jakbym salutował. Zdało mi się, że ściany rozsunęły się nieznacznie i zaraz zsunęły na powrót, a słysząc dobiegające z oddali głuchoe tum-tum-tum niesamowitego pulsu, przełknąłem powoli ślinę.

Schowałem nóż i odwróciwszy się od węży, poprowadziłem grupę w stronę, w którą zdawał się kierować nas szpital. Weszliśmy w oświetlony korytarz, a kiedy dotarliśmy do końca, jego lampy nagle zgasły, za to po chwili w wylocie następnego korytarza zapłonęła świetlówka.

Z całą pewnością byliśmy prowadzeni.

Pytanie brzmiało: dokąd?

I co nas czeka, kiedy już dotrzemy do celu?

Rozdział 40

– To tutaj – powiedział pastor Martinez, kiedy zapalające się i gasnące światła zaprowadziły nas do długiego korytarza, który rozpoznawałem.

Jego palec wskazywał długi pas posadzki biegnący obok drzwi stołówki, gdzie po raz pierwszy ujrzałem Forest, aż do magazynu, w którym przechowywano ubrania dla pacjentów Lincolna.

Serce rozboleło mnie na wspomnienie jej głosu.

„Stać! Ty z tymi psami, zostaw go! Hej! Ty w płaszczu. Do ciebie mówię!”.

Całkiem mnie wtedy zaskoczyła; spytała o imię, a ja odpowiedziałem. Wzięła mnie za pacjenta. Nie było to może najromantyczniejsze spotkanie pod słońcem, ale lepsze takie niż żadne.

– Levi? – głos Triny dobiegł do mnie jakby z wielkiej dali i uświadomiłem sobie, że stoję w ciemności z dłonią na tabliczce magazynu odzieży.

Drzwi wyróżniała kreska białego blasku – jedyne światło przełamujące absolutną czerń korytarza. To mogło oznaczać tylko jedno.

Mieliśmy wejść do środka.

Rozrzedzenie substancji drewnianych drzwi, wpuszczenie Kaina i pociągnięcie Triny za sobą zajęło mi tylko kilka sekund. Duch pastora Martineza wszedł za nami bez trudu.

Nie wiem, czego się spodziewałem – może migającego neonu ze strzałką i napisem rozrzedzenie albo jakiegoś ducha, który potrafiłby rozcieńczyć rzeczywistość – ale tym, co znaleźliśmy, były ciuchy. Mnóstwo ciuchów. Całe sterty T-shirtów, skarpet, bluz, staników, majtek, sukienek i spodni. Kain obwąchał stojący na środku pokoju wieszak z kilkoma garniturami i sukienkami lepszej jakości. Pachniało perfumami i płynem do płukania tkanin.

Serce zamarło mi w piersi.

Rozglądałem się wokół siebie, tak samo jak Trina i pastor. Przesunąłem nawet palcami po grubej warstwie akrylowej farby, którą pomalowano ścianę z pustaków zamykającą tylną część pomieszczenia.

Nic.

Nie czułem nawet oddechu i pulsu kamiennych ścian korytarzy.

„Forest złapała Deckera właśnie tutaj, w tych drzwiach. Złapała go za kostki i wyciągnęła z powrotem na korytarz. A potem oparzyła mnie bransoletką”. To była chwila zaskoczenia, dezorientacji... i zachwytu, kiedy po

raz pierwszy ujrzałem ją w pełni.

„Forest...”.

Dłonie zwinęły mi się w pięści. Chciałem walić nimi w pustaki, wyrąbać sobie przejście na drugą stronę. Pod wpływem nagłego impulsu wyrwałem zza pasa nóż, poszedłem na koniec magazynu i dźgnąłem ścianę. Nic się nie wydarzyło. Ściana chrupnęła pod ciosem i usłyszałem przyciszone głosy Triny i pastora. Impet uderzenia poraził mi ramię bólem.

– Levi! – krzyknęła Trina wciąż jakby z oddali, ale ja już zamachnąłem się po raz drugi.

Tym razem wlałem w kościane ostrze odrobinę mocy i nóż wszedł w ścianę jak w masło. Odłamy betonu i zaprawy spadły na podłogę, wzniecając chmurę pyłu.

Przeniknął mnie chłodny powiew i pastor Martinez wpłynął pomiędzy mnie a ścianę. Uniósł dłoń, aby mnie powstrzymać, ale nóż spadał już po raz trzeci i klinga rozplatała go od ramienia po biodro. Pastor spojrzał na siebie rozszerzonymi oczami i zaczął rozpląwać się w powietrzu.

– Tato! – wrzasnęła Trina. – O, Boże!

Podbiegła do nas i odepchnąwszy mnie na bok, wyciągnęła ręce do mgły, która była jej ojcem. Zachwiałem się i złapałem równowagę, opierając się o ścianę. Tym razem Kain nie skoczył mi na pomoc. Barghest cofał się powoli, nie spuszczając wzroku z blaknącej postaci kaznodziei. Trina nie mogła objąć ducha, ale nie przestawała próbować. Rozpaczliwie chwytając rękami powietrze, zaczęła łkać.

– Nie! Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie tak! Tato!

Xavier Martinez spojrzał na swoją córkę i niemrawo próbował powstrzymać swój rozpad, zagarniając trochę mgły z tej i z tamtej strony. Widząc, że przegrywa tę walkę, wyciągnął ręce do córki.

Trina wpadła mu w ramiona i przeleciała przez niego, uderzając o ścianę, którą przed chwilą rozcinałem nożem. Kiedy się odwróciła, na twarzy miała tak wielką rozpacz i gniew, że poczułem się jak największy dupek we wszechświecie.

– Tak mi przykro, kochanie – powiedział pastor. – Ja zamierzałem... Chciałem tak wiele... Ale widać nie było nam dane. Nie płacz, córeczko. Tak mi przykro.

Głos słabł mu z każdym zdaniem.

– No zrób coś! – ryknęła na mnie Trina. – Powstrzymaj to!

Przez sekundę gapiłem się na nią w oszołomieniu, ale zaraz ruszyłem na pomoc, próbując spełnić jej prośbę. Posłałem moją czarną mgłę na widmo,

każąc jej uzdrawiać, ale pastor wciąż rozpadał się i rozmywał w powietrzu. Została z niego tylko głowa z szyją, ramionami i rękami. Reszta była już tylko ulotnym oparem rozwiewającym się coraz bardziej za każdym razem, kiedy wypuszczaliśmy powietrze z płuc.

Odrzuciłem mój urok maskujący i wyciągnąłem do pastora rękę, ale nie mogłem go dotknąć.

– Zaczekaj – powiedziałem. – Nie chciałem zrobić ci krzywdy. Proszę, zostań z nami.

Trina wyrwała mi nóż z dłoni i przyjrzała mu się. Kiedy tylko dotknęła ostrza, mgła mojej mocy opadła z niego bez śladu. Trina odrzuciła go i znów odwróciła się do ojca.

Kształt jego twarzy wciąż tam był, z oczami utkwionymi w córce.

– Kocham cię – powiedział do Triny. – Jesteś cudowną młodą kobietą.

– Kocham cię – wyszeptała Trina.

I już go nie było.

W powietrzu zamigotały słabe iskierki, a potem i one znikły. Trina zwiesiła głowę, dygocąc na całym ciele.

Poczucie winy ścisnęło mi wnętrzności. Co mogłem zrobić? Nie byłem w stanie wydać z siebie głosu, a kiedy wreszcie mi się udało, zdobyłem się jedynie na idiotyczne:

– To było niechcący, Trino. Ja nie...

– Zamknij się! – huknęła na mnie, przyciskając dłonie do uszu.

Zamilkłem.

Trina opuściła rękę wzdłuż boków i ruszyła przed siebie. Była odwrócona do mnie plecami, dlatego nie zauważyłem, kiedy wyjęła z kieszeni resztkę swoich magicznych proszków i wierzbowy talizman. Nie dotarło do mnie nawet, że podniosła z podłogi mój nóż, dopóki nie okręciła się na pięcie w moją stronę, trzymając wszystko w wyciągniętych przed siebie rękach.

– Tata od początku miał rację – powiedziała chrapliwie, świdrując mnie dzikim spojrzeniem. – Ty *jesteś* zły.

– Zaczekaj. – Podniosłem rękę, a Kain przyskoczył i stanął obok mnie, warcząc.

– Nie do wiary, że dopiero teraz przejrzałam na oczy. Dariusz, Addie, oboje przepadli. A teraz mój ojciec. Znowu!

Dygotała tak bardzo, że fiołki z proszkami dzwoniły jej w dłoniach. Wytrzymałem jej wzrok, nie wchodząc z nią w spór. Nie próbowałem też przeproszać, ponieważ żadne przeprosiny w tej sytuacji by nie wystarczyły.

Znów zaczęła mówić, ale tym razem powiedziała coś po łacinie. Potem po

francusku. Dwa z trzech proszków zaczęły dymić. Trzeci zaiskrzył, kiedy przeszła na niemiecki.

– Możesz zrobić sobie krzywdę – ostrzegłem, cofając się, aż nie oparłem się plecami o ścianę z pustaków.

Kain cofał się ze mną, miał zjeżoną sierść na karku i płonący wzrok utkwiony w dymiących fiolkach. Nawet barghest zdawał sobie sprawę, że dziewczyna może mieć w ręce bomby.

Trina zachowywała się, jakby mnie nie słyszała. Jej wierzbowy wianek pulsował energią, zmieniając barwę na głęboką ciemną zieleń. Rękojeść mojego noża rozjarzyła się.

Trina zaczęła się przemieniać. Najpierw stała się kobietą w purpurowej pelerynie, z głową owiniętą w jedwabie. Potem jej sylwetka rozplynęła się w postaci staruszki odzianej w czerwienie, o twarzy tak pomarszczonej, że ledwie mogłem dojrzeć jej gniewne oczy – groźne oczy – rozświetlone tym samym błyskiem, który widziałem u pastora, kiedy rozpruwał mi ciało sztyletami. Coraz szybciej i szybciej zmieniała się w niskie kobiety, wysokie kobiety, pulchne kobiety, szczupłe kobiety, kobiety o różnych kolorach skóry i w różnym wieku. Czy były to jej prababki? Inne wiedźmy? Nie miałem pojęcia.

Kain sprężył się do skoku, ale nim zdążył się wybić, jego ciało znieruchomiało i przemieniło się w gniewny posąg z otwartym zębatym pyskiem ociekającym śliną.

Trina zamknęła oczy, a jej głos spotężniał. Teraz była wszystkimi tymi kobietami naraz. Nie mogłem już dojrzeć jej prawdziwej twarzy ani usłyszeć głosu.

Trwałem na swoim miejscu, unieruchomiony po części determinacją, po części przekonaniem, że zginę w sekundzie, w której choćby poruszę palcem.

„Przepraszam, Forest”.

Liczyła na mnie, a ja, zamiast ją ocalić, miałem ją znowu zawieść. Wiedziałem, że nie zobaczę jej już w żadnym momencie tego życia, i to bolało mnie bardziej niż cokolwiek innego. A Imogena? Wierzyła, że przejmę jej obowiązki, kiedy w końcu odejdzie z tego świata. Co teraz z nią będzie? Co będzie z Lincolnem? Z Never i wszystkim?

„Przepraszam, Imogeno”.

Powieki Triny rozchyliły się, ale nie było za nimi oczu. Z pustych oczodołów i ust trysnęło białe oślepiające światło. Trina uniosła fiołki, swój talizman i mój nóż, po czym wszystkim naraz cisnęła we mnie.

Zaczarowany proszek, splecione witki i kościana klinga uderzyły mnie

w pierś i barwny pył wybuchł mi chmurą wokół głowy i ramion.

Rozległ się huk, jakby ciężarówka dynamitu zderzyła się z mostem, i nic, a potem potworny ssąco-kłębiąco-pchający poryw rzucił mną w tył z takim impetem, że przeleciałem na wylot przez ścianę z pustaków.

Ból targnął każdym centymetrem mojego jestestwa w reakcji na zdzieraną skórę, łamane kości, ciało rozszarpywane na strzępy. Krzyknąłem, ale w uszach brzmiał mi tylko śmiech Triny.

A potem...

Przestałem żyć.

Rozdział 41

Gdzieś w oddali biły dzwony.

Coś grzało mi policzki. Chciałem odwrócić się od źródła żaru, ale wędrowało za moją głową.

Światło przedarło się przez moje zamknięte powieki i tak długo raziło mi oczy, aż obudziłem się, rycząc, wymachując rękami, ryjąc nogami ziemię. Ból zapłonął mi we wszystkich kościach i musiałem zakryć twarz, żeby ten piekielny żar mi jej nie spalił.

Pierś zapadała mi się boleśnie przy każdym oddechu – ale *oddychałem*.

Uczepiłem się tej myśli dokładnie w chwili, w której światło zgasło bez śladu, jakby go nigdy nie było. Dzwony także umilkły. Kiedy zebrałem w sobie dość odwagi, aby odjąć dłonie od twarzy, odkryłem, że patrzę na swój kościany nóż wbity w piach tuż obok mnie. Z wysiłkiem usiadłem, po czym dotknąłem nosa, oczu, brzucha i kolan – wszystko było na swoim miejscu. Nie rozerwało mnie. Wciąż byłem w jednym kawałku i siedziałem na skrzyżowaniu ubitych dróg, niedaleko słupa z ludzką głową gnijącą na jego szczycie. Księżyc oświetlił obłe wierzchołki wzgórz Kentucky i gdy chmury płynęły przed jego tarczą, uświadomiłem sobie, że muszę być przy Harpowej Głowie, w pobliżu miejsca, gdzie Forest została porwana na tamtą stronę.

Jak to w ogóle było możliwe? Przecież nie znaleźliśmy rozrzedzenia. Przebiłem nożem pastora, a Trina... Trina straciła panowanie nad sobą i zaatakowała mnie całą swoją mocą.

Zabiła mnie.

Umarłem po raz drugi.

W ten sposób przedostałem się na tamtą stronę naturalną drogą. Rozrzedzenie nie było potrzebne.

Nie pamiętałem, jak to było, kiedy umarłem po raz pierwszy, co się działo pomiędzy chwilą mojej śmierci a późniejszym wskrzeszeniem przez Imogenę. Czy wtedy też czułem się tak bardzo... żywy?

– Forest! – krzyknąłem. – Forest!

Wyrwałem swój nóż z ziemi, wytarłem o spodnie i wetknąłem sobie za pas. Sosny szeptały coś do siebie w powiewach nocnej bryzy, ale nie słyszałem niczego poza tym.

Gdzie był Duży Harpe? Czy byłbym w stanie wyczuć upiora, gdybym spróbował go znaleźć?

Posłałem zmysły na zwiad, ale nigdzie w okolicy nie znalazłem ani śladu Forest, Dariusza, Addie, ani Dużego Harpe'a. Być może nie potrafiłem już wyczuwać duchów, ponieważ ja także byłem martwy.

– Ale Forest nie jest martwa – powiedziałem do niesamowitego, przestłoniętego chmurami księżycy. – Dariusz jest cały i zdrowy, Addie tak samo. Harpe gdzieś się tu przyczaił i więzi ich wszystkich.

Chciałem wbiec między sosny i od razu zacząć poszukiwania, ale szukając na oślep, mogłem stracić całe godziny, dni, tygodnie i niczego nie znaleźć. Musiałem pomyśleć. Musiałem...

Ciepło dotknęło mi karku i wokół mnie rozlało się światło.

Zamarłem z dłonią na rękojeści noża.

Światło zapulsowało i stało się gorętsze. Świeciło wyzywająco, jakby prowokowało mnie do obejrzenia się za siebie, do spojrzenia na nie. Dobyłem noża, powoli odwróciłem się... i opadłem na kolano, wypuszczając broń z bezwładnych palców.

Daleko przed sobą ujrzałem dzwonnice szpitala Lincolna. Nie było to możliwe, ale widziałem ją wyraźnie – czarną sylwetę wyrysowaną na niebie i zasłaniającą gwiazdy. Ze szczytu strzelał snop światła, a po chwili – a jakże – rozdzwoniły się dzwony.

Plama światła spłynęła z mojej twarzy, aby przenieść się na pień sosny w pobliżu rozstajów dróg. Tuż obok drzewa, w padającym nań białym blasku ujrzałem ścieżkę.

Cudownie.

Podążanie za wskazówkami szpitala już raz mnie dzisiaj zabiło, choć jednak doprowadziło mnie tam, dokąd chciałem się udać.

Blask oświetlający ścieżkę zapulsował nagłaco, więc podniosłem nóż, schowałem go za pas i ruszyłem naprzód. Podążając tam, dokąd prowadziło mnie światło, w głowie słyszałem echo głosu Forest:

„Czy stary dom wariatów jest po naszej stronie, czy nie?”.

Dobre pytanie.

Już wkrótce miałem poznać odpowiedź.

Rozdział 42

Światło padające z dzwonnicy Lincolna prowadziło mnie wzdłuż ścieżki pomiędzy drzewa i trawiaste zbocza falistych wzgórz Kentucky. Pokonawszy niezliczoną ilość zakrętów, dotarłem wreszcie do polany, bardzo podobnej do tej, na której pastor Martinez podpalił stos z moimi zwłokami.

Ta jednak była większa. I ciemniejsza. Kiedy tylko dotarłem do jej skraju, światło wieży pochłodziło i zgasło, ale nie przejąłem się tym zbytnio. I tak lepiej czułem się w ciemności. Na polanie zobaczyłem czarny kształt drewnianej chatki, a niedaleko niej ognisko.

Duży Harpe stał nad płomieniami.

Idąc w jego stronę, uświadomiłem sobie, że to wcale nie jest ognisko. Przynajmniej nie takie, jakie rozpala się, aby się ogrzać. Był to stos z kamieni obłożony sosnowymi gałęziami, które Harpe podpalił.

Na tym prowizorycznym ołtarzu leżała skrepowana Forest otoczona ogniem. Złote światło, którym zawsze promieniowała w moich snach – snach, które przychodziły do mnie z tamtej strony – było ledwie widoczne w półmroku i cieniu.

To światło oznaczało, że Forest wciąż żyje. Nie była przytomna, ale upiór jeszcze jej nie zabił.

– Wiedziotech, że przyńdiesz – powiedział Harpe, który wydał mi się jeszcze większy, niż zapamiętałem, i promieniował czarną straszną mocą, jakiej nigdy dotąd nie wyczułem u upiora. – Myślotech ino, żeś martwy – powiedział i zarechotał.

Zastanawiałem się, o czym on, do diabła, mówi. Przecież *byłem* martwy, prawda? Odruchowo obejrzałem sobie dłonie, jak idiota. Nie wyglądałem na martwego, ale kto mógł wiedzieć, jak naprawdę powinienem wyglądać?

– Dość ubić cię tutaj, a sześniesz po wieki i nie zbrzydysz mi wiency, a ja wezne siłę krewniaczki i wrócę tam, gdzie moje miejsce.

On chce wziąć moc Forest. Zatem Imogena miała racę: Duży Harpe wierzył, że może ukraść Forest zdolność do tworzenia rozrzedzeń. Ale jak?

Przyglądając mu się, widziałem to w jego obłąkanych oczach. Sądził, że może w jakiś sposób wchłonać Forest i przejąć wszystko, czym była; wszystko, co potrafiła. Czy istniał na to jakiś rytuał? Coś, czego nauczył się na Sabatowej Górcie, zanim go przeklęto?

„Czy postawi na proste rozwiązanie i po prostu upiecze ją i pożre?”

Poczułem mdłości.

Wydało mi się, że skóra trapera zaświeciła w księżycowym blasku, ale w następnej chwili niebo zasnuły chmury. Wymalowana twarz rozciągnęła się w diabolicznym uśmiechu i olbrzym uniósł tomahawk, celując w moją głowę.

Ledwie zdążyłem się uchylić, ale zanim odzyskałem równowagę, Harpe cisnął następny, który wyrznął mnie tępą stroną w pierś, odbierając mi dech i odrzucając w tył.

To *bolało!* Czy martwi mogą cokolwiek odczuwać?

Z przyzwyczajenia zmobilizowałem trochę mocy i przygasiłem ból na tyle, aby móc oddychać. Zimna energia wypełniła mi żyły. Zatem zachowałem jednak pewne umiejętności. Instynktownie przetoczyłem się w lewo i tomahawk wbił się w ziemię obok mojej głowy. Przetoczyłem się znowu, ale tym razem podrywając na nogi i dobywając noża.

Dzwony Lincolna biły, a ich dźwięk wibrował mi w zębach.

Duży Harpe ryknął. Wyrwał zza pasa kolejne dwa tomahawki i rzucił się na mnie.

Skoczyłem w jego stronę, biorąc zamach nożem.

Wokół mnie zakłębiły się cienie. Użyłem mocy, próbując je odepchnąć, ale bez skutku. Potknąłem się i upadłem w bok, poza zasięg Dużego Harpe'a, który przemknął obok mnie i pognał dalej. Upadłem tylko na chwilę, a kiedy się poderwałem, uświadomiłem sobie, że cienie to owe słabe upiory wykonujące rozkazy Harpe'a. Nagle zerwał się wiatr. Dwa wysokie upiory, inne od pozostałych, wyłoniły się spomiędzy drzew i ruszyły w moją stronę. W tej samej chwili ciemność rozdarła błyskawica i przez niebo przetoczył się grzmot.

Deszcz lunął na polanę, zupełnie jakby był dziełem nadciągających wysokich cieni. Harpe już zawracał, aby ruszyć do kolejnej szarży. Lęk rozlał mi się po ciele ołowianym ciężarem. Dzwony Lincolna biły ponad burzą, wdzierając się pomiędzy salwy grzmotów, wtórując trzaskom błyskawic.

„Ruszaj!” – ponagliłem się w duchu, koncentrując na traperze i ignorując cienie. Jeśli zdołam go pokonać, uratuję Forest.

„Teraz!”

Uniosłem nóż i puściłem się biegiem w stronę Harpe'a. Mniejsze cienie otoczyły mnie ze wszystkich stron – odziane w jelenią skórę, o wymalowanych twarzach i dzikich oczach, gryzące, szarpiące i bijące. Duży Harpe zamierzył się tomahawkiem. Mógł rozplatać mi czaszkę, zanim zdążę się zbliżyć.

Czyjeś zęby zacisnęły mi się na kostce, ale zaraz oderwały, kiedy stojący bliżej jeden z wysokich cieni skoczył do ataku. Nie na mnie. Na słabe upiory. Ciemne muskularne ramię spadło na cień, który mnie ukąsił.

Błysnął piorun i w jego świetle zalśniły sztylety. Wydawało mi się, że ujrzałem też ciemne okulary.

– Dariusz? – zawołałem. – Addie?

Nikt nie odpowiedział.

Cienie rozpiezchły się w strugach deszczu, rozplywając w chaosie burzy.

Duży Harpe ryknął mrozącym krew okrzykiem bojowym.

Z uniesionym nożem ruszyłem w jego stronę, zmniejszając dystans coraz szybciej i szybciej.

„Forest, nadchodzę”. Pragnąłem, żeby się ocknęła. Gdyby wydoszła się sama z tego płonącego ołtarza, rzuciłbym nóż i pozwolił Harpe’owi ścigać się przez lasy, aby mogła uciec.

Upiór wydał z siebie bawoli ryk i cisnął we mnie toporkiem. Zanurkowałem pod wirującym pociskiem, a wtedy zaczął ciąć szeroko swoim ostatnim tomahawkim. Omal nie wypuścił go z dłoni.

Omali.

Odzyskawszy równowagę, wziął kolejny zamach. Ręce miał dłuższe niż wcześniej i poruszał się o wiele szybciej. Musiałem odskoczyć w tył, aby uniknąć rozsiekania twarzy. Wylądowałem tak niefortunnie, że moja ukąszona kostka poddała się. Runąłem na ziemię i natychmiast odtoczyłem się w bok, schodząc z drogi rozpedzonemu Harpe’owi.

Zanim zdążył zawrócić, stałem już na nogach, zwrócony w jego stronę. Opuścił ręce i zmierzył mnie złym spojrzeniem. Potem potrząsnął głową, jakby nie chciał czegoś słyszeć. Przez wymalowaną twarz przemknęła niepewność.

Dzwony Lincolna wciąż biły poprzez burzę. Czy je słyszał?

Rozczapierzony zygzak błyskawicy rozświetlił na chwilę polanę i poczułem, że dzwonnica mnie obserwuje. Czy Duży Harpe też to wyczuwał? Stary szpital łaknął śmierci. Czekał na krew. Nie byłem pewien, czy obchodziło go, do kogo ta krew należy.

Czy mogłem tu umrzeć jeszcze raz? Czy on mógł?

Wkrótce miałem się przekonać.

Duży Harpe wziął zamach swoim ostatnim tomahawkim i ostrze trafiło mnie, otwierając ranę od ramienia po szyję. Ledwie poczułem ból, ale pierś spłynęła mi krwią. Czerpanie mocy natychmiast stało się trudniejsze. Pot wystąpił mi na czoło i spływał do oczu wraz z deszczem. Nie opuściłem noża, celując nim w tors upiora. „Wkrótce znów się poruszy i tym razem będę gotowy”.

Jego prawa ręka nieznacznie drgnęła, zapowiadając kolejny ruch, a ja zanurkowałem do przodu pod lecącym ze świstem tomahawkim. Mój nóż

trafił go w lewą stronę klatki piersiowej i wbił się głęboko, wyrywając mu z gardła potworny ryk. Szybko odskoczyłem poza zasięg rąk upiora.

– Nie godość! – wycedził, biorąc kolejny zamach, a potem następny i następny, siekąc z coraz większą furją.

Kto gadał? Ja nie wypowiedziałem słowa. Miał na myśli dzwony? Czy...

Oczy Harpe'a błyszcząły, pełne tego samego szaleństwa, które widywałem każdej nocy, kiedy przemierzałem korytarze Lincolna w poszukiwaniu duchów.

– Stul jadaczkę! – Skoczył na mnie, raniąc mnie w nogę toporkiem, zanim zdążyłem uskoczyć.

Czyj głos słyszał?

Staralem się podstawiać pod ciosy tak, aby ustawić się pomiędzy nim a Forest, ale kiedy już miałem odciąć mu drogę, Harpe ominął mnie gwałtownym zrywem i skoczył w stronę ołtarza.

Rzuciłem się za nim, ale pchnął za siebie rękojeścią tomahawka, trafiając mnie w tors. Drewniany trzonek wbił mi się w żebra, krusząc je i odbierając mi dech. Nóż wypadł mi z dłoni i odleciał w dal. Zatoczyłem się w bok, zderzając z pniem sosny. Pociemniało mi przed oczami. Świat nagle ucichł i nie słyszałem już dzwonów Lincolna.

Przez kilka chwil mogłem tylko panicznie łapać powietrze, ale potem wbiłem palce w ziemię i dźwignąłem się na nogi. Przed oczami zawirowały mi ciemne plamy i z bólu zgiąłem się w pół. Wydając z siebie stłumiony krzyk, zmusiłem się do wyprostowania i sięgnąłem po moc, wysysając ją łapczywie z ciemności tamtej strony. Ogarnął mnie zimny gniew, wzrok wyostrzył się, a ból w piersi zelżał na tyle, abym znów mógł stanąć prosto.

Niecałe pięć metrów przede mną Duży Harpe stał nad Forest ze wzniesionym tomahawkiem.

Forest leżała nieruchomo, nieświadoma bliskości mordercy.

Rozdział 43

Lód ściał mi serce. Nawet nie próbowałem odzyskać noża.

– Nie rób tego – poprosiłem Harpe’a. – Zrobię, co zechcesz. Powiedz tylko co.

– Na kolana – warknął.

Nic trudnego. Opadłem na ziemię, nie spuszczać z oczu Forest i tylko kilkunastu centymetrów dzielących ostrze toporka od jej gardła, wciąż tętniącego słabym, ale miarowym pulsem.

– Cokolwiek zechcesz – zapewniłem ponownie. – Tylko ją wypuść.

Okolone gęstym zarostem usta traper podwinęły się w szyderczy grymas.

– Na to nie licz. Trza mi jej krwi. Wleję ją w siebie, to będę mógł robić co ona.

Poczułem skurcz w brzuchu.

– To nie działa w ten sposób.

– Ty tak godosz? – Źrenice Harpe’a rozszerzyły się; traper potrząsnął głową.
– Czego chceta?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo nie miałem pojęcia, co słyszy.

Twarz mu spochmurniała, a następne warknięcie było tak niskie i gardłowe, że włosy na karku stanęły mi dęba.

– Precz ode mnie!

Miałem wrażenie, że nie zwraca się do mnie.

Tomahawk nad gardłem Forest zadrżał. Harpe spojrzał przeze mnie w dal, a potem skupił wzrok na mojej osobie.

– Przepędź ich – zażądał.

Przełknąłem ślinę. To nie mogło mu się spodobać, ale musiałem spytać:

– Kogo?

– Ich! – krzyknął Harpe, wskazując coś ponad moim ramieniem. – Dzieciska nie dają mi spokoju!

„Słyszysz głosy dzieci, które zabił”. Nie sądziłem, aby nękały go prawdziwe duchy. Głosy były w jego głowie. Moje spojrzenie przykleiło się do ostrza tomahawka, które powoli opadło, by oprzeć się na szyi Forest.

Harpe wciąż patrzył w punkt nad moim ramieniem.

– Precz ode mnie! – krzyknął znowu. – Bo ubiję po kolei!

W pierwszym odruchu chciałem zwrócić mu uwagę, że już to zrobił, ale uświadomiłem sobie, że w szaleństwie nie ma miejsca na racjonalność.

Harpe przez chwilę mamrotał pod nosem, a potem wykrzyknął coś niezrozumiałego w stronę wyimaginowanych dzieci. Pozostając w całkowitym bezruchu, ostrożnie omiotłem otoczenie zmysłami, tak jak to robiłem w Lincolnie, kiedy poszukiwałem duchów. Wszędzie było tyle chłodu, tyle ciemności. Musiałem tylko znaleźć sposób na skierowanie jej tam, gdzie chciałem ją posłać.

Burza wokół nas nagle ucichła i przez korony sosen znów przedarł się blask księżyca. Za Dużym Harpem zamajaczył aż nadto znajomy kształt. Dzwonnica psychiatryka objawiła się nam ponownie, jej okna promieniowały białym światłem.

Blask zatańczył wokół polany i Harpe odskoczył z obrzydzeniem od plamy światła. Spiorunował mnie wzrokiem i krzyknął:

– Wiedzmy to ja zjodm na kolację. Wasze sztuczki na mnie nie działają!

Przeciągnął tomahawkiem po ramieniu Forest.

– Nie! – Skoczyłem do niej, wyciągając rękę.

Forest jęknęła, a po ramieniu pociekła jej struga krwi. Duży Harpe złapał ją za przód bluzki i ściągnął z ołtarza, zanim zdążyłem jej dosięgnąć. Potrząsnął bezwładnym ciałem jak szmacianą lalką, aż ciemne krople bryznęły na jej dzinsy i ziemię wokół stóp. Powstrzymałem chęć rzucenia się jej na ratunek. Harpe znalazł sposób na zapanowanie nad nią, na wyrządzenie jej krzywdy, na zabicie jej bez dotykania skóry i narażania się na zetknięcie z zabójczą mocą jej bransoletki.

Na widok Forest zwisającej bezradnie na jego plugawej łapie wezbrała we mnie paraliżująca fala wściekłości. Nie mogłem myśleć. Nie mogłem mówić. Ledwie słyszałem jego mamrotanie, nie mogąc oderwać wzroku od tej straszliwej sceny.

Nagle pod stopami Forest zakiełkowała i zaczęła rosnać trawa. Opadła mi szczęka. Czy naprawdę to widziałem? Tak! I tam, i tam – trawa, a wśród niej kwiaty rozkwitające w środku nocy. Żółte, czerwone płatki, a nawet kilka białych.

Każde miejsce na ziemi, którego dotknęła jej krew, tryskało życiem. Światło dzwonnicy skupiło się na jej postaci i wlewało w nią jasnym strumieniem, karmiąc złoty blask, którym promieniowała jej skóra.

„Imogena!”

Serce ścisnął mi potworny ból. Mojej babci nie było stać na taki wydatek energii. Poświęcała siebie, aby ocalić Forest.

Duży Harpe wpatrywał się tępo w gęstniejącą mu pod nogami roślinność. Nagle uniósł Forest ponad sobą i rozdziawił usta, jakby chciał odgryźć jej

twarz.

Forest zdawała się czerpać nową siłę z rozkwitającego wokół życia. Jej powieki zatrzepotały i uniosły się. W kąciach oczu zaszklily się łzy, a kiedy spadły na twarz Harpe'a, upiór wrzasnął z bólu. Na jego skórze pojawiły się dymiące dziury.

Forest spojrzała na Harpe'a, potem na mnie, a następnie wyszeptała:

– Mama powiedziała, że ciemność potrzebuje światła.

Ciemność potrzebuje światła? Co to miało znaczyć? Jak gdyby w odpowiedzi snop światła z dzwonnicy przeskoczył z Forest na mnie.

– A światło potrzebuje ciemności – dokończyła Forest ze spokojem, mimo że Harpe już się opanował i znów szykował do gryzienia.

Wyciągnęła ręce i dotknęła twarzy swojego oprawcy. Jego skóra zaskwierczała wściekle, a Harpe zawył i zaczął się miotać, próbując odrzucić Forest od siebie, ale ona złapała go mocno za głowę i nie puszczała. Rzuciłem się w ich stronę, gotowy dać się spopielić, byle uwolnić Forest od tego potwora. Musiałem podskoczyć, aby dosięgnąć uniesionych rąk upiora, a kiedy złapałem Forest, moje palce zamknęły się na jej jarzębinowej bransoletce.

Impuls energii poraził moje ciało, naładowany całą ciemnością i chłodem, jakich dotykałem po tamtej stronie. Upadliśmy razem i potoczyliśmy się po polanie, aż zatrzymaliśmy się na sośnie. Poderwałem się z ziemi i pociągnąłem Forest za sobą, nie dbając o ogień, który zapaliła mi na obu dłoniach.

– Uważaj na Harpe'a. Jest za tobą – powiedziałem, podczas gdy wyrywała się z mojego uścisku, aby już dłużej mnie nie krzywdzić.

Upiór osunął się na swój rozsypujący się ołtarz, trzymając się za głowę i rycząc z bólu.

– Jego twarz – powiedziała Forest, a ja uświadomiłem sobie, co miała na myśli.

Twarz Harpe'a brakowało większej części podbródka i policzków.

Forest spojrzała na swoją bransoletkę, potem na mnie. Promień światła z dzwonnicy padł prosto na Harpe'a, który zawył jeszcze głośniejsze.

Zabiły dzwony.

Ruszyliśmy w stronę upiora. Nawet nie próbował uciekać. W ogóle nas nie zauważył.

Kiedy stanęliśmy przed nim, Forest uniosła rękę z bransoletką i zacisnęła pięść. Rzuciwszy mi szybkie ostatnie spojrzenie, zamknęła oczy, a potem wzięła potężny zamach i z całej siły wyrznęła Harpe'a w brzuch.

Jej złote światło rozbłysło jaśniej, a ręka wniknęła głęboko w ciało upiora.

Harpe ryknął, ale zanim zdążył choć drgnąć, wyciągnąłem rękę

i zacisnąłem dłoń na jarzębinie i żelazie. Jednocześnie wyrzuciłem zmysły poza siebie i znów dotknąłem ciemności i chłodu, wyczuwając energię samej śmierci płynącą przez świat tamtej strony. Zacisnąwszy zęby, posłałem jej strumień przez moje płonące palce.

Wyrwała się na zewnątrz potężniejsza od najjaśniejszego piorunu. Czarny ogień ogarnął nas ze wszystkich stron naraz, ale Forest wciąż stała obok mnie nietknięta. Jej światło połączyło się z moją ciemnością, moja ciemność zlała z jej światłem.

Krzyknąłem wraz z Harpem i płoneliśmy razem – moja ręka i jego brzuch, potem nogi, tors i ramiona. Ogień trysnął mu z oczu, uszu i ust; włosy i broda buchnęły płomieniem.

Runął na plecy, a jego wrzask zagłuszył ryk płomieni, które błyskawicznie strawiły zwłoki, rozrywając jego esencję na strzępy ciemnej energii. Pozostały po nim szary popiół przyprószył trawę i kwiaty, które wyrosły tak niedawno na krwi Forest, ale po chwili popiół zniknął, a trawa stała się jakby zieleniejsza.

Duży Harpe przepadł, odszedł na zawsze. Czułem to. Z jego ducha nie zostało absolutnie nic, co mogłoby wrócić i znów przysporzyć nam kłopotów. Nie miałem pojęcia, że martwi też mogą umrzeć, że ducha można zupełnie unicestwić. Zastanawiałem się, czy Imogena to wiedziała. Zapewne nie.

Miała sporo do zapisania w swoich księgach.

Z moich palców unosił się dym, a kiedy puściłem wreszcie bransoletkę Forest i spojrzałem na swoje dłonie, zobaczyłem zwęgloną, kruszącą się skórę. Byłem poza sferą bólu, poza sferą krzyku, poza sferą troszczenia się o to. Była ze mną Forest, cała i zdrowa.

Zachwiałem się, oszołomiony i słaby, ale uśmiechnąłem się do niej.

Odpowiedziała uśmiechem.

Rozdział 44

Wciąż patrząc na mnie i uśmiechając się, Forest uniosła rękę, potarła palcami ranę na własnym ramieniu i wtarła odrobinę czerwonej cieczy w moją zrujnowaną dłoń. Chłodna ulga rozbiegła mi się po palcach i przez nadgarstek popłynęła aż do łokcia. Tak jak trawa, żywe ciało wyrosło spod zwęglonej skorupy, tworząc na nowo skórę, jaką znałem od zawsze.

Może nie byłem aż tak martwy, jak sądziłem.

– Dzięki – szepnąłem, na próbę zginając i prostując uleczone palce.

– Nie ma za co.

Złote światło Forest wypełniło zdewastowaną polanę i rana na jej ramieniu zasklepiła się na moich oczach. W ciągu następnych kilku chwil zrosła mi się kostka, a potem także potrzaskane zębra. Bliskość Forest wystarczyła, abym całkowicie ozdrowiał.

– Jesteś dobry w posługiwaniu się energią śmierci do pracy z duchami i podróżowania na tamtą stronę i z powrotem – powiedziała Forest. – Imogena i ja używamy energii życia. Ciemność i światło. Zdaje się, że moja biedna mama miała wizję przyszłości, ale była ona zbyt splątana, aby pojąć jej znaczenie.

Staliśmy razem, centymetry od siebie, tak blisko, że czułem ciepło promieniujące z jej skóry.

Czy zabiłby mnie jeden pocałunek?

Zapewne.

Czy byłby tego wart?

Bez wątpienia.

Uniosła palec i prawie – *prawie* – dotknęła nim moich ust.

– Pomyśl o tym w ten sposób: gdybyśmy połączyli siły, bylibyśmy niesamowicie trudni do pokonania, zwłaszcza teraz, kiedy już wiemy, co potrafimy.

– Forest! – zawołał kobiecy głos spomiędzy sosen.

Forest roześmiała się, opuszczając rękę.

– To Addie.

W oddali odezwał się kolejny głos i wiedziałem, że należy do Dariusza.

Musiałem walczyć ze sobą, żeby nie złapać Forest za rękę, kiedy odwracaliśmy się w stronę nadchodzących, aby ich przywitać. Oboje wyglądali na całych, choć podarli swoje koszule, aby ich strzępami opatrzyć liczne rany

kończyn. Kiedy stanęli przed nami, Dariusz pochylił się i wsparłszy dłońmi o kolana, ciężko łąpał oddech. Dopiero po kilku chwilach uniósł głowę i wysapał:

– Levi... Tu nie jest fajnie. Możemy już wracać do domu?

– Wy chyba możecie, jeśli Forest zrobi rozrzedzenie. Ale ja nie. Umarłem po raz drugi, kiedy rozwalila mnie Trina.

Brwi Dariusza wysunęły się ponad krawędź ciemnych okularów.

– Musiałeś ją naprawdę paskudnie, paskudnie wkurzyć.

– Przez przypadek zabiłem jej ojca – wyznałem.

– Stary... – Dariusz wyglądał na zdezorientowanego. – Przecież pastor już nie żył.

Wzruszyłem ramionami.

– To długa historia.

– Możesz nas zabrać do domu, dziecko? – spytała Addie, zwracając się do Forest.

– Tak – brzmiała odpowiedź. – I to całkiem blisko momentu, w którym przekroczyliśmy granicę. Celowanie w konkretny czas mam już nieźle opanowane, niestety, jeśli chodzi o miejsca... powiedzmy, że rozrzut bywa spory.

Forest wskazała na odległą sylwetę dzwonnicy.

– A co mam począć z tym?

– Zostaw – odpowiedziałem. – Lincoln sam dokonuje wyborów.

Przechodzili przez stworzone przez Forest rozrzedzenie po kolei: najpierw Addie, potem Dariusz. Kiedy Forest odstała na bok, aby przepuścić mnie następnego, potrząsnąłem głową.

– Nie mogę.

– Możesz.

Pomyślałem o Imogenie i o tym, jak sprowadzenie mnie z tamtej strony rozpoczęło jej nieubłagane staczanie się ku nicości.

– Umarłem w świecie ludzi. W ten sposób przedostałem się na tamtą stronę, aby ci pomóc. Nie powinienem wracać. Jeżeli zabierzesz mnie z powrotem, może ci się stać krzywda.

– Głuptasie. – Uśmiechnęła się do mnie i zbliżyła się do rozrzedzenia, pociągając mnie tam za szlufki džinsów. – Jesteś wnukiem Imogeny. Śmierć boi się ciebie.

Nie zdążyłem zacząć spierać się z nią o to, bo w następnej chwili wstąpiliśmy do sali archiwum w domu pod wieżą w parku Szpitala

Psychiatrycznego imienia Lincolna. Wciągnąłem gwałtownie powietrze, zaskoczony nagłością, z jaką powstałem z martwych – *znowu* – i mrugając powiekami, omiotłem wzrokiem ściany wokół mnie.

Tynk i stara farba wyglądały całkiem normalnie. Dariusz i Forest wydawali się być sobą, Addie też. Pokój z jego rejestrami, teczkami i księgami nie zmienił się, odkąd widziałem go po raz ostatni, ale nie było w nim Imogeny.

Nie...

Za jej biurkiem siedziała Trina, zastygła w całkowitym bezruchu. Obie dłonie i nadgarstki miała owinięte bandażami i wpatrywała się nieprzytomnie w Dariusza, Addie, Forest i mnie, podczas gdy ustawialiśmy się w rządęk naprzeciwko niej.

– Dobrze cię widzieć, skarbie – powiedział Dariusz.

Trina wstała.

Cofnąłem się odruchowo i Dariusz parsknął śmiechem.

Spodziewałem się, że Trina podbiegnie do Dariusza albo swojej macochy, ale ona skierowała się prosto na mnie. Uniosłem ręce, osłaniając się przed ciosem, ale objęła mnie ramionami, wtuliła twarz w moją szyję i zaszlochała.

– Przepraszam, przepraszam – wyszeptała. – Ja nie... Nie wiedziałam... Myślałam, że już nigdy was nie zobaczę!

Forest rzuciła mi znaczące spojrzenie i widząc jej wyczekująco uniesione brwi, uścisnąłem Trinę – może trochę zbyt sztywno, ale zrobiłem to.

– Nic się nie stało. – Czekałem na aprobujące skinienie głowy Forest, a kiedy je otrzymałem, zdołałem jakoś wyplątać się z uścisku Triny i wskazałem na jej bandaż. – Co ci się stało w ręce?

– Twój wielki paskudny pies trochę się zdenerwował, kiedy cię rozwaliałam – odpowiedziała.

– Auć... – skrzywiła się Forest.

– Kain! – Rozejrzałem się wokół. – Gdzie on jest?

– Zamknięty w magazynie ubrań – powiedziała Trina i wskazała na poszarpane nogawki swoich spodni. – Mam nadzieję.

W następnej chwili zapomniała o mnie i rzuciła się na Dariusza.

Addie i Forest zaczęły nagle rozglądać się po pokoju. Addie ściągnęła brwi i spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek.

– Gdzie Imogena?

Cały smutek, z którym nieustannie walczyłem, nagle wpłynął we mnie dławiącą falą, wyciskając łzy z oczu. Ledwie zdołałem wykrztusić głupią odpowiedź:

– Nie wiem.

Wtedy drzwi archiwum skrzypnęły i przez próg nieśpiesznie przekuśtykała Imogena.

– Ciągłe tu jestem, chłopcze – powiedziała i puściła oczko do Forest. – Ty i ja mamy jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Nie mogę odejść, dopóki nie załatwię swoich spraw.

Spoglądałem raz po raz to na nią, to na Forest w poszukiwaniu jakichś oznak tego, że za wskrzeszenie mnie dziewczyna będzie musiała zapłacić w taki sam sposób, w jaki, jak sądziłem, zapłaciła Imogena. Widząc to, moja babcia powiedziała:

– Nie zaprzataj sobie tym głowy, chłopcze. Ona tylko ociupinkę wspomogła twoją naturę. Z czasem dojdiesz do tego, jak samemu przenosić się z powrotem. To przekleństwo bycia moim wnukiem: musisz pozostać przy życiu, dopóki dobry Pan z tobą nie skończy.

– Ale ja... ja... – zacząłem, lecz nie znalazłem odpowiednich słów.

– Powtarzałam ci to od lat, Levi – powiedziała Imogena – tylko nie chciałeś mnie słuchać. Zostało mi niewiele czasu, to wszystko. Nie przyśpieszyłeś końca i nie możesz go ode mnie odsunąć. – Poklepała mnie po ramieniu. – Ale choć uparty z ciebie osioł, cieszę się, że cię mam.

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, Addie i Forest objęły moją babcię. Stałem tam, gapiąc się na nie w oszołomieniu, ale przynajmniej znów mogłem oddychać. Imogena wciąż była ze mną. Mój świat jeszcze nie rozpadł się na dwie części i byłem mu za to szaleniście wdzięczny.

Kiedy Forest puściła moją babcię, podszedłem do niej i nie odstępowałem jej na krok. Nie mogłem nic na to poradzić. Nie chciałem ani na chwilę stracić jej z oczu.

Później, kiedy słońce przesunęło się w stronę popołudnia, mój żołądek dowiódł, że jestem w pełni żywy, burcząc i bulgocząc, dopóki nie przyznałem sam przed sobą, że umieram z głodu. Poszliśmy z Forest na lunch. Wypchaliśmy sobie brzuchy burgerami, pizzą i lodami na deser, a potem wróciliśmy do swoich pokojów, które zajmowaliśmy w domu Dariusza, i przespaliśmy resztę dnia oraz całą noc, by obudzić się dopiero, kiedy słońce znów szykowało się do wzejścia.

Kiedy wstałem, zajrzałem do Dariusza, Triny i Addie, a potem zadzwoniłem do Imogeny, która pozostała w wieży. Wszyscy wciąż byli cali, zdrowi i bezpieczni.

Wziąłem prysznic, po czym dołączyłem do Forest siedzącej na werandzie skąpanej w szarym świetle świtu. Ciepła bryza rozwiewała jej wilgotne loki, kiedy stanęła naprzeciwko mnie, dość blisko, abyśmy mogli się dotknąć, ale

dostatecznie daleko, abym nie dostał kompletnego świra.

Jej głos brzmiał jak muzyka, kiedy spytała:

– Napijesz się kawy?

– U mnie czy u ciebie?

– Bardzo śmieszne. – Odsunęła mokry kosmyk włosów z mojej twarzy, a potem zbliżyła palec do czerwonej łyzy pod moim okiem. – Dobrze, że potrafisz mnie rozbawić.

– Spotkajmy się na szczycie dzwonnicy – powiedziałem, a ona znów się roześmiała.

– Uuu, jak zwykle przerażający. – Stuknęła mnie opuszkami w łzę, przesywając moje ciało impulsem gorąca. – Lubisz życie na krawędzi, co?

Niecałą godzinę później staliśmy razem na szczycie wieży, patrząc z góry na zielenie, żółcienie i biele wiosennego Never w stanie Kentucky. Stary dom wariatów zdawał się oddychać pod nami, żywy, czujny jak zawsze. Tamtego dnia zauważył nas i wydawał się zadowolony z naszej obecności.

Forest grzała mnie swoją bliskością, a kiedy znów na mnie spojrzała, uśmiechnąłem się do niej jak człowiek wolny od wszelkich trosk.

Tamtego ranka byłem od nich wolny.

Opuszkami palców musnęła wierzch mojej dłoni, a ja rozkoszowałem się ukłuciem żaru. Patrzyłem jej w oczy, bezradny, ale nie martwiłem się tym ani trochę. Nie miałem już powodów, aby ukrywać się przed Forest.

Musnąłem wargami jej usta i śmiechem zagłuszyłem ból.

– Ciemność łaknie światła, światłość ciemności.

Nachyliła się ku mnie, a jej oddech połaskotał mnie w ucho.

– Dziś zamierzam zdjąć bransoletkę, Levi.

Przez długi, długi czas nie mogłem oderwać wzroku od mojego światła, a moje światło nie mogło przestać uśmiechać się do swojej ciemności.

Wyciągnąłem rękę w bok i delikatnie pchnąłem najbliższy dzwon.

Zabił cicho tylko dla nas.